

Marcin

**WEŁNICKI**



**ŚMIERTELNY  
BÓG**

supernOWA

## **NIE MOŻESZ WALCZYĆ Z TYM, CO NIEUNIKNIONE.**

Wielka Brytania, ostatni bastion wolnej Europy, upadła, podbita przez Niemcy. Od Lizbony na zachodzie po Carycyn na wschodzie III Rzesza wprowadza swój imperialny ład. Hitler zdobył cudowną broń, ale za oceanem, w Stanach Zjednoczonych naukowcy już pracują nad jej straszliwym odpowiednikiem.

Na Starym Kontynencie kapitan gestapo Reiner Erhard, zaufany człowiek Führera, rozpoczyna rutynowe śledztwo, które wciągnie go w otchłań szaleństwa i grozy. U źródeł triumfu III Rzeszy leży starożytny spisek – i jeszcze starsze kłamstwo.

Przyparty do muru, zdany na przewodnika, któremu nie sposób zaufać, Reiner Erhard podejmuje grę o wszystko i z przerażeniem dowiadyuje się, jak cienka jest przesłona pomiędzy tym a tamtym światem.

Czas ucieka. Bogowie czekają.

**SĄ SNY, KTÓRYCH ŚNIĆ SIĘ NIE POWINNO.**

Partnerzy promocji



[www.supernowa.pl](http://www.supernowa.pl)



Marcin  
**WEŁNICKI**

ŚMIERTELNY  
**BÓG**

superNOWA  
WARSZAWA 2010

*Dziękuję Dance Górskiej za ofiarowaną szansę  
oraz Wiktorowi Krogulcowi, bez którego  
wsparcia ta książka prawdopodobnie  
nigdy by nie powstała.*

Autor

Opracowanie graficzne serii

Tomasz Piorunowski

Ilustracja na okładce

Tomasz Maroński

Redakcja

Danuta Górską

Copyright © by Tomasz Wełnicki, Warszawa 2010

Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA Sp. z o.o.

Biuro Handlowe

ul. Nowowiejska 10/12

00-653 Warszawa

e-mail: [redakcja@supernowa.pl](mailto:redakcja@supernowa.pl)

Redaktor naczelny

Mirosław Kowalski

ISBN 978-83-7578-025-3

Druk i oprawa:

WZDZ - Drukarnia LEGA, Opole

## *Cel uświęca środki.*

Nicoló Machiavelli

Jest takie miejsce, na północny-wschód od Medyny, gdzie pośród gorących piasków An-Nafud nawet wiatr zdaje się milknąć. Miejsce, w którym dniami i nocami nie maści wszechogarniającej ciszy. Martwej ciszy.

Pod milionami ton piasku, pod warstwami coraz większych kamieni rozciąga się przepastna jaskinia, jakiej próżno szukać gdziekolwiek na świecie. Ściany i sufit nikną w duszącej ciemności, tworząc iluzję otwartej przestrzeni. Ciągającej się we wszystkie strony szarej, jałowej równiny.

Równina wznosi się łagodnie ku środkowi, jej brzegi zaś toną w cieknącej ze ścian ciemnej, oleistej cieczy o cierpkim posmaku. Im dalej w głąb, tym teren staje się bardziej poszarpany, nierówny, pokryty dziesiątkami, a później setkami głazów o wszystkich możliwych kształtach i kolorach. Jedne są czarne i popękane, inne porowate, w najrozmaitszych odcieniach żółci i czerwieni,

inne znów szare i gładkie, tak bardzo gładkie...

Nienaturalnie gładkie.

To cmentarzysko kamieni zwano kiedyś miastem.

Ach, i jakże majestatycznym miastem było!

Pod zalegającym grubą warstwą pyłem tu i ówdzie biegły spękane, kręte, brukowane drogi, mosty nad nieistniejącymi od stuleci strumykami i akwedukty obrócone w ruinę upływem czasu.

Dalej jeszcze, tam, gdzie nienazwany kataklizm, który rzucił miasto w najgłębsze odmęty ziemi, okazał łaskę, wznosiły się pomniki i fontanny, termy i świątynie o asymetrycznych, łamiących prawa geometrii kolumnach, o łukowatych i kopulastych sklepieniach, zbudowanych na długo, zanim ludzkość postawiła swój pierwszy dom z cegły.

Nie to jednak przyciągało wzrok.

Nie, każdy, kto był na tyle szalony lub na tyle głupi, żeby zejść do zapomnianego miasta, nie mógł oderwać spojrzenia od metalicznych cylindrów, które wyrastały z ziemi w centrum równiny i znikwały gdzieś w sklepieniu jaskini.

Słupów.

Bożych Palców.

Budowle zdawały się trwać niewzruszenie, rzucając wyzwanie mijającym wiekom. Jakby stały tu na długo przed zaraniem dziejów i ascedencją człowieka i miały stać nadal, kiedy wiatr usunie ostatni ślad istnienia ludzkości.

Czekając.

Kataklizm stał z powierzchni równiny wszelką roślinność. Po życiu pozostał jedynie pył, wypełniający nawet trudno dostępne szczeliny i zagłębienia.

Tylko do jednego miejsca nie dotarł.

Dwupiętrowy budynek miał prosty, zapadnięty dach i kolumny w kształcie ledwie rozpoznawalnych, humanoidalnych postaci. W środku spękana posadzka prowadziła w dół, najpierw do sal z kamiennymi ławami i olbrzymimi zdobionymi dzbanami, potem jeszcze niżej, do pustej, porażającej swym ogromem termy.

Kilka szerokich, ceramicznych rur odchodziło od wyschniętej łaźni i klucząc, docierało do zbiorników wodnych. Dwa z nich były równie suche jak terma, ale trzeci, posiadający mechanizm grodziowy z brązu, wydawał się nietknięty. Późniejsze od kataklizmu trzęsienie ziemi przecięło kafle wąską wstęgą czerni, raną w kamieniu. Przez niezliczone lata większość wody uciekła w głąb ziemi, została jedynie mała kałuża w rogu zbiornika. Tam ścianę pokryła delikatna patyna pleśni.

Gdzie była woda, było i życie.

Nagle porost zaczął pęcznieć, zniekształcając przy tym fakturę ściany. Rozległ się jęk, który rurami poniósł się aż do sali głównej. Wreszcie pleśń pękła z głośnym młaśnięciem, odsłaniając korytarz z korzeni i sunącą nim postać.

Gdzie było życie, znajdowano drogę.

Mężczyzna wyczołgał się powoli z otworu, który zbliżnił się, gdy tylko opuściło go obce ciało. W jego umyśle nadal kotłowały się niepokojące sny, wizje, jakich doświadczył podczas swej podróży.

Wstał niepewnie, otrząpał się z ziemi i poprawił zasłaniającą twarz żelazną maskę. Wiedział, że musi się spieszyć. Podróż kosztowała go resztki sił. Dokonało się. W tylnej części czaszki nadal czuł świdrujący ból i wiedział, co to oznacza.

Znów się pochylił, odblokował grodzie i na czworakach



ruszył ceramiczną rurą. Kiedy wydostał się na ulicę, ból stał się już nie do zniesienia. Otepiały zmysły utrudniały chód. Chwiejnym krokiem mężczyzna ruszył alejami zaginionego miasta, nie bacząc już na zachowanie ostrożności. Liczyło się tylko jedno.

Wydawało mu się, że minęły godziny, zanim odnalazł wyjście na powierzchnię. Kolejne, gdy próbował sforsować kręte, ciągnące się bez końca schody. Stracił już nadzieję, że kiedykolwiek zobaczy jeszcze promienie słońca, kiedy nagle jego twarz obmyło gorące światło.

Ocalał.

- *Hände hoch!* - usłyszał zza pleców.

- Żołnierzu, nie masz pojęcia... - odparł po niemiecku, odwracając się.

To był błąd. Uderzenie kolby posłało go na ziemię. Wzrok mu się rozmazał, nie wiedział, co się dzieje, ale słyszał nawoływania, coraz więcej głosów.

- Co my tu mamy, Glücker?

- Nie wiem, kapitanie. Przyszedł z dołu.

- Z dołu? Zawiadomcie centralę. Dajcie mi go tu.

Mężczyzna poczuł, jak krępują mu ręce i podnoszą go do pionu.

- Kto cię wysłał? Nie, czekaj... Kapralu, co on ma za cholerną maskę na twarzy?

- Nie mam pojęcia, kapitanie.

- Zdejmij mu ją, przyjrzymy się naszemu ptaszкови.

- Tylko nie maskę! - zaczął protestować mężczyzna. -

Na litość boską, tylko nie maskę!

- Kapralu! - warknął kapitan. - Żwawiej!

- Błagam was, zostawcie ją w spokoju! - Ale już czuł,

jak pod wpływem gwałtownych szarpnięć kaprała zawiąsy ustępują. Boże, nie. Kapral zerwał maskę.

*Berlin, Niemcy.  
Czerwiec, rok 1943*

- Są dwa rodzaje snów, Herr Erhard. Te, które kończą się wraz z przebudzeniem, i te, które się wtedy zaczynają. Rozumie mnie pan?

Reiner kiwnął głową. Nadal nie mógł dojść do siebie. Przez całe życie aspirował do wielkości, a teraz został nagrodzony.

- Mój Sen, nasz Sen należy właśnie do tego drugiego rodzaju... - kontynuował niższy mężczyzna, krążąc po pokoju. Reiner stał na baczność przed biurkiem, wpatrując się w wiszącą na ścianie swastykę. Trzeci obecny w pokoju, starszy mężczyzna, do tej pory nie odezwał się ani słowem. - A żaden Sen wart posiadania nie staje się rzeczywistością bez trudu i poświęceń. A ten Sen... ten Sen jest wart i trudu, i poświęceń, i krwi, i potu. Ten Sen... jest tym, czego potrzebuje naród aryjski, drogą oczyszczenia i uszlachetnienia. Jest, jak powiedzieliby Amerykanie, manifestem przeznaczenia. Malkontenci uznają go za wizję szaleńca, tak, nie boję się tego przyznać. Ale dla nas objawienie prawdy stało się koniecznością i nie zważamy na szykany, na przeciwności. Tu chodzi o Lebensraum, o Większe Dobro. O Dobro Ogółu! - Mężczyzna gestykulował żarliwie, jakby nie prowadził prywatnej rozmowy, tylko zwracał się do tłumu. - Dlatego - powiedział już spokojniej, zasiadając za biurkiem - cieszy mnie, cieszy mnie z całego serca, że Vaterland nadal wydaje na świat ludzi takich jak pan, Herr Erhard, ludzi

gotowych do poświęceń, do walki o ludzką godność. Architektów Snu.

- Dziękuję, Mein Führer - skwitował krótko Reiner. Nie lubił wygłaszać przemówień. Ojciec powiedział mu kiedyś, że wszystko, co ważne, można wyrazić w kilku słowach.

- Ach, jakże małowówny! - zakrzyknął Führer. - Człowiek czynu, nie słowa! Jesteśmy pokrewnymi duszami, pan i ja.

Reiner nie odpowiedział.

- Był pan w Carycynie, czyż nie?

- Owszem, służyłem w 4. Armii Pancерnej.

- I był pan tam, kiedy to się stało? Widział pan to na własne oczy?

Hauptmann Reiner Erhard zawahał się, po raz pierwszy od dawna.

- Tak.

- No i? - dopytywał się mężczyzna.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Machina była... niczym wizje Fritza Langa, Mein Führer. Nieziemskie kolory. Światło z przestworzy - Reiner przełknął ślinę - pochłonęło wszystko. Dwa tygodnie przeleżałem w śpiączce.

- Z tego, co rozumiem, miał pan wyjątkowe szczęście. Nie przeżył nikt inny. Zniszczenie było ponoć - mężczyzna spojrzął na drugiego gościa - absolutne.

- Rzeczywiście - przytaknął Reiner. - Ziemia zarwała się pode mną przy pierwszym wstrząsie. Nie wiem, co zdarzyło się później.

- Przyszłość, Herr Erhard. - Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. - Dar Eskalacji i to, co ze sobą niesie, utworują drogę dla Trzeciej Rzeszy. Dla Snu.

- Eskalacja? Tak to się nazywa? - Carycyn stanął Reinerowi przed oczami. Nagła, martwa cisza, później narastający szum, niczym morskich fal. Czerwony błysk wysoko na niebie. Oślepiające światło. Wstrząs. Później ciemność. - Nie przeżył nikt z 7. Stacji Nasłuchowej.

- Nikt prócz pana, Herr Erhard - uśmiechnął się życzliwie mężczyzna, pocierając krótkie wąsy. - Nieszczęśliwy wypadek. Z tego, co rozumiem, E-osobliwość jest nieprzewidywalna. Ale to już się nie powtórzy.

- E-osobliwość. - Reiner smakował słowo w ustach. Brzmiało śmiesznie i groźnie zarazem. E jak Eskalacja. Albo eksterminacja. - To nią zamierzamy wygrać wojnę?

- Nie. Eksperci mówią mi - mężczyzna ponownie rzucił spojrzenie drugiemu z gości - że efektu nie da się powtórzyć. Zresztą obawiam się, że Amerykanie odpowiedzieliby wtedy bombą atomową. Jeśli oczywiście już ją mają. Nie. Zdobędziemy Europę w bardziej konwencjonalny sposób... widzę, że nie jest pan do końca przekonany, Herr Erhard. Doktorze?

- Już służę wyjaśnieniem - odezwał się po raz pierwszy trzeci mężczyzna, starszy w złotych okularach. - Eskalacja to źródło energii. To, co pan widział w Carycynie, Herr Erhard, to nie był test broni masowego rażenia. To pierwsza iskra. Pierwszy obrót korby, która wprawia w ruch maszynę.

- Eksplozja była... - zaczął Erhard.

- Ścisłej mówiąc, implozja. Dostaliśmy się do nowych zasobów mocy.

- Nad Wołgą dzień i noc świeci teraz nowa gwiazda - dodał niższy mężczyzna z wąsem. - Kiedy pan przebywał

w Carycynie, niemiecka machina wojenna nie próżnowała. Już od miesiący przygotowywaliśmy się na ten krok. Wkrótce niebo pokryją aparaty latające, jakich nie widziały dotąd oczy ludzkie, drogi całej Europy zadrżą pod kołami nowych wozów pancernych, a wszystko to dzięki ludziom takim jak pan.

- Jak ja? Pochlebia mi pan, Mein Führer, ale muszę zaprotestować...

- Nonsens - przerwał mu Naczelny Wódz. - Fałszywa skromność wcale nie jest cnotą. Sprowadziłem tu pana, bo nowy porządek będzie niedługo potrzebował ludzi takich jak pan. Lojalnych, nieprzekupnych, oddanych ideałom. Strażników Snu i Eskalacji.

- Słucham?

- Kapitanie, pozwoli pan, że przedstawię panu wynalazcę Eskalacji. Doktorze?

Trzeci mężczyzna otrzepał szarą marynarkę z nieistniejącego kurzu. Jego łagodne oblicze znaczyły liczne bruzdy i wątrobiane plamy, świadczące o zaawansowanym wieku. Siwe włosy przetrzebiła mu łysina, zza okularów w złotych oprawkach wyglądały oczy zasnutę delikatną mlecznobiałą mgłą.

- Kapitan Reiner Erhard. Doktor Wilhelm Fannsbach. - Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. - Doktor Fannsbach wręczył mi instrumenty, dzięki którym zapalnijemy nad światem. Ja powierzam pana pieczy jego wynalazek, aby strzegł go pan przed zakusami wroga.

- Erhard - powtórzył doktor z namysłem. - Dobre aryjskie nazwisko.

## 1. Kapitan

*Nauka jest sztuką tworzenia zręcznych iluzji; głupcy w nie wierzą lub polemizują z nimi, mądry człowiek zaś napawa się ich pięknem i pomysłowością, zdając sobie jednocześnie sprawę, że są to stworzone przez ludzi zasłony, za którymi kryje się mroczna otchłań nieznanego.*

Carl Gustav Jung

*Southampton, Wielka Brytania.*

*Czerwiec, rok 1944*

To było rok temu.

Dziś linia frontu przebiegała przez Samarę, Perm i Archangielsk na wschodzie, a Londyn na zachodzie. Śmiercionośne wynalazki doktora Fannsbacha przyniosły Rzeszy zwycięstwo, tak jak przyobiecał. Okiełznał żywioły, zakuł do pracy pioruny i ogień, rzucił wyzwanie siłom ciężenia, wszystko dzięki Eskalacji.

Gdy Hauptmann lądował w Southampton, VI dywizja pancerna torowała sobie drogę przez Londyn, wprost ku Buckingham Pałace. Potężne schlagpanzery na przedzie natarcia, mobilne serwitory na flankach, srebrzyste, anty-grawitacyjne vimany śmigające po niebie.

Eskalacja.

Energia, która zrodziła się w głowie doktora Fannsbacha, oblekła się w ciało. Reiner brał udział w skromnej ceremonii inauguracyjnej uruchomienie reaktora Eskalacji, słynnego Zegara Fannsbacha. W centrum Berlina wyrósł gmach niebotycznej wysokości zwieńczony kulą czystego, czerwonego światła, a niebo przesłoniły stalowe chmury, produkt uboczny procesu generacji energii.

Słowa doktora nadal rezonowały mu w uszach. Jest jeden reaktor, głęboko pod ulicami Berlina. Jest jedno źródło mocy, ale mocy nie będzie końca. Jest wiele przekładników, Wrót, które pobierają energię z Zegara. Jest wielu, którzy chcieliby zniszczyć Wrota lub, co gorsza, poznać ich sekret. Jest pan i panu podobni. Strażnicy Wrót, Tarcza Rzeszy.

Wrota zbudowane wokół berlińskiego Zegara Fannsbacha na planie koncentrycznych kół dostarczały energię wszędzie, gdzie była potrzebna.

Teraz była potrzebna w Southampton. Zadaniem Hauptmanna było dopilnować, aby instalacja i uruchomienie Wrót przebiegły zgodnie z planem.

Przyspieszył kroku. Czuł się nieswojo w zatłoczonym porcie, wręcz nie na miejscu. Jak ryba w akwarium. Szklana, przezroczysta ściana oddzielała go od reszty ludzi, nawet od własnych rodaków. A gdyby ściany nie było... cóż, ryba nie może żyć bez wody.

Hauptmann podniósł wzrok i uświadomił sobie, jak niewiele w rzeczywistości zmieniła tu wojna. Zajęte niedawno Southampton wręcz kipiało życiem, barki przyplływały i odpływały, stalowe vimany to lądowały, to wznosiły się w powietrze, wszystkie z wymalowanymi krzyżami Luftwaffe na burtach. Gdyby nie świadomość odbytej podróży i huk kanonady gdzieś w oddali, przysięgłby, że nie opuścił Kilonii.

Doskonałą iluzję psuły napisy na ścianach, nawołujące do walki z okupantem i dezercji - wezwanie do oporu wymierzone w morale Wehrmachtu. Zawsze go zadziwiał, z jakim uporem i narażeniem własnego życia spiskowcy co noc wypisywali swoje hasła, po to tylko, by następnego dnia zostały zamazane. Biedacy. Tyle wezbrało w nich goryczy, tyle nienawiści. Jego spojrzenie przykuło malowidło przedstawiające niemieckiego żołnierza, potykającego się o jakąś czerwoną kreskę, którą przy pewnym wysiłku wyobraźni można było wziąć za kałużę krwi. Widział już podobne rysunki w Warszawie i Paryżu, zdawać by się mogło, że wszyscy rewolucjoniści myślą tak samo. Twarz wykrzywił mu kwaśny uśmiech. Tyle goryczy... ale cóż to? Pod nieszczęsnym szeregowcem widniał jeszcze jeden obrazek, nijak niepasujący do estetyki reszty ściany. Gwiazda z okiem w centrum, nie, nie okiem, owalem z płomieniem zamiast źrenicy. Przyjrzał się uważniej. Każda linia była dokładnie, precyzyjnie nakreślona. To na autorów takich malunków, opanowanych i wyrachowanych, powinien uważać. Zapaleńcy, którzy kilkoma szybkimi ruchami rysowali Niemca w kałuży krwi, nie posiadali zimnej determinacji, czyniącej



człowieka niebezpiecznym. Niebezpiecznym jak autor gwiazdy.

Hauptmann poprawił poły płaszcza i ruszył dalej - to Wrota były jego zmartwieniem, nie gryzmoły na murach. Zanotował jednak symbol w pamięci i postanowił o niego wypytać. Może to jakiś znak ruchu oporu?

W oddali widział już Wrota, górujące nad otoczeniem. Hale Eskalacji. Spełnienie snów szaleńca albo nawiedzonego awangardowego artysty. Pomimo asymetrycznej budowy miały w sobie jakąś nieodgadniona logikę. Ponoć sam Führer przyłożył rękę do ich zaprojektowania, chociaż Reiner osobiście w to powątpiewał. Wszystko, co dotyczyło Eskalacji, wyszło od Fannsbacha lub jego uczniów.

Hale tworzyły kompleks ciasno ustawionych, krzywych wież. Szare i ponure, wysokie iglice wznosiły się ku niebu i splatały się wokół centralnej wieżycy. Poszczególne wieże nazywano „ramionami”, a punkt na niebie, w którym się spotykały - „zwieńczeniem”. W zamyśle taka konstrukcja miała symbolizować wspólne dążenie do jednego celu. Dla laika nieznaną tych założeń wyglądały jak bezkształtne bryły, przypominające raczej naturalne formacje górskie niż las rąk. Reinerowi jednak nieodmiennie kojarzyły się z ośmiornicami, które oplatały mackami zmurszałe pale jakichś gigantycznych pomostów. Hauptmann uśmiechnął się krzywo - powinien był zostać rzeźbiarzem, nie oficerem gestapo.

- Halt! - zatrzymał go u bramy strażnik. - To teren wojskowy, zawróć.

- Moje papiery... - Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wydobyl kilka złożonych starannie kartek. Spokojnym

ruchem podał je wartownikowi. Ten rozwinął dokumenty i przeleciał po nich wzrokiem. Zbladł.

- Ależ...

- Ależ tak. Otwieraj.

- Wybacz, Herr Erhard. Ja tylko... - Strażnik już zdążył się spocić.

- Hauptmann - odpowiedział Erhard grobowym głosem, patrząc z satysfakcją, jak jego rozmówca robi się jeszcze bielszy niż przed chwilą.

- Oczywiście. Hauptmann. Nie chciałem obrazić...

Erhard znów mu przerwał:

- Czas ucieka, otwieraj.

Żołnierz już nic nie powiedział, odsunął się tylko potulnie i uchylił bramę. Hauptmann wyciągnął do niego rękę. Wartownik rzucił paniczne spojrzenie najpierw na dłoń, później na twarz gestapowca. Erhard uśmiechnął się złośliwie.

- *Meine Papieren?*

Strażnik z niemal dosłyszalną ulgą pospiesznie oddał dokumenty, które równie szybko zniknęły w kieszeni płaszcza. Erhard wkroczył na teren Hali Wrót. Wszędzie wokół uwijali się robotnicy, czujnie obserwowani przez patrolujących kompleks żołnierzy. Panowała nerwowa atmosfera. Tak, za kilka godzin zostaną uruchomione Wrota.

Strażnicy przy wejściu do budynku prężyli się na baczność na długo przed pojawieniem się Hauptmanna - najwyraźniej wartownik spod bramy powiadomił przełożonych. Dobrze.

Erhard bez słowa minął salutujących żołnierzy i przekroczył próg. Nigdy tu nie był, ale wszystkie Hale

wyglądały tak samo - górne piętra zajmował sprzęt transmisyjny, podziemia przeznaczone były dla właściwych Wrót. Kapitan nie zdążył nawet pokonać połowy drogi do windy, gdy ujrzał przed sobą komitet powitalny. Nie potrafił znaleźć lepszego określenia, chociaż wiedział aż nazbyt dobrze, że nie jest tu mile widziany.

- Sieg heil! - powiedział jeden z oczekujących, ten w mundurze SS i z insygniami SS-Obersturmbannführera.

- Sieg heil! - odpowiedzieli wszyscy obecni, jedni mniej, drudzy bardziej entuzjastycznie.

Erhard zapamiętał tych mniej żarliwych. Był wśród nich młody Stabsfeldfelbel austriackiego pochodzenia, była też dama ubrana w biały fartuch, zapewne członek zespołu naukowego przydzielonego do Wrót Southampton.

- Sławny kapitan Reiner Erhard! Naprawdę umie pan sprawić niespodziankę, Herr Erhard - znów zabrał głos podpułkownik SS.

- Nie mnie, a Heinrichowi Mullerowi zawdzięczasz moją obecność, SS-Obersturmbannführerze - odparł spokojnie kapitan.

Podpułkownik zmrużył oczy, jakby chciał przejrzeć zamiary przybysza.

- Czyżby Muller nie miał do nas zaufania?

Co za odwaga! Reiner nie spodziewał się czegoś takiego po tym starszawym, otyłym mężczyźnie z rozbieganym wzrokiem.

- O to, podpułkowniku, powinieneś zapytać samego Mullera. Ja tylko wykonuję rozkazy.

- Jak my wszyscy - dodał nerwowo Stabsfeldfelbel.

Erhard uśmiechnął się szeroko.

- Niezupełnie. Są jeszcze tacy, nawet w naszych szeregach, którzy odrzucają Sen. Ja jestem tu dla nich. Podpułkownik...?

Wszyscy powinni już dawno zostać sobie przedstawieni, ale kapitan nie miał nic przeciwko nagięciu protokołu - nie był jednym z tych nadętych oficerów, u których forma całkowicie zastąpiła treść.

- Herman Senitz. To mój adiutant, porucznik Mathias Sternberg. - Wskazał trzymającego się nieco z tyłu mężczyznę o ciemnych włosach i piwnych oczach. - Sierżant sztabowy Rolf Backlen - skinął na młodego Stabsfeldfebla. - I oczywiście nasza pani doktor, Irene Tocafaux, bez niej Wrota nie stanęłyby tak szybko.

- Francuzka? - zapytał zaintrygowany Reiner. Musiała się wykazać nie lada umiejętnościami, żeby pozwolili jej zbliżyć się do Wrót. A jeśli była szefową projektu...

- Jest pan zdziwiony, panie Erhard? - zapytała figlarnie. Nie była piękna. Jak zauważył już dawno, żadna naprawdę genialna kobieta nie grzeszyła urodą. Zasada dotyczyła pewnie i mężczyzn, ale... cóż, Reinera nie obchodzili mężczyźni, nie pod tym względem.

- Mile zaskoczony - odpowiedział z uśmiechem.

- Niewielu spotyka pan Francuzów, *monsieur*?

Kapitan widział niecierpliwość na twarzy podpułkownika, postanowił więc szybko skończyć grzecznościową wymian zdań.

- Spotykam wielu ludzi, *madame*, ale rzadko mam ochotę z nimi rozmawiać.

Doktor Tocafaux niepewnie skinęła głową, a podpułkownik wskazał drzwi windy.

Zajmując miejsce w kabinie, Reiner pomyślał, że owszem, spotkał już w życiu jedną Francuzkę. Gdy drzwi windy zatrzasnęły się i szum mechanizmu dźwigowego zagłuszył wszelkie inne dźwięki, Erhard westchnął.

•

Komnata Wrót wyglądała dokładnie tak, jak pamiętał. Obszerna i całkowicie pusta - jeśli nie liczyć dwóch pofalowanych, stalowych płyt, nazywanych fachowo rezonatorami, pomostów wiszących u stropu, po których uwijali się jak w ukropie technicy, oraz Wahadła. Najważniejsze było podobno Wahadło, czyli Rdzeń Wrót - olbrzymi kondensator miał dostarczyć wystarczająco dużo energii, żeby rozpocząć cały proces.

Kiedy wychodzili z windy, ostatni technicy opuszczali dolny pokład i przenosili się na bezpieczne pomosty. Proces Eskalacji był wysoce niestabilny, a jako produkt uboczny powstawały toksyczne mgły, które utrzymywały się tuż nad ziemią. Wystarczy powiedzieć, że nie przeżywał nikt, kto pozostał na dolnym pokładzie podczas procesu.

- Nie sądzi pani, że macie za mało ludzi, żeby kontrolować przepływ energii do baterii bez ryzyka?

- Zna się pan na swojej pracy, kapitanie. - Irene wydawała się radosna i zupełnie niespieszona obecnością oficera gestapo, a przecież uważano ich za nowoczesnych inkwizytorów. Ciekawe. - Zgadza się, mamy mniej ludzi, niż wymaga protokół, ale... - uśmiechnęła się szeroko - ...mamy servitora.

Wskazała odległy kąt sali. Tak, rzeczywiście, Reiner

nie dostrzegł go od razu, ale teraz widział go dobrze.

- Tu doktor Tocafaux - powiedziała tymczasem Irene przez telefon ścienny, jakich wiele rozmieszczono w całym kompleksie. - Możemy rozpocząć fazę drugą, proszę uruchomić servitora.

Stalowy, niemal czterometrowy robot, potężny niczym gigant z nordyckich legend, ruszył spod ściany w stronę centrum komnaty. Na nieproporcjonalnie długich nogach spoczywała kabina kontrolna z otwartym dachem, a w niej pracowało dwóch zaaferowanych techników, prowadzących żelaznego olbrzyma w stronę Wahadła.

- Widzi pan, panie Reiner, nasza Irene ma wszystko dopięte na ostatni guzik - uśmiechnął się podpułkownik.

- Rzeczywiście, na to wygląda.

Servitor, wyposażony w cztery chwytne i niezliczoną liczbę specjalistycznych ramion, potrafił wykonać pracę kilkunastu ludzi.

- Niech pan nie będzie taki sceptyczny, kapitanie. - Irene rzuciła mu filuterne spojrzenie. To wszystko jest dla niej zabawą, pomyślał Reiner. - Gdyby coś poszło nie tak, Heinz i Klemens - wskazała na kokpit servitora - ręcznie odłączą Wahadło i natychmiast przerwą proces. Możemy zaczynać?

Spojrzała na podpułkownika, który potwierdził skinieniem głowy, po czym przeniosła wzrok na Hauptmanna. Erhard uśmiechnął się kwaśno, ale również kiwnął głową.

Doktor znów użyła telefonu, tym razem wybierając numer zero-zero-zero, czyli megafon, jak okazało się po chwili.

- Tu doktor Tocafaux. Przechodzimy do fazy trzeciej. Proszę wprawić Wahadło w ruch.

Z początku nic się nie działo, ale po chwili Reinerowi zaczęło się wydawać, że na pozór nieruchomy generator wibruje. Proces Eskalacji, który widział już kilkakrotnie, nie robił na nim wrażenia, ale SS-Obersturmbannführer i jego sztab zaniemówili. Ruch w bezruchu, światło w ciemności, ciepło w zimnie - tak Fannsbach opisał efekty wiążące się z uruchamianiem Wrót. Nawet doktor Tocafaux osłupiała z zachwytu - widocznie traktowała swoją pracę bardzo osobiście. Wahadło zdawało się teraz być w trzech miejscach jednocześnie... tak, lada chwila...

Błękitna iskra przeskoczyła z generatora na pierwszą metalową płytę, z niej na drugą i z powrotem. Ten widok wywoływał dziwne uczucie niewłaściwości. Jakby przez chwilę wszystko było na opak, jakby wszystko było nierealne. Eskalacja rozpoczęła się, a kolejnym wyładowaniem towarzyszyły okrzyki radości i zachwytu.

- Widział to pan, kapitanie? - zapytała z dumą w głosie Irene.

- Nie raz - odpowiedział sucho Reiner.

Rozejrzał się po hali. Proces przebiegał pomyślnie, ustabilizowana Eskalacja była niemal niemożliwa do przerwania.

- Myślałem, że nikt nie może przebywać na dolnym pokładzie w trakcie procedury - mruknął od niechcienia, spoglądając na parter hali.

- Bo nie może. - Doktor podążyła spojrzeniem za wzrokiem Hauptmanna. Na dolnym pokładzie kręcił się jakiś technik. - Boże! - krzyknęła, rzucając się do telefonu. Jej kolejne słowa dochodziły już z megafonu: - Proszę

opuścić dolny pokład! To wysoce niebezpieczne! Proszę skorzystać z drabiny ewakuacyjnej i opuścić pokład!

Reiner pochwyił nerwowe spojrzenie Stabsfeldfebla.

- Myślę, że on pani nie posłucha, doktor Tocafaux.

- Niby czemu?!

- On się kieruje w stronę Wahadła.

- Proszę zatrzymać proces, Frau Doktor! - rzucił piskliwie podpułkownik Senitz.

- Tego nie da się zatrzymać, nie teraz! Eskalacja jest stabilna, nic nam nie grozi.

- Chyba że ktoś wysadzi Wahadło - dokończył Erhard, dobywając broni. Nowiutki luger lśnił w blasku światel awaryjnych, które królowały w Hali Wrót podczas trwania Eskalacji. Hauptmann przymierzył się do strzału, ale Irene złapała go za rękę.

- Czy pan oszalał?! Jeśli trafi pan w aparaturę...!

- Nie trafię - odparł, lekceważąc jej protest.

Odepchnął jej rękę i pociągnął za spust. Kula pomknęła w kierunku intruza, ale ostatecznie ledwo go drasnęła. Cholera, przemknęło Reinerowi przez myśl, zbyt szybko się pospieszyłem. Zanim strzelił powtórnie, tamten zniknął za masywną stalową płytą.

- Erhard! - wrzasnął SS-Obersturmbannführer, zupełnie tracąc nad sobą kontrolę.

- Wiem. - Hauptmann już biegł do drabinki.

- Ale... - zdążyła za nim krzyknąć Irene.

Nie zawracając sobie głowy szczeblami, kapitan zjechał po drabinie na dolny pokład. Wyładowania nasiliły się już na tyle, żeby zmienić warunki pogodowe w hali - powietrze nasiąkło wilgocią, wokół Wahadła zaczęła się gromadzić śnieżnobiała mgła. Sabotażysta, co do tego



Reiner nie miał wątpliwości, kierował się właśnie w tamtą stronę. Hauptmann pognął za nim, ale nie próbował strzelać - był zbyt blisko Wahadła.

Technik nie zwracał na niego uwagi, najwyraźniej chodziło mu tylko o generator. Właśnie taki człowiek mógł namalować tamtą gwiazdę, pomyślał przelotnie Erhard. Determinacja.

Gdy tamten wyciągnął granat, Hauptmann wiedział, że nie ma innego wyjścia, że musi zaryzykować. Po raz drugi przez salę przetoczył się huk wystrzału. Sabotażysta osunął się na kolana, granat, dzięki Opatrzności nadal zabezpieczony, wypadł z jego sztywniejącej ręki. Mgła powoli otaczała metalowe płyty, ale Reiner nie zwolnił - zatrzymał się dopiero nad intruzem, leżącym teraz w kałuży własnej krwi. Od razu przyszła mu na myśl druga karykatura.

- Na czyje polecenie?! - wrzasnął, chwytając mężczyznę za poły fartucha. Ranny zachichotał, dławiąc się krwią. - Mogę cię stąd wyciągnąć! Na czyje polecenie?

- Wszystko... zważone i policzone. Wyrządzenie... nieopisane zło.

- Na czyje! - Erhard krzyknął raz jeszcze, ale sabotażysta już nie odpowiedział.

- Kapitanie! Proszę uciekać! - usłyszał głos doktor Irene dochodzący przez megafon. - Mgła się rozprzestrzenia!

Rzeczywiście, mógł jej teraz niemal dotknąć. Ruszył biegiem, ale szybko zdał sobie sprawę, że prędkość rozprzestrzeniania się oparów zwiększa się proporcjonalnie do pokrytego już obszaru. Nie zdąży.

- Proszę się złapać holownika senatora!

Holownika? Ktoś z operatorów gigantycznego automatu opuścił stalową linę zakończoną hakiem. Gdy tylko kapitan go chwycił, wyciągarka szarpnęła kablem, a on ruszył w górę. Mgła była jednak szybka. Zanim wydostał się ponad dopuszczalny poziom, szarobiałe kłęby musnęły jego nogi, niczym łapczywe macki ośmiornicy.

I przez chwilę wszystko było inne.

Nie znajdował się w hali, lecz na otwartej przestrzeni. Niebo nie było niebieskie, tylko jasnozielone, zgniłe, a ziemia czarna, zwęglona. W oddali, z kłębow czarnozielonych chmur wyłaniały się kształty... jak wstążki na wietrze.

•

- Dobrze się pan czuje, kapitanie? - zapytała z troską nachylająca się nad nim Irene.

- Tak... sędzę, że tak. - Zamknął oczy, ale wizja już nie wróciła. - Jestem w ambulatorium?

- Lekarze mówią, że to nic poważnego. Nawdychał się pan dwutlenku węgla, ale wyjdzie pan z tego. Gdyby nie zdążył pan przed mgłą...

- Ale zdążyłem. Gdzie podpułkownik? - Pamięć nadal płatała mu figle, ale coś nie dawało mu spokoju.

- W swoim sztabie. Planują...

Reiner zerwał się z łóżka.

- Niech mnie pani tam zabierze, natychmiast!

- Nie ma mowy! Lekarz powiedział...

Erhard przysunął się do niej niebezpiecznie blisko, czuła jego oddech na twarzy.

- Niech mnie pani dobrze posłucha, doktor Tocafaux.

-

Może i jestem ranny, ale jestem rannym oficerem gestapo. Jeśli nie zabierze mnie tam pani natychmiast...

Błyski, jakie dojrzała w jego oczach, po raz pierwszy kazały jej się bać tego człowieka.

- D-dobrze - wyjąkała.
- Tak lepiej. Gdzie mój płaszcz?

•

- Kapitanie! Nie zdążyłem panu podziękować - odezwał się podpułkownik, gdy Reiner w towarzystwie Irene przekroczył próg sztabu.

- Kurtuazja jest w tej chwili zbędna. Gdzie młody Stabsfeldfel?

- Zapewne we własnym pokoju lub w mesie, czemu pan pyta?

- Wiedział o ataku. Wiedział od początku. Proszę rozkazać go zatrzymać.

- Skąd pewność? - zapytał sceptycznie Senitz.

- Koniecznie chce pan o to pytać kapitana gestapo? - Erhard uśmiechnął się, ale oczy pozostały śmiertelnie poważne. SS-Obersturmbannführer chyba to zauważył, powiedział bowiem:

- Poruczniku, proszę podjąć odpowiednie kroki.

Ciemnowłosy oficer tylko kiwnął głową i wyszedł. Młomówny. Reiner szanował takich ludzi.

- Mam nadzieję, że pan wie, co pan robi.

Hauptmann rzucił mu zimne spojrzenie.

- Ależ to niemożliwe! - wtrąciła wreszcie Irene. - Rolf, to znaczy sierżant Rolf, miał już wiele okazji, żeby zniszczyć Wrota i przy tym ujść z życiem.

Erhard zmierzył ją wzrokiem.

- Może nie miał środków? Może czekał na rozkazy?

Może przeszedł na stronę wroga niedawno? A może chciał zgłodzić również podpułkownika i panią? Nie będę zgadywał, wolę zapytać.

- A jeśli jest niewinny? - dopytywała się doktor Toca-faux.

- Nikt nie jest niewinny, *madame*, nikt.

Mówiąc to, spojrział jej prosto w oczy, jakby chciał się przez nie przewiercić i sprawdzić, co kryje się w głębi. Irene starała się odwzajemnić spojrzenie, ale wreszcie dała za wygraną i spuściła wzrok.

- Może pani odejść, Frau Doktor - powiedział SS-Obersturmbannführer.

Kiedy tylko Irene opuściła sztab, zwrócił się do Hauptmanna:

- Musi pan to robić? Widzi pan, że i bez tego jest roztrzęsiona.

- Wykonuję tylko swoją pracę, Herr Senitz. I radziłbym panu robić to samo - dodał z błyskiem w oczach.

Podpułkownik nic już nie powiedział, zacisnął tylko zęby.

Wychodząc, Reiner się uśmiechnął. Ryba w akwarium.

•

- Powiedz w takim razie: dlaczego?

Żandarmeria złapała Rolfa Becklena, gdy ten pakował swój dobytek. Gdyby zdołał się opanować i zachować pozory, Reiner nie mógłby go długo trzymać. Ale, jak przypuszczał, Stabsfeldfelbel nie należał do najsilniejszych psychicznie. Erhard mógł złożyć prośbę o użycie sondy. Prośbę, którą rozpatrzono pozytywnie.

- I tak z ciebie wszystko wycisnę. Przykro by było, gdyby nic później nie zostało, prawda?

- Idź do diabła! - warknął Rolf. Pod tą twardą skorupą krył się jednak miękki środek. Wystarczyło nacisnąć we właściwym miejscu.

- Może, może. Ale nie przyszedłem tu, żeby prowadzić dysputy teologiczne. Powiesz mi coś wartego odwołania sondy?

Rolf milczał.

- Jak chcesz.

Reiner podszedł do stalowych drzwi celi i zapukał. Odrzwia rozwarły się i przez próg wtoczono urządzenie przypominające maszynę do dekodowania szyfrów. Technicy szybko podłączyli wszystkie kable do więźnia. Czasem samo to wystarczało, żeby przesłuchiwany zaczął mówić. Becklen trzymał się dzielnie. Może Erhard pomylił się w jego ocenie? Nie, w tych sprawach był nieomylny.

- Włączcie sondę, próg pierwszy. - Cichy szum oznajmił, że maszyna jest gotowa. - Rolf, pomyśl o swoim miodawcy. Kto wydał rozkaz... - Becklen zagryzł zęby, sonda w widoczny sposób sprawiała mu ból. - Próg drugi. Rolf... twój dowódca, kto pociąga za sznurki...

Erhard nie zdążył powtórzyć pytania - urządzenie pstryknęło jak aparat podczas robienia zdjęcia.

- A myślałem, że dłużej się zabawimy - rzucił Hauptmann, wyciągając z paszczy sondy wydruk.

Na górze kartki widniało wypisane dużymi literami nazwisko: David McLean. Poniżej znajdowało się oblicze winowajcy, ni to zdjęcie, ni rysunek szkicowy. Reiner zmarszczył brwi. Obraz był rozmazany, chociaż nie na skutek mechanicznej usterki sondy. Krawędzie portretu

rozmywały się w białych kłębach mgły albo dymu, szczególnie fizjonomii niknęły w cieniach padających pod nieprawdopodobnymi kątami, rysy rozplywały się na krawędziach.

Nie unosząc głowy znad kartki, Hauptmann mruknął:

- Musimy powtórzyć badanie, Rolf. Przykro mi, nie postarałeś się.

- Kapitanie - odezwał się jeden z techników.

- Mmm? - Erhard uniósł głowę.

Głowa Stabsfeldfebla zwisała bezwładnie, z lekko rozchylnych ust ciekła gęsta, spieniona ślina.

- Ach - skrzywił się Hauptmann.

Sierżant nie udzieli mu już żadnych odpowiedzi.

Ponownie spojrzął na niewyraźny wydruk. Pomimo wad obrazu twarz mocodawcy Becklena, mężczyzny o opętańczym spojrzeniu, zapadniętych policzkach i kosmatej, pustelniczej brodzie, wydawała mu się dziwnie znajoma.

- Zajmijcie się nim - polecił i wyszedł.

Na zewnątrz celi czekał już na niego SS-Obersturmbannführer.

- I co?

- Mnemo prawdę ci powie, podpułkownik - oznajmił Reiner, pokazując kartkę.

- To? To jest nasz sabotażysta? Sny miewam wyraźniejsze, Herr Erhard.

- Pana sny są ułudą, Herr Senitz, a to - podsunął kartkę pod nos Obersturmbannführera - to oblicze pana wroga. Widziałem gdzieś tę twarz. Proszę nakazać pana ludziom przeszukać kartoteki tutejszej policji i rejestry cywilne, proszę to porównać z listą zatrzymanych i poszukiwanych. Ja zrobię to samo z kartoteką gestapo.

Chcę, żeby list gończy zawisł na każdym słupie, na każdej ścianie. Czy to jasne?

Erhard nie był głupi, wiedział, że nie powinien wydawać takich rozkazów oficerowi wyższemu stopniem, dlatego gdy wypowiadał ostatnie zdania, zwrócił wzrok na porucznika Sternberga. Ten spojrział na swego przełożonego, a dojrawszy w jego oczach aprobatę, zabrał wydruk mnemo i wyszedł. Bardzo przydatny człowiek.

- Nie są stuprocentowo pewne, te mnemo, prawda? - zapytał podpułkownik, gdy porucznik zniknął za rogiem. Senitz wyglądał w tej chwili na człowieka, który zupełnie stracił kontrolę nad własnym życiem.

- Nie. Ale są dostatecznie pewne. - A przynajmniej taką nadzieję miał Reiner. Nie raz już mnemograf mylił się i niewinny człowiek kończył pod egzekucyjną ścianą. Hauptmann robił, co w jego mocy, żeby ograniczyć takie pomyłki, korzystał z sondy tylko w wyjątkowych przypadkach, ale ofiary były nieuniknione. - Proszę mnie informować o przebiegu śledztwa.

•

Znaleźli go trzy dni później. W Londynie, w White Tower. Ciekawe. Reiner sądził, że od dobrych trzech lat White Tower służyła wyłącznie jako atrakcja turystyczna, ale według informacji, które otrzymał Senitz, tam właśnie przebywał David McLean. Rano przyszło ostateczne potwierdzenie, mężczyzna osadzony w White Tower odpowiadał rysopisowi.

Inicjator sabotażu był więźniem? To się nic trzymało kupy.

Niestety Erhard nie mógł zlekceważyć tak oczywistego tropu. Od SS-Obersturmbannführera zażądał transportu - otrzymał wysłużoną saharę R-75, zresztą o taką prosił. Gdyby tylko chciał, mógłby podróżować z całym policyjnym orszakiem, ale on nie lubił ani przepychu, ani towarzysstwa.

Sfatygowanym motorem, który musiał widzieć i piaski pod El-Alamein, i wzgórze Łuku Kurskiego, można było wjechać do Londynu prawie niezauważenie. W natłoku czołgów, samochodów opancerzonych, furgonetek pełnych żołnierzy i ciężarówek zaopatrzenia jeden niewielki motor przemykał się bez trudu.

Jechał po Tower Bridge Road, mijając potężne Konigstigery oraz ich wsparcie w postaci lekkich czołgów Pz-Kpfw III Ausf. E i niszczycieli pojazdów opancerzonych Marder IV. Kiedy patrzył na niemieckie flagi zawieszane na budynkach i przeszukujących gruz żołnierzy, przepelniały go równocześnie radość i smutek. Radość z wygranej, z przybliżającego się z każdym dniem spełnienia Snu, smutek z powodu ofiar, jakie ludzkość musiała ponieść na tej drodze.

Czasem zastanawiał się - jego cyniczna natura nie pozwalała mu o tym nie myśleć - co by było, gdyby Niemiec-  
cy naukowcy nie odkryli broni termostrugowej, antygrawitacji, technologii Wrót, co by było, gdyby nie pojawił się Fannsbach i jego cudotwórcza Eskalacja. Czy Rzesza istniałaby jeszcze, czy też alianci rozdarliby ją na strzępy? Co stałoby się ze Snem? Kim byłby teraz? Czy żyłby nadal?



Rozmyślania przerwał mu monstualny huk, dochodzący gdzieś z przodu. Reiner zatrzymał motor i podniósł wzrok. Trudno było przeoczyć przyczynę hałasu - Tower Bridge, poważnie uszkodzony podczas oblężenia, walił się pod ciężarem przejeżdżających po nim Schlagpanzerów. Czołgi zdążyły się wycofać na brzeg, ale zniszczenia stalowo-kamiennej konstrukcji mostu uczynią tę drogę nieprzejezdną przez najbliższe dni, a może i tygodnie. Musiał pojechać naokoło, przez London Bridge.

Zadziwiająco, jakiego postępu dokonano w sztuce wojny, a jak nikłego w pozostałych dziedzinach.

Niedługo będziemy tak szybko niszczyć, że nie zdążymy wszystkiego odbudować - pomyślał ponuro. Może Führer powinien zakończyć wojnę tu i teraz? Umocnić to, co zdobyła Rzesza, przygotować świat dla następnego pokolenia? Bo jeśli wojna przeniesie się za Atlantyki... W takim przypadku tylko Blitzkrieg ocali naród niemiecki od zastraszających strat. Wszak Amerykanie pracowali nad rozszczepieniem atomu.

Erhard pokręcił głową, odganiając mroczne myśli. Co go skłoniło do tak dalece idących refleksji? Ach, sen. Nie marzenie o wielkości i czystości rasy, ale inny, ciemniejszy, niepokojący sen, który nawiedzał go od chwili sabotażu w Hali Wrót. Sen o zielonym, chorym niebie i czarnej, umierającej ziemi.

Ale niebo było dziś zwyczajnie szare, poprzecinane gdzieniegdzie białymi wstęgami napędów vimanów. Ziemia nie była czarna, tylko równie szara jak niebo. Kiedyś... tak, Reiner jak wszyscy tęsknił do „kiedyś”. Do zielonych łąk i beztróskich rozmów sprzed wojny. Tęsknił do Niej.

Byli szczęśliwi, na ile to możliwe w przypadku niemieckiego oficera i francuskiej aktorki. Ale potem przyszedł wrzesień trzydziestego dziewiątego, a z nim i obowiązek, i wybór. Powiedział jej wtedy: „Moją pierwszą miłością była i zawsze będzie Ojczyzna. Pogódź się z tym lub odejść”.

Odeszła.

Czasem żałował... nie, nie wyboru, wybrałby ponownie tak samo, gdyby musiał. Nie, żałował, że nie powiedział jej, ile dla niego znaczyła i jak bardzo mu jej brakuje. Kiedy wojna się skończy... może... kto wie...

Tak dryfując od myśli do myśli, kapitan Erhard dotarł do stóp Tower.

I ona ucierpiała znacznie podczas oblężenia. Zapadł się cały Queen's House i większość otaczającego go zewnętrzny muru. Reiner zastanawiał się, czy trzymany tam do niedawna Rudolf Hess przeżył bombardowanie. Uśmiechnął się. Lepiej dla niego, żeby zginął pogrzebany pod gruzem, niż spotkał się z Führerem. Erhard nie wierzył w rzekomą tajną misję z orędziem pokoju. Hess był zdrajcą i jako taki miał stanąć przed Trybunałem Wojskowym.

Motor zostawił przed prowizoryczną strażnicą, zbudowaną nie dalej niż dwa-trzy dni temu. Gwardziści, gdy tylko oficjalne upoważnienia Geheime Staatspolizei mięgnęły im przed oczyma, otworzyli bramy i poinformowali oficera zarządzającego całym kompleksem. Porucznik Emil Wagner, dryblas o szurzej twarzy, wyszedł Hauptmannowi na spotkanie na dziedziniec przed Traitors Gate i obaj ruszyli ku murom White Tower.

Ponieważ wejście znajdowało się na wysokości pierwszego piętra, żołnierze musieli podstawić specjalne przenośne schody. Reiner był pod wrażeniem dzieła jedenastowiecznego architekta.

- Tędy, Herr Hauptmann - powiedział oficjalnie porucznik, wprowadzając Erharda po drewnianych, chybottliwych schodach. - Zabił nam pan przysłowiowego ćwieka, kapitanie - kontynuował, gdy w towarzystwie strażników przemierzali zimne, choć urządzone z przepychem korytarze. - Nikt nie powinien przebywać w White Tower, nie według ksiąg więziennych. Ale widzi pan, ktoś skontaktował się z rodziną McLeana tu, w Londynie. - Kiedy wyraz twarzy Erharda nie zmienił się, dodał: - Okazało się, że pochodzili ze Szkocji.

- McLeanowie? Ze Szkocji? Jak pan na to wpadł, poruczniku? - skwitował sarkastycznie Reiner.

Wagner odchrząknął, wyraźnie speszony, ale kontynuował:

- Davida mieli osadzić w Queen's House za bliżej nieokreślone zbrodnie. Jakim cudem znalazł się w White Tower, nie wie nikt.

- Miał szczęście, co? - Hauptmann przypomniał sobie gruzowisko, jakie pozostało po rezydencji królowej. - To jak go znaleźliście?

- Przeszukiwaliśmy ruiny. Pod Queen's House był tunel. Prosto do White Tower.

Reiner zmarszczył brwi. Tunel? Czyżby McLean kontaktował się ze światem zewnętrznym?

- Rządca White Tower... wyjawiał nam - po zwłóce, jaka poprzedzała ostatnie słowa, Hauptmann domyślił się, że rządca nie przekazał tej informacji dobrowolnie - że jedna z cel wieży jest wciąż używana. Na polecenie premiera. Od

maja czterdziestego pierwszego.

- Maja? Czy to nie wtedy...?

- Tak, kapitanie - odparł zadowolony z siebie porucznik, rad, że udało mu się wprawić w zdziwienie oficera gestapo. - Oto i cela - dodał, zanim Erhard zdążył zareagować. Drzwi nie wyróżniały się niczym szczególnym.

- David McLean nie był więziony od czterdziestego pierwszego, prawda? - zapytał Reiner, chociaż znał już odpowiedź.

Wagner pokręcił głową. W tym czasie jeden ze strażników otworzył drzwi celi.

- Nie. Pozwoliłem sobie o wszystkim poinformować pana przełożonych. Nie ma pan nic przeciwko temu, prawda?

Hauptmann zmrużył oczy, mierząc wzrokiem od stóp do głów karierowicza, który nie miał żadnego poszanowania dla łańcucha dowodzenia. Odparł jednak:

- Nie.

Wszedł do środka. W mrokach celi, które przebijała jedynie wąska smuga światła padająca z maleńkiego okna, dostrzegł krzesło i siedzącego w kącie człowieka.

- Proszę usiąść, Erhard. Musimy porozmawiać.

Reinera rozbawiły te bezczelne słowa.

- Hess.

- I wielka tajemnica White Tower rozwiana. Szkoda. Niech pan usiądzie, proszę się nie krępować. - W geście zachęty były Przedstawiciel Wodza i minister Rzeszy wskazał krzesło.

- Postoję. Nie przypominam sobie, żebyśmy się znali - burknął Hauptmann, zdając sobie sprawę, że tamten zwrócił się do niego po nazwisku.

- Wręcz przeciwnie, kapitanie. Od kiedy tu siedzę, śledzę pana karierę. Pana i panu podobnych - dodał tonem szczerości. - Los przysłał do Londynu akurat pana.

- Proszę mówić. Ja włączę się do rozmowy - Hauptmann wyraźnie zaakcentował to słowo - kiedy pan przestanie.

- Znam metody gestapo... ale nie będą potrzebne. Niech pan zapamięta jedno, nigdy nie zdradziłem Rzeszy. - Mówiąc to, Rudolf Hess pogroził palcem.

- Nie? - zapytał ironicznie Erhard.

- Nie. To Rzesza zdradziła mnie. Jej obecne zwycięstwo jest podszyte klęską. Musi mnie pan uważnie wysłuchać, Erhard, jest pan w tej chwili jedyną nadzieją narodu niemieckiego.

- Doprawdy? - Powaga, z jaką więzień wypowiadał swoje kwestie, dodawała im tylko śmieszności. - Widzę, że plotki o pana szaleństwie nie były przesadzone.

- Oszalałem, to prawda, ale z rozpaczy! - wrzasnął nagle Hess. - Może pan mi wierzyć lub nie, ale jutro już mnie tutaj nie będzie. Ten szczur porucznik już ich powiadomił. Ale! I tak żyję w pożyczonym czasie. Widział pan ruiny Queens House, prawda? Niezmiernie celny strzał, nie sądzi pan?

- Kogo ma pan na myśli, mówiąc: „Ich”? - Kapitan zignorował wzmiankę o Queen's House.

- Ich, tych, którzy obserwują obserwatorów. Ale to nieważne, niech pan teraz nadstawi uszu, Erhard: McLe-an był rolnikiem, na którego polu wylądowałem tamtego pamiętnego majowego dnia. Osadzono go tu jakiś czas po mnie, ale szybko mu się zmarło, a ja przejąłem jego tożsamość, bo to było wygodne... bo byłem wygnańcem w

kraju Angoli i tylko skóra jednego z nich zapewniłaby mi anonimowość i możliwość działania. Do ucieczki zmusił mnie rak, tak, dobrze mnie pan słyszy, rak, który trawi Rzeszę od wewnątrz... Zepsucie sięga wysoko, obawiam się, że może być w to zamieszany nawet Göring...

- Nie interesują mnie pana obłąkańcze wizje - przerwał mu bezceremonialnie Hauptmann. - Przybyłem tu tropem sabotażu.

- Tak, zleciłem sabotaż Wrót. Między innymi po to, żeby zwrócić pańską uwagę. Żeby miał pan przedsmak tego, co czai się po drugiej stronie. Tego, czego nie byłbym w stanie opisać. Udało mi się.

- Zwrócić moją uwagę? Kto pana poinformował o moim przybyciu? - Jeśli był przeciek, Reiner musiał znaleźć źródło.

- Czy wierzy pan w wiedzę senną, Erhard? Widzę, że nie. W takim razie przyjmijmy, że zrobili to moi agenci z Hali. Oni też nie zdradzili Rzeszy, Snu. Poświęcili życie, żeby pan ujrzał światło. Z pana umiejętnościami Niemcy mogą jeszcze wyjść z tej wojny zwycięsko!

- Tracę tylko czas. Żegnam, panie Hess. - Reiner odwrócił się do wyjścia.

- Proszę poczekać! Mam panu tyle do powiedzenia!

- Pan potrzebuje pomocy, Hess.

- Proszę! - Więzień skoczył na Hauptmanna ze zwinnością, o jaką nikt by go nie podejrzewał. - Niech pan go spyta o operację Ultima Thule! Niech pan go spyta, co znaleźli w Irem! - Hess uczepił się płaszcza kapitana jak ostatniej deski ratunku. - Niech pan się temu przyjrzy,

Erhard! Chociaż tyle jest pan winien Ojczyźnie! - Strażnicy już chwycili obłąkańca pod ramiona. - Niech pan ocali gatunek ludzki!

Zniesmaczony Reiner opuścił celę. Biedny, biedny człowiek.

- Proszę mnie powiadomić, jeśli tylko zacznie gadać z sensem - polecił Wagnerowi przed opuszczeniem więzienia. - Wrócę tu jutro.

Sprzeczne myśli walczyły w jego umyśle o dominację. Hess kompletnie oszalał, bez wątpienia. Ale skąd go znał i jakim sposobem dowiedział się o jego przybyciu? Co stało się z prawdziwym McLeanem? Nie było aktu zgonu ani wzmianki w rejestrach więzienia. Po prostu zniknął. Gdyby chodziło o kogoś innego, Erhard byłby już w trakcie przesłuchania, ale chodziło o Rudolfa Hessa i musiał wszystko skonsultować z przełożonymi.

Opuszczając gmach White Tower, Reiner miał wrażenie, że zrobiło się jakoś zimniej i ciemniej. Wzdrygnął się - widywał już ludzi w gorszym stanie, ale Hess nie był byle kim. Wspiął się tak wysoko i nikt nie zauważył szaleństwa, które go toczyło.

Wzdychając, kapitan minął Traitors Gate, dotarł do stróżówki, wsiadł na motor i odjechał po Cannon Street.

•

Nie chciał opuszczać Londynu, nie w takim newralgicznym momencie. Zatelefonował do sztabu, przedstawił sprawę, teraz oczekiwał wystawienia stosownych pozwoleń. Przydzielono mu pokój w starej, chylącej się pod ciężarem lat kamienicy, zarekwirowanej jakiejś żydowskiej

rodzinie. Reiner nie rozumiał obrzydzenia pozostałych lokatorów - wprawdzie Żydzi byli wrogiem, ale to nie znaczyło, że wrogiem była ich własność. Zwłaszcza mieszkanie w Kensington, chyba najbogatszej dzielnicy Londynu.

Uchylił okno i dyskretnie wyjrzał na zewnątrz. Słońce dawno już skryło się za horyzontem, ulicę oświetlały jedynie ustawione w równomiernych odstępach latarnie. Miał niebywale szczęście, dostał pokój wychodzący na Bayswater Road i ciągnące się po drugiej stronie Kensington Gardens. Tak spokojnie. Kto by pomyślał, że za progiem toczy się wojna o przyszłość gatunku ludzkiego.

- Gatunku ludzkiego - powtórzył do siebie Reiner, uśmiechając się mimowolnie na wspomnienie słów Hessa. - Gatunek o siebie zadba, Rudolfie, gorzej będzie z tobą.

Odszedł od okna, chwycił stojącą na stole butelkę, odkorkował ją i nalał złocistego płynu do szklanki. Kiedyś miało znaczenie, jaki pił trunek, a pił wino, bo przypominało mu Paryż. Dziś wystarczyłby jakiś alkohol. Erhard wypił wszystko jednym haustem. Za Sen. Za jutro.

Z tą myślą zasnął.

Ale świat sennych mar nie dał mu wytchnąć - ziemskie problemy podążały za nim nawet tu, do krainy snów. Tu jednak wszystko było na opak, tu nie ścigał przestępców, tylko sam był ścigany - przez stado dzikich, czarnych jak śmierć psów. Uciekał przez puste pokoje i korytarze, a one wciąż deptały mu po piętach, warcząc i ujadając. Zbliżały się coraz bardziej, czuł ich wzrok na plecach,



odór ze psutych oddechów na karku. Wreszcie, jakby łamiąc wewnętrzne zasady snu, przeskoczył z jednej wizji w drugą. Znów stał pod zielonym niebem i zastanawiał się, czym są owe tajemnicze wstążeczki, wychylające się zza czarnych chmur, ledwo widoczne na horyzoncie. Kiedy starał się przeniknąć ich budowę, poznać ukryte znaczenie, psy wreszcie go odnalazły. Jeden błyskawicznym skokiem powalił Erharda na ziemię, drugi i trzeci chwyciły go za nadgarstki i zaczęły szarpać... ale najgorszy był czwarty, ten, którego pysk zawisł nad twarzą Reinera. Hauptmann niemal słyszał mamrotane przez ogara słowa w nieznannej mowie. Leżał sparaliżowany strachem i spodziewał się już najgorszego, kiedy psy nagle go porzuciły. Zupełnie jakby znalazły to, czego szukały. Jakby ktoś spojrział na wskroś przez duszę Reinera po to tylko, żeby stwierdzić: „Nie warto”.

Ze snu wyrwało go pukanie do drzwi. Zerwał się na równe nogi, broń jakby sama wskoczyła mu w dłoń.

- Kto tam? - zapytał, podchodząc powoli do wejścia. Zorientował się, że zasnął w ubraniu, czego w tej chwili w najmniejszym stopniu nie żałował.

- Kapitan Heinrich von Turen, Abwehra! - rozległ się donośny, czysty, niemal mechaniczny głos zza drzwi.

Reiner schował lugera do kabury i drugą ręką odryglował zamek. Kiedy oficer i jego świta wpychali się bez pardonowo do mieszkania, zapytał:

- Czemu zawdzięczam wizytę o tak wczesnej porze, kapitanie?

- Abwehra nigdy nie śpi, Herr Erhard - odparł von Turen. - Mam rozumieć, że widział się pan wczoraj z Rudolfem Hessem?

- Nigdy nie śpi... to dlatego zawsze sprawiacie wrażenie takich rozdrażnionych? - odparł bez cienia uśmiechu Reiner. - Tak, widziałem się z Hessem. Miałem zamiar go dziś przesłuchać.

- To niemożliwe, Hess został w nocy przewieziony, w tej chwili jest w drodze do Berlina. Czy coś panu zostało?

- Coś jak pamiątkę? Suvenir ze wstępnego przesłuchania?

- Niech pan sobie nie utrudnia życia, Herr Erhard.

- Nie, nic nie zostawił - odpowiedział z wymuszoną grzecznością Reiner.

- Nie weźmie pan mi za złe, jeśli rozkażę przeszukać mieszkanie?

- Nie, jeśli pan nie weźmie za złe mojego raportu o uchybieniach w protokole. Powinienem być poinformowany o przeniesieniu Hessa.

- Herr Erhard... - Von Turen wydawał się u granic cierpliwości.

Hauptmann nigdy nie dowiedział się, co szpieg miał do powiedzenia, przerwał mu bowiem zdyszany oficer SS, który wbiegł do środka. Szepnął coś kapitanowi Heinrichowi do ucha i teraz już spokojnie wyszedł.

- Wygląda na to, że mamy, czego szukaliśmy. Dziękuję za poświęcony nam czas, Herr Erhard.

- Cała przyjemność po mojej stronie, von Turen - wycedził wściekły Reiner.

W mgnieniu oka, równie szybko jak weszli, ludzie von Turena się ulotnili. Erhard zamknął drzwi, wziął ze stołu butelkę i uchylając firany, spojrzął przez okno, akurat na czas, żeby zobaczyć dwa bmw odjeżdżające w stronę

Oxford Street. Z dezaprobatą pokiwał głową i przeniósł wzrok na butelkę. Była w trzech czwartych pełna. Albo się starzał, albo to cudeńko dawało większego kopa, niż myślał.

Nie chcąc tracić dnia, sięgnął po leżący na tapczanie płaszcz i ruszył do drzwi. Początkowo myślał, że będzie się w nim gotował, ale najwyraźniej niewiele wiedział o angielskim lecie. Na zewnątrz było, mówiąc łagodnie, chłodno. Zapalając silnik saharę, zastanawiał się, czy odczuwa zimno tak dotkliwie z powodu wczorajszej whisky. Czyżby rzeczywiście się starzał?

Początkowo zamierzał zajechać do tymczasowej kwatery gestapo - którą, chyba wyczuwając ironię, umieszczono w starej siedzibie Scotland Yardu niedaleko Whitehall - ale, kierowany jakąś dziwną fascynacją, udał się z powrotem do więzienia Tower. Tym razem nie zaszedł jednak do White Tower, nie spotkał się też ze szczerowatym porucznikiem Wagnerem. Za bramą skręcił od razu w lewo i mijając Bloody Tower, mającą na tle gruzów jak złowieszczy drogowskaz, dotarł w niespełną minutę do ruin Queen's House. Ekipy ratownicze... ach, znów brakło mu odpowiednich słów. Bo jak nazwać ludzi, którzy przeszukują gruz w poszukiwaniu ocalałych, żeby - w najlepszym razie wsadzić ich z powrotem do więzienia, a w najgorszym dokończyć to, co rozpoczęły bomby? Ekipy ratownicze...

Jak dotychczas nikogo nie znaleźli.

- Kapitan Erhard, gestapo. - Reiner machnął papierami przed znudzonymi twarzami robotników. - Rozejrzę się tu.

- Nic pan nie znajdzie, kapitanie - odparł jeden z

poszukiwaczy, kierownik zmiany, jak wskazywały naszymi na kombinezonie. - Wszystko poszło równo w diabły. - Wyszczrzył się od ucha do ucha.

- Wszystko?

- Proszę tam spojrzeć. O, i tu. - Robotnik zaczął gestykulować. - To były kamienie węgielne. Budynek zawalił się jak domek z kart. Niezłego cela mają nasze chłopaki, co?

- Tak, faktycznie - przyznał zamyślony Reiner.

Albo to przypadek, albo rzeczywiście piloci celowali w Queen's House. Osobiście jednak Reiner wątpił, żeby Führer czy ktokolwiek inny nakazał bombardowanie więzienia, zwłaszcza jeśli wewnątrz przebywali obywatele niemieccy, zdrajcy czy nie. Czyżby szalony Hess miał rację? Niemożliwe. Ale jak w takim razie to wytłumaczyć?

Zimno przenikało Erharda do szpiku kości, nawet płaszcz nie pomagał. Hauptmann zapiął się pod szyję, postawił kołnierz, przemarznięte ręce wsadził do kieszeni... i natrafił na coś, czego nie powinno tam być. Reiner nigdy nie zostawiał dokumentów w kieszeniach, a jednak jego skostniałe palce namacały zmiętą kartkę.

Zanim ją wyjął, rozejrzał się dokładnie, jakby włączył się jego instynkt. Dobrze, że to zrobił. Za okalającym Tower murem, po drugiej stronie ulicy, stała zaparkowana szara lagonda. Reiner nie wiedział, jaki to dokładnie model, ale taka sama lagonda stała dziś rano pod jego kamienicą. Najwidoczniej kapitan von Turen nie pokładał w Erhardzie zaufania i wolał go mieć na oku.

- Ranisz moje serce, Heinrich - szepnęła Hauptmann i niespieszonym krokiem ruszył do pozostawionego przy

bramie motocykla. Miał czas. Zresztą nie musiał się martwić... w mieście motor zawsze zgubi pościg samochodowy.

Tak się stało i tym razem. Jechali za nim przez całą Tower Hill i Cooper's Row, ale kiedy gwałtownie skręcił w Northumberland Alley, kierowca lagondy stracił go z oczu na kilkanaście sekund. Tyle czasu w zupełności Reinerowi wystarczyło - schował się w pierwszej zadaszonej bramie. Lagonda minęła go i pojechała dalej, teraz sama śledzona.

Hauptmann zawiódł się, kiedy samochód zatrzymał się przed głównym sztabem Wehrmachtu. Spodziewał się tego co prawda, ale w duchu żywił nadzieję, że tym razem życie go zaskoczy. To po prostu nie był jego dzień.

- Kapitan Erhard do kapitana von Turena - rzucił do oficera dyżurnego, gdy tylko przekroczył próg sztabu. Oczywiście mógł po prostu wrócić do mieszkania, ale Reiner nie należał do tego typu ludzi. Wolał stawiać czoło przeciwnościom, niż kryć się po kątach.

- Dokumenty? - zagadnął siedzący za biurkiem mężczyzna.

Kapitan wygrzebał swoje pozwolenia i przepustki, wszystkie sprasowane razem w jeden plik kartek, wybrał odpowiedni papier i wręczył go oficerowi.

- Proszę poczekać.

Hauptmann kiwnął głową i rozejrzał się.

- Ładnie urządzone - stwierdził. W ciągu zaledwie kilku dni budynek Parlamentu zmienił się nie do poznania.

- Herr Erhard, nie spodziewałem się pana zobaczyć tak szybko. - Dobięło zza pleców Reinera.

- Tak, „nigdy” byłoby zbyt wcześnie. Ale oto jestem. - Von Turen stał tuż obok. Skąd on się wziął, do cholery? - Czy jestem o coś oskarżony? - Nie było sensu kręcić, grali w otwarte karty.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Więc niech pan trzyma swoich ludzi na smyczy. Nie lubię, gdy ktoś patrzy mi przez ramię.

- Ma pan coś do ukrycia, Herr Erhard? - uśmiechnął się von Turen.

- Przeszukaliście już zapewne moje mieszkanie. Stoimy tu, obaj wolni. Więc chyba nie.

- Czy pan musi wszystko utrudniać, Herr Erhard?

- O co chodzi, von Turen? Nie lubię, kiedy trzyma się mnie w ciemności.

- Ciekawe sformułowanie. - Agent znów się uśmiechnął. Wyglądał jak drapieżnik gotujący się do skoku. - Cóż, myślę, że w geście pojednania mogę panu co nieco zdradzić, nie narażając się na gniew przełożonych. - Tu zrobił przerwę i teatralnie westchnął. - Uciekając z Niemiec, Hess zabrał ze sobą plany.

- Plany...? - podchwycił Reiner, zaciskając dłoń na kartce papieru w kieszeni płaszcza.

- Broń raketowa. Z tego, co wiemy, nie przekazał ich Anglikom. Dziś rano znaleźliśmy oryginały, ale Hess mógł zrobić kopie. Nie wiedzieliśmy, kto z nim współpracował.

- Mógł pan z tym przyjść do mnie.

- Protokół. Sam pan wie najlepiej.

Hauptmann wiedział.

- Mam nadzieję, że nie żywi pan już urazy, Herr Erhard?

- Nie - odparł zwięźle i uściśnął wyciągniętą dłoń von Turena.

- Nie jest pan chory? - zapytał z troską w głosie agent Abwehry.

- Zawsze mam zimne ręce - skłamał Reiner, po czym zasalutował i wyszedł.

Coś mu się nie podobało w tym człowieku, w jego głosie, sposobie układania zdań. Dopiero kiedy oddalił się od sztabu, spojrzął na kartkę wyjętą z kieszeni. I znów się zawiódł. Zamiast spodziewanych planów, zobaczył jedynie kilka odręcznie narysowanych liter. Uśmiechnął się i obrócił papier o sto osiemdziesiąt stopni. Basim Lee Lindon 17. Adres czy dane osobiste? Nieważne, rozejrzy się, popyta, rozrusza kończyny - żeby nie zamarznąć. Ale najpierw śniadanie.

•

Słońce dawno już schowało rozżarzoną twarz za welonem nocy, kiedy kapitan Reiner Erhard wreszcie odnalazł swoją zdobycz. Nie przyszło mu to łatwo, ale wreszcie jakiś włóczęga skierował go na właściwy trop. Cuchnący kotami, tanimi perfumami i orientalnymi przyprawami trop Soho.

Soho stanowiło dla Reinera uosobienie wszystkiego, czym gardził, jakby przeciwagę, antytezę Snu. Wszelki obecny brud, handel opium, na każdym rogu prostytutki oferujące swoje wdzięki za kilka funtów, ludzie wszystkich kolorów chodzący obok siebie, jakby byli równi. Temu wszystkiemu Erhard wydał wojnę na długo przed wstąpieniem w szeregi NSDAP i gestapo. Sen zrodził się

dawno, jeszcze kiedy Reiner jako mały chłopiec przebywał z ojcem w Afryce.

Rzucił okiem w stronę najbardziej obleganego na całej ulicy lokalu, „Niebieskiej Piramidy”. Nie dlatego, że nazwa przypominała mu dzieciństwo - które spędził z ojcem w okolicach Tanganiki, a nie w Egipcie - ale ze względu na tabuny Niemców, oficerów i prostych żołnierzy, zgromadzone wokół wejścia. Smutne, że niektórzy biorą udział w tej wojnie nie dla ideałów, a z obowiązku czy zwykłej chęci podboju.

W jego odczuciu wyższość aryjskiej rasy panów nie oznaczała bynajmniej, że wszystko im wolno - wręcz przeciwnie, spoczywał na nich większy ciężar, ciężar dawania przykładu. Czy dla ludzi, którzy stracili poczucie celu, jego rodaków, warto walczyć o spełnienie Snu? Ostatnio miał coraz więcej wątpliwości.

Pocierając zmarznięte dłonie, Reiner skręcił w pierwszą uliczkę za „Niebieską Piramidą”. Lindon Street. Od razu wiedział, że na kartce zapisany jest adres, ale na żadnej z posiadanych map nie znalazł Lindon Street. Dopiero wspomniany wcześniej kłoszard za kilka pensów opowiedział mu historię Zagubionej Ulicy.

- Bo to jest tak - sapał Erhardowi do ucha - że mieli Lindon połączyć z Barrington, ale to będzie ze trzydzieści lat temu. No to jej nie umieścili na mapach wtedy...

- A później? - dopytywał się Reiner.

- Później ludzie zapomnieli. Zawsze tak robią. - Kłoszard pociągnął nosem. - Rozumiesz pan? No, ale daj pan więcej, poratuj...



Jak nisko może się stoczyć człowiek i w którym momencie przestaje być człowiekiem, a zamienia się z powrotem w zwierzę?

Siedemnastka. Kamienica wyglądała, jakby stała tu od zawsze, jakby wyrosła prosto z ziemi. Nad drewnianymi, obdrapanymi z farby drzwiami widniał napis: Basima Wizjonerium. Reiner podszedł do wejścia, delikatnie sprawdził, czy nie jest przypadkiem otwarte, a gdy przekonał się, że jednak nie, zapukał. Wąski, wycięty pasek drewna służący za prymitywnego judasza odsunął się tak szybko, jakby odźwierny czekał tuż za progiem.

- Czego?

- Ja do Basima - powiedział Erhard w nienagannym angielskim. Znaj swojego wroga, tak powtarzali mu w akademii i tego uczył go jeszcze wcześniej ojciec.

- Kto? - Głos był beznamiętny, a pytania krótkie, ale i tak dało się wyłowić obcą nutę. Człowiek po drugiej stronie drzwi był z całą pewnością imigrantem.

- Przysłał mnie David McLean. - Reiner spróbował innego podejścia... i w tej chwili zdał sobie sprawę, że było to podejście jak najbardziej słuszne. „Spytaj go...” - tak brzmiały ostatnie słowa Hessa. Wcześniej nie zwrócił na to uwagi, ale teraz... Czyżby w szaleństwie Przedstawiciela Wodza kryła się jakaś pokrętna logika? Uszu kapitana doszedł dźwięk otwieranego zamka. Cóż, zaraz się przekona.

Zanim drzwi otworzyły się do końca, Hauptmann skoczył, ściskając w ręce lugera. Odźwierny, niski, chudy Arab, nie stawiał się - przystawiona do skroni lufa okazała się argumentem w pełni przekonującym.

- Basim?! - zapytał cicho, ale zdecydowanie Reiner.

- N-nie - wymamrotał tamten, kręcąc szybko głową.  
- Prowadź. - Erhard przyciągnął Araba do siebie, po czym pchnął go do przodu, pistolet tym razem przystawiając do jego pleców. - I żadnych sztuczek. Nie zawa-  
ham się.

Na dowód swoich słów dźgnął lugerem w bok odźwiernego. Arab okazał się wyjątkowo pojętny. Bez mrugnięcia czy jęku poprowadził kapitana w głąb domu.

W półmroku spowijającym Wizjonerium kapitan z trudem dostrzegał misterne wzory, wymalowane na popękanych ścianach kamienicy. Tu i tam wisiały obrazki, ikony i malowidła. Reiner podejrzewał, że żaden z tych rupieci nie był warty złamanego grosza, tym niemniej dodawały lokalowi charakteru. Odźwierny doprowadził kapitana do wejścia, ukrytego za zasłoną z paciorków.

- To tu.

- Proszę przodem - rozkazał Hauptmann, lekko się uśmiechając. Arab posłusznie wszedł do pomieszczenia. Erhard trzymał się tuż za nim.

- Aziz, co to ma... - zaczął siedzący w środku mężczyzna, bynajmniej nie Arab. Kiedy zobaczył Reintera, umilkł.

Pokój był mały i przytulny. Podłogę wyścielały stopy dywanów i olbrzymich poduszek, wygładzone tylko w jednym miejscu, gdzie spoczywała fajka wodna. Kapitan pchnął przodem Aziza, który wylądował na podłodze u stóp swego pana.

- Basim? - zapytał Reinter drugi raz tego wieczoru.

Białoskóry, starszawy mężczyzna, siedzący po turecku na ziemi, zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, a kiedy skończył, rysy mu się wygładziły.

- Jesteś jednym z chłopców McLeana, zgadza się?  
Reiner chciał zaprzeczyć, ale ugryzł się w język. Może w ten sposób uda mu się z Basima więcej wyciągnąć.

- Zgadza się.

Mężczyzna rozpromienił się.

- Basim Lee, unізony sługa. Aziz, wino.

Sługa znikł bezszelestnie. Erhard usiadł naprzeciwko mężczyzny. Po sześćdziesiątce, z ostrymi rysami i bujnymi bokobrodami, spotykającymi się aż pod nosem, Basim wyglądał na angielskiego dżentelmena. Jedyne szaty, typowy bliskowschodni strój, wydawały się nie na miejscu. Apostata?

- Myślałem, że Koran zabrania picia wina wyznawcom.

Basim Lee uśmiechnął się szeroko.

- Jesteśmy pod dachem, panie...?

- Erhard. Reiner Erhard.

- ...panie Erhard. Bóg nie widzi, Bóg przebaczy. - Lee mrugnął porozumiewawczo. Reiner uśmiechnął się słabo. W tym czasie służący zdążył równie cicho wrócić z tacą. - Napije się pan ze mną, tak? - W ustach Basima nie zabrzmiało to jak pytanie.

Erhard kiwnął głową. Przyda się coś na rozgrzewkę. Jakby czytając w jego myślach, Lee zapytał:

- Dobrze się pan czuje, panie Erhard? Wygląda pan na zmarzniętego.

- Wietrzny dzień - odparł Reiner, żeby uciąć dalszą rozmowę na ten temat.

- Pan jest błądy. - Basim nie dał sobie przerwać zaczętej myśli. Przysunął się do Hauptmanna, przyjrzał mu się jeszcze raz, mrużąc przy tym oczy, jakby samo spojrzenie sprawiało ból. Zanim Reiner zdążył zaprotestować, Lee wykrzyknął coś po arabsku.

- Co to ma znaczyć?! - Erhard zerwał się na równe nogi, czując, że coś jest nie tak.

- Dotknęli pana i zostawili swój ślad.

Dotknęli... znowu „oni”. Ilu jeszcze Hess zaraził swoją wizją...

- Panie Lee - zaczął Reiner stanowczo, ale nie na tyle, żeby spłoszyć swojego rozmówcę. Na to przyjdzie jeszcze czas.

- Kawa - rzekł ponaglającym tonem Basim. - To kawa. Niech pan pije.

- Nie sądzi pan chyba, że wypiję...

Lee jakby odgadł trawiące Erharda wątpliwości, wziął kubek z tacy i upił odrobinę.

- Kawa. Tylko kawa. Proszę ją wypić.

Hauptmann powoli sięgnął po kubek i tak samo powoli pociągnął jeden łyk. Kawa... zimna, z dodatkiem jakichś ziół, ale nadal kawa. Czy była zatruta? Czy to test? Miał ją przyjąć czy odmówić?

- Proszę usiąść, panie Erhard. Jeśli pana dotknęli, McLean...

- Zabrali go - powiedział zgodnie z prawdą Reiner.

Lee westchnął.

- Niedobrze, panie Erhard, niedobrze. Czy zdążył panu wszystko przekazać? Ma pan przesyłkę?

- Przesyłkę?

- Nie ma jej pan? W takim razie straciliśmy wszelkie atuty.

Teraz Hauptmann żałował swojej popędliwości. Ostatecznie mógł wysłuchać Hessa... ale skąd miał wiedzieć, że nie dostanie kolejnej szansy?

- Nie mam - powtórzył machinalnie, ale przypomniał sobie ostatnie słowa Przedstawiciela Wodza. - Kazał mi pana zapytać...

Zanim zdołał dokończyć, poczuł, jak ciepło rozlewa się po całym jego ciele. Pokój nabrał ostrości i kolorów. Erhard nawet nie zdawał sobie sprawy, że dotąd widział wszystko jak przez mgłę. Ogarnęła go nienaturalna błogość. Pokręcił głową.

- Co się ze mną stało?

- Mówiłem przecież. Dotknęli pana. Jeśli wiedzieli, że miał pan kontakt z McLeanem, musieli pana sprawdzić. Ale poszukiwanie prawdy wycieńcza i wyniszcza, zwłaszcza jeśli umysł chce coś ukryć. - Reiner postanowił na razie nie przerywać. - McLean dobrze pana wybrał, jest pan silny duchem. Ale gdyby nie trafił pan do mnie, to też by nie pomogło.

Hauptmann poczekał jeszcze chwilę, ale gdy Lee nic już nie powiedział, zapytał:

- Oni?

Chociaż otępienie minęło jak ręką odjął, Reiner nadal pozostawał sceptyczny.

- Więc naprawdę pan nic nie wie? - Basim wydawał się zawiedziony. - Thule. Stowarzyszenie Thule.

- H... McLean - poprawił się szybko Erhard - mówił o operacji .Ultima Thule. O Irem.

Basim Lee zamknął na chwilę oczy, jakby walczył z myślami albo zbierał siły. Wreszcie przemówił:

- Niech pan słucha uważnie, panie Erhard. W dziewięćset osiemnastym Rudolf Glauer, lepiej znany jako Rudolf von Sebottendorf, założył ezoteryczny zakon, zrzeszający samozwańcych magów i szarlatanów... - Erhard mało nie przerwał Basimowi, powstrzymał się jednak w nadziei, że wśród bełkotu zdoła wyłowić ziarno prawdy - ...poszukujących starożytnej ojczyzny rasy aryjskiej,

Atlantydy, Hiperborei czy innego mitycznego kontynentu. Nie znaleźli jej. Jeszcze. - Lee przetarł czoło i Erhard zauważył, że jego rozmówca się poci. Ten człowiek się bał! - Nie znaleźli Thule, ale znaleźli Irem. - Hauptmann zachęcająco kiwnął głową, dając znak, żeby jego rozmówca kontynuował. - Wśród piasków pustyni stoi zaginione, zapomniane przez ludzi i czas miasto. Co tam odkryli, nie mam pojęcia, ale McLean wiedział. Ważne, że to im pozwala wygrać tę wojnę. Ale jakim kosztem? Operacja Ultima Thule to znaczy najdalszy brzeg, najdalszy świat, z greki, rozumie pan, panie Erhard?

- Nie znam greki, Lee. Proszę mówić.

- Są... są gotowi. Nawiązać kontakt. Z ojczyzną.

- Co pan ma na myśli? Vaterland...

- Nie Rzeszą! - Basim wydawał się rozdrażniony. - Chcą odnaleźć mityczny ląd, ale jeśli on naprawdę istnieje... - Basim zająknął się - ...został zapomniany z jakiegoś powodu, prawda? Nie powinni go odnaleźć. McLean to wiedział, wybrał pana, żeby temu zapobiec. Widocznie przesyłka wpadła w ich ręce.

- Co było w środku?

- Nie mam pojęcia. McLean twierdził, że Świadectwo. Jest bardzo ważna. Musi ją pan odzyskać. - Lee nalał sobie kieliszek wina, aż po brzegi. - Odzyskać i oddać Dieterowi Vellerowi w Berlinie.

- Nowa postać dramatu. Kim jest ów Dieter Veller?

- Jest... drugim. Tak powiedział McLean. Kimś Podobnym do pana, tylko - zawahał się - dalej na obranej drodze.

- Dalej na obranej drodze... niesłuchanie to poetyckie, nie sądzi pan? A skąd McLean brał swoje informacje? - Reiner potarł się po czole.

- Ha! Był jednym z nich. Do czasu.  
- A pan, Lee? Gdzie pan pasuje?  
- Ja... byłem w Bagdadzie, kiedy profesor Otto Brezler i jego zespół szukali Irem. Potrzebowali tłumaczenia manuskryptów, zapisków jakiegoś Araba żyjącego w ósmym wieku. A ja im to tłumaczenie sporządziłem. - Basim pochylił głowę, jakby przygniótł go nagle niewidzialny ciężar. Poczucie winy? - Oto wszystko, co mogę panu powiedzieć. To niewiele, ale i za to mogę stracić życie. Teraz wszystko w pana rękach. - Odetchnął i sięgnął po kieliszek.

Minęła krępująca chwila ciszy.

- Nie kupuję tego - powiedział spokojnie Reiner, patrząc, jak Anglik wytrzeszcza oczy i dławi się winem. - Teraz powie mi pan... - Erhard wyciągnął pistolet - ...prawdę. Dla odmiany.

- Panie Erhard... - zaczął niezgrabnie Basim.

- Chyba że chce pan, żebyśmy porozmawiali jak więzień z oficerem gestapo. Pana wybór.

- Przecież pan wie, co się stało z McLeanem! Przecież pan sam czuł ich oddech na karku!

- Łatwo jest kogoś odurzyć, Lee. Teraz mów, nie trać czasu. Kto stoi na szczycie ruchu oporu? Jeśli tylko...

Cios spadł na niego znikąd. Obraz się zamazał, później zapadła ciemność.

•

Obudził się z przeraźliwym bólem głowy. Mocno obe-rwał. Służący Aziz... jak mógł o nim zapomnieć? Euforia, jakiej doznał po wypiciu kawy, przytłumiła jego czujność, ale przecież... Arab nie mógł się podkraść tak bezszelestnie. W tym człowieku było coś dziwnego.

Reiner podniósł się powoli i omiótł pokój błędnym wzrokiem. Prócz poduszek, na których leżał, wszystko znikło - fajka wodna, dywany, nawet symbole na ścianach, wszystko wyparowało. Tuż przed nim piętrzył się stos przedmiotów, jego osobistych rzeczy. Zostawili wszystko - broń, amunicję, papierosy, zapalniczkę, kluczyki do motocykla, dokumenty, niklowaną odznakę... nie, nie wszystko! Tknięty nagłym przeczuciem, rozkopał stertę, ale nie znalazł tego, czego szukał. Znikło zdjęcie. Jej zdjęcie.

Znalazł za to kartkę. List.

*Drogi panie Erhard!*

*Pana nieustępliwość i niewiara, godne podziwu i naśladownictwa, w obecnej sytuacji są nam nie na rękę. McLean nie żyje, jego współpracownicy giną w niewyjaśnionych okolicznościach. Prędzej czy później dotrą też do mnie, a wtedy i do pana. Tak więc nie mam wyjścia i niezwłocznie opuszczam Londyn. Pan też niedługo wyjedzie, panie Erhard. Jeśli nie z własnej woli, to z konieczności, tak czy owak spróbuje pan ich powstrzymać. Oczekuję pana w Paryżu. Delphine też.*

*B.L.*

Reiner zmiął list i czym prędzej go podpalił. Nikt nigdy nie będzie wiedzieć, obiecał jej to. W ciszy, przerywanej jedynie syczeniem płonącego papieru, Hauptmann zebrał rzeczy i ruszył do wyjścia. Wszystko stało się nagle krystalicznie jasne, wszystkie obawy straciły znaczenie, wszystkie zastrzeżenia rozplynęły się w obliczu niezachwianej pewności.

Paryż, tak?



## 2. Zła piosenka

*Cierpienie jest istotą życia i wobec tego nie przychodzi do nas z zewnątrz, lecz jego niewysychające źródło tkwi w każdym.*

Arthur Schopenhauer

*Paryż, Francja.*

*Lipiec, rok 1944*

Tęsknił za Paryżem. Za pięknymi, zabytkowymi ulicami i bulwarami, za kosmopolityczną atmosferą Champs-Elysees, za posępnymi katedrami, rzymskimi termami Cluny, za kwiecistymi Ogrodami Luksemburskimi i znajdującą się na ich terenie Fontanną Medycejską, za małymi, intymnymi kawiarenkami, za słodkim winem i zapachem kwitnących róż, za gorącymi lipcowymi nocami...

Och, nie tęsknił za Paryżem.

Tęsknił za nią.

- Tamte czasy minęły bezpowrotnie - powiedział do siebie, jakby sam się upewniając. Nie chciała z nim być i

nie chciała go widzieć. A on, niechaj demony porwą jego przekłety honor, szanował jej wolę. Do teraz.

Lee chciał wykorzystać Delphine do manipulacji Reinerem i do pewnego stopnia już mu się to udało. Erhard złożył podanie o przepustkę, a dzięki wpływom i pozycji otrzymał ją niezwłocznie. Siedział teraz we własnej, prywatnej kajucie na pokładzie „Valkirii”, rozmyślając, co robić dalej. Basimowi nie tylko udało się zmotywować go do działania - wzbudził też podejrzenia Abwehry. Po raz pierwszy od początku kariery Erharda pojawiły się wątpliwości co do jego oddania sprawie. Reiner już pierwszego dnia rejsu rozpoznał agenta, którego wysłał za nim wywiad. Teraz, pomiędzy ściganym Brytyjczykiem a depczącym mu po piętach szpiclem von Turena, czuł się jak mysz w potrzasku. Lee wymógł na nim nie tylko pospiech, ale i potrzebę tajności... Kapitan musiał mu pogratulować mistrzowskiego zagrania.

I zrobi to. Na kilka sekund, zanim pociągnie za spust i skończy tę maskaradę.

Wiedział, że powodował nim gniew, a nie poczucie obowiązku, ale nie dbał o to. Basim Lee był wrogiem Rzeszy, współnikiem Hessa, zapłaciłby za swoje zbrodnie tak czy inaczej, więc to przypadek, że akurat Reiner wykona na nim wyrok. Przypadek albo działanie Opatrzności.

W ciemnościach kajuty Erhard uśmiechnął się gorzko i zapalił papierosa.

•

Miasto, u którego bram stanął, w żaden sposób nie przypominało Paryża z jego wspomnień. Niebo wyraźnie

poszarzało, niechybnie wskutek zagęszczenia spalin, jakie produkowały dwunożne maszyny kroczące PzK S przeznaczone do patrolowania ulic po zmroku. Ulice wyludniły się, czy to ze strachu, czy z powodu przesiedleń, czy na skutek epidemii szarej ospy, która wybuchła w okupowanym mieście. Wirus, podobno przenoszony drogą kropelkową, rozprzestrzenił się gwałtownie i zmusił gubernatorstwo do ogłoszenia kwarantanny. Nikt bez przepustki nie mógł przybyć do Paryża ani go opuścić. Erhard zastanawiał się przez chwilę, czy Lee w ogóle przedostał się w obręb murów miejskich, ale jakieś nieokreślone przeczucie podpowiadało mu, że jednak tak.

Nie było więc sensu biec na oślep do mieszkania Delphine. Basim już tam zapewne dotarł; Reiner wcale sobie nie życzył, żeby agent Abwehry mieszał się w jego sprawy osobiste. Co dziwne, Hauptmann nawet przez chwilę nie pomyślał, że Delphine mogła już nie żyć na długo, zanim którykolwiek z nich postawił stopę na kontynencie - zabita przypadkowym strzałem, odłamkiem pocisku, spadającym gruzem czy szarą ospą. Nie, nie mogła umrzeć. Po prostu nie mogła.

Poprawił kołnierz, bo mimo wysokiej temperatury jego ciałem wstrząsnął zimny dreszcz. Śnił o niej tej nocy. I zeszłej, i jeszcze wcześniejszej. Ale te sny nie przypominały nic, czego doświadczył wcześniej - nie były namiętne, gorące i pełne pasji... skaziła je ta sama zieleń, która zatruła jego umysł tuż po incydencie z Wrotami.

Otrząsnął się z zamyślenia i podniósł wzrok na wystające tuż przed nim wzgórze Montmartre. Czemu nogi

poniosły go właśnie tu? Nie potrafił powiedzieć. Co prawda Montmartre nadawało się do zgubienia ogona tak samo dobrze, jak każda inna dzielnica Paryża, ale Reiner preferowałby coś bliżej centrum.

Niespiesznym krokiem przeszedł obok tutejszego cmentarza. Jego uwadze nie umknęły rzędy nowych grobów oraz olbrzymie paleniska, służące do pozbywania się zmarłych na szarą ospę. Im dłużej przechadzał się opustoszałymi, ponurymi ulicami, im więcej widział zamkniętych na czas nieokreślony kawiarni i sklepów, tym częściej zadawał sobie pytanie, czy Paryż do końca roku nie zamieni się w wymarłe miasto, europejską nekropolię, przypominającą egipskie Miasto Umarłych.

Na samą myśl o Egipcie, o Afryce, znowu przeszły go ciarki. Ciąg wspomnień prowadził niechybnie do mrocznych, wilgotnych, spowitych mgłą brzegów jeziora Tanganika. Reiner wzdrygnął się i otrząsnął. To nie czas i miejsce na rozpamiętywanie przeszłości, zwłaszcza że słońce schowało się już za horyzontem, ustępując delikatnej, księżycowej poświacie przebijającej się tu i tam przez gęstą zasłonę chmur.

Rozbłysk niemal go oślepił. Erhard gwałtownie odwrócił wzrok, ukrywając twarz za ramieniem. Co za cholerstwo?! Mrużąc oczy, spojrzał w stronę, z której padło światło. Na tle nocnego nieba rysowała się sylwetka wieży Eiffla, ale nie taka, jaką pamiętał. Teraz konstrukcję wieńczył olbrzymi przekaźnik, emitujący energię produkowaną przez kilka sprzężonych, wybudowanych u jej stóp Wrót.

Wskazówka.

Reiner znów musiał pochylić czoło przed konstrukcyjnym geniuszem Fannsbacha. Konwencjonalne Wrota nie miały dostatecznie dużego zasięgu, żeby pokonać kanał La Manche i przesłać energię do Wielkiej Brytanii, dlatego właśnie zbudowano Wskazówkę, generator o wiele większej mocy, ustępujący jedynie samemu Zegarowi.

- Nie musieli nawet budować wieży transmisyjnej - mruczał do siebie Erhard, kiedy jego wzrok ponownie przyzwyczajał się do ciemności.

Budowa nowego przekaźnika kosztowałaby zapewne mniej, ale Wskazówka nie była tylko przekaźnikiem. Była też symbolem siły Rzeszy i złamanej woli Francji. Erhard nie gustował w takich popisach, musiał jednak przyznać, że wieża robiła wrażenie, chociaż akurat w tej chwili świecił jedynie jej czubek, i to niezbyt intensywnie. Rozbłysk spowodowało widocznie jakieś wyładowanie atmosferyczne albo spięcie na łączach, Reiner nie znał szczegółów technicznych działania Wrót, mógł więc tylko spekulować.

Zresztą mało go to obchodziło. Najważniejsze, że nastąpiła noc, czyli czas działania. Skręcił w pierwszą lepszą uliczkę z zamiarem zgubienia agenta, ale przekonał się, że ten już zniknął. Dziwne. Erhard spodziewał się, że von Turen nakaże dokładniejszą inwigilację. Może szpiega zastąpił ktoś inny? Może Abwehra znała inne metody obserwacji? Albo wcale im nie zależało?

Reiner starał się sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widział agenta, ale pamięć go zawiodła. Zanim dotarł pod Montmartre, wtedy, kiedy się zamyślił... a może jeszcze wcześniej?

- Mniejsza z tym - skwitował. Zniknięcie szpiega było

po jego myśli, nie warto się zastanawiać nad przyczyną. Erhard miał sprawę do załatwienia, sprawę, która nie cierpiała zwłoki. Nadal klucząc, raczej z przyzwyczajenia niż przez ostrożność, ruszył w kierunku rue Poullétier, gdzie w przedwojennej kamienicy na poddaszu mieściła się maluteńka, przytulna kawalerka.

Reiner zaśmiał się w duchu. Występowała w największych przedstawieniach na deskach Theatre des Champs-Elysees i Theatre du Chatelet, mogła sobie pozwolić na luksusowy apartament w centrum Paryża, a mieszkała w ciasnej klitce, zbyt małej dla niej samej, a co dopiero mówić o trzech miesiącach z nim.

- Artystka - prychnął, ale zamiast pogardy czy zniecierpliwienia, których się spodziewał, usłyszał w swoim głosie nostalgię. Tyle czasu stracili, tyle szans zmarnowali... ale najsmutniejsze było to, że gdyby postawiła go ponownie przed tym samym wyborem, nie zmieniłby decyzji.

Jego życie należało do idei lepszego jutra, do Snu.

Niespiesznie wkroczył na ulicę Poullétier. Choć gruz został usunięty wiele miesięcy temu, ruiny, dawne kamienice, stały jak żywe świadectwo pierwszego bombardowania. Zaniepokojony Reiner przyspieszył kroku, ale natychmiast zwolnił, bowiem zza rogu wynurzył się patrol policyjny. Dwóm miejscowym żandarmom towarzyszył obdrapany PzK S.

Maszyny kroczące nie cieszyły się tu zbyt dużą popularnością, co nie dziwiło Erharda. Dwunożne, przypominały bezskrzydłe orły, jakby konstruktor nawet wyglądem pojazdu chciał nawiązać do ornamentyki nazistowskiej. Kokpit, mieszczący się tuż za „dziobem”, wieńczyła

powiewająca na wietrze flaga, niepotrzebna, bo na bokach PzK S również wymalowano rzucające się w oczy swastyki. Gdyby nie podwieszone od spodu cekaemy, serwitory patrolowe wyglądałyby jedynie na ekstrawaganckie narzędzia propagandy. Zresztą w tej roli sprawdzały się równie dobrze. Nic tak nie mroziło krwi w żyłach wrogów Rzeszy, jak łoskot serwowatorów i przekładni, jęk metalu szorującego o metal, przeraźliwie jasne światło reflektorów, które jak ślepiea jakiejś nocnej bestii badały okolicę, i trzeszczący głos z zamontowanego na „dziobie” megafonu:

- *Halt, bitte! Bereiten Sie bitte Ihre Papieren! Halt, bitte!*

Operator PzK S namierzył go już wszędobylskim snopem światła. Ucieczka przed maszyną kroczącą nie miała sensu. Zresztą Reiner zaopatrzył się w odpowiednie papiery.

Ruszył ku niemu jeden z konstabli, wywijając radośnie policyjną pałką. Kiedy warknął, żądając okazania dokumentów, Erhard dostrzegł w jego oczach żar, który zgasł z chwilą, kiedy kapitan wyciągnął niklowany dysk upoważniający. Dziś nie będziesz miał się na kim wyżyć, pomyślał Reiner z satysfakcją.

- Wybaczy pan, Herr Hauptmann, ale musimy sprawdzić wszystkich - jękał się łamanym niemieckim żandarm, spoglądając raz na awers dysku, ukazujący orła i swastykę, raz na rewers z numerem identyfikacyjnym i napisem: „Geheime Staatspolizei”.

Jeśli Erhard miał jakiegokolwiek wątpliwości co do narodowości konstabla, teraz rozwiały się zupełnie. Kolaborant. Hauptmann musiał przyznać to Francuzom, wiedzieli, kiedy należało klękać. Z państw Europy to właśnie Francja ucierpiała najmniej na wojnie, a wiele mogła

jeszcze zyskać na niemieckich rządach. Jednym słowem: mądre posunięcie.

- Rozumiem - Erhard doskoczył do żandarma tak gwałtownie, że ten postąpił kilka kroków do tyłu - ale niech to się więcej nie powtórzy. - Kolaborant pozostawał kolaborantem. Jeśli z taką łatwością zmienili strony, co im przeszkodzi zrobić to ponownie? - Proszę się oddalić - polecił głośniejszym głosem, żeby słyszeli go drugi strażnik i operator PzK S. - Gestapo ma tu sprawy do załatwienia.

Kiedy patrol zniknął już za węglem, Reinerowi przyszło na myśl, jak szybko zmieniają się role, które życie przypisywało ludziom. Sadystyczny żandarm na chwilę zamienił się miejscami ze swoimi ofiarami. Podczas przedłużającej się kwarantanny Paryża z pewnością miał wiele okazji, żeby dać upust swoim skłonnościom. Wystarczyło jednak parę słów kapitana, żeby jego siła prysła, bowiem wpływała z zajmowanego stanowiska, nie z woli.

- Pusta siła - wyszeptał do siebie Hauptmann.

Ruszył dalej ulicą, ale znów zatrzymał się po kilku krokach. Tym razem z radości.

- Stoi - wychrypiął i zapominając o dyscyplinie, pobiegł w stronę jednego z nielicznych ocalałych budynków przy rue Poullétier, kamienicy, w której mieszkała Delphine.

Zanim wbiegł do środka, przez niebo przetoczył się rozdzierający huk. Będzie padać, pomyślał przelotnie. Świetnie.

Pokonanie trzech pięter zajęło Reinerowi całą wieczność, ale kiedy znalazł się już na samej górze, przed drzwiami kawalerki, zatrzymał się. Co chciał jej właściwie powiedzieć? „Delphine, nie jesteś bezpieczna. Jakiś szalony



Anglik muzułmanin chce cię porwać, żeby mną manipulować.” Pomyśli, że zwariowałem. Sam zaczynał się przychylić do takiej samooceny.

- *Monsieur* Erhard? - Dobiegł go znajomy damski głos, bynajmniej nie Delphine.

- Zgadza się, pani Truffault. - Staruszka mieszkała tu jeszcze przed wojną, często mijali się na korytarzu. Dziw brał, że nie dopadła jej jeszcze szara ospa. - Nie wie pani, czy Delphine... - pozwolił, żeby pytanie zawisło w powietrzu, bo prawdę powiedziawszy, sam dobrze nie wiedział, o co chciał zapytać.

- Wyprowadziła się kilka dni temu - pani Truffault zawahała się przez chwilę - z mężczyzną. - Reiner poczuł ukłucie tuż pod lewą piersią, które nie miało nic wspólnego ze strachem. - Przykro mi, *monsieur* Erhard, nie było pana tak długo. - Staruszka spojrzała na niego z mieszaniną żalu i wyrzutu w oczach. - Wiem, jak bardzo się...

- Proszę nie kończyć, pani Truffault, oboje byśmy żalowali. - Kapitan westchnął ciężko. - Nie wie pani, dokąd się udała? - Nie mogła opuścić Paryża, chyba że jej nowy... chyba że ten mężczyzna cieszy się naprawdę dużymi wpływami.

- W rzeczy samej. Mam to gdzieś zapisane, poczeka pan?

- Poczekam - odparł sucho.

Minęło kilka minut, zanim staruszka wróciła ze strzępkiem kartki, najpewniej wyrwanym pospiesznie z jakiegoś notesu czy dziennika. Kiedy stanęła przed nim, zawahała się.

- Nie wiem, czy właściwie powinien pan...

Jakimś cudem Reiner znalazł w sobie cierpliwość, żeby nie wyrwać jej kartki z rąk, tylko powiedzieć:

- Nie chcę znów wkraczać w jej życie. Chcę... chcę oddać jej coś, co do niej należy. - „Moje serce”, dokończył w myślach.

- Skoro tak... - Nietrudno było przekonać panią Truffault. - Proszę.

Reiner wziął notatkę. Rue Caulaincourt 14, Montmartre. Dziwne, już dziś tamtędy przechodził. Zmiał papier i wsunął go do kieszeni.

Skinął głową, zarazem w geście podziękii i pożegnania - nie miał zwyczaju mówić: „Do widzenia”, a „Dziękuję” nie przeszłoby mu przez gardło.

- Biedna Delphine - mruknęła pod nosem pani Truffault, raczej do siebie niż do Erharda. - Ta jej słabość do cudzoziemców...

Kapitan zatrzymał się w pół kroku.

- Słucham? - zapytał szorstko, odwracając się na pięcie.

- Och, powiedziałam tylko... - stropiła się staruszka.

- Wiem, co pani powiedziała! - warknął. - Kim, kim jest mężczyzna, do którego wyprowadziła się Delphine?!

- *Monsieur* Erhard, proszę się... - chciała powiedzieć: „Uspokoić”, ale nie dał jej skończyć.

- Odpowie mi pani, pani Truffault. - Kapitan wycelował w staruszkę palcem, jakby ją oskarżał. - Odpowie mi pani natychmiast.

Ton Hauptmanna nie dopuszczał sprzeciwu.

- To... to... Anglik. Sprzedawca dzieł sztuki czy coś podobnego.

Krew odplynęła z twarzy Erharda. Basim Lee.

Nie oglądając się na staruszkę, ruszył pędem w dół schodów.

- Tak nie wolno, *monsieur* Erhard! - krzyczała za nim.  
- Delphine wybrała go z własnej woli! Miał pan swoją szansę!

Ale on już nie słuchał. Spóźnił się, cholera, spóźnił się! Wypadł na ulicę, nie zauważając nawet ulewnego deszczu, który zdążył się rozpadać podczas jego krótkiej rozmowy z panią Truffault. Paryż ogarnęły zupełne ciemności, rozjaśniane jedynie od czasu do czasu błyskiem pioruna lub światłem w oknie jednego ze szczęśliwych domostw, którego bombardowanie nie pozbawiło dostaw prądu. Wzmagająca się ulewa tylko pogarszała widoczność. Reiner co chwilę potykał się o jakąś dziurę po pociску lub kupę gruzu i po chwili musiał zwolnić kroku. Wtedy go dopadło.

Z własnej woli.

Dopiero teraz zdał sobie w pełni sprawę ze słów staruszki. Delphine poszła z Basimem Lee z własnej, nieprzymuszonej woli.

Co? Jak? Reiner poczuł, jak powoli zapada się w otchłań.

•

Nie pamiętał, jak dostał się na rue Caulaincourt, jak odnalazł rozpadającą się, przedrewolucyjną kamienicę i jak wspiął się po szeroko ciosanych, kamiennych schodach na samą górę. Na poddasze.

Kiedy stanął przed zmatowiałymi, wypaczonymi, drewnianymi drzwiami, załapała go fala zimnego strachu. Nie wiedział, co zastanie po drugiej stronie, czego Basim Lee zażąda w zamian za jej życie. „Jeśli nie z własnej woli, to z konieczności, tak czy owak spróbuje pan ich

powstrzymać.” Słowa Basima dzwoniły mu w uszach jak zła piosenka.

Zmrużył oczy, jakby ten zabieg mógł wyostrzyć kontury rzeczywistości. Czy spróbuje „ich” powstrzymać? Czy może wybierze służbę, jak do tej pory? Nie wiedział. A jeśli on nie wiedział, to kto?

Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, że z wnętrza dochodzi cicha, przytłumiona melodia. Kiedy wyłowił poszczególne słowa, uśmiechnął się gorzko. Gershwin, *Someone To Watch Over Me*. Wiedział, bo sam podarował Delphine tę płytę. Ale to było przed wojną, to było przed... do licha z tym! Czas pokonać strach.

Prawą rękę zacisnął na lugerze, lewą sięgnął do klamki. Otwarte. Powoli uchylił drzwi i powiedział głośno:

- Jestem tu, Basim.

Głos Anglika nie zmącił grającej w tle piosenki. *So I'm going to seek a certain lad...* Reiner przełknął ślinę. Zła piosenka, pomyślał.

- Basim.

...*I've had in mind...*

- Jest tu - odezwał się cichy, chrapliwy głos. - Jeśli nie duchem, to ciałem.

Oczy Erharda przyzwyczaiły się już do panującego wewnątrz półmroku, toteż wyłowił zgarbioną sylwetkę, pochylającą się nad drugą, spoczywającą nieruchomo na krześle.

- Kobieta? - zdołał wykrztusić zaskoczony.

Nieznajomy wyprostował się i postąpiwszy dwa kroki naprzód, znalazł się w świetle żarówki wiszącej na klatce schodowej.

- Jest bezpieczna. Zabrałem ją od tego... potwora.

- W mężczyźnie Reiner rozpoznał agenta, którego wysłał za nim von Turen. Więc jego zadaniem nie było śledzić Erharda, a odnaleźć Basima Lee. - Proszę poczekać na zewnątrz, kapitanie. Kiedy tylko tu skończę, będę miał do pana parę pytań. Później możemy udać się do pana... - Tu wywiadowca zawiesił głos.

*...there's a somebody Im longing to see...*

- ...znajomej - odparł beznamytnie Reiner, chociaż zaschło mu w gardle. - Nic jej nie jest?

- Nie, jest tylko trochę roztrzęsiona.

Agent chciał się już odwrócić, jakby ostatnie zdanie miało służyć za pożegnanie, ale Erhard złapał go za ramię.

- Czy... czy wie, że tu jestem? W Paryżu? - zapytał.

- Wszystko jej wytłumaczyłem - odparł od niechcenia podkomendny von Turena. - Nie może się już doczekać, kiedy pana zobaczy.

*Someone to watch over me...*

- Aha.

Wychodząc, Reiner niby przypadkiem nie domknął drzwi. Sięgnął do nieosłoniętej żarówki i przez płaszc powoli ją wykręcił. Teraz również klatka schodowa pograżyła się w ciemności.

Delphine nie może się doczekać, kiedy go zobaczy.

Zacisnęła zęby. Wolną ręką wydobył drugiego lugera. W co ja ją wpłatałem? - pomyślał, ponownie mrużąc oczy.

*Someone to watch over me...*

Odwrócił się gwałtownie i skoczył do środka.

Mierzył w stronę krzesła, nad którym wcześniej pochylał się agent, ale jego już tam nie było. Reiner nie

zdążył się nawet obrócić, kiedy z boku spadł na niego cios. Na sekundę mroki wybuchły białym, palącym światłem bólu. Uderzenie było tak silne, że posłało zataczającego się kapitana na drzwi, które jednak go nie zatrzymały. Poleciał dalej i wpadł z hukiem na małe drewniane kredens wtulony w ścianę obok wejścia.

- Sukin... - zaczął, ale wywiadowca nie pozwolił mu skończyć. Doskoczył do oszołomionego kapitana i złapał go za gardło. - ...sss... - Słowa utonęły w rozpaczliwym gulgocie.

- Powinien był pan zostać na zewnątrz, Herr Hauptmann - wychrypiał agent. Reinerowi zdawało się, że jego głos przeszedł w warczenie, ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać. W dłoniach nadal kurczowo ścisnął lugery, fakt, który musiał umknąć jego napastnikowi. - Naprawdę, powi...

Tym razem to on nie dokończył. Hauptmann nadusił na spusty raz, drugi. Kiedy agent wreszcie osunął się na ziemię, Reiner odetchnął ciężko. Wpakował w niego chyba z pół tuzina kul!

- Cholernie trudno cię...

Cios w klatkę piersiową pozbawił go oddechu. Jak?! - przemknęło mu przez myśl. Poczul, jak ta sama dłoń, która go uderzyła, zaciska się teraz na jego koszuli.

- Nie...

Chciał strzelić raz jeszcze, ale nie zdążył. Wywiadowca rzucił nim przez pokój jak marionetką. Reiner uderzył w komodę stojącą pod przeciwległą ścianą i osunął się z jękiem na ziemię. Żaden człowiek nie był tak silny, szumiało mu w głowie, nikt nie mógł przeżyć sześciu kul w klatkę piersiową, nikt.

- Zadzierać z czymś, czego się nie rozumie - usłyszał cichy, ale zbliżający się z każdą sekundą głos. - Arogancja, nie sądzi pan, Herr Hauptmann?

Kapitan szukał po omacku broni, która wyslizgnęła mu się z rąk podczas zderzenia z komodą.

- Kim... czym jesteś? - zdołał wydusić. Zdawało mu się, że usłyszał cichutki chichot.

- Przekona się pan szybciej, niż pan myśli, Herr Hauptmann - odparł agent, nachylając się nad leżącym. Tym razem śmiech zabrzmiał wyraźniej.

- Ty... - podjął Reiner, ale zamilkł, kiedy załała go fala nikłego, zielonkawego światła, a melodię piosenki zagłuszyło głośnie młaśnięcie. Włosy na karku stanęły mu dęba, na twarzy zaperliły się kropelki potu.

Od strony otwartych na oścież drzwi rozległ się krzyk:

- Uciekaj, *efendi!*

Kapitan rozpoznał charakterystyczny akcent. Głos należał do sługi Basima Lee. Aziz nie czekał na reakcję Reiner. Skoczył na wywiadowcę niczym dziki drapieżnik, jakich Erhard naoglądał się za młodu w Afryce. Obaj mężczyźni przetoczyli się po podłodze, przewracając przy tym stół i zrzucając stojący na nim gramofon. Muzyka ucichła.

- Uciekaj! - powtórzył Aziz, okładając przeciwnika pięściami.

Hauptmann energicznie wstał i postąpił kilka kroków, gotów raczej pomóc nowo przybyłemu niż uciekać. Jednak gwałtowny ruch przyprawił go o zawrót głowy. Chciał się oprzeć o ścianę, ale trafił na kotarę dzielącą salon od drugiego pokoju, najpewniej sypialni, zerwał ją i wpadł

do środka. Próbował wyhamować, ale potknął się o coś i z przekleństwem na ustach runął na wznak, kalecząc sobie dłonie o szkło rozsypane na podłodze.

Podniósł się powoli i ostrożnie. Z sąsiedniego pokoju nadal dochodziły odgłosy walki, ale on nigdzie się nie spieszył, nie, jeśli miał to przypłacić kolejnym upadkiem. Zamiast rzucać się ponownie w wir wydarzeń, ocenił pobieżnie otrzymane rany. Szybko puchnąca twarz, jedno lub dwa złamane żebra i paskudnie pocięte dłonie. Całe we krwi. Tak dużo krwi, tak przeraźliwie dużo. To nie moja krew, pomyślał nagle. Spojrzał w górę, na powiewającą na wietrze firankę i wybitą szybę, po czym omiół wzrokiem resztę pokoju.

Zatrzymał spojrzenie na ciele leżącym pod jego stopami. Ciele, o które się potknął, kiedy wpadł tu zamroczony. Schylił się i nienaturalny lęk o władnął jego sercem, a zimny dreszcz przebiegł wzdłuż kręgosłupa. Ciało było zmasakrowane, pokryte niezliczonymi cięciami, ranami szarpanymi i, co wstrząsnęło Hauptmannem najbardziej, oparzeniami. Takimi, jakie powstawały od dotyku parzydełek meduzy. Reiner przyjrzał się twarzy zmarłego, ale w tej chwili nie potrafił nawet określić jego płci, nie mówiąc już o tożsamości.

Mógł wstać i wyjść, ale coś kazało mu zostać. Bardziej odruchowo, niż żywiąc jakąkolwiek nadzieję, przejechał palcami po szyi w poszukiwaniu pulsu. Tak jak się spodziewał, nie znalazł go, zahaczył jednak o łańcuszek. Powoli przesunął drżącą ręką wzdłuż naszyjnika, aż natrafił na zgrubienie, wisiorek. Ostrożnie podniósł go do światła wpadającego przez wybite okno.



Srebrne serduszko, wysadzane na obwodzie granatami.

Mimowolnie zacisnął pięści, nie zważając na ból pokaleczonych dłoni. Otwierał i zamykał na zmianę usta, nie wiedząc, czy krzyczeć, jęczeć, płakać czy złorzeczyć.

Zabił ją, po prostu ją zabił.

Dźwięk wybijanej szyby wyrwał go z otępienia. Zdecydował. Zazgrzytał zębami, na czole pojawiła się pulsująca żyłka.

Wywiadowca. Von Turen. Śmierć.

Śmierć, wyszeptał.

Nawet jeśli to będzie ostatnia rzecz, którą zrobi. Śmierć.

Rzucił się do wejścia prowadzącego do salonu. Potknął się przy tym i znowu skaleczył o rozrzucone szkło, ale nawet tego nie zauważył. Wypadł zza kotary jak pocisk, ale w pokoju zastał jedynie służącego Basima Lee, zajętego pakowaniem niedużej walizki.

- *Efendi*, nie ma czasu na... - rzucił ten, nawet nie odwracając głowy.

Erhard, dając upust gniewowi, złapał Araba za kołnierz i krzyknął:

- Gdzie on jest?! Gdzie szpieg Turena?!

Aziz wskazał okno. W ogóle nie przypominał sługi spod Lindon Street 17. Co prawda, miał te same olbrzymie, wyłupiaste oczy, tę samą wyдутą, uniesioną wargę, która sprawiała, że wyglądał jak szczerząca się hiena, ale w jego obliczu nie było strachu ani pokory. Erhard puścił służącego i podbiegł do okna.

- Nie widzę go. Zabiłeś go?

- Nie potrafię - przyznał Aziz. Powiedział to takim

głosem, jakby mówił o szydelkowaniu, a nie zabójstwie.

- To dobrze. - Kapitan nie zwrócił nawet uwagi na dziwną odpowiedź. Opętany chęcią zemsty, cieszył się jak dziecko, że ktoś wcześniej nie odebrał mu zabawki. - Ja to zrobię.

Rozejrzał się po podłodze w poszukiwaniu broni.

- Nic nie rozumiesz, *efendi!* Musimy uciekać, umykać, pierzchać, teraz! On zaraz tu wróci! - Erhard mruknął tylko pod nosem: „Na to liczę” i nie przerywał poszukiwań. - Kiedy tu biegłem, słyszałem strzały, całe mnóstwo. Myślisz, że zastrzelisz go ze swoich pukawek, *efendi?! -* Reiner zamarł, akurat kiedy wymacał jeden z lugerów. W słowach Aziza tkwił jakiś pokrętny sens. - Musimy czmychać, *efendi*, ile sił w nogach! Pan Lee chciał to panu wyjaśnić, ale teraz wszystko trafił szlag.

- Nigdzie się nie ruszam. - Kapitan podniósł pistolet.

- Ależ on tu zaraz wróci - jęknął Arab niemal błagalnie.

Erhard coś sobie uzmysłowił.

- Nie wiem, czy zdołam zabić psa von Turena, ale może uda mi się zabić ciebie. - Uniósł broń, gotowy do strzału.

- *Efendi*, czekaj! - wychrypiał służący. Wreszcie porzucił maskę odwagi, pomyślał z satysfakcją Reiner.

- Nie. Ty i Basim Lee jesteście temu winni pospołu. Winni jej śmierci.

- Pomogę - szepnęła ledwo dosłyszalnie Aziz, zwieszając głowę w akcie rezygnacji.

- Co?

- Pomogę. Pomogę ci zabić ctana. Agentu von Turena.

Erhard zmrużył oczy. Ostrze gniewu nie było w tej chwili wycelowane w Araba. Zresztą na niego zawsze znajdzie czas później, teraz chciał go tylko zmusić do współpracy. Schował broń.

- Mów.

- Futerał. Tam. Na szafce. Widzisz, *efendi*? - mamrotał pospiesznie służący.

- Widzę - odparł powoli Reiner, nawet nie odwracając głowy.

- W środku spoczywa sztylet mego pana.

- Sztylet Basima Lee? - zapytał z niedowierzaniem Hauptmann. Aziz milczał. - Sztylet? Mam zamienić lugera na sztylet? Raczysz żartować!

- Mimo że pistolet jest nieporównywalnie bardziej niebezpieczny od wody, to wody użyjesz do gaszenia pożaru, nie pistoletu, czyż nie, *efendi*? - Mówiąc to, sługa wydawał się śmiertelnie poważny.

- To ma być odpowiedź? - Ale czego innego mógł się spodziewać po przedstawicielu ludu brudasów, którzy nie umieli nawet poprawnie pisać? - Mało to przekonujące. Prawdę mówiąc, sam możesz to zrobić.

- Nie, nie mogę - zaprzeczył zaskakująco poważnie Arab. - Sztylet... ja... zresztą trzeba go dźgnąć w plecy, a ktoś musi go przytrzymać.

- Przed chwilą poradziłeś sobie całkiem zręcznie.

Reiner dopiero teraz zwrócił na to uwagę. Nim agent rzucał jak kukłą z siana, a niższy od niego o głowę Aziz zdołał wypchnąć tamtego przez okno.

- Wtedy nie pokazał nam swego prawdziwego oblicza.

- Prawdziwego oblicza? - Reiner przypomniał sobie

zielone światło, które wypełniło pokój, gdy wywiadowca się nad nim pochylał. - Co masz na myśli?

- *Efendi...* - zaczął Aziz i zamarł. - Idzie.

- Nic nie słyszę - odparł Reiner.

- Na Allacha, niech pan weźmie ten cholerny sztylet! - syknął sługa. - Niech pan go weźmie i dźgnie go w plecy, łokieć poniżej karku!

Hauptmann nie rozumiał, jak ten Arab to sobie wyobraża. Zresztą nie miał czasu się zastanowić. Teraz i on usłyszał kroki na schodach. Brzmiały tak, jakby ktoś przeskakiwał kilka stopni na raz. Erhard podbiegł do wejścia i schował się za drzwiami, po drodze chwytając futerał.

Aziz chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nie zdążył. Przez szeroko otwarte drzwi do mieszkania wpadł agent von Turena. A przynajmniej coś, co kiedyś było agentem. Naturalny kolor skóry ustąpił trupioblademu, palce u rąk wydawały się nienaturalnie długie, szponiaste. Ale najgorsze były oczy, dwie plamki czerni, dwa mroczne punkty, ziejące pustką i zimnem. Oszołomiony przerażającym widokiem, Reiner nie zareagował od razu. Patrzył, jak wywiadowca skacze na Araba, jak obaj zwierają się w uścisku. Widział, jak coś przesuwa się po plecach agenta, coś dostatecznie dużego, żeby odznaczało się pod warstwami ubrania. Słyszał, jak stwór mówi do Aziza:

- Złamię cię jak źdźbło trawy, pomiecie salgothów.

Arab w odpowiedzi splunął mu w twarz.

Potem do głosu doszedł instynkt. Reiner oddał dwa strzały. Nie mógł nie trafić. A jednak jedynym widocznym efektem był gromki śmiech wywiadowcy.

- Poczekaj na swoją kolej! - wrzasnął.

- Sztylet, głupcze! - krzyknął rozpaczliwie służący, siłując się z agentem.

Reiner otworzył futerał. W środku spoczywało lśniące, kilkunastocentymetrowe ostrze. Wydawało się solidne, chociaż wykończenie rękojeści, a zwłaszcza wieńcząca je kryształowa gałka, wyglądało tandetnie. To absurd, pomyślał Erhard. Rzucił krótkie spojrzenie na walczących i znieruchomiał. Wiedział już, czym było coś, co poruszało się po plecach agenta, wiedział, choć wolałby nie wiedzieć.

Spod płaszcza wywiadowcy wyrastały macki - długie, czarne jak nagrobny bazalt, pokryte drobną szczecina, niczym odnóża pająka, falowały spazmatycznie w powietrzu, jakby w rytm jakiejś makabrycznej, nieziemskiej melodii. Gdzieś tam, w ich kłębowisku, czaiło się coś jeszcze gorszego. Miękkie, gąbczaste serce, obleczone w śluz i chitynową skorupę. Ono również pulsowało jak opętane, rozjarzając się zielonkawym, zgnitym światłem. Reinerowi zebrało się na wymioty. Macki, niczym węże boa, oplótły szamoczącego się, wyjącego z bólu Aziza. Tam, gdzie dotknęły skóry pozostawiały szerokie, zaognione blizny. Z każdą sekundą Arab kwilił ciszej, jakby stwór wysyłał z niego samo życie.

Gdzieś w tyle głowy Hauptmanna zrodziła się myśl, krzyk instynktu, który spotykając się z nienazwanym, wykraczającym poza zdolności pojmowania zagrożeniem, podejmuje próbę ocalenia w ostatnim, rozpaczliwym impulsie ucieczki - albo całkowitej apatii, katatonii. Dotknął już dziś czarnych, bezkresnych odmętów rozpaczy, ale tym razem zanurzył się w nich bez reszty. Opuścił gardę, pozwolił, by panika i paraliż spowodowany

strachem zagrały o jego duszę. I wtedy usłyszał spokojny, miarowy, donośny głos przecinający pustkę, niczym światło latarni morskiej prowadzące do bezpiecznej przystani. Odwaga bierze się z woli.

Reiner rzucił się na agenta, w dłoni błyszczał mu srebrny sztylet. Wbił go z całej siły w plecy wywiadowcy, tuż nad kością ogonową. Ryk bólu rozdarł nocną ciszę. Kapitan z krzykiem poderwał ręce do krwawiących uszu, nie mogąc znieść przeraźliwego skowytu. Jedna z hebanowych macek uderzyła go ze świstem, odrzuciła na kilka metrów i zostawiła piekącą ranę na policzku. Rozległ się drugi ryk, tym razem wściekłości, po czym potwór - Reiner nie mógł się już zmusić do nazywania go wywiadowcą - wyskoczył przez wybite wcześniej okno.

Znów jedynym słyszalnym dźwiękiem było bębnienie deszczu o dach i parapet.

Kapitan powoli wstał. Umysł stopniowo wypierał koszmarnie obrazy, które przed kilku chwilami zarejestrował. Brudząc twarz krwią z pociętej dłoni, Reiner potarł oparzenie. Bolało jak jasna cholera. Pocieszał się tylko tym, że Aziz, który również dochodził do siebie, był znacznie bardziej poparzony. Jego skóra nabrała jeszcze ciemniejszego koloru.

- *Yelaan sabea jad lak!* - warknął Arab, kiedy złapał oddech. - Łokieć! Nie więcej! Nie trafiłeś, nie zdołałeś go zabić! On wróci! Głupcze, czy wiesz...

- Jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie głupcem, to przysięgam, że tej nocy umrzesz na zbyt duże stężenie ołowiu we krwi. - Erhard zdążył się już pozbierać i odzyskał dawne poczucie humoru.

- Co? Nie rozumiem, *efendi*.

-

Po głosie Reiner nie potrafił ocenić, czy Arab rzeczywiście nie zrozumiał, czy tylko udawał. Postanowił nie pozostawiać niedomówień.

- Zastrzełę cię.

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Lepiej skończę nas pakować - powiedział wreszcie Aziz, mrucząc pod nosem coś o niewdzięcznym bękarcie wielbłąda.

- Nas? O nie, muszę wytropić tego potwora. Muszę - rzucił okiem na kotarę zasłaniającą sypialnię - muszę załatwić też inne sprawy.

- Nie martw się, *efendi*, to on znajdzie ciebie. Jak chcesz go teraz pokonać? - Faktycznie, sztylet został w plecach tego czegoś. - Myślisz, że jest jedyny? O nie, mój przyjacielu, jest ich o wiele, wiele więcej.

- Czym są? Komu służą? Co...?

- Zbyt wiele pytań, *efendi*, zbyt mało czasu. - Aziz dopinał już klamry walizki. - Służą von Turenowi. - Reiner mógł się tego domyślić. - A on służy Thule. Mój pan chciał położyć temu kres. Teraz ten obowiązek spoczywa na mnie i na tobie. Podejmiesz się tego?

Erhard spoglądał na niego pustymi oczami, jego myśli rozpięchły się po ciemnych zakamarkach jaźni. Wszystko wydarzyło się zbyt szybko, zbyt nagle. W normalnych warunkach nie zniżyłby się do poziomu Araba, nie rozmawiałby z kolorowym jak równy z równym. W normalnych warunkach Delphine żyłaby nadal.

- Zgoda - wyszeptał wreszcie, jakby wstydział się własnych słów. - Pojadę z tobą;

Spojrzał w stronę sypialni.

- Ktoś się nią zajmie, *efendi*. Uczcij jej pamięć, mszcząc jej śmierć. Martwy na nic się jej nie przydasz. -

Erhard tylko kiwnął głową. - Weź pierścień Basima Lee.

- Pierścień? - To wybiło go z zamyślenia. - Po jaką cholere?

- Ma go na palcu serdecznym. Jest cenny.

Nie wyglądał na taki: wykonany z mosiądzu albo żelaza, albo z obu tych metali. Oryginalnie wysadzany był czterema klejnotami, ale zostały tylko dwa - czerwony i zielony - które zresztą nie wyglądały zbyt imponująco. Reiner wziął jednak pierścień i wrzucił do kieszeni. Następnie odszukał drugiego lugera i oba schował do kabur.

- Gotowy, *efendi*? - zapytał Aziz. W jednej ręce trzymał walizkę, w drugiej podręczną apteczkę. Kiedy tylko znajdą bezpieczną kryjówkę, przyjdzie czas na obmycie i opatrzenie ran.

Erhard bez słowa wszedł do sypialni. Kiedy wrócił, w zakrwawionej dłoni ścisnął łańcuszek i małe srebrne serduszko wysadzone granatami.

•

Od godziny starali się unikać patroli, chociaż jak na złość było ich coraz więcej. Hauptmann przypuszczał, że miało to coś wspólnego z alarmem wywołanym przez agenta, ale zachował swoją opinię dla siebie. Mówienie sprawiało mu coraz większą trudność. Wzrok też mu się pogarszał, ale nie zamierzał okazywać słabości.

Dopiero w połowie jakiejś wąskiej, mokrej uliczki wymamrotał wreszcie:

- Tracę ostrość wzroku. - Właściwie nie mógł już różnić drogi przed sobą. - Słabnę - musiał przyznać.



Zatrzymali się i Aziz przyjrzał mu się dokładnie.

- Przeklęty niech będzie dzień! - zawył. - Jad dostał się do krwi! Czemuś nie powiedział?!  
- Jad? - Erhard zlekceważył pytanie. Za długo by tłumaczyć, skoro z trudem wymawiał nawet pojedyncze wyrazy. Miał wrażenie, że jego język zamienia się w kamień.

Aziz oparł kapitana o ścianę. Ten osunął się powoli na ziemię.

- Jad ctana! Zranił cię, *efendi*, nie pamiętasz? - Ctan? Gdzie on to słyszał? - Będę czuwał, *efendi*! Postaram się... postaram się, żebyś nie osunął się w Mroki. Będę czuwał.

Hauptmann zmusił się do uśmiechu, ale mięśnie twarzy odmówiły mu posłuszeństwa i wyszedł złośliwy grymas.

- Ty też zostałeś... ranny.

Aziz zaśmiał się gorzko. Erhard usłyszał jednak tylko cichy, zwielokrotniony dźwięk, niczym niknące echo.

- Tak, ale w przeciwieństwie do ciebie, *efendi*, w moich żyłach nie płynie krew.

### 3. Nocny pociąg

*Deus le volt.*

Urban II

Było zimno i ciemno. Skulił się instynktownie, ale to nie zapewniło mu nawet odrobiny ciepła. Jestem w piekle, pomyślał, w lodowatym, dantejskim piekle zdrajców. Coś, w tym mroku nie widział co, otarło się o niego, zdzierając skórę z całego prawego boku, miażdżąc stopę i wyrywając nerwy z ramienia.

Naprężył się jak struna, głowa eksplodowała mu ognistym stosem bólu. Płonął, płonął mimo zimna. Chciał krzyżeć, ale nie mógł. Drżące usta ledwo się poruszały, nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Oczy zaszkliły mu się łzami, które zamarzły, zanim zdążyły spłynąć po spieczonych zimnem policzkach. Odłamki lodu poraniły kąciki powiek, popłynęła krew, ale i ona zmieniła się w lodowe jęzory.

Gdzieś w oddali rozległ się głos. Przypominał dźwięk kościelnego dzwonu albo zgrzyt łańcucha przeciąganego po tłuczonym szkle, albo jęk potępionego, tysiąca potępionych. Reiner nie wiedział, co to za język, czy to w

ogóle jest język, ale te niby-słowa wzbudziły w nim paniczny strach. Chciał się rzucić do ucieczki, ale nie mógł - jedna noga całkowicie mu zamarzła, już jej nie czuł, druga była zgnieciona, rozsmarowana na posadzce. Głos przybrał na sile, a potem nagle zamilkł - to on ogłuchł.

Sparaliżowany, głuchy, ślepy. Bezbronny. To uczucie zraniło go mocniej niż wszystkie fizyczne rany, jakich doznał przed chwilą, jakby czarna łapa wyrwała część jego jestestwa.

Odebrano mu siłę. Odebrano mu Sen.

Wróciły wyparte z pamięci wspomnienia.

Był małym, może dziesięcioletnim chłopcem. Wraz z ojcem przebywał w niemieckim obozie naukowym u brzegów Tanganiki. Przerażało go zasnute ciemnymi chmurami deszczowe niebo, przerażała gęsta, niedostępna dżungla, przerażały mętne, głębokie wody jeziora. Ale najbardziej przerażały go krzyki.

Usłyszeli je któregoś marcowego poranka, na długo przed świtem. Przybiegł wtedy do ojca szukać opieki, ale ojciec mu nie pomógł. Siedział w kącie, blady, spocony. W dygoczących rękach ścisnął rewolwer. Nie zauważył nawet własnego syna. Mamrotał tylko w kółko niezrozumiale po łacinie. Czasem wyrwało mu się pojedyncze: „Boże, mój Boże”, ale tylko tyle kilkuletni chłopiec mógł zrozumieć. Pobiegł do drugiego baraku, chciał znaleźć Łowcę, ukryć się za jego stalowymi nożami i stalowym spojrzeniem. Za dnia bał się do niego nawet zbliżyć, ale teraz, teraz krzyki stawały się bliższe, a powietrze chłodniejsze... Łowcy też nie było. Zabrał swoje noże i strzelbę, nie było też jego walizki. Uciekł.

Mały Reiner wybiegł z baraku. Słyszał za sobą krzyki lokaja ojca, zapewnienia, że w środku jest bezpieczny. Biegł dalej. Nie był już bezpieczny. Nigdy nie będzie.

Krzyki dochodziły z plaży. Rozpaczliwe jęki, skowity bólu i wycie, jakby ktoś obdzierał ludzi ze skóry. W obozie panował chaos. Każdy ratował własne życie, nikt nawet nie myślał o stawieniu oporu. I Czarni. Nigdy nie zapomni Czarnych.

Stali tam i przyglądali się wszystkiemu ze spokojem, satysfakcją błyszczącą w oczach. To nie wasz kraj, nie wasz ład, zdawali się mówić. Przybyliście tu, uzbrojeni w noże i broń palną, i na co się to zdało? Czarny Łąd domaga się czarnej ofiary.

Potknął się o leżące na trawie ciało. Pustymi oczodolami spozierał na niego Heinrich, kapelan. Jego nieme oblicze oskarżało. Piętnowało. Reiner rzucił się do ucieczki. Sam już nie wiedział, dokąd biegnie. Byle dalej.

Krzyki rozlegały się już w środku obozu. Do nozdrzy chłopca dotarł ostry, metaliczny zapach krwi. Reiner złapał się za żołądek, powstrzymując targające nim torsje. Minął go jakiś mężczyzna, żołnierz. Porzucił gdzieś w ciemności nieporęczny karabin, zgubił też zakończony szpicem hełm. Wbiegł w gęstwinę dżungli i znikł.

Po chwili Reiner usłyszał jego wrzaski.

Obóz został otoczony, nie było ucieczki. Przebiegali następni żołnierze, żaden nie zwracał uwagi na małego, bezbronnego chłopca. Reiner nie mógł wydusić z siebie ani jednego słowa. Nie mógł ich ostrzec.

To, co grasowało w obozie, nagaśniało ludzi do lasu,

gdzie czekała ich niechybna śmierć. Reiner miał ochotę się rozplakać, ale łzy za nic nie chciały popłynąć.

Kiedy padł na niego cień, podniósł głowę.

Stał nad nim Murzyn, ale niepodobny do tych, którzy służyli ojcu i jego towarzyszom. Był nagi, nie nosił nawet przepaski biodrowej. Muskulatura i rysy twarzy świadczyły, że jest mężczyzną, ale krocze miał całkowicie gładkie i pozbawione owłosienia. Nie na to jednak zwrócił uwagę dziesięcioletni chłopiec, a na płonące, kolorowe oczy. Czarny nachylił się nad nim, pachniał mieszaniną krwi i moczu, cały ociekał jakąś gęstą, oleistą cieczą.

Kiedy Reiner myślał, że to już koniec, usłyszał krzyk i huk wystrzału. Murzyn padł na ziemię, a mężczyzna, który go powalił, doskoczył do chłopca. To był Łowca. Schował rewolwer za pas i jeszcze raz wykrzyknął te przedziwne słowa, *ctan ftagnhn*. Czarny zwinął się w kłębek. Wtedy Łowca wyciągnął nóż i dźgnął go w podbrzusze. Tamten syknął i padł martwy.

Dopiero wtedy mężczyzna rzucił chłopcu krótkie spojrzenie. Po chwili wahania chwycił go za rękę i pociągnął w stronę jeziora. Plaża była usłana ciałami, lepki od krwi piasek przyklejał się do nóg i wpadał do butów. Łowca wsadził chłopca na jedną z długich łodzi i zaczął ją spychać na jezioro, ciągle mamrocząc swoją mantrę. Oddalili się od brzegu, krzyki powoli cichły. Mężczyzna, który uratował mu życie, odetchnął i zaczął się wdrapywać na łódź.

Wtedy to coś zaatakowało. To był wąż, to musiał być wąż. Okręcił się wokół pasa Łowcy i wciągnął go pod powierzchnię. Woda przez chwilę bulgotała, ale zaraz się

uspokoila. Chłopiec, przerażony, ale ciekawy, przysunął się do burty. Tafla była już niemal gładka. Wychylił się jeszcze bardziej.

W górę trysnęła fontanna wody, łodzią zakołysało. Chłopiec odskoczył trwożnie od burty, ale coś już gramoliło się na pokład. Jego serce zamarło.

- Dziś żyjemy - wychrypiała postać. Łowca. - Zapamiętaj ten dzień, chłopcze. Zapamiętaj - powiedział i padł z wycieńczenia.

Chłopiec, bojąc się poruszyć choć o cal, leżał w poprzek łódki, z twarzą zwróconą ku szarobrunatnemu niebu zwiastującemu świt.

Ale niebo nie było szarobure. Nie było już nawet czarne.

Było zielone, zgniłozielone.

Leżał pośród jałowej krainy, nie, więcej niż jałowej, zatrutej. Czarna ziemia pod jego plecami zdawała się palić jego nagie ciało. Po niebie przetaczały się czarnozielone chmury, wśród nich czarne i czerwone pasma wijące się jak węże, jakich nie widział od tamtej mrocznej nocy nad jeziorem Tanganika, przed z górą trzydziestu laty. Dziwne, że dopiero teraz przypomniał sobie tamtą przekłętą noc. Wstęgi lgnęły do ziemi niczym macki ośmiornicy. Albo... albo ramiona wywiadowcy.

Wszystko zbladło. Nieskończoną czerń zastąpiła nieskończona biel. Później nie było już nic.

•

Najpierw pojawił się dźwięk, miarowy turkot. Później wszystko zaczęło szarzeć, nabrało konturów. Białe, jaśniejący punkt stał się lampą, a ciemnobrązowa otoczka -

sufitem. Leżał na sofie, ale dość krótkiej, bo czuł, że nogi ma podkurczone. Na ścianie, poza zasięgiem jego wzroku, coś nieustannie migało. I to cholerne trzęsienie. Wreszcie pojał. Był w pociągu.

- Na Allacha, *efendi*, udało ci się! - wybuchnął siedzący obok Aziz. - Myślałem, że cię straciłem!

- Aziz - wychrypiał Reiner.

- Nic nie mów, napij się, jesteś odwodniony.

Arab podał mu parujący kubek. Znów ta dziwna kawa. Kapitan zmusił się do przełknięcia kilku łyków. Od razu poczuł się lepiej.

- Jesteśmy w pociągu.

- Musieliśmy jak najszybciej opuścić Paryż. Szukali cię.

- Ale jak... - Reiner przerwał, żeby złapać oddech. - Jak ci się to udało? Dworzec na pewno roił się od żołnierzy.

- Mam swoje sposoby. - Aziz wyszczerzył zęby w paskudnym uśmiechu. - Ludzie widzą to, co chcą widzieć, *efendi*. Dziękujmy Bogu, że to nie ctan przeszukiwał pociąg. Ze zwykłymi żołnierzami nie było problemu.

Ctan. To słowo dzwoniło mu w uszach. I coś jeszcze...

- Powiedziałeś, zanim straciłem przytomność, powiedziałeś... - kapitan zmusił się, żeby dokończyć. - Powiedziałeś, że w twoich żyłach nie płynie krew.

- Bo tak w istocie jest, *efendi*. - Arab zachichotał. - Byłem sługą Basima Lee, tak jak teraz jestem twoim.

Reiner pytająco uniósł brwi.

- Pierścień Sulejmana, on daje ci władzę nade mną.

Erhard sięgnął do kieszeni, w której ukrył sygnet. Dopiero teraz zauważył, że ma zabandażowane dłonie. Nie zdawał sobie sprawy, że pokaleczył je tak mocno.

- To? - zaśmiał się, wyciągając pierścionek. - Pierścień Sulejmana? On daje mi nad tobą władzę?

- To skomplikowane - zaczął Arab. - Sulejman, władca świata i głosiciel jedynej wiary, otrzymał w darze cztery klejnoty. Pierwszy, by za jednym jego skinieniem rozstępowały się fale. Drugi, by oddech jego nabrał mocy wichury. Trzeci, by głos miał tak delikatny, że rozumiałoby go najmniejsze ze stworzeń bożych. I czwarty, by spojrzeniem mógł demony zaklinać na służbę. Sulejman zamknął klejnoty w pierścieniu, żelazem i mosiądzem pieczętując swą wolę.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś demonem? - Reiner uśmiechnął się krzywo i poczuł piekący ból w ranie na policzku. - Nie masz nic lepszego? Bardziej etnicznego? Na przykład džinn.

- Widziałeś ctana, jak możesz wątpić? - oburzył się Aziz.

- Ctana? - Erhard miał zbyt wielki zamęt w głowie, żeby kwestionować słowa sługi. W swoim czasie przekona się, na jaki kolor krwawi Arab. - Opowiedz mi o nich. Raz już słyszałem to słowo, wiele lat temu. *Ctan ftagnhn*. - W jego ustach brzmiało to nie mniej obco niż w ustach Łowcy.

Oczy Aziza rozbłysły.

- Gdzie to słyszałeś?

- Od mojego... ojca. - W duszy Reiner zaśmiał się gorzko, bo mimo tylu lat, które z nim spędził, nie potrafił nawet przypomnieć sobie jego twarzy. - W Afryce. Nocą,



kiedy czarny lud przybył po nas. Ale oni w niczym nie przypominali tego czegoś z rue Caulaincourt. - Chociaż wąż z jeziora...

- Są czarnym pomiotem ashub. Wdziwiają różne skóry, wedle życzenia. Ale zdradza ich obca natura. Nie umieją naśladować oczu, rozumiesz, *efendi*, ich oczy zawsze są obce. - Reiner przypomniał sobie niepokojące spojrzenie von Turena. - Zostali tu sprowadzeni z ciemnej, zimnej pustki między światami, Voghtoth, aby przybliżyć Czas Zaćmienia. A kiedy ten czas nastanie, skończy się era ludzi. Na zawsze przestaniecie być panami własnego losu. Myślę, że jad dał ci przedsmak tego, co czeka ludzkość.

- To przypomina brednie obłąkanego kaznodziei - burknął Reiner, gubiąc się w dziwacznie brzmiących nazwach - ale mów dalej.

- *Ctan ftagnhn* to starożytne słowa ochronne, ale tylko ktoś, kto spojrział na drugą stronę i otrzymał mroczny dar, mógłby zrobić z nich użytek. Jak dobrze znałeś swojego ojca, Reinerze Erhardzie?

- To nie twoja sprawa. - Kwestia była warta rozważenia. Właściwie nie znał go wcale. - Ten czas zaćmienia, czy ma coś wspólnego z tym, o co, ehem, walczysz?

- To jedno i to samo, *efendi*. Zostało napisane: „Kiedy dotrzecie do najdalszego brzegu i zerwiecie łańcuchy, przeszłość stanie się przyszłością, a przyszłość dniem dzisiejszym”. - Aziz cytował z pasją. - „Trójca otworzy oczy i dzieci ashub zaleją Ziemię po jej krańce. Tak skończy się Historia.” Nie wiem, czy zamiarem Stowarzyszenia Thule jest przybliżenie Czasu Zaćmienia, ale ich działania do tego doprowadzą.

- Pleciesz trzy po trzy, Arabie. Twoje słowa mają jeszcze mniej sensu niż mamrotanie Lee czy tamtego drugiego szaleńca z White Tower. Co nam po zagadkowych przepowiedniach? Przepowiedniach, w które trudno mi uwierzyć.

- Nie obchodzi mnie, w co wierzysz! - krzyknął czerwony ze złości Aziz. - Nie obchodzi mnie, czy powstrzymasz Thule z poczucia obowiązku wobec ojczyzny, z dobrej woli czy chęci zemsty! Nie obchodzi mnie, dopóki to zrobisz!

- Jak na kogoś pozbawionego krwi, nieźle ci się zgotowała - zaśmiał się Reiner. - Co więc planujesz? Jak mamy dokonać tych chwalebnych czynów? We dwójkę przeciwko zastępom?

Aziz rozsiadł się wygodnie naprzeciw Reinera. Najwyraźniej udało mu się załatwić bilety w pierwszej klasie, mieli bowiem cały przedział dla siebie. Arab pociągnął zdrowy łyk kawy, po czym kontynuował:

- Nie będziesz musiał pływać w morzu krwi swych wrogów, jeśli to cię martwi. Wiedza, a nie brutalna siła przeważy szalę.

- Ale ktoś będzie musiał wykorzystać tę wiedzę, nieprawdaż? - zapytał z powątpiewaniem kapitan.

- Owszem. Tu wchodzisz ty i twoja brutalna siła. - Aziz zachichotał. - Widzisz, z tego, co wiem, Stowarzyszenie Thule odkryło w Irem starożytną księgę, może nawet sprzed mojego czasu. - Powiedział to tak, jakby mówił co najmniej o eonach. - McLean sądził, a mój pan się z nim zgadzał, że tomy tego antycznego dzieła zawierały plany mechanizmów, które ty zwiesz Wrotami Eskalacji. Energia, którą produkują, jest niczym innym, jak

darem od bogów-Trójcy, który ma przybliżyć Czas Za-  
ćmienia. Nie pytaj mnie, jak.

Eskalacja? Czy to możliwe? Czy narzędzie triumfu  
Rzeszy może okazać się jej zgubą? Reiner przypomniał  
sobie wizję zielonego nieba i spieczonej ziemi. Czy to była  
kraina ctana? Czy może przyszłość Ziemi?

- Wiem o trzech osobach, które uczestniczyły w eks-  
pedycji do Miasta Słupów. Doktor Otto Brezler, doktor  
Ilsa Strauss i doktor Wilhelm Fannsbach.

Fannsbach? Ten dobrotliwy staruszek? Czy to w ogóle  
możliwe?

- Wszyscy oni stoją wysoko w szeregach Stowarzysze-  
nia Thule. Basim Lee zamierzał ich odnaleźć i wydobyć  
od nich potrzebne informacje.

- Odnaleźć i wydobyć. To brzmi tak prosto - rzucił  
sarkastycznie Reiner. - Świat ogarnęła wojna, Aziz, ko-  
munikacja jest utrudniona, mnie już najpewniej ścigają...  
- za zdradę Rzeszy, niesłuszne posądzenie, to bolało go  
najbardziej - ...a ci ludzie mogą być gdziekolwiek. Fannsbach od chwili uruchomienia Zegara pozostaje w ukryciu.  
Jak zamierzasz ich odnaleźć?

Nastąpi cisza.

- Spytały o drogę - powiedział wreszcie Arab. - Zmie-  
rzamy do Rzymu, tam mamy przyjaciół.

- Do Rzymu? - zapytał zaskoczony Hauptmann.

- Tak, jesteśmy już niemal na granicy. Leżałeś nie-  
przytomny przez dwa dni - wyjaśnił, odpowiadając na  
pytające spojrzenie Reiner.

- Dwa dni. - Przypomniała mu się ciemność i przeżę-  
rające kości zimno. Dwa dni! - Gdzie byłem? Co widzia-  
łem?

- Co tam widziałeś, tylko ty wiesz, *efendi*. Zabrano cię w mroki pustki pomiędzy światami. Gdybyś został tam dłużej, dotarłbyś na drugą stronę, ujrzałbyś oblicze bogów-Trójcy i byłbyś stracony dla tego świata.

Głos, starożytny, rozrywający uszy głos. Czy to jeden z bogów go wzywał?

- Ja... - zaczął. - Nieważne. Powiedziałeś: przyjaciół.

- Tak. Jest kilku ludzi w Watykanie, którzy zdają sobie sprawę z prawdziwego obrazu świata. Pomogą nam. Zaprowadzą nas do Argusa Biesiadnika.

- Słucham? - Starał się podejść do tego z otwartym umysłem. Na własne oczy widział ctana, w głębi serca czuł, że Vaterlandowi zagraża niebezpieczeństwo, ale nie mógł się wyzbyć uczucia, że bierze udział w jakimś kiepskim żarcie. Argus Biesiadnik? Kto, do cholery, nosi takie imię?

Aziz nic nie odpowiedział, jedynie zmrużył oczy i nasłuchiwał.

- Chciałem zapytać: do kogo?

- Jest tu - odparł cicho Arab, a Reiner miał pewność, że nie chodzi o Argusa. Teraz też to poczuł. Temperatura spadła, w powietrzu unosił się strach. Jak tamtej pamiętnej nocy nad brzegami Tanganiki. Jak wtedy, gdy uratował go Łowca. Adelmar Erhard.

- Ctan - powiedzieli równocześnie.

Reiner poczuł zimny ucisk w okolicach serca. Sługa von Turena wrócił, by dokończyć dzieło, a on nie miał już sił, żeby mu się przeciwstawić.

- Możesz iść, *efendi*? - Hauptmann kiwnął głową. - Dobrze, wstawaj.

Arab chwycił w jedną rękę walizkę, drugą pomógł

Reinerowi się podnieść. Na korytarzu przed ich przedziałem panował półmrok, było zimno, jakby ktoś zostawił otwarte okno.

- Tędy, ctan zbliża się od strony salonki.

Ruszyli w przeciwnym kierunku. Zostawiali za sobą przedział za przedziałem, minęli starszawego konduktora, który drzemał na rozkładanym krzeselku, i przeszli do następnego wagonu. Dla rannego kapitana taka przeprawa, chociaż nie forsowna, była ciężką próbą. Ręce i twarz miał obolałe, klatka piersiowa piekła przy każdym oddechu. Drugi wagon nie różnił się od poprzedniego. Po lewej kolejne pomieszczenia, po prawej okna, przez które wpadało księżycowe światło. Tu, na korytarzu, było więcej ludzi. Jakiś staruszek cmokał fajkę, spoglądając na migający za oknami krajobraz, młoda para flirtowała bezczelnie w drzwiach jednego z przedziałów.

- Przykro mi, ale wagon restauracyjny jest zamknięty o tej porze, *messieurs* - przywitał ich życzliwie konduktor. - Otwieramy o szóstej.

Drzwi do wagonu, którymi jeszcze przed chwilą weszli Reiner z Azizem, teraz otworzyły się znowu. W wejściu stał wywiadowca von Turena.

- Bezczelnik! - wydarł się zupełnie niepodobnym do własnego głosem Aziz. - Nie rozpoznajesz hrabiego de Frosac?! Toż to współwłaściciel linii! - Konduktor zamrugał niemrawo. - Hrabia chce się napić! Otwierajże, na Boga!

- Och, przepraszam najmocniej! - zapiszczał konduktor. - Dopiero teraz pana rozpoznałem, hrabio! Już otwieram. - Wyciągnął pęk kluczy.

Ctan pokonał już połowę wagonu. Otwarcie zamka towarzyszył charakterystyczny szcęk.

- Proszę.
- Tamten pan - Aziz wskazał konduktorowi wywiadowcę - chyba nie ma biletu.
- Pana bilet, *monsieur* - rzucił konduktor, ruszając w stronę agenta.
- Reiner i Arab opuścili tymczasem wagon.
- Skazałeś tego człowieka na śmierć - zauważył bez emocji Hauptmann.
- Lepiej on niż my, *efendi*. Kupi nam kilkanaście sekund.

Reiner tylko kiwnął głową.

Przed nimi rozciągał się wagon restauracyjny. Stoliki znajdowały się po obu stronach, każdy odgradzony od następnego drewnianym parawanem. Kiedy dotarli do drzwi prowadzących na zaplecze, Aziz się zatrzymał.

- Daj mi broń, *efendi*.
- Mówiłeś, że to cholera nie zginie od kuli.
- Bo nie zginie, ale zatrzymam go na chwilę. - Obaj usłyszeli dźwięk zatraskiwanych drzwi. - Pistolet. - Reiner posłusznie, choć niechętnie oddał Arabowi jednego lugera. - Idź. Dogonię cię.

Gdy Hauptmann zamykał za sobą drzwi na zaplecze, usłyszał pierwsze strzały. Wyminął stoliczek na kółkach, cały zastawiony czystymi naczyniami, później wpółotwarte drzwi kuchni, zza których wydobywała się delikatna woń owoców i pieczywa. Zatrzymał się dopiero przy końcu wagonu, po lewej mając drzwi z napisem: „Spizarnia”, a na wprost nieoznakowane, prowadzące zapewne do furgonu.

Wbrew instynktowi, który nakazywał pędzić do przodu jak najdalej, Reiner wszedł do spizarni. W nikłym, migotliwym świetle przyjrzał się kolejnym półkom.

Strzały w wagonie restauracyjnym ucichły. Marynaty, sery, wino... jest. Sięgnął do szuflady z napisem: „Srebro” i wydobył na ślepo garść sztuczków.

- Niech to jasna cholera! - Osiem łyżek. Widelec do deserów. I nożyk do masła.

- *Efendi*, biegnij!!!

Reiner nie miał czasu szukać dalej. Opuścił spiżarnię i razem z doganiającym go Azizem, przeszedł przez drzwi do furgonu.

- Gdzie ctan?! - zapytał Hauptmann, gdy stanęli na platformie łączącej wagony. Wrzeszczał, żeby przekrzyć turkot kół.

- Regeneruje się. Nawet jego strzał w głowę zatrzyma na kilka sekund. - Aziz wyszczerzył usta w tym parszywym uśmiechu, który Reiner zdążył już znienawidzić. - Ale tylko kilka sekund. Dalej, *efendi*.

Arab szarpnął za drzwi prowadzące w głąb furgonu, ale te ani drgnęły.

- *Khara!* - krzyknął i pociągnął jeszcze kilkakrotnie. - *Khara! Khara! Khara!*

Erhard dobył broni, ale Aziz powstrzymał go przed oddaniem strzału w zamek.

- To nic nie da! Mechanizm jest pneumatyczny!

Wskazał czerwony napis nad drzwiami. *Erzeugt in Warthofen*. Wyprodukowane w Warthofen. Siedzibie Dampfinstitut, centrum naukowego Trzeciej Rzeszy.

- *Scheisse!* - zaklął Hauptmann.

Aziz rozejrzał się dokoła, chociaż Reiner wątpił, czy tamten mógł cokolwiek zobaczyć w gęstych ciemnościach.

- Drabina! - rzucił nagle Arab. - Tam, po prawej! Ty pierwszy, *efendi!*

Szczeble były śliskie od rosy, przeżerająca je rdza zostawiała rudawe plamy na opatrunkach Reiner. Dach był lekko wybrzuszony i zapadnięty pośrodku, niczym ciasto z zakalcem. Mężczyźni ruszyli truchtem, bo nawet cyrkowiec bałby się biec po dachu pędzącego pociągu.

- Nie uciekniesz mi, Hauptmannie! - Niski, tubalny głos przebił się przez stukot z taką łatwością, z jaką nóż przebija tkanę. Reiner sam nie wiedział, czemu przyszło mu do głowy to porównanie. - Nie ma takiego miejsca na ziemi, w którym mógłbyś się ukryć!

Do uszu uciekinierów doszło głucho uderzenie, jakby coś ciężkiego wylądowało na blaszanym dachu.

- Odwróć się i staw mi czoło jak mężczyzna!

Erhard poczuł, że coś oplątuje mu się wokół nogi. Stracił równowagę. Aziz, nie zauważywszy jego upadku, zniknął w szczelinie pomiędzy wagonami.

- Mam cię wypatroszyć jak tamtą biedaczkę?! - Głos ctana zmieniał się ze słowa na słowo: raz był męskim, jowialnym śmiechem, raz dziewczęcym chichotem.

- Bydlaku!!! - zawył Reiner.

Odruchowo, na oślepiep uderzył widelcem do deserów w mackę, która ścisnęła go za nogę. Małe, tępe zębki weszły w czarną tkanę jak w masło. Uścisk zniknął tak nagle, że Hauptmann dopiero po chwili się zorientował.

- *Efendi*, teraz, uciekaj! - Słowa Araba zamieniały się powoli w mantrę.

Erhard ruszył do krawędzi wagonu, która z każdą sekundą zdawała się poszerzać. Aziz czekał po drugiej stronie.



- Skacz!

Reiner posłuchał.

Był zbyt obolały, żeby wylądować precyzyjnie. Przetoczył się przez bark i spadłby niechybnie, gdyby Aziz nie pochwycił go w stalowy uścisk.

- Nie zostałem do tego stworzony - mruknął Erhard, masując obolałe ramię.

- Nie czas na jęki, *efendi*, to jeszcze nie koniec! - Rzeczywiście, chociaż z każdą sekundą wagony oddalały się od siebie, ctan nie dał za wygraną. Wyglądał jak tygrys gotujący się do skoku. - *Efendi*, użyj pierścienia.

Reiner spojrzał na Araba pytająco.

- Użyj go. Drugi, by oddech jego nabrał mocy wichury - odparł tamten na nieme pytanie Hauptmanna. - Pamiętasz?! - Ctan ruszył. - By oddech nabrał mocy wichury!

Erhard przeniósł wzrok z Aziza na szarżującego potwora.

- Użyj go, wykorzystaj swoją wolę, użyj go na miłość Allacha!

Ctan odbił się od krawędzi dachu i runął w ich stronę. Z przekleństwem na ustach Arab zamarł, czekając na cios.

Erhard chuchnął.

Powietrze, które ze świstem opuściło jego usta, nabrało siły huraganu. Porywisty wiatr porwał ctana i pchnął pod koła pociągu, jakby potwór nie ważył więcej niż zbłąkany jesienny liść. Reiner jęknął.

- Zrobiłeś to, *efendi*!

- Chyba złamałem sobie zebro - wychrypiął kapitan w odpowiedzi. Ledwo łapał oddech. - Czemu stajemy? - zapytał po chwili.

- Widocznie maszynista się zorientował, że część wagonów została odcepiona. Kiedy tylko się zatrzymamy, musimy ruszać.

- Gdzie? - wysapał Reiner. - Jesteśmy w szczerym polu! Przecież strażnicy nie stanowią dla ciebie problemu - dokończył z drwiną.

- Istotnie. Ale boję się jego. - Aziz kiwnął głową w stronę torów.

Erhard podążył za jego wzrokiem.

- Żartujesz. - W odpowiedzi Arab pokręcił głową. - Właśnie przejechał go pierdolony pociąg! Pociąg!

- A miał kółka ze srebra? - odparował Aziz.

Przez graniczące z torami pola brnęły dwie sylwetki.

•

Bieg wśród wilgotnych traw dał się Reinerowi we znaki. Co kilka metrów kapitan potykał się i przewracał w błoto. Aziz wydawał się niezmordowany, ale Reiner niemal wyzionął ducha, zanim wreszcie stanęli u podnóża zrujnowanej budowli.

Młyn miał przynajmniej ze sto lat, chociaż równie dobrze mógł pochodzić z czasów napoleońskich. Z czterech skrzydeł wiatraka zostały trzy, ale tylko dwa zachowały strzępy skór, służące do łapania wiatru.

- Do środka - zawyrokował Aziz.

- Jeśli się zatrzymamy, prędko nas dopadnie.

- Mam plan. - Arab w kilku zdaniach streścił, co zamierza zrobić. Do Erharda docierało co drugie słowo. - A teraz do środka i na górę.

Reiner był zbyt zmęczony, żeby dalej protestować. Spojrzał tylko raz jeszcze na niebo - szarzało, zapowiadając rychły świt - i wszedł do środka. Pachniało tu zgnilizną

i zgniłym zbożem, Hauptmannowi wszystko się mieszało. Od momentu, w którym zdmuchnął ctana, nie rejestrował już dokładnie otoczenia. Po prostu płynął tam, gdzie niosły go zmienne prądy.

Zbutwiała drabina prowadząca na szczyt młyna nie wzbudzała zaufania, niemniej wspiał się po niej, najpierw na pierwsze piętro, a później na samą górę.

Usiadł przy szczelinie, przez którą śruba młyna łączyła się z wiatrakiem, i zaczął obserwować otaczające ich pola. Aziz gdzieś zniknął, ale kapitan zupełnie się tym nie przejmował. Teraz, kiedy zdołał złapać oddech, poczuł się lekko. Pomimo bólu w klatce piersiowej wdychanie i wydychanie powietrza jeszcze nigdy nie sprawiało mu takiej przyjemności.

Pomiędzy trawami dostrzegł czarną plamę. Ctan znów ich dogonił. Reiner niemal podziwiał jego siłę i determinację. Niemal.

Czarna sylwetka dotarła do młyna i zniknęła w środku. Erhard opuścił swoje miejsce przy szczelinie i przeszedł na środek izby. Tędy przebiegała druga śruba, łącząc się na parterze z żarnem. Stąd Reiner mógł obserwować, co będzie się działo dalej.

Potwór już wspinał się na górę. Jego mackowate odnóża oplatały mechanizmy młyna niczym bluszcz pnący się po murze. Poruszał się zwinnie jak małpa.

- Nie widzisz, że ucieczka nie ma sensu, człowieczku?  
- zaśmiał się cicho. - I tak prędzej czy później wszyscy traficie do ich przepastnego brzucha. Gdzie się podział twój maciupki salgoth?

Salgoth?

- Sam powinienes zgadnąć. *Ctan ftagnhn!*

Potwór zawył i osunął się po mechanizmie. Wtedy rzucił się na niego Aziz. Oboje polecili w dół. Reiner skoczył

do szczeliny i, jak nakazał Arab, ponownie skorzystał z pierścienia. Jego płuca zapłonęły, gdy nienaturalny wiatr wypełnił ramiona wiatraka. Stękając, skrzydła ruszyły z miejsca, śruby ze zgrzytem zaczęły się obracać, mechanizm wracał do życia. Do uszu Hauptmanna dobiegły stłumione krzyki, ale nie przestawał dmuchać. Był już u kresu sił, gdy wrzaski zagłuszyło głośnie tąpnięcie, zupełnie jakby zawalił się tunel w kopalni. Pionowa śruba zatrzęsała się i z jękiem runęła na północną ścianę młyna. Drewno zadrżało, ale wytrzymało.

Było po wszystkim. Reiner leżał jeszcze przez kilka minut bez ruchu, kątem oka wpatrując się we wschodzące słońce. Kiedy wreszcie znalazł w sobie tyle siły, żeby zwlec się na dół, słoneczna tarcza wisiała już nad horyzontem.

Po ctanie nie zostało ani śladu. Znikły też żarna. W podłodze ziała wielka dziura, jakby olbrzymi kret przegryzł ją od spodu i wciągnął kamienie młyńskie do swojego tunelu. Na przegniłym pieńku obok wejścia siedział Aziz. Po raz pierwszy od chwili ich poznania wyglądał na zmęczonego.

- Coś ty zrobił? - zapytał Araba kapitan.  
- Ziemia się o niego upomniała.  
- Możesz to rozwinąć?  
- Odesłałem go z powrotem. - Aziz rzucił mu znużone spojrzenie.

Reiner zmusił się do uśmiechu, chociaż rozbolał go od tego policzek.

- Nie mogłeś tego zrobić wcześniej? Na przykład, hmm, w Paryżu?

- Myślisz, że bym tego nie zrobił? Żeby kogoś odesłać, musi być całkowicie unieruchomiony, jak ctan w żarnach.

Poza tym trzeba mu odebrać odporność. Tego dokonałeś ty i twoje zakłęcie.

- Zakłęcie? *Ctan ftagnhn*? Skąd wiedziałeś, że w moich ustach podziała?

- Nie wiedziałem. Ale w twoim stanie i tak nie uciekłbyś daleko. Co mieliśmy do stracenia? - Aziz wzruszył ramionami.

- Dzięki za zaufanie - mruknął Hauptmann, którego zdążył już opuścić dobry humor, spowodowany śmiercią stwora. - Cóż, grunt, że nie żyje.

Arab westchnął.

- Nie można zabić czegoś, co nigdy na dobrą sprawę nie żyło, *efendi*.

- Powtórz, bo chyba się przesłyszałem.

- To był człowiek opętany przez ctana i on rzeczywiście zginął. Ale esencja powróciła do Vogthoth, lodowatej otchłani, gdzie nic nie jest do końca żywe ani martwe. Zapewniam cię, to tylko kwestia czasu, zanim ten osobnik znajdzie nowego nosiciela i wróci, żeby nas gnębić.

- Jeśli mogą tak łatwo opanować ludzi... - zaczął Reiner ze złością.

- Nie mogą, *efendi*. Dopiero Czas Zaćmienia sprawi, że wola bogów rozpełźnie się niepowstrzymanie po Ziemi. Ale ci akurat ludzie oddają im swoje ciała z własnej woli. Z uśmiechem na ustach.

Wargi Erharda zacisnęły się w wąską linię. Kiedy wreszcie przemówił, jego głos był cichy, acz zdeterminowany.

- Nie traćmy czasu. Biesiadnik czeka.

- W rzeczy samej.

## 4. Biesiadnik

*Nikt nie jest tak bardzo zniewolony,  
jak ktoś, kto czuje się wolnym, podczas  
gdy w rzeczywistości nim nie jest.*

Johann Wolfgang von Goethe

*Rzym, Włochy.  
Sierpień, rok 1944*

Do Rzymu dotarli po dwóch tygodniach. Część trasy przebyli pieszo, część przejechali furgonetką zaopatrzeniową, a ostatni odcinek pokonali pasażerskim sterowcem. Nikt nie zwracał na nich uwagi, równie dobrze mogli nie istnieć. Moc Aziza zarazem przerażała i fascynowała Reinera.

Podczas podróży miał czas na przemyślenia, wręcz za dużo czasu. Zawsze, kiedy wracał pamięcią do tamtej nocy w Paryżu, coś się w nim zamykało. Opuścił go smutek, właściwie wszelkie emocje. W jego sercu zapanowała pustka, niewiele się różniąca od miejsca, do którego zabrał go jad ctana.

Wypytywał Araba o ekspedycję, eksperymenty z Eskalacją, nawet o przesyłkę, którą miał dostać od McLeana,

lecz ten albo niewiele wiedział, albo niewiele mówił. Ze swojej strony Erhard nieustannie snuł domysły i raz po raz odgrywał w pamięci wszystkie kluczowe spotkania. Coś mu umykało, coś oczywistego.

Któregoś dnia zaproponował zniszczenie Zegara Fannsbacha.

- Lepsze to niż uganianie się za widmami - powiedział.

- Wszystko w swoim czasie - odparł Arab. - Wpierw musimy odnaleźć tych, którzy są w stanie powtórzyć proces. Inaczej zaszyją się w zakamarkach świata i nasze wysiłki nie zdadzą się na nic. Mają też świetlistą księgę z Irem, oryginalne plany mechanizmów Eskalacji. Może właśnie te plany chciał ci wręczyć McLean? - Jeśli tak było, wpadły one z powrotem w ręce wroga. - A nade wszystko musimy uderzyć w źródło Eskalacji. Zlikwidować problem u źródła.

Problem u źródła.

Niewidoczni bogowie zza przesłony świata przesuwają pionki martwymi rękami, powiedział mu wtedy Aziz.

Gdzie to słyszał?

Reiner podejrzewał, że kryje się za tym coś jeszcze. Na razie potrzebował Araba, więc nie drażył tematu. Ale przyjdzie czas, och tak, przyjdzie czas, kiedy Aziz przestanie być potrzebny i wtedy odpowie na wszystkie jego pytania. I zapłaci.

Rzym zastali w deszczu. Woda lała się strumieniami, zalewając kanały i piwnice. Niektóre ulice stały się zupełnie

nieprzejezdne. Co bardziej zabobonni mieszkańcy twierdzili, że to aniołowie płaczą nad zniszczeniem, jakie sieje wojna. Reiner nie wiedział, czy to za sprawą deszczu miasto zdawało mu się wyblakłe. Budynki mieniły się wszystkimi odcieniami szarości, monochromatyczną monotonię mąciła jedynie tu i ówdzie łątka zieleni. Rzym był równie ponury jak poprzednie stolice, które odwiedził.

Idąc ulicą Wiktora Emanuela II, Reiner musiał co chwilę przeskakiwać olbrzymie kałuże. Aziz miał je za nic.

- To miasto umiera.
- W potokach deszczu? - zapytał Arab.
- Nie mów, że tego nie widzisz. Deszcz pada nieustannie, ale wszystkie rośliny więdną. Mamy sierpień, a liście już pożółkły. Nie widać nawet chwastów.
- Ach, to. Nieunikniony skutek mrocznych przyrzeczeń.

Reiner rzucił Arabowi pytające spojrzenie.

- Każda władza ma swoją cenę. Eskalacja daje władzę nieograniczoną. Tutaj nie jest jeszcze tak źle. Poczekaj, aż zobaczysz Berlin.

Reiner obrzucił wzrokiem mijany pomnik. Na Smutnej twarzy posągu zauważył brązowe odbarwienia, jakby plamy rdzy. Ale kamień przecież nie rdzewieje. Ani nie gnije.

Poczekaj, aż zobaczysz Berlin.

Wzdrygnął się.

Tuż obok nich przemknęła sportowa lancia. Brunatna woda spod kół obryzgała obu zaskoczonych mężczyzn.

- Jest w tym coś poetyckiego, *efendi*.



- Tak? Tobie wszystko zdaje się poetyckie. - Reiner spojrział groźnie w niebo, jakby liczył, że w ten sposób powstrzyma deszcz. - Twoje zdolności ukrywają nas przed pościgiem, ale bez przesady, nie chcę skończyć pod kołami.

- To byłby dopiero niespodziewany koniec naszej podróży, nieprawdaż? - Aziz uśmiechnął się słabo.

Reiner otwierał już usta, żeby poczęstować kompana zjadliwym komentarzem, ale przerwał mu głośny mechaniczny trzask. W pierwszej chwili myślał, że to PzK S, ale szybko zmienił zdanie. Pojazd, który pojawił się na rogu, zupełnie nie przypominał dwunożnych orłów Panzerwaffe. Niespiesznie poruszał się na czterech patykowatych, wielosegmentowych nogach, rozchlapując błoto na boki. Z kokpitu odchodziło sześć czy siedem równie długich wypustek, zakończonych nożycami. Maszyna opuszczała *via de Baullari*, przycinając po drodze zasadzone po obu stronach, obumierające drzewa.

- Model ogrodniczy? - zapytał Reiner z niedowierzaniem.

- Eskalacja wkracza w każdą dziedzinę życia, *efendi*. Nie pozwólmy, żeby ludzie zaczęli na niej polegać.

Za późno, pomyślał posepnie Hauptmann, myślami biegnąc do niemieckiej maszyny wojennej, która opierała się teraz jedynie na potędzie Wrót. Jeśli zniszczą Zegar, Rzesza upadnie, Sen się skończy. Stanę się niszczycielem, nie architektem. Na głos powiedział jedynie:

- Mały kokpit, zbyt mały. To coś... to coś nie ma pilota.

Jakby słysząc słowa Erharda, *servitor* zatrzymał się.

Jedna z wypustek, zakończona szklaną, wypełnioną cieczą kulą, uniosła się nad pozostałe i zaczęła kręcić się niespokojnie,

- Czuje mnie - wymamrotał Arab. - Chodź, *efendi*, ulice nie są już dla nas bezpieczne.

- Co to było? - zapytał Erhard, kiedy oddalili się na dostateczną odległość. Zatrzymali się nad jednym z mostów przerzuconych przez Tyber i mogli teraz podziwiać rwące wody rzeki. Jeszcze kilka dni i wystąpią z brzegów. Rzym stanie się Wenecją.

- Nie wiem. To nie było ashub, ale nie było też człowiekiem. To było coś... nowego.

- Myślisz, że cię zauważyło?

- Nie, nie sądzę. Ale musimy się spieszyć. Ich wpływ w tym świecie wzrasta.

- Ich?

- Bogów-Trójcy. A przynajmniej któregoś z nich - dodał szybko. - Nie traćmy czasu. Chcę przed zmrokiem nawiązać kontakt.

- Z Biesiadnikiem?

- Nie, z barifianami.

Na te słowa Reiner zaśmiał się głośno.

- W ramach współpracy chrześcijańsko-muzułmańskiej?

- Nasi bogowie - oczy Araba zaświeciły figlarnie - czasem potrafią się dogadać.

•

Było już ciemno, kiedy mokrzy i zmarznięci stanęli u progu klasztoru barifian. Posępna budowla została wzniesiona w okresie późnego średniowiecza, ale od tamtego czasu przeszła szereg renowacji.

Wspinając się po kamiennych schodkach do wejścia, Reiner zwrócił uwagę na kolumny podtrzymujące arkady wokół budowli, rzeźbione w postaci aniołów. Na ich twarzach architektowi udało się uchwycić ową obcość, charakteryzującą boskie istoty, bowiem nawet wyryte w kamieniu uśmiechy zdawały się Hauptmannowi zimne, odległe, pozbawione ludzkich uczuć. Włos zjeżył mu się na karku. Jeśli tak mieli wyglądać boscy posłańcy, to cieszył się, że już dawno temu odstąpił od wiary.

Anioły spoglądały na niego wyniośle i drwiąco.

- Czujesz coś, prawda, *efendi*? - zapytał Aziz, sięgając do mosiężnej kołatki w kształcie cherubina.

Reiner zmrużył oczy i wzruszył ramionami. Czuł jedynie zimno promieniujące z kamiennych ścian budynku i z przemoczonego ubrania. Czy było tu coś jeszcze?

Trzy uderzenia kołatki. Potem następne trzy.

Nic.

- Chyba nikogo nie ma. Budowla wygląda na opuszczoną - mruknął Reiner, poprawiając kołnierz.

- Są tu. Czujesz to nie gorzej niż ja.

Jakby w odpowiedzi na słowa Aziza usłyszeli trzask mechanizmu zamkowego.

- Klienci Warthofen? - mruknął z powątpiewaniem Reiner. Aziz wzruszył ramionami.

- Często diabeł siada za krzyżem, *efendi*.

Drzwi stanęły otworem, ale nikt nie wyszedł im na powitanie.

- I co to nam mówi o twoich przyjaciółach?

- Tylko tyle, że mają dobre zamki - zachichotał Aziz i zanim Erhard zdążył odpowiedzieć, zniknął w środku.

- Któregoś dnia - prychnął Reiner i również przekroczył próg.

Wewnątrz było ciemno i duszno, w powietrzu unosił się zapach starzyzny. Aziz poprowadził ich w głąb budowli, jakby znał jej rozkład na pamięć. Po drodze mijali pozostałości, gnijące draperie, wyblakłe ikony z czasów krucjat i popękane popiersia, których rysy zatarł czas. Im dłużej szli, tym klasztor wydawał się Erhardowi bardziej obcy. Szare dotychczas ściany nabrały zielonkawego zabarwienia, powietrze wypełniła wilgoć. Jakby w środku Watykanu wyrosła tropikalna dżungla. Na samą myśl przebiegł go dreszcz.

- To tu - szepnął Aziz, gdy korytarz nagle przeszedł w obszerną salę. Stało tu tylko kilka drewnianych ław i taboretów. Reiner rozejrzał się, ale nie dostrzegł nic więcej.

- Co „tu”? Mamy czekać, aż ktoś się łaskawie zjawi?

- To nie potrwa długo - odparł cicho Arab.

Wydawał się bardziej niż zazwyczaj spięty, jakby po raz pierwszy nie był pewien ich losu. Na twarzy Hauptmanna pojawiły się kropelki potu. Strach jest zaraźliwy, pomyślał.

- Coś nam przyniósł? - Słowa dobiegały nie wiadomo skąd, rozchodziły się swobodnie w powietrzu, jak kręgi na wodzie.

- Nic! - rzucił Aziz. - Przyszliśmy zobaczyć się z Biesiadnikiem.

- Z Biesiadnikiem. Biedny. Postradał zmysły. - Każde słowo wypowiedziała inna osoba, chociaż Reiner nadal nikogo nie widział. - Twój koniec. Bliski.

- Nie ja. On. - Głosy zamilkły. - Mamy denary. Chcemy, żeby nas, jego, do niego zaprowadzono. - A ciszej, tak że Reiner ledwie słyszał: - Ty masz szansę, której natura mi nie dała. Idź z nimi albo już nie żyjesz. - Wepchnął mu

do ręki kilka złotych monet.

- Jedna za pytanie.

- Aziz - syknął ze złością Erhard. - Jeśli nie chcesz zgiąć szybką, bolesną śmiercią... - Sięgnął do kieszeni po pistolet.

Z mroku wyłoniły się postacie. Dwie przed nim, dwie przed Arabem. Wszystkie trzymały w dłoniach karabiny termostrugowe.

- Twój kompan chyba nie jest pewny.

- Jest pewny - oświadczył Aziz, zerkając porozumiewawczo na Erharda.

- Jestem - potwierdził Reiner.

Nie miał wyjścia, przynajmniej na razie. Ale kiedy tylko nadarzy się sposobność, kiedy tylko wykonają jeden fałszywy ruch... Powtarzał to sobie w duchu raz po raz, jakby sam nie bardzo w to wierzył. Mnisi - nie miał dla nich innego określenia - prowadzili ich w dół, ciągle w dół. Kręte, nierówno ciosane korytarze wiły się i splatały, wydawało się, że bez żadnego planu. Reiner już po kilku zakrętach stracił orientację.

- Aziz, przysięgam... - szepnął do Araba, kiedy tylko korytarz rozszerzył się na tyle, żeby mogli iść ramię w ramię.

- Za często przysięgasz, *efendi* - przerwał mu równie cicho Aziz. - A przysięgi kończą się nieprzyjemnymi konsekwencjami.

- Zachowaj swoje brednie na dzień, w którym będę miał więcej cierpliwości!

Jeden z mnichów odwrócił głowę i uśmiechnął się złośliwie.

- Widzisz w tym coś śmiesznego, braciszku?

Mnich zbył ten komentarz milczeniem.

- Reiner, skup się na zadaniu, które stoi przed tobą, błyskawice gniewu zachowaj na drogę powrotną - doradził mu Arab.

- Jesteś dziś pełen mądrości, co? Szkoda, że milczałeś, zanim wkroczyliśmy w to bagno.

- Święte słowa. - Aziz uśmiechnął się słabo. - U Biesiadnika - podjął po chwili - nie zadawaj zbędnych pytań. Brezler, Fanssbach, Strauss. Nic więcej, nie daj się wciągnąć w dyskusję. Pod żadnym pozorem się do niego nie zbliżaj. Nie myśl o ukochanej. Argus Biesiadnik bywa przebiegły.

Reinerowi wydawało się, że mnich idący przed nim wzdrygnął się na te słowa.

- Kim do cholery jest ten Argus?

- Jest ostatnim z Vorthokai - powiedział powoli Aziz. - Był księciem Barifgoth, ale rzymski czarnoksiężnik Martius Pullo sprowadził go do naszego świata.

- Aziz...

- Od czasów cesarza Hadriana jest więźniem Rzymu - dokończył Arab. - Tylko starożytne prawa trzymają go uwięzionego pod powierzchnią. Gdzie uwil swoje leże? - zapytał głośno, kierując pytanie do prowadzących ich mnichów.

- Nie przemieścił się od ponad ośmiuset lat, ty powinieneś wiedzieć to najlepiej - zaśmiał się jeden z przewodników.

- Co on miał na myśli, Aziz?

- Tylko tyle, że mnie tu pamiętają, *efendi*. Biesiadnik przebywa w grobowcu krzyżowców.

- Krzyżowców? - Coś w głosie Araba kazało mu zapytać. - Czy to znaczy...

- Jesteśmy na miejscu - odezwał się jeden z mnichów.

Reiner odwrócił głowę. Korytarz kończył się olbrzymim portalem, za którym leżała tonąca w mroku komnata.

- Zaczekamy tutaj - oznajmił mnich i wręczył Erhardowi pochodnię.

- Chwileczkę.

- Idź - warknął drugi z mnichów, machając karabinem w kierunku portalu.

- Idź - powiedział spokojnie Aziz.

Reiner rzucił mu wściekle spojrzenie.

- Idę - wycedził przez zęby. - Do zobaczenia po drugiej stronie.

Mówiąc to, wkroczył do grobowca.

- Jeszcze nie, *efendi*, jeszcze nie. - Dogoniły go ostatnie słowa Araba, zanim pochłonęła go żarłoczna ciemność.

Żarłoczna? Śmieszne, pomyślał. Ledwie przekroczył próg i już opadły go niedorzeczne myśli. Myśli podyktowane nie rozumem, lecz strachem. Przed porażką, przed śmiercią, przed zimną pustką. Powoli, ale nieubłaganie oplatały go niewidoczne macki grozy. Jakby na nowo przeżywał atak ctana, ale tym razem nie mógł się nawet bronić.

- To tylko grobowiec - mruknął bez przekonania.

Potrafił się samooszukiwać nie gorzej niż inni ludzie, ale w tej komnacie coś nieuchwytnego, jakiś odległy dźwięk albo dawne wspomnienie, budziły w nim atawistyczny niepokój. Ściany, pokryte plamami i wiekowymi pęknięciami, zdawały się poruszać w rytm jego serca. Podłoga, choć kamienna, ugiwała się nieznacznie przy każdym kroku, jakby stąpał nie po płytach, a po miękkiej ściółce. W regularnych odstępach czasu twarz muskały

miarowe, zimne powiewy, niosąc ze sobą jakąś niemożliwą do zidentyfikowania woń. Czasem zdawało mu się, że widzi ruch tuż poza granicą światła. Ale gdy przesuwał się bliżej ściany, nic nie znajdował. A jednak wszystko wokół żyło.

Wzdrygnął się na samą myśl i ponownie zdusił w sobie budzące się emocje.

Korytarz doprowadził go do przestronnej komnaty. Rozproszone światło pochodni niewiele tu dawało, ale Reiner dostrzegał sięgające sufitu regały pełne starych woluminów. Całe szeregi półek ciągnące się w ciemność. Księgi nie nadawały się już do niczego. Przy najlżejszym dotyku rozpadały się w proch.

Dalej, gdzie kamień posadzki stopił się od żaru, podłogę przecinały wypełnione wodą szczeliny. Nierówne krawędzie porastała zielonkawa pleśń.

Ogień, który topił kamień. Reiner odruchowo dobył broni.

Jak daleko jeszcze? Księgi? Kanały? Co to za grobowiec?

Minął kolejny regał, kolejną szczelinę... on, żalсна karykatura krzyżowca na własnej, pożałowania godnej krucjacie. Zatrzymał się, żeby spojrzeć na swoje pokaleczone oblicze w mętnej wodzie. Zamarł.

Nie widział odbicia. Tafla pozostawała jednolicie czarna.

Pochylił się powoli nad wyrwą, pochodnię skierował w dół. Woda rozstąpiła się nieco, pochłaniając światło zamiast je odbijać. Co to za sztuczka?!

- Kim jesteś, panie? - Z wrażenia omal nie upuścił lugi. Spodziewał się zimnego, głębokiego głosu, wycia rozdzierającego uszy, samego szatana... ale nie cichego, melancholijnego, kobiecego głosu. Niewinnego. - Panie?



Reiner podniósł się i skierował pochodnię w stronę, z której dochodził głos, ale nic nie zobaczył.

- Jestem Reiner Erhard. - Ugryzł się w język, ale za późno. Na samym wstępie się zdradził.

- Czyja wola cię do mnie przywiodła? - zapytał kobiecy głos.

- Moja własna - odpowiedział już pewniej. - Przybyłem zobaczyć się z Argusem Biesiadnikiem, mam do niego pytania.

- Chodź więc do mnie. Idź za głosem.

Reinera oblał zimny pot. Nie tego się spodziewał - nieznane wyprowadzało go z równowagi. Ruszył w ciemność. Po chwili pojawił się nowy zapach, nawóz pomieszany ze zjeżdżałym mlekiem. Z każdym krokiem woń stawała się bardziej intensywna. Przesiąkała przez ubranie i wnikała głębiej, znacznie głębiej. Zepsucie docierające do szpiku kości, pomyślał mimowolnie.

- Tak, jesteś już prawie na miejscu.

Postąpił jeszcze kilka kroków.

- Stój.

Zatrzymał się posłusznie.

- Co teraz? - zapytał, wpatrując się w ciemność. Wydawało mu się, że zobaczył tam jakieś świetliste punkty.

- Teraz, człowieczku - głos był rozbawiony, zalotny, ale towarzyszyło mu jeszcze jakieś odległe bulgotanie - zapłać i zadaj pytanie.

Świetliste punkty stopniowo rosły, zalewając komnatę niebieskim blaskiem. Reiner dostrzegł przewrócony, wiekowy sarkofag, zrzucony z katafalku. Za nim, na schodach podwyższenia, piętrzyła się sterta szmat, nieczystości i złotych monet, a na niej zaś kobieta. Półnaga

kobieta. Szczyt katafalku zasłaniał półprzezroczysty parawan. Reinerowi serce zabiło mocniej.

- Delphine - wymamrotał bezwiednie.

- Wpierw zapłać, panie - skarciła go kobieta, chichocząc.

Opatrzności, była tak podobna. Te same orzechowe oczy, te same kasztanowe włosy, spływające na ramiona. Delikatne, pełne usta rozciągnięte w kokietyrny uśmiechu, figlarne ogniki błyskające w każdym spojrzeniu. Drobnny biust falujący w rytm oddechu, wydatne, ciemne, stwardniałe z zimna sutki. Bujna gęstwina, jego delta Nilu.

Wyrwał się z odrętwienia. Dłoń zbieleła mu na rękocięści lugera. Myślał tylko o jednym: to niemożliwe.

- A więc jak będzie, panie? - zapytała Delphine. Nie, nie Delphine! Weź się w garść, pomyślał, to jakaś sztuczka.

- Denar za pytanie, tak jak zwykłeś dobijać targów. - Głos mu drżał. - Ale nie pytam o Delphine.

Niechętnie schował pistolet i wyciągnął monety. Postąpił kilka kroków do przodu i stanął u stóp podwyższenia.

- Nie? - odparła zdziwiona kobieta. - Szkoda.

Znów zdawało mu się, że słyszy jakiś bulgot.

- A czemuż to? - zapytał, chociaż bał się odpowiedzi.

- Ta osóbką wydaje ci się... - kobieta zmrużyła oczy - ...droga.

Reiner zacisnął zęby, przypatrując się kobiecie. Teraz dostrzegł subtelne różnice. Kształt nosa i kości policzkowych, odrobinę szersza talia. Chociaż pragnął tego z

całego serca, to nie była Delphine. Nędzna imitacja. Poczuli, jak jego początkowy szok przechodzi w gniew.

- Nie twoja sprawa, co jest mi drogie - odparł szorstko. - Ilsa Strauss. - Jedna z monet wylądowała na stosie. - Otto Brezler. - Druga. - Wilhelm Fannsbach. - I ostatnia. Dość rozgrzebywania świeżych ran.

- Oczywiście, Reinerze Erhardzie - odparła kobieta, zamykając oczy, ale nadal się uśmiechając. - Ilsa Strauss jest pochowana na cmentarzu świętego Benedykta w Dortstadt. - Głos nie należał już do kobiety; był cichy, przenikliwy, stary, dźwięczał w umyśle Reinerja jak dzwony pustki. - Otto Brezler przebywa w przytułku dla obłąkanych w Medynie. Wilhelm Fannsbach... nigdy nie istniał.

Reiner parsknął.

- Co? Nie istniał? Co to znaczy? - Przecież uścisnął mu dłoń w wigilię ery Eskalacji.

- Na to pytanie - znów odezwała się kobieta - musisz odpowiedzieć sobie sam.

- Na nic mi taka odpowiedź - warknął, odwracając się. Chciał jak najszybciej opuścić to miejsce.

- Tęsknisz za nią, panie?

Reiner zastygł.

- Ona tylko cię przeklina.

Chichot.

- Co ty możesz o tym wiedzieć, wiedźmo?

Sam nie wiedział, kiedy z lugerem w rękę znalazł się na szczycie podwyższenia. Delphine, sobowtóra Delphine miał na wyciągnięcie ręki.

- Więcej, niż możesz przypuszczać, Reinerze Erhardzie. - Karcący ton, jakby mówiła do niesforne go dziecka.

- Czy wiesz, co się dzieje z tymi, których zabije *Chtanth*? Nie, widzę, że nie rozumiesz. - Znów zachichotała. - Bóg roztacza nad nimi wieczną opiekę, ich jestestwa giną w jedności jego bytu. Dołączają do bożego chóru.

Reiner nachylił się nad kobietą z twarzą wykrzywioną w grymasie gniewu.

- Bredzisz! - syknął, ale bez przekonania. „Zabrano cię w mroki pustki pomiędzy światami. Gdybyś został tam dłużej, dotarłbyś na drugą stronę.” Tak powiedział mu Aziz. Jeśli Delphine nie umarła, spotkał ją nieporównywalnie gorszy los. Z jego winy. - Czemu miałbym ci wierzyć?

- Bo słyszę ich krzyki, Reinerze Erhardzie. - Głos przeszedł w szept. - Krzyki ich wszystkich, jej także.

Hauptmann pochylił się tak nisko, że czuł ciepły oddech kobiety. Nie przeszkadzał mu ani wszechobecny smród, ani przejmujące zimno. W głębi serca wiedział, że Biesiadnik nie kłamie.

- Co... - po raz pierwszy od niepamiętnych czasów głos mu się załamał, runęły wszelkie bariery. - Co mogę zrobić?

Zasłony parawanu drżały niespokojnie. Minęła długa chwila, zanim Reiner usłyszał:

- Skończyłem odpowiadać na twoje pytania, Reinerze Erhardzie. - Kobieta spojrzała mu prosto w oczy. Takie podobne. Och, Delphine, jak bardzo cię zawiodłem. - Bo wiem już o tobie wszystko, co wiedzieć chciałem. - Opuściła głowę. Jej potylicę znaczyła krzywa blizna, spod której wyrastał szary, cienki przewód. Nie, to nie przewód, pomyślał ze zgrozą. Raczej żyła. Pępowina.

- Przyszedłeś po miecz. Otrzymasz tylko miejsce w łoży głupców, w najgłębszych odmętach Barifgoth. - Koniec żyły zniknął pod gwałtownie falującymi zasłonami.

Świetliste punkty zaczęły przygasać. W ich nienickającym blasku Reiner widział wyrastające nad parawan ramiona. Cienkie i niemożliwie długie, szare, bezwłose, wyglądałyby niczym pręty o kilkunastu przegubach, gdyby nie... gdyby nie wieńczące je dłonie. Dłonie zaskakująco drobne, jak u niemowlęcia. Ramiona wiły się w upiornym tańcu, którego rytm narzucało teraz głośniejsze gulgotańskie. Jak chora parodia Wrót Eskalacji, pomyślał Reiner, cofając się.

Po bokach, w ciemnościach komnaty, też coś się ruszało. Pełzało po ziemi, zwisało z sufitu, oblażyło regały. Zatrzymał się, zataczając krąg pochodnią. Kolejne ramiona, ale grubsze, zwinniejsze, bardziej przypominające macki ctana niż wielostawowe odnóża górujące nad podwyższeniem. Zaschło mu w gardle. Tak jak przypuszczał, nie miał dokąd uciec.

- Męczy mnie twoja obecność - odezwał się ten sam co wcześniej, odległy głos. - Ścierpiałem ją, znosiłem twój ludzki smród, ale nawet boska cierpliwość ma granice.

- Przybyłem tylko po odpowiedzi. - Reiner myślał gorączkowo. - Miecz? Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Nie igraj ze mną! - Od głosu Biesiadnika zadrżała ziemia. - W niczym go nie przypominasz, ale swąd czarnoksięstwa cię zdradza... nazwisko cię zdradza!

Jedno z ramion runęło wprost na Reiner. Hauptmann uskoczył w bok. Macka grubości kabla zasilającego artylerię termostrugową przetoczyła się po posadzce, pozostawiając głębokie wgniecenie.

Nazwisko. Nie miał wątpliwości, o kogo chodziło. Ademar Erhard. Czy jego przybrany ojciec tu spotkał swój koniec?

Poczuł gorzki smak w ustach, gdy zdał sobie sprawę, że krępują go nierozzerwalne więzy. Gdzie jest wola, nie ma przypadku. Od samego początku karmiono go półprawdami, kierowano na właściwy kurs. Delphine przypłaciła to życiem.

- Myślisz, że miecz zdoła was ocalić? Że odwrócisz nurt czasu? Żałosne! - Kolejna macka świsnęła w powietrzu, tym razem zbyt szybko, żeby Reiner zdążył wykonać unik. Uderzył twardo o posadzkę.

Trzasnęły żebra. Pochodnia i pistolet wylądowały poza jego zasięgiem. - Jesteś tylko piaskiem w oczach tytanów! Jesteś bez znaczenia! Rozumiesz, bez znaczenia!!!

Opadły go wystające znad parawanu nibymacki. Tam, gdzie drobne dłonie dotykały ciała, pozostawały sine ślady. Nie czuł bólu. Tylko chłód.

- Będziemy ucztować na waszych wciąż dychających truchłach! Rządzić waszą pożałowania godną egzystencją!

Nibymacki powoli uniosły go w powietrze. Pod ich dotykiem ustępowała skóra, później ścięgna i mięśnie. Jak przez mgłę widział własne ramię, które małe rączki pożerały, włókno po włóknie. Jakie to nierealne, pomyślał, i... smutne. Żałosne. Przed oczami przewinął mu korowód twarzy. Łowca. Rudolf Hess. Basim Lee. Aziz. Czuł się bezwolny, jak liść w wodach wartkiego strumienia.

- Jesteśmy bogami! - grzmiał Biesiadnik. To prawda. Posiadali straszliwą moc... tak, moc. - Słyszysz mnie, jesteśmy bogami!!!

Nie.

Tylko moc.

Z gardła Reinera wyrwał się krzyk. Gniew eksplodował. Wszechogarniający chłód został wypalony przez ogień, który zagościł w jego płucach. Powietrze zawirowało i zawładnęło płomieniem pochodni. Poniosło go we wszystkich kierunkach, ku wirującym kartkom, woluminom i próchniejącym regałom. I ku mackom.

Moc!

Biesiadnik zadrżał, a wraz z nim zadrżał grobowiec. Część nibymacek straciła uchwyt, reszta nie mogła utrzymać ciężaru mężczyzny. Spadł ciężko na posadzkę, ale parkosyzmy bólu przywitał z radością. Każdy ból był lepszy niż ta zimna, bezosobowa pustka. Ze stęknieniem podniósł się na kolana. Czuł, że potrafi już kontrolować powietrze bez potrzeby otwierania ust.

Dookoła szalało inferno.

Regały trzeszczały w ogniu, wieki spisanej historii zamieniały się w pył. Macki Biesiadnika wierzgały wściekle, miażdżąc półki i roznosząc ogień dalej. Płyn w dziwacznych sadzawkach okazał się łatwopalny. Blask był tak jasny, że Reiner musiał odwrócić wzrok.

Lewą ręką sięgnął po drugiego lugera. Prawa zwisała bezwładnie przy ciele. Zajmie się tym później. Z jękiem poderwał się na nogi. Zabije tę sukę, pośle Biesiadnika do stu diabłów, gdzie jego miejsce.

Jedna z olbrzymich macek strzeliła w jego stronę niczym bicz.

- *Ftaghn!* - warknął tylko. Macka poczerniała i zwinęła się w kłęb, jakby ktoś poddał ją wysokiej temperaturze. - *Ftaghn*, bydlaku!

Wdarł się na podwyższenie i mimo duszącego dymu, który wypełniał mu oczy łzami, wypatrzył kobietę. Skulona, podpełzła do krawędzi podestu, na ile pozwalała jej pępowina.

- Gdzie leziesz, poczwaro?! - wrzasnął, mierząc w potylicę.

Kobieta odwróciła głowę. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a świat wokół jakby zastygł. W jej spojrzeniu znalazł strach, błaganie, ale i zrozumienie. Nic, co zasługiwałoby na śmierć.

- Takie podobne - wymamrotał. Nie mógł jej zabić. Po raz drugi.

Macka uderzyła go w brzuch tak mocno, że zwymiotował, zanim jeszcze wylądował na ziemi. Nie zdążył się nawet skulić, gdy spadło na niego drugie uderzenie. I trzecie. I następne. Po chwili stracił rachubę. Nowe ogniska bólu szybko zlały się w jedną wszechogarniającą agonię.

Z otępienia wyrwał go trzask pękającego drewna. Podłoga uciekła mu spod pleców. Kolejny upadek. Rozchylił powieki i mrugnął kilkakrotnie. Nie czuł żaru, nie musiał zamykać oczu. Tutaj nie było ognia, nie było hałasu. Przekręcił głowę na bok i starał się zogniskować wzrok.

Sarkofagi.

Ustawione w półkole wokół małej sadzawki, a dalej cielsko. Opatrzności, było olbrzymie! Większe od czołgu Königstiger, a przecież widział tylko fragment. Tułów nikał z obu stron w mroku. Grubą skórę potwora przecinały liczne żyły, każda szerokości ludzkiego ramienia. Wewnątrz przelewała się jakaś gęsta, ciemna ciecz. Miejscami żyły tworzyły sploty, w zgrubieniach widniały



otwory przypominające trochę zaropiałe odbyty. Reiner chciał zachichotać histerycznie, ale nie mógł. Mógł tylko patrzeć. Na niknące w ziemi, pulsujące wściekle korzenie. Na setki oczu wyrastające w pozornie przypadkowych miejscach. Jedne zwierzęce, inne przeraźliwie ludzkie, a jeszcze inne całkowicie obce.

Argus Biesiadnik.

Ostatni z kogoś-tam.

Książę czegoś-tam.

Reiner splunął, ale płwociny jak na złość spłynęły mu po policzku. Dużo krwi, pomyślał, krwotok wewnętrzny. Długo to nie potrwa. Z bólem obrócił głowę w stronę sufitu. Tam nadal szalał ogień. Jego ostatnie dzieło, pożalowania godny testament. Uśmiechnął się przez zęby Coś mu jednak zostało po Delphine. Niepoprawne poczucie melodramatyzmu.

Zamykał już oczy, gdy jego wzrok podrażniło białe, jaszkrawe światło. Jak we śnie widział bladą, luminescencyjną sylwetkę wyłaniającą się z podłogi.

*Sswath tegabrleth.*

Co? Czy wzrok płata mu figle, czy to kolejna sztuczka Biesiadnika?

Zjawa podpłynęła bliżej. Teraz dokładnie widział trzy pary motyli skrzydeł, które falowały arytmicznie. To od nich bił oślepiający blask, który nie pozwalał mu zamknąć oczu.

Tak mógłby wyglądać anioł... gdyby nie zwisający do ziemi, srebrnobiały odwłok i kłapiące niespokojnie szczękoczułki. Kolejny pomiot piekieł. Niech je szlag.

*Sswath tegabrleth.*

Reiner poruszył bezgłośnie wargami. Nie rozumiem,

chciał powiedzieć, nie chcę rozumieć. Ale istota tylko przysunęła się bliżej. Coś poruszyło się pod sufitem. Macki. Biesiadnik zamierzał z nim skończyć.

*Sswath tegabrleth!*

Tym razem szczękoczułki istoty wyciągnęły się niebezpiecznie blisko w stronę głowy Reinera. I minęły ją. Zaryzykował spojrzenie.

Najpierw go nie zauważył, tak dobrze zlewał się z białtem, z którego wykuto sarkofagi. Ale gdy wyteżył wzrok, dostrzegł odcinający się od otoczenia kształt. Miecz, na wyciągnięcie ręki. Całkowicie czarny, wykonany z nieznanego materiału. Proste ostrze nie odbijało światła.

*Hadzar-saif.*

Spojrzał na świetlistą istotę, która nadal lewitowała nad jego bezwładnym ciałem, następnie przeniósł wzrok na opuszczające się powoli macki.

Trudno określić, co zmusza ludzi do działania w beznadziejnych sytuacjach. Co motywuje do walki, gdy stają oko w oko ze śmiercią. Jedni powiedzą, że tą rzeczą jest nadzieja. Inni, że siła woli.

Reiner nie wiedział, co kazało mu wyciągnąć rękę i chwycić rękojeść miecza. Ale cokolwiek to było - uratowało mu życie. Ostrze błysnęło w powietrzu, na posadzkę posypał się grad maleńkich dłoni i grubych jak ogon krokodyla macek. Ucięte kikuty wierzgały gwałtownie i syczały, jakby przysmażano je na ruszcie.

Podpierając się na mieczu, Reiner zdołał wstać. Sam nie wiedział, skąd znalazł na to siły. Chociaż kręciło mu się w głowie, ruszył do przodu. Każdy krok sprawiał mu

niewyobrażalny ból, lecz nawet do bólu można przywyknąć, jak się przekonał. Resztki zawalonego sufitu skrzypiały mu pod stopami, kiedy pokonywał dystans dzielący go od Biesiadnika. Masywne cielsko drżało spazmatycznie.

- Czujesz to, prawda? - wydyszał Hauptmann, unosząc miecz do ciosu. - Wiem, że czujesz. Każda istota instynktownie wie, kiedy nadchodzi jej kres. Czy czujesz strach?

Ostrze zatopiło się głęboko w ciele Biesiadnika. Rozległ się przeciągły dźwięk, jakby powietrze uchodziło z przebitego balonika. Cielsko spuchło i w ciągu kilkunastu sekund zwiotczało. Skrzydlata, eteryczna istota znikła bez śladu.

Zostało tylko jedno do zrobienia.

Reiner osunął się na kolana.

Kiedy kilkanaście minut później znalazł go Aziz, Hauptmann mamrotał:

- Nie skrzywdzisz jej.

## 5. Gabriel

*Z łatwością potrafię sobie wyobrazić, iż mogłem żyć w ubiegłych stuleciach i napotkać tam pytania, na które nie znałem jeszcze odpowiedzi, i że musiałem urodzić się ponownie, ponieważ nie wypełniłem powierzonego mi zadania.*

Carl Gustav Jung

Ból wygiął go jak strunę. Słyszał, jak w wykrzywionych pod niemożliwymi kątami ramionach pękają stawy. Czuł, jak jego ciało pokrywa pot. Nie, nie pot. Był zbyt gęsty. Krew, tysiące kropli z tysiąca ran.

Wył, wiedział, że wyje, chociaż nikt, nawet on sam, nie mógł usłyszeć tego krzyku. Krew przesiąkła jego koszulę i zaczęła rozlewać się wokół drżącego ciała. Jakiś olbrzymi ciężar spoczął mu na piersiach, odebrał dech. Krwi było już tak dużo, że zaczęła wlewać mu się do ust. Utopiony we własnej krwi. Roześmiałby się, gdyby świadomość go nie opuściła.

Gdzieś w ciemności rozległo się bzyczenie i dźwięk tłuczonego szkła. Ciemność rozjarzyła biała supernowa. Eksplozja światła wypchnęła go na świat, a on poznał inny zgoła ból. Ognistą agonię, która spopieliliła jego włosy, a skórę obróciła w szary żużel. Czuł, jak pojawiają się pierwsze bąble.

Ile jeszcze?

Ile może znieść jeden człowiek?

*Tyle, ile dla niego przewidziano.*

Kto to powiedział? Gdzie? Reiner nie mógł otworzyć ust, nawet żeby krzyczeć z bólu. Leżał, rzucając się spazmatycznie, aż stracił przytomność. Obudził się zlany potem, przykryty grubą warstwą śniegu zmieszanego z wulkanicznym pyłem. Chciał otworzyć oczy, ale coś mu przeszkadzało. Jediną sprawną dłonią odszukał twarz i obmacał ją dokładnie. Krew, ropa, Opatrzność jedna wie, co jeszcze. Z grymasem na ustach począł odrywać strupy i zakrzepłą krew. Po chwili mógł już ruszać powiekami.

Wreszcie je otworzył.

Na niebie przeplýwały gęste, kłębiące się obłoki. Czarne i zielone. Z oddali dochodziły grzmoty, jakby zbliżał się sztorm stulecia. Chmury pękały, a z ich trzewi wylewały się chmury owadów lub innego ohydztwa.

Potrząsnął głową, ale obraz nie zniknął, przeciwnie, nabrał ostrości. Powietrze przeszło dochodzące gdzieś z południa wycie. Po karku Hauptmanna przebiegł zimny dreszcz. Nie mógł tu zostać. Podniósł się na łokciach i dopiero wtedy zobaczył, że znajduje się na równinie czarnego lodu. Ciągnęła się po horyzont, otaczając sterzące z wody poszarpane skały... a raczej skamieniałe kości. Kości gigantów.

*Sajurn Deoth. Cmentarzysko Połykacza Istnień, Tańczącego w Ciemności, Ostatniego z Pierwszych. Morze ropy i wymiocin zamarza wokół jego wiecznie stygnącego truchła.*

Ten głos.

*Ten świat ugrzął w bezmyślnym cyklu gwałtów, bluźnierstw i śmierci.*

Pamiętał ten głos. Przemówił do niego w grobowcu. Koszmarny anioł. Jego świetlista sylwetka wyłoniła się spod pokrywy lodu, jakby była całkowicie niematerialna. Skrzydła zatrzepotały na wietrze, a szczękoczułki zastukały głośno. Półprzezroczysty odwłok, pod którego cienką, chitynową skorupą przelewały się niebieskie płyny ustrojowe, wygiął się i otworzył. Spomiędzy płatów chityny wyłoniły się białe nici.

*Nie możesz tu zostać, Poprzedzający.*

Nici zaczęły oplątywać Reinera z zastraszającą szybkością. Nie miał sił, aby stawić opór. Patrzył bezradnie, jak anioł owija go w biały, przezroczysty kokon i wiesza sobie na plecach.

Groteska, obraz rodem z piekielnych wizji jakiegoś opętanego malarza.

Skrzydła zatrzepotały silniej, a Reiner poczuł, że zaczyna się unosić. Potem stracił przytomność. Nie pamiętał lotu. Ocknął się, kiedy jego bezwładne ciało uderzyło o ziemię.

- Jasna cholera - zdołał wymamrotać. Od razu tego pożałował. Usta miał spękane i najlżejszy ruch powodował świeże rany. Otworzył oczy, chociaż bardzo pragnął tego nie robić. Nad jego głową królowało zielonkawo niebo.

Cholera.

Leżał na jakimś płaskowyżu. Wiatr był tu nieznosny, włosy wpadały mu do oczu. Włosy? Nadal miał włosy?

*Na zachodzie, Poprzedzający.*

Reiner obrócił głowę we wskazanym kierunku. W od dali wznosił się wysoki czarny kopiec, nad którym unosiły się chmary pyłu.

- Co mnie to obchodzi? - Lśniąca istota nie odpowiedziała. - Czym jesteś? Gdzie jestem? Czemu mnie tu sprowadziłeś? - wyrzucił z siebie potok pytań. - To sen? Jawa?

*Barifgoth. Jesteśmy w Barifgoth, królestwie istoty, którą właśnie zabijasz, na południe od morza Sajurn i wschód od Yoghmath. Na północ od Srebrnych Słupów. Spójrz, o, Poprzedzający, i zrozum. Zabijeś dziś boga, ale to żaden powód do dumy.*

- Po co mi to mówisz? - warknął Hauptmann.

*- Żebyś zrozumiał. Ten świat skazany jest na śmierć i gnicie. Role pozostają te same, tylko aktorzy się zmieniają. Niekończąca się agonია i śmierć ducha to jest Pustka, którą zwą Voghtoth. Pokazuję ci to, abyś zrozumiał, że nie uratujesz nic. To wszystko jest już pyłem i pleśnią. Ziemia jest skazana.*

W Reinerze wezbrała nieokreślona złość.

- Precz, szkarado! To nigdy nie spotka Ziemi. Dopóki będzie dychał choć jeden...

*Tak. Widziałem to już po tysiąckroć na tysiącu Ziemi. Wiem...*

- Nic nie wiesz! - wrzasnął Reiner. - Zejdź mi z oczu, plugawcu!

*Odejdę teraz, byś mógł poddać moje słowa osądowi. Wypatruj drogi i wędrowców, Poprzedzający. Wypatruj Drzewa Aegis. Gdy zapragniesz mego towarzystwa,*

*wystarczy, że wypowiesz moje imię: Gabrleth.*

Świetlista istota, robak zwały się Gabrleth, zniknęła. Reiner pozostał sam na poczerniałym płaskowyżu. Czego chciało od niego to stworzenie? Gdzie miał iść? Poszukiwał wzrokiem jakiejś drogi, czegokolwiek.

Płaskowyż przecinało pęknięcie. Grunt osuwał się tam kaskadowo, tworząc naturalne schody. Reiner nie miał siły wstać, dlatego popełznął na czworaka. Jeszcze raz rzucił wzrokiem na horyzont. Na wyrastające z chmur wstęgi, które powiewały na wietrze. Na pył nad koślawym kopcem. Na spieczoną, popękaną ziemię. Jak tylko sięgnąć wzrokiem, Reiner widział śmierć. *Voghtoth.*

Zadrżał, bynajmniej nie z zimna, i zniknął w szczelini. Pokonanie gigantycznych schodów zajęło mu kilka godzin, chociaż nie umiał dokładnie powiedzieć ile. Jego zegarek kieszonkowy zenith, standardowe wyposażenie oficerów, nie działał. Rany, które odniósł w grobowcu i te, które otrzymał już po przybyciu tutaj, dawały o sobie znać, chociaż nie tak jak powinny. Powinien być martwy. A jednak, mimo bólu, z każdą godziną wracały mu siły. U końca schodów szedł już na wyprostowanych nogach.

Poruszał się ostrożnie, uważając na strome stopnie i wypatrując mieszkańców przekłętego wymiaru. Szczelina rozszerzyła się w wąwóz, potem w kotlinę. Inaczej niż na jałowych równinach, tu kwitło życie. Ziemię pokrywała gęsta trawa, gdzieniegdzie wyrastały karłowate drzewka i różnokolorowe kwiaty. Dalej, na niewielkim wzniesieniu, wznosiło się olbrzymie, rozłożyste drzewo o blado-białej koronie.



Drzewo Aegis? Dolinę przecinała wyłożona kamieniami ścieżka, niknąca po drugiej stronie w kolejnym wąwozie.

Poczuł nieprzyjemne ukłucie w żołądku. Tu też coś było nie tak. Trawa. Kiedy pochylił się, żeby się jej lepiej przyjrzeć, ze zgrozą odkrył, że wcale nie ma do czynienia z roślinnością, tylko z witkami jakichś zakopanych w glebie istot. Miniaturowe palce, którymi kończyły się źdźbła, dygotały asynchronicznie. Wzdrygnął się i od tego momentu starał się stąpać po wystających z ziemi kamieniach, modląc się w duchu, żeby i one nie okazały się cielskimi potworów.

Zatrzymały go krzyki. Przykucnął na jednym z głazów. W kotlinie pojawiły się jakieś pokraccze istoty. Szare, skulone, człekokształtne. Podbiegły do białego drzewa i z nieludzkim wyciem rozpoczęły szaleńczy taniec. Jeden ze stworów rzucił coś do stóp pnia i tak samo niespodziewanie, jak się pojawiły, stworzenia zniknęły. Reiner jeszcze przez długi czas nie zaryzykował ruchu, ale w końcu ciekawość wzięła górę. Im był bliżej drzewa, im więcej dostrzegał szczegółów, tym jego chód stawał się wolniejszy. Wreszcie stanął.

- Opatrzności - wysyczał. Cóż to za koszmar?

W pień drzewa i jego gałęzie wprawiono twarze. Ludzkie twarze. Niektóre zastygłe w wyrazie agonii, inne wciąż ruchome, rzucające ukradkowe spojrzenia. Biała korona składała się z bladych dłoni. Wisiały na gałęziach niczym liście.

Drzewo Aegis.

U jego stóp szare mały pozostały głowę w totemicznej, drewnianej masce.

Wpatrzony w żywą mogiłę, Hauptmann nie zauważył, jak dolinę opatuliła zielonkawa mgła. Z otępienia wyrwał go stukot kopyt. Schował się w cieniu drzewa i zaczął obserwować drogę. Co też mu przyszło robić? Przemykać się z cienia w cień, drżąc, gdy tylko ciszę zmąci najcichszy dźwięk? Niczym złodziej, niczym szpieg. Niczym tchórz.

Z mgły wyłonił się jeździec w przybrudzonej, srebrnej zbroi. Mężczyzna, rasy białej, o krótko ściętych blond włosach i niebieskich oczach. Aryjczyk. Ale... miał na sobie pancierz luskowy, a pod pachą trzymał hełm z poprzeczną kitą. Rzymianin.

To niemożliwe.

Drzewo wydało z siebie cichy jęk, jeździec zniknął.

Znów usłyszał tętent kopyt. Na drogę wypadło kilkunastu konnych. W pełnych zbrojach, z mieczami przytroczonymi do pasów i sztandarami powiewającymi na wietrze. Rycerze. Oni również zniknęli, ich miejsce zajęła dwójka pieszych, mężczyzna i kobieta. Mężczyzna miał na sobie elegancki płaszcz szyty na miarę, ale podarty i pobrudzony. Jego twarz skrywał obszerny kaptur. Wojskowy, szary płaszcz kobiety ciągnął się za nią, jakby był o kilka numerów za duży. Głowę miała zwróconą w stronę mężczyzny, jakby coś szeptała. Para zbliżyła się do drzewa.

Wzrok odmówił mu posłuszeństwa.

•

Ocknął się obolały, ale mniej, niż się spodziewał. Lampa u stropu bujała się leniwie.

- Znowu wśród żywych, *efendi*? Widzę w tym rękę twojego ojca. Nikt nie wyszedłby z tego cało.

Wrócił gniew.

- Ty skurwielu.

- Zachowaj siły, to nie ja jestem twoim wrogiem.

- Nie? A przysiągłbym, że wysłałeś mnie na śmierć.

- Pozory.

- Gdzie jestem? - zapytał Hauptmann, rozglądając się.

Leżał na twardej pryczy, przykryty prześcieradłem po samą szyję. Znajdował się w jakiejś celi. Klasztor. - Wciąż w klasztorze barifian? Ile czasu minęło?

- Cztery dni. Lubisz sobie odpocząć. I owszem, wciąż w klasztorze - odparł Aziz, uśmiechając się tajemniczo. - Napij się kawy. - Arab podał mu kubek.

- Mnisi. Kulturyści - zreflektował się natychmiast Reiner. - Nie mają mi za złe, że zabiłem ich boga?

- Pewnie by mieli, *efendi* - mlasnął Arab - gdyby jeszcze żyli.

- Nie żyją? Śmierć Biesiadnika wywarła tak silny wpływ?

- Och, nie, skądże. Ale ja... owszem - zachichotał Aziz.

- Zabiłeś ich wszystkich? Cały zakon? A wydawałeś się taki bezradny.

- Byłem bezradny za życia Biesiadnika - wyjaśnił Arab. - Ich broń termostrugowa to dla mnie zabawki. Ifryt rodzi się w ognistej topieli po stokroć gorętszej od słońca. Teraz śpij, *efendi*, regeneruj siły. - Arab wstał.

- Nie tak szybko. Ty naprawdę wysłałeś mnie tam na śmierć, co? Po miecz, którego nie zdołał odzyskać mój ojciec. Dlatego zostałem wybrany, prawda? Nie było żadnych

innych, tylko ja. I Adelmara Łowca. Czy jego też wysłaliście na śmierć?

- Porozmawiamy, kiedy odzyskasz siły, *efendi*.

- Porozmawiamy teraz! Mam twój przeklęty pierścień i rozkazuję ci...

Aziz znalazł się nagle tuż przy nim. Lewą ręką złapał go za gardło, prawą przycisnął do pryczy.

- To, że posiadasz pierścień Sulejmana - wyszeptał - nie oznacza jeszcze, że nim jesteś. - Zwolnił uścisk. - Kiedy zapanujesz nad mocami na tyle, żeby mnie powstrzymać, wtedy odpowiem na twoje pytania.

Kłamał. Wtedy w pociągu kłamał, mówiąc, że Erhard ma nad nim władzę. Sukinsyn.

- Może jesteś wolny - wysyczał Reiner, masując sobie gardło i smakując gorycz porażki - ale nadal mnie potrzebujesz. Potrzebujesz Erharda, tak? Więc jeśli chcesz, żebym włożył za tobą dupsko, odpowiesz na moje cholerne pytania.

Aziz przez chwilę jakby rozważał tę kwestię. W końcu westchnął.

- Co chcesz wiedzieć?

- Tak po prostu?

- Tak po prostu.

- Czemu? Czemu ja?

- Odpowiedź na to pytanie jest bardzo długa, *efendi*.

- Jak widzisz, mam masę czasu - zakpił.

Znużony Aziz znów przysiadł na krawędzi łóżka.

- Od czego mam zacząć?

- Pytasz o moje preferencje? - uśmiechnął się cierpko Hauptmann. - Od początku.

Na twarzy Aziza wykwitł gorzki uśmiech.

- Jak sobie życzysz. Kiedy przybyli, niebiosa jęczały. Prawa natury ustąpiły i istoty, które zwiemy bogami-Trójcą, utorowały sobie drogę do tego świata. Planeta była jeszcze młoda, zbyt słaba, żeby stawić opór pasożytowi. A my, my nie rozpoznaliśmy raka. Zaczęły się przemiany, z początku niezauważalne. Pewne gatunki wymierały, inne rozmnażały się ponad ich przyrodzone możliwości. Megafłora obumarła, jej miejsce zajęły przybierające gigantyczne rozmiary grzyby, pleśń i porosty. Braлиśmy to za skutek ewolucji, zmianę nisz w ekosystemie. Nie mieliśmy pojęcia, co nas czeka. Liczba urodzeń zaczęła gwałtownie spadać, nieliczne młode przychodziły na świat naznaczone deformacjami i chorobami. Pojawił się zapach. Ziemia przesiąkła trupią wonią. Szerniała. Niebo przybrało kolor zieleni, jakby trucizna, która nas trawiła, sięgała aż po same gwiazdy. - Reiner mimowolnie zadrżał. Był tam. Na własne oczy widział spustoszenie. - Najgorsze było przed nami. Szepty. Spojrzenia. Nie mogliśmy o tym wiedzieć, a nawet gdybyśmy wiedzieli, nie dalibyśmy wiary. Wśród nas pojawili się ci, którzy znali prawdę. Ci, którzy spojrzeli w Oko Świata. W każdym cyklu coraz więcej moich braci modliło się do bezimiennych istot spoza czasu i przestrzeni. Każdy ziggurat miał swoje mroczne miejsca, miejsca kultu i plugawych praktyk. To były ostatnie dni naszej cywilizacji. Wreszcie poznaliśmy przyczynę raka, karmionego naszymi cierpieniami i błaganiami słabych. Chcieliśmy... chcieliśmy go unicestwić. Cios od wewnątrz spadł na nas niespodziewanie, a my przekonaliśmy się, że wybrańcy Trójcy

byli zaiste liczni. Byli legionem. Nasze miasta runęły, nasze pola zmieniły się w pył.

Przyszedł czas wyboru. Uciekliśmy. Znaleźliśmy miejsce, gdzie nie sięgał Ich wzrok i wola, i zakopaliśmy się głęboko.

Minęły eony.

Kiedy powróciliśmy, na świecie panowało szaleństwo, ale nie takie, jakiego się spodziewaliśmy. Nie zastaliśmy jałowych pustkowi, tylko bezkształtną masę istnień, świadectwo niczym nieskrępowanej płodności, świat bez praw i zakazów, bez tabu gatunków. Zamieszkiwały go istoty ohydne i wynaturzone, rezultat genetycznej wolności, jaką zgotowali światu nowi władcy. Zabiliśmy je wszystkie. Ale to nie wystarczyło. Na miejsce tych, które wybiliśmy, pojawiały się nowe, a nas było coraz mniej. Czy potrafisz sobie wyobrazić naszą bezsilną rozpacz?

Potrafił. Przez większość życia walczył o czystość własnej rasy. Dziwne, że w tej piekielnej istocie, jaką był Aziz, znalazł pokrewną duszę.

- Nie poddaliśmy się, wypowiedzieliśmy wojnę samym bogom, skrawek po skrawku odbieraliśmy im naszą planetę. Wtedy niebo rozstąpiło się ponownie, zsyłając nam zarazem zbawienie i zagładę. Młodych bogów. Te nowe istoty w niczym nie przypominały bogów-Trójcy. Nie przybyły tworzyć, przybyły niszczyć. Kiedy opadł pył, nie pozostało nic. Bogowie, przybysze i mój lud, wszystko pochłonęły ciemności - zakończył Aziz.

W ciszy słyhać było tylko dwa oddechy: miarowy Araba i urywany Erharda.

- To było interesujące - powiedział wreszcie ten drugi.  
- Całkowicie beзуżyteczne, ale interesujące. Gdzie tu

miejsce dla mnie? Gdzie tu miejsce dla rodzaju ludzkiego?

- Anihilacja okazała się niewystarczająca. Młody bóg był zbyt słaby. Wszystko, co nas otacza, w tym rodzaj ludzki, to ostatni pomiot Trójcy.

- Żartujesz. - Reiner zamarł. - To kompletnie niedorzeczne.

- Chciałbym. Natura was adoptowała i podporządkowała swoim prawom, ale mrok i zepsucie pozostały.

- Porównujesz nas do tego plugastwa z katakumb?

- Natura nie zna morderstw, złośliwości i zdrady. Natura nie zna wojen. To wszystko tkwi w was. Dlatego bogowie-Trójca znajdują oddane dusze i dlatego wasze ciała tak dobrze im służą. Dlatego mogą powrócić.

Reiner przełknął ślinę. Koncepcja wydawała się absurdalna, ale widział już zbyt wiele, żeby po prostu ją odrzucić. Aziz mógł kłamać, żeby pchnąć go we właściwym kierunku, ale mógł też mówić prawdę. Albo przynajmniej to, co uznawał za prawdę.

- Nadal nie odpowiedziałeś na moje pierwsze pytanie.

- Czemu ty? Nie można zniszczyć tego, co nigdy nie istniało. Dlatego bogowie-Trójca nadal rezydują w miejscu zwanym Voghtoth, Pustce Pomiędzy Światami, ale pewnego dnia powrócą w chwale. Ten świat, ta Ziemia, należała kiedyś do nich. - W głowie Hauptmanna odbiły się echem słowa Gabrletha, eterycznego robaka. - A oni pragną jej tak straszliwie... Czy myślisz, że to, co dzieje się teraz wokół nas, to ich pierwsza próba? Czy jesteś aż tak zadufany w sobie?

- Nie - odparł Reiner bez namysłu. - Próbowali przybyć wcześniej. Czemu im się nie udało? Czemu uważasz, że tym razem będzie inaczej?

- Nie udało się, ponieważ ezoteryczne istoty, które doprowadziły do upadku bogów-Trójcy, wciąż tu są. Spoczywają uśpione w kokonach z czarnego kamienia. Czekają na koniec świata. - Hauptmann uniósł pytająco brwi. - Ich posłannictwo jest równie niezrozumiałe i równie pradawne, co ich moce. Raz już jeden z nich przebudził się i świat stanął na ostrzu noża. Za papieża Paschalisa II znalazł się rycerz, który poprowadził krucjatę przeciwko wyznawcom bogów-Trójcy. - Arab przerwał, żeby nabrać tchu. - Krucjatę do Irem, Miasta Słupów, i dalej, do Voghtoth.

Rycerze, których Reiner widział przy Drzewie Aegis! To już się wydarzyło, wieki temu. Robak pokazał mu przeszłość, czemu?

- Chcieli zabić bogów w ich wiecznym śnie.

- Jak?

- Jak? - zaśmiał się Arab. - Legenda głosi, że wodza krucjaty odwiedził Gabriel. Archanioł oddał mu alhadżar, miecz z czarnego kamienia. Ten rycerz nosił imię Erharda z Edelbergu. Młodzi bogowie nie zapominają, *efendi*. Krew pamięta.

Wszystko stało się nagle krystalicznie jasne. Archanioł, czarny miecz i przerażenie Argusa. Cała ta szarada z poszukiwaniem członków ekspedycji, wszystko po to, żeby odzyskał miecz, który mógł zanieść śmierć samym bogom. Posłać świat na krawędź rozpacz i zniszczenia.

- Adelmar Erhard, twój ojciec, wiedział, o jaką stawkę toczy się gra. Próbował odzyskać miecz, ale zawiódł. Uciekł.



A ctany podążyły za nim aż do brzegów Tanganiki. Myślałem, że wraz z jego śmiercią linia Erharda wymarła, a bez jego krwi...

Reiner nie pozwolił mu dokończyć. Wybuchnął śmiechem. Linia Erharda! Nie było żadnej linii Erharda!

- Padłeś ofiarą kosmicznego żartu, Aziz.

- Doprawdy?

- Tak, ja... - Reiner zamarł. Jeśli rzeczywiście był Arabowi potrzebny ze względu na swą krew, to teraz okazał się bezużyteczny. Wiedział, co się dzieje z bezużytecznymi ludźmi. - Jeśli bogowie-Trójca nadal tam są, to miecz zawiódł.

- To nie miecz zawiódł, *efendi*, tylko człowiek. Erhard, krzyżowiec, okazał się zbyt słaby i nie podołał zadaniu. W mroku pomiędzy gwiazdami odnalazł nowego boga i jemu się zaprzedał. Al-hadžar wyczekiwał na ciebie wiele wieków.

- Odpowiada mu krew zdrajcy? - uśmiechnął się krzywo Reiner. Najpierw ten rycerz, później mój ojciec. Jak na rodzinę wybrańców byli słabi.

- Zdaje się, że to nie kwestia preferencji. Krew twojego przodka pozostawiła na młodym bogu ślad, niczym dłoń w glinie. Dziś nie przetrwałby w innym środowisku.

- Środowisku? On jest we mnie? - wzdrygnął się Hauptmann.

- Bóg zamknięty w kamieniu. Kamień przekuty w miecz. Miecz jest w twojej krwi, Reinerze Erhardzie, czy to nie poetyckie?

Reiner zerwał się, odrzucając prześcieradło. Prawe ramię miał sine, ale całe, jakby zimne dłonie Biesiadnika wcale go nie dotknęły. Cienka, niemal przezroczysta

skóra lśniła w świetle lampy, nabrzmiałe, ciemne żyły pulsowały rytmicznie. Gabrleth. Hauptmannowi zebrali się na wymioty. Został nieodwracalnie skażony.

- Skurwielu!

Rzucił się na Araba, ale zanim go dopadł, poraził go paroksyzm bólu. Z niedowierzaniem spojrzął na swoją prawicę. Nadgarstek pękł, w dłoni spoczywał miecz. Opatrzności! Zmusił się do ponownego skoku. Miecz zatoczył łuk w powietrzu, ale zatrzymał się kilka centymetrów od celu. Aziz był zbyt szybki. Jedną ręką trzymał go już za przedramię, drugą wymierzył cios w podbrzusze. Reiner opadł na kolana.

- Cieszę się, że nie opuścił cię duch walki. Przyda ci się podczas ostatniego etapu twojej podróży.

- Jak miałbym zabić boga, jeśli nie potrafię sobie poradzić nawet z tobą?

Aziz zachichotał.

- Wszystko w swoim czasie, *efendi*.

Ostrze znowu znikło w ramieniu. Rana nadgarstka zaklepiła się... prawie. Ból pozostał. Reiner instynktownie wiedział, co to oznacza. Nie był krwią z krwi Adelmara. Gabrleth umierał. Robak też o tym wiedział i zgodził się na to. Zgodził się, bo wyczuł nienawiść i determinację Reiner. Wyczuł bezsilną rozpacz i sam rozpaczął nad swoją bezsilnością. Wyczuł tak wiele. Śmierć, która go poprzedzała i śmierć, która miała nastąpić. Poprzedzający i bóg zniszczenia. Anioł zemsty.

Rzeczywiście poetyckie, pomyślał z goryczą.

- Nie wiem, ile czasu nam zostało, Aziz - mruknął, kładąc się z powrotem na łóżku.

- Cała wieczność - odparł Arab. - Co nie znaczy, że nie powinniśmy się spieszyć.

Reiner zdobył się na uśmiech.

- Teraz mam ci znowu zaufać, tak?

- Teraz masz za mną podążyć.

- Jest jakaś różnica? Czemu?

- Rzekłbym, że to przeznaczenie. Mógłbym powiedzieć, że potrzebuje cię ludzkość, lub zagrać na twojej wierności i wskazać zagrożenie Rzeszy. Ale powiem tylko: ta kobieta zasługuje na zemstę. Jej twarz, jej skóra, jej teraz zimne, puste, ale nadal piękne oczy. To była kobieta warta rozerwania niebios. I chociaż nie żyje, patrzy na ciebie.

Reiner przelknął ślinę, starając się opanować kolejną falę gniewu. Aziz chciał go wyprowadzić z równowagi.

- I co mielibyśmy teraz zrobić? Zniszczyć Zegar? Po cóż mi do tego miecz?

- Jeśli zniszczysz Zegar, zbudują drugi. Nie. W Berlinie zagnieździło się zło. Plugawe siły bogów-Trójcy i niezwiązani, pomioty bez panów, wszyscy knują upadek ludzkości. Jest *ctanlgan*, Głodna Matka, Pełzający Strach, terror sprzed wielkiego ognia. Spółkuje ze wszystkim, co żyje, wydając na świat pokraczne monstra, w tym nowe ctany. Pożera wszystko, nawet własne dzieci, jeśli nie są dostatecznie szybkie. - Oczy Aziza straciły blask. - Dwóch *salgotath*, najpewniej wykopanych z grobowców w Irem. To oni wzniesli Zegar, to oni znają jego sekrety, to oni nadali pęd Eskalacji. Ich śmierć opóźniłaby nadejście bogów-Trójcy, ale nic ponadto. Ach, i jest też On. Cięż mężczyzny i mężczyzna bez cienia. Wybranek bogów, a przynajmniej jednego z nich. Wilhelm Fannsbach.

„Wilhelm Fannsbach nie istnieje.” Słowa Argusa odbiły się echem w umyśle Reintera.

- Człowiek, Którego Imię Porwał Wiatr. Jest najstarszym i najpotężniejszym ze sług bogów na tej Ziemi, jest sprytny i dokładny. Ale jest też ich największą słabością, *efendi!* Bowiem nie tylko widział Oko Świata, ale był tam, stał nad jego otchłanią.

- Zna drogę.

- Jesteś nadzwyczaj domyślny, *efendi!*

- Albo podążam po torach myślowych, które dla mnie przygotowałeś.

- Możliwe - przyznał Aziz z uśmiechem. - Ale prawdą pozostaje, że Fannsbach to klucz. Nie wiem, w jakiej norze się ukrył, ale z pewnością wie to jego kochanka.

- Nawet nie zaczynaj... - Na samą myśl Reinerowi zrobiło się niedobrze.

- *Ctanlgan*. Cieszę się, że podzielasz moje zdanie o tych wszetecznych praktykach.

- Aziz... czemu tyle zwlekał? Przynajmniej osiem wieków. To cholernie długo.

- Dla bogów-Trójcy czas to tylko niewygoda. A Fannsbach... był uwięziony, izolowany pieczęciami Salomona, ale przez wieki jedna po drugiej zostały złamane.

- Pieczęciami?

- Nie myśl o nich dosłownie. - Aziz westchnął, jakby musiał zrobić coś nieprzyjemnego, ale już się z tym pogodził. - To równania kwantowe. Matematyka wykraczająca poza twoje rozumienie.

- I stworzył je król starożytnego Izraela?

- Nie. Wręcz przeciwnie.

- Powiedziałeś...

- Wiem, co powiedziałem. Nie bój się, *efendi*, wszystkimi się zajmiemy. Rozerwę *salgotath* na strzępy, a ty i młody bóg...

- Przedziwna nazwa. *Salgotath*. Ty jesteś, jak to było? Salgoth?

Twarz Aziza stężała.

- Są tym, czym mogłem być, gdybym się zatracił. Na tym świecie są moim brzemieniem. Moi zagubieni bracia. Gdybyś tylko miał władzę Salomona... władzę Sulejmana... ale gdybyś ją miał, mnie już by nie było, prawda? - Arab wyszczerzył zęby. - Nieważne. Weźmiesz, co trzeba, i zniszczysz resztę. Jeśli zechcesz, rozprawisz się ze Stowarzyszeniem Thule, bluźniercami w szeregach własnego narodu. Odnajdziesz wybrańca i skończysz z nim, a przez niego zniszczysz bogów-Tróję.

- A Zegar? Ta cała paplanina o księgach i zwojach, o Czasie Zaćmienia, o poszukiwaniu źródła Eskalacji, wszystko to kłamstwo?

- Najszersza prawda, *efendi*. W Irem Stowarzyszenie Thule znalazło księgę i *salgotathy*. To początek, ale nie źródło. Bogowie są źródłem. Ja zajmę się Zegarem, o to się już nie martw, *efendi*. Zresztą gdy zrobisz, co masz zrobić, Zegar stanie się bezużyteczny, zanim jego czas nadejdzie. Gdy woda przestaje płynąć, młyńskie koło przestaje się obracać.

- Mam tego wszystkiego dokonać mieczem?

- Mieczem.

- I spopielić świat?

- Co?

- Sam powiedziałeś - stwierdził Reiner, czując, że wreszcie klaruje mu się obraz machinacji Aziza - że młodzi bogowie pragną tylko zniszczenia. Że czekają w uśpieniu na koniec świata. Ten tu, w ramieniu, się budzi. Powiedz mi, Aziz, jeśli to twoje prawdziwe imię, skąd

mam wiedzieć, że istnieją jacyś bogowie-Trójca? Skąd mam wiedzieć, że ty nie jesteś jednym z nich? A ja narzędziem, które uwolni to coś w moim ramieniu i zniszczy wszystko. Cóż za dowód mi ofiarujesz?

- Żaden, *efendi*. A jeśli coś z twych rozważań byłoby prawdą, miałbyś niewiele czasu, żeby to pojąć i ocalić skórę, nie mówiąc już o twej cennej rasie.

- Więc zostanę tu i nigdzie się nie ruszę.

- Wtedy przegrywasz z miejsca, *efendi*. - Arab zachichotał. Ten ustawiczny śmiech przyprawiał Reintera o ciarki. - Bo Eskalacja jest prawdziwa i Wrota też. A ty sam wiesz, że to przejście do czegoś nienaturalnego, spaczzonego. Wrót jest coraz więcej. Mówiłem ci, że nie wiem, do czego służą. Kłamałem. To fragmenty Voghtoth. Nie rozumiesz? Są za słabi, żeby ponownie wdrzeć się do tego świata. Dlatego je scalają. Dwa światy połączone mostem. Czas Zaćmienia, *efendi*, pojmujesz? Każde Wrota obracają przestrzeń na obraz ich podłej krainy. Zamieniają Ziemię w Voghtoth. Kiedy Rzesza pokona Stany Zjednoczone i rozciągnie sieć Eskalacji za Atlantyk, nadejdzie czas i nastąpi koniunkcja.

Reinter musiał uwierzyć w tę straszliwą prawdę. Pamiętał, co widział, kiedy znalazł się na chwilę w polu Eskalacji. Nie mógł pozostać bierny, ale zanim zdobył miecz, miał wybór. Jego działania mogły zakończyć się sukcesem lub porażką, ale nie zagrażały większemu dobru. Teraz był tykającą bombą, tym bardziej, że młody bóg w jego ręce umierał. Co się dzieje, kiedy umiera bóg?

Między młotem a kowadłem.

- Ty przebiegły sukinsynu. - Reinter podniósł wzrok. Próbował sobie przypomnieć inne szczegóły. - Dieter Veller?

- Jak podejrzewałeś, nie istnieje. Nic z tego, o czym ci mówił McLean, nie ma znaczenia, bo on był nikim. Amatorem. Figurantem. Wszystko, co mówił, miało tylko rozpraszać twoją uwagę.

I wtedy Reiner po raz pierwszy dostrzegł pęknięcie w tarczy kłamstw. Aziz nie wiedział, że McLean to Hess. Na razie ta wiedza nic nie dawała, ale gdzieś tam pojawiła się iskra nadziei. Nie wszystko mieści się w twoim wielkim planie, pomyślał Hauptmann, nie wszystko potrafisz przewidzieć. Udając rezygnację, powiedział:

- Niech będzie. W jaki sposób zamierzałeś przerzucić nas do Berlina?

Odkładał konfrontację z Azizem już wiele razy, teraz musiał to zrobić ponownie. Musiał opanować moc pierścienia. Chyba że władza nad demonami to kolejne kłamstwo Araba. Nagle zrobiło mu się zimno.

- Zeppelinem. Wszystko ci wyjaśnię, ale najpierw zobaczymy, jak się miewa mój drugi pacjent, dobrze?

- Drugi pacjent? - zapytał Reiner przez zęby.

- Ta, którą nakazałeś mi zachować przy życiu. Już zapomniałeś?

•

Jak mógłby zapomnieć? Delphine, sobowtór Delphine. Prawdziwa Delphine zmarła w Paryżu. Modlił się w duchu, żeby tak było, żeby słowa Biesiadnika okazały się podłym kłamstwem. Aziz wiedział, musiał wiedzieć, ale bez względu na prawdę na pewno by zaprzeczył. Mówił tylko to, co służyło jego celom, cała historia bogów-Trójcy mogła być przemyślną mistyfikacją.

Klasztor był opustoszały, jak zapewnił Arab. Podwójne echo ich kroków niesło się pustymi korytarzami. Reiner nie widział krwi, śladów walki ani deformacji ścian spowodowanych przez broń termostrugową. Jak potężny był demon, który go prowadził?

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Aziz, zatrzymując się przed niewielkimi dębowymi drzwiami. - Proszę, *efendi*, jest cała twoja.

Szyderstwo w słowach Araba nie powinno zaboлеć... a jednak poczuł ukłucie, sam nie wiedział czego. Żalu? Wstydu?

- Ty nie wchodzisz?

- O nie, tylko ty jesteś odpowiedzialny za tę biedną istotę. - Reiner chwycił za klamkę. - Pamiętaj, ten klasztor to jedyny świat, który zna. Bądź ostrożny.

- Ostrożny? Jest groźna?

- Jest głosem Biesiadnika, księżę Barifgoth niechybnie złożył w niej larwy, ale nie o tym mówię. Nie obawiam się o zło w niej, lecz o niewinność.

- Kpisz ze mnie? Czemuś jej więc nie zabił, w imię mego bezpieczeństwa?

- Allah świadkiem, że chciałem. Próbowałem.

Reiner obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem, ale twarz Aziza pozostawała bez wyrazu. Pchnął drzwi i wkroczył do komnaty.

Leżała na prycy pod oknem, pogrążona w niespokojnym śnie. Zmięte prześcieradło zepchnęła na krawędź łóżka. Malutkie, pokryte gęsią skórą piersi drżały z zimna. Reiner wciągnął ze świstem powietrze. Tego było zbyt wiele. Oczami wspomnień widział tę scenę po tysiącokroć. Delphine obudzi się za chwilę, spojrzy na niego, uśmiechnie się niewinnie i spyta, czemu tak się przygląda.



Nie tym razem.

Przelknął ślinę i podszedł do łóżka. Poprawił prześcieradło i przykucnął u wezłowia. Taka podobna. Każda linia twarzy, każde drgnięcie mięśnia. Niesforny kosmyk włosów zawisł nad jej twarzą, drażniąc usta przy każdym oddechu. Reiner odsunął go delikatnie, ale nie cofnął ręki. Wierzchem dłoni przejechał powoli po jej policzku.

Nie zauważył nawet, kiedy otworzyła oczy. Przyglądała mu się teraz badawczo, na jej ustach błędził nieśmiały uśmiech. Poczłł nieznośny ból w klatce piersiowej. Musiała dostrzec zatroskanie na jego twarzy, bo przechyliła się ku niemu i zapytała:

- Coś nie tak? Reiner?

Odkoczył jak oparzony. Nie mogła, nie powinna...

- Zbladłeś - stwierdziła z niepokojem. - Czy coś... coś mi dolega? Czemu tak mi się przyglądasz?

Czemu? Czemu? Jakaś część Reintera chciała objąć ją czule i szepnąć: kontempluję piękno. Zamiast tego zaczął się cofać. Zatrzymał się dopiero, kiedy poczuł za plecami ścianę. Wiedział, że to nie ona, ale wiedza wcale nie dawała mu ukojenia. Irracjonalna myśl, która kazała mu zwątpić choć na chwilę w wydarzenia z Paryża, pchnęła go o krok w stronę przepaści szaleństwa.

- Reiner?!

Wybiegł, nie oglądając się za siebie.

•

- Zabij ją.

- Nie, *efendi*. To było twoje życzenie. To jest twoje brzemie.

- Wiem, czemu to robisz - warknął Reiner. - Chcesz,

żebym nie zapomniał. Nawet przez chwilę. Żebym wiedział, po co tu jestem. Żeby mój gniew nie ostygł.

- Powiedziałbym, że wręcz przeciwnie. Znalazłbyś w jej ramionach ukojenie - odparł Arab. - Jest taka podobna, wchodząc w nią, mógłbyś sobie wyobrazić...

Erhard rzucił się na Aziza, ale ten obezwładnił go bez żadnego wysiłku.

- Nie wiem, *efendi*, co bardziej cię wścieka. To, co implikuję, czy to, że gdzieś głęboko właśnie tego chcesz. Może dlatego zostawiłeś ją przy życiu?

Hauptmann zaczął się szarpać.

- Zabij ją! Po prostu ją zabij!

Aziz poluzował uchwyt, pozwalając Reinerowi się wyswobodzić.

- Sam ją zabij, *efendi* - powiedział chłodno. - To nie powinno być trudne. Jest bezbronna.

Tak jak Delphine. Reiner wiedział, że Arab chce zepchnąć jego rozumowanie na te właśnie tory, ale nie mógł nic na to poradzić. Wina ciążyła mu bardziej niż kiedykolwiek. Jediną osobę, która odważyła się go pokochać, wydał na śmierć. Teraz zamierzał wydać kolejny wyrok, żeby zapomnieć o tamtym. Spojrzał nienawistnie na Araba.

- Daj mi broń, Aziz - wyszczał.

Arab bez słowa wręczył mu termostrugowy pistolet. TermoStrahl3. Jak taka broń trafiła w ręce barifian? - pomyślał przelotnie Reiner. Ach, nieważne.

Ruszył do komnaty Delphine... nie, nie Delphine, tej bestii! Sobowtóra!

Z trzaskiem otworzył drzwi, kobieta aż poderwała się z przerażenia. Wycelował w nią i odbezpieczył broń.

- Dlaczego? - zdołała wyszeptać.

Dlatego. Dlatego, że nie potrafiłem jej uratować. Dlatego, że nie potrafię z tym żyć. Bo jestem słaby.

Nie.

Zwrócił broń w stronę stojącego w drzwiach Araba. Ten nawet nie mrugnął.

- Po co? - zapytał tylko.

Ponieważ potrafię tylko niszczyć. Bezmyślnie lub w imieniu ideałów, mając się hasłami i zasłaniając abstraktami. Większym dobrem.

Lufa ponownie zmieniła cel. Dotykała teraz skroni Reinera. Zabił kobietę, którą kochał, zamierzał zdradzić kraj, o który walczył, nosił w sobie plugastwo.

Zasługiwał na śmierć. Zasługiwał.

Broń wysunęła się z bezwładnej ręki i spadła z brzękiem na ziemię.

Czy to było tchórzostwo, czy odwaga?

## 6. Boże żyły

*Nadzieja ma skrzydła, przysiada  
w duszy i śpiewa pieśń bez słów,  
która nigdy nie ustaje, a jej najśłodsze  
dźwięki słyhać nawet podczas wichu-  
ry.*

Emily Dickinson

*Ren, niedaleko Bonn, Niemcy.*

*Wrzesień, rok 1944*

Wyrzał za burtę, ale w mętnej wodzie nie dostrzegł nawet zarysu odbicia. Uśmiechnął się krzywo. Od wody było nieprzyjemne ciepło, nad powierzchnią unosił się przykry, ledwo wyczuwalny fetor.

- To ścieki, *efendi*. - Reiner nie słyszał nadejścia Aziza. Arab poruszał się bezszelestnie niczym poranna mgła. Albo śmierć. - Fabryki pracują dzień i noc. Liczy się tylko efektywność. Odpady bogate w ciężkie metale i obce drobnoustroje z Voghtoth trafiają do podziemnych rzek i spływają tutaj.

Reiner widział odarte z życia brzegi Renu. Nie, to nie było do końca zgodne z prawdą. Trawy i drzewa zgniły, ale na ich martwej tkance wyrosło coś nowego. Plaże pokrywał seledynowy nalot, jakiś nieznany dotychczas gatunek porostów. Kępy szarawej, nienaturalnie długiej trzciny wily się niepokojąco na wietrze. Gdzieniedzie dostrzegali też kaczki, pliszki i zimorodki, ale sam ich widok przyprawiał go o zimny dreszcz. Poruszały się ospale, zawsze grupami składającymi się z osobników różnych gatunków. Czasem, bez zapowiedzi, rzucały się na siebie. Wtedy przybrzeżne wody barwiły się na czerwono. Ptaki nie wydawały żadnych dźwięków.

Któregoś wieczoru spytał o nie Aziza.

- Najprostsze umysły poddają się pierwsze. Obca świadomość przenika najpierw do najbardziej pierwotnych zakamarków mózgu. Zabija instynkt. Wypacza naturę. W miejsce zasad wprowadza niczym nieskrępowane szaleństwo. To samo dzieje się z ludźmi, *efendi*. Nie można ocenić, ilu zatraciło już dusze, bowiem do ostatnich chwil w oczach jarzy się błysk zrozumienia.

- Mówisz, że to obce szaleństwo nie pozbawia zdolności logicznego myślenia? Po prostu transformuje fundamenty i założenia, na których opiera się rozumowanie?

- W rzeczy samej.

Od tamtego czasu Reiner przyglądał się bliżej załodze „Resbrucka”. Większość z nich pływali w górę i w dół Renu już przed wybuchem wojny. Nic w ich zachowaniu nie wskazywało na zewnętrzne wpływy, o których mówił Aziz. Nie dało się tego powiedzieć o kilku marynarzach,

którzy zostali przeniesieni do służby cywilnej z czynnej służby wojskowej. Podobno byli wcześniej zaokrętowani na transportowcach przewożących elementy Wrót Eskalacji do odległych miejsc, takich jak Southampton czy wybrzeża Afryki. Potrafili godzinami wpatrywać się bez ruchu w rzeczne odmęty albo stalowoszare chmury, mało spali, mało jedli. Rozumieli, co się do nich mówi, ale sami nigdy się nie odzywali. Dwa dni temu jeden z nich zmarł podczas nocnej warty. Lekarz pokładowy ustalił przyczynę śmierci jako niedotlenienie. Biedak po prostu zapomniał oddychać.

- Zastanawiam się, Aziz, czy ktoś już to zauważył. I wyciąga wnioski.

- Pytasz, czy ludzie zaczynają rozumieć, czym naprawdę jest Eskalacja? Nie, *efendi*. W większości regionów zmiany nie są tak rozległe ani tak nienaturalne, żeby nie dało się ich przypisać naturalnym czynnikom. Tam, gdzie Eskalacja odcisnęła swoje piętno silniej, - tak jak w przypadku tych marynarzy, zazwyczaj jest za późno również dla obserwatorów. Zepsucie Voghtoth usypia czujność i tępi zmysły. Oczywiście - podjął po chwili Arab - na pewno znaleźli się tacy, zwłaszcza w samym Berlinie, którzy tak jak ty połączyli kropki i nie spodobał im się otrzymany rysunek. Myślę jednak, że są uciszani, zanim zdążą podzielić się z kimś swoimi rewelacjami.

- Minął trochę ponad rok od pojawienia się gwiazdy carycyńskiej, a dla zorientowanego zmiany są już widoczne gołym okiem - zripostował Reiner. - Sekret nie utrzyma się długo.

- Nie musi. Kiedy tylko Stany przyłączą się do wojny, kłamka zapadnie.

Reiner doskonale to rozumiał.

- Nie mamy wyboru. Nasze zwyczajstwa opierają się teraz jedynie na Eskalacji. Jeśli chcemy wygrać wojnę za Atlantykiem, musimy z niej korzystać. - Świadomość tego rozdzierała mu serce. Wiedział, że kładąc kres ingerencji bogów-Trójcy, zniszczy Rzeszę.

- To konieczne poświęcenie - odparł Aziz, jakby czytając myśli Hauptmanna. - Kiedy dotrzemy do Berlina, zostanie nam niewiele czasu. Ta okrężna droga sporo nas kosztuje.

- W takim razie trzeba było obrać inną.

- Mój pierwotny plan - zaczął Arab - polegał na zaskoczeniu. Liczyłem, że śmierć Biesiadnika dłużej pozostanie tajemnicą. Niestety ctany wracają strzec matki. Ściągają z całej Europy, porzucają posterunki i linie frontu. Niedługo ulice Berlina zamienią się w mroczną dżunglę. Szlaki powietrzne są najłatwiejsze do kontrolowania i nie są już bezpieczne.

- Z Bonn podróż łądem zajmie nam kilka dni.

- Nie będziemy podróżować łądem, *efendi*. - Aziz uśmiechnął się złowieszczo.

- Nie lubię tej twojej miny. Jak zamierzasz nas przetrzucić do Berlina?

- Skrótem. Bogowie i inżynierowie twojej rasy otwierają przed nami interesującą opcję.

- Nie chcę wiedzieć. - Reiner wstał i ruszył w kierunku nadbudówki.

- Jak sobie życzysz. Miłego wieczoru.

Reiner skrzywił się na te słowa, ale odwrócił się, zanim Aziz dostrzegł jego wyraz twarzy.

Pod pokładem było zdecydowanie chłodniej... przynajmniej dopóki nie dotarł do swojej kajuty. Każdy dzień

spędzony obok niej osłabiał jego wolę. Była zbyt podobna. Nie potrafił się przed nią obronić. Aziz powiedział mu, czym była: ludzką kobietą, którą Biesiadnik wziął sobie na własność, żeby była jego twarzą i jego głosem. Kto wie, kim była wcześniej?

- Jak jest na zewnątrz?

Ten uśmiech.

- Szaro, mrocznie, nic, co chciałabyś oglądać. Świat jest brzydki.

Radość odpłynęła z jej twarzy, ale niecałkowicie. Nic nie mogło do końca zabić w niej pogody ducha.

- W takim razie powinniśmy popłynąć gdzie indziej.

- Może później. Teraz musimy coś naprawić. To skomplikowane.

Spojrzała na niego tak, jak nigdy przedtem. W niewinnych oczach zagościło... co? Smutek? Zrozumienie?

- Reiner - imię jak sztylet w żebra - nie musisz mnie chronić. Wiem, co zamierzasz. Strzaskać porządek. Złamać strzałę. Aziz mi powiedział.

Powinien był się tego domyślić.

- Aziz... powiedział ci coś jeszcze?

Kobieta spuściła wzrok.

- Delphine - z dnia na dzień wymawianie tego imienia przychodziło mu łatwiej - powiedz, proszę.

Usiadł obok niej na pryczy, ale uważał, żeby przypadkowo jej nie dotknąć.

- Powiedział - uśmiechnęła się cierpko - że nie jestem taka jak inni. Że - głos jej się na chwilę załamał - zbyt szybko zostałam rzucona na ten świat. - Reiner drgnął, z ust wyrwało mu się ciche westchnienie. - Że sprawiam ci ból, bo przypominam kogoś, kto był ci bliski, a kogo nie potrafiłeś ocalić.



Powiedział jej. Powiedział jej wszystko.

- Czy to prawda, Reiner?

- Ja... - zaczął, ale słowa nie chciały układać się w zdania. Chciał skłamać, ale nie potrafił. - Musisz zrozumieć, emocje... To silniejsze, mimowolne... - przełknął ślinę. - Kochałem ją.

- Widzę. - Delphine znów uśmiechnęła się do niego tym łagodnym, ciepłym uśmiechem i położyła drobną dłoń na jego dłoniach. - Ale nie musisz się tego wstydzić. To nie jest słabość, Reiner. - Chciała spojrzeć mu w oczy, ale zdołał odwrócić wzrok. - Wiem, że nią nie jestem. Możesz na mnie patrzeć. To nie umniejsza tego, co czujesz. To świadectwo, jak bardzo ci na niej zależało.

- Delphine...

- Pozwól mi skończyć. Moje życie jest krótkie. Nie mam o niczym pojęcia. Pewnie wydają ci się dziecinna i nieświadoma. Ale wiem jedno: chciałabym, żeby ktoś darzył mnie takim uczuciem.

Wreszcie odwzajemnił jej spojrzenie. Jej niewinność sprawiała, że chciało mu się płakać. Zostało jej kilka tygodni życia, tak okrutnie krótkiego życia - a jednak rozumiała go lepiej, niż on sam siebie rozumiał.

Barka zadrżała. Raz, drugi, później pojedyncze wstrząsy przeszły w stałe wibracje.

- Reiner? - zapytała trwożnie Delphine.

- Zostań tu. Nie wychodź z kajuty, dopóki nie wrócę.

Nie czekając na odpowiedź, zerwał się z pryczy i wyszedł na korytarz. Wszędzie kręcili się przestraszeni marynarze. Reiner złapał jednego za koszulę i nie puścił, kiedy tamten chciał się wyrwać.

- Co się dzieje?  
- Barka się zanurza! - warknął marynarz i wyrwał się z uchwytu wstrząśniętego Hauptmanna.

Co?

Ruszył w górę po schodach i na pokład.

Człowiek sądzi, że jeśli widział jedną straszliwą rzecz, to jest przygotowany na obraz kolejnej. Ludzki mózg nie działa w ten sposób.

Zza burty chwyciła błotnista ciemność. Nie dało się tego inaczej opisać. Czarna woda, pełna nieczystości i gęsta jak muł, zaciskała się wokół barki niczym palczaste odnóża gigantycznej istoty. Jakiś marynarz biegł po pokładzie, potknął się i wtedy trafiła go smuga ciemności. Skóra na jego twarzy i rękach momentalnie szerniała, po czym rozplynęła się jak woda.

Reiner zmusił się do zamknięcia oczu, ale natychmiast otworzył je ponownie. Na dziobie barki stał Aziz, z rękami uniesionymi wysoko nad głową, z rozczapierzonymi palcami, jakby chciał schwytać same gwiazdy.

Czarny miecz wysunął się bezwiednie, a towarzyszący temu ból niemal rozsadził mu czaszkę. Arab odwrócił wzrok, jakby wyczuł nadejście młodego boga.

- Wracaj pod pokład!

- Aziz!

- Wracaj... - zaczął Arab, ale szum pochłonął jego słowa. Nad barką ze wszystkich stron uniosły się ściany nieprzeniknionej ciemności.

Reiner skoczył w dół po schodach. W tej samej chwili ciemność opadła na barkę i pochłonęła ją całkowicie.

•

Kiedy tylko odzyskał przytomność, rzucił się w kierunku swojej kajuty.

- Delphine! - krzyknął, przestępując próg. - Delphine!  
Odpowiedziało mu ciche łkanie dochodzące z kąta.

- Już dobrze - powiedział, klękając obok niej. - Już wszystko dobrze. Już dobrze - powtarzał mechanicznie.

Delphine przywarła do jego ramienia i ścisnęła tak mocno, że poczuł paznokcie wbijające się w skórę. Nie przeszkadzało mu to.

- Dobrze. Wszystko dobrze. Spokojnie. Nic ci nie grozi.

Spojrzeniem pytała: co się stało?

- Nie wiem. Coś nas zaatakowało. Ale już po wszystkim. Barka znów płynie. Pójdę sprawdzić, co się dzieje.

- Nie zostawiaj mnie - wyszeptała. - Proszę. Błagalne spojrzenie.

- Dobrze, trzymaj się za mną.

Poranioną od miecza dłonią sięgnął po lugera. Chociaż w drugiej kaburze nosił teraz termostrahla, nadal nie mógł się przekonać do broni termostrugowej. Kiedy do był pistoletu, skrzywił się. Z każdym wyciągnięciem miecza rana na dłoni robiła się większa. Teraz z trudem utrzymywał broń.

- Jesteś ranny.

- Uderzyłem się podczas ostatniego wstrząsu, to nic takiego.

- Tyle krwi...

- Powiedziałem, że to nic takiego - uciał gniewnie.

Delphine nie powiedziała już nic.

Drzwi nadbudówki leżały w drzazgach. Reiner ostrożnie

pokonywał schody, wyżejając wzrok. Nie widział ani śladu czarnego szlamu, tylko powyginane burty i wgnieciony gdzieniegdzie pokład. Ciała zniknęły, ale wiedział, co się z nimi stało. Na dziobie prężył się Aziz.

- Jeśli zamierzasz wyzywać mnie od sukinsynów, to się robi już odrobinę schematyczne.

- Zabiłeś ich wszystkich - wydusił z siebie Erhard.

- Nic za darmo, *efendi*. Ciesz się, że to nie ty musiałeś płacić. - Arab teatralnie rozłożył dłonie.

Reiner dopiero teraz zauważył, że otoczenie uległo zmianie. Woda była tu zielonkawa i półprzezroczysta, pływały w niej jakieś węzowate ryby. Nabrzeże porastała bujna, ale całkowicie obca roślinność. Trudno było dostrzec coś więcej, bowiem z obu stron, kilka metrów od linii brzegowej, piętrzyły się skały, które przesłaniały horyzont. Niebo było jasnozielone, ale oglądane jakby przez mgłę albo przybrudzone szkło.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała Delphine.

- W Voghtoth. Poniekąd.

W oddali rozległ się przeciągły huk czy może nieludzki jęk.

- Zabrałeś nas w samo serce tego koszmaru? - warknął Reiner.

Aziz uśmiechnął się szeroko.

- Nie, nie serce. Rzeka była tak dalece zanieczyszczona, że nadwątlila przesłonę. Światy zaczynają się przenikać, *efendi*, a ten, kto potrafi to wykorzystać, może być tu i tam. Nie bój się, tak naprawdę nas tu nie ma.

- Co? Bełkoczesz, Aziz. Dość mam tych niespodzianek i zagadkowych odpowiedzi.

- Dość, a jednak ciągle się na nie godzisz. Ale to dobrze, bo w tym przypadku twoja cierpliwość okaże się cnotą i zbawieniem nas wszystkich. W tym świecie, Vogthoth, jesteśmy tylko cieniem. Prawdziwa podróż może się odbyć tylko przez Oko Świata i wymaga znacznie więcej trudu. Nie, my tylko przeciskamy się przez szczeliny, korzystamy z pęknięć.

- Co? - powtórzył Reiner, obserwując przesuwające się po niebie rozmyte, czarne chmury.

- Zaginamy przestrzeń. Podróż, która tutaj będzie trwać kilka chwil, zajęłaby nam kilka dni. W mgnieniu oka znajdziemy się w Berlinie, gdzie porzucimy ten... jakby to nazwać?

- Szlak?

- To błona - szepnęła Delphine, patrząc w niebo.

Teraz Reiner też to dostrzegł. Wysoko nad nimi rozpościerała się niemal przezroczysta błona, przez którą prześwitywały jakieś niewyraźne kształty.

- Ona nas otacza. Jesteśmy w tunelu, Aziz?

- Tak, *efendi*. Płyniemy z prądem krwi boga. Ten rejs został okupiony wieloma duszami, dlatego mam nadzieję...

- Poświęciłeś ich! - Wysuwający się miecz wytrącił Reinerowi lugera z ręki.

Delphine krzyknęła.

- *Efendi*, nie!

Było już za późno. Wzrok przesłoniła mu czerwona mgła, jego uszy wypełniło brzęczenie i dźwięk tłuczonego szkła. Dłoń, na której nosił pierścień, zaczęła go palić.

Tym razem, Aziz, tym razem.

Pobiegl, zataczając szeroki łuk mieczem. Deski pod jego stopami jęczały żałośnie, jakby z każdą sekundą ważył

coraz więcej. Zanim znalazł się przy Arabie, barką targnął nowy wstrząs.

Czerwona mgła na chwilę się uniosła.

- Chcesz nasz utopić? - zapytał, myśląc bardziej o bezpieczeństwie Delphine niż o swoim własnym.

- Nie! To nie moja sprawka, głupcze!

Barka zadygotała i przechyliła się na sterburtę.

- Pasożyty żerujące na pasożytach, *efendi*! Zwabił je tu zapach młodego boga.

Przed oczami Reintera stanęły obrazy okropieństw, których był tu świadkiem podczas poprzednich sennych wizyt.

- Zabierz nas stąd!

- Nie mogę! Tu przesłona jest grubsza. Musimy to przeczekać.

Przczekać?!

- Delphine! Pod pokład! - wrzasnął Reinter, wskazując mieczem nadbudówkę. - Słyszysz mnie?!

To nie jest czas na dyskusje!

Kobieta niechętnie usłuchała i zniknęła pod pokładem.

- Aziz, gdzie one są?!

- Wszędzie, *efendi* - westchnął Arab.

Wreszcie je zobaczył. Pokraczne maskary, niczym ziemne robaki o szponiastych ramionach i nogach jak u żaby. Stwory przepełzały przez burty z każdej strony barki.

Nie wiedzieć czemu, posłyszał echa krzyków znad Tanganiki.

Otrząsnął się i natarł na pierwszą poczwagę, która wgramoliła się na pokład. Miecz młodego boga przecinał skórę, tkankę i kości z jednakową łatwością. Z przepołowionego cielska wylała się fala mniejszych glist, które

rozpełzły się na wszystkie strony. Robaki nie uciekały ani nie robiły uników. Po prostu zalewały barkę niekończącą się powodzią ciał. Aziz rozszarpał kilka z nich, ale szybko zniknął w morzu krwi i czerwi. To bezcelowe, pomyślał Reiner i opuścił miecz. Patrzył jak urzeczony na tę żywą powódź.

Arab skoczył do niego z kłębowiska cielsk. Hauptmann nie mógł uniknąć ciosu. Jego instynkt stopił się z instynktem młodego boga.

*Jestem końcem.*

Świat stał się na chwilę czarno-biały. Rozświetlony.

Kiedy Reinerowi wrócił wzrok, na pokładzie nie było nic prócz stopionego metalu, popiołu i zwęglonych, czlekokształtnych zwłok. Prawa ręka płonęła bólem. Z trudnością złapał oddech.

- Oto fragment mocy, która spopiela światy - odezwały się zwłoki, powoli podnosząc się z pokładu.

- Aziz?

Bryła czarnego żużlu, która mogła uchodzić za głowę, zwróciła się w stronę Reineru.

- Słyszę rozczarowanie w twoim głosie, *efendi*. Prawie mnie miałeś.

- Zabiję cię tam, gdzie stoisz. - Hauptmann zamachnął się, lecz Arab, czy raczej to, co z niego zostało, wciąż był szybszy. Ręka Reineru uwięzła w stalowym, szorstkim uścisku. Niemal czuł kości przez warstwę zwęglonego mięsa. - Zaatakowałeś mnie.

- Może twój instynkt samozachowawczy przestał działać, ale młody bóg jest czujny.

- Wywołałeś to?

- Musiałem, *efendi*. Sam byłeś bezużyteczny. Twoja bierność mogła nas kosztować zbyt wiele. Jeśli masz zrobić, co masz zrobić, musisz stać się kimś więcej!

Reiner myślał tylko o jednym.

- Prawie cię miałem... a jednak przetrwałeś.

- Nie bez szkody własnej, *efendi*. W swym niespokojnym letargu młody bóg przewrócił się na drugi bok. - Aziz zacharczał i splunął jakąś czarną cieczą. - Nie szarp się tak, na nic się to nie zda. Nadal zbyt wolny, nadal zbyt słaby. Pozostaje ci tylko przebudzić boga, *efendi*.

Gniew Reintera ustąpił zrozumieniu. Sukinsyn chciał go obudzić.

- Chciałyś tego, co? Żebym pozwolił mu siać spustoszenie. Nic z tego.

Opuścił dłoń, a miecz posłusznie schował się w ciele. Aziz puścił go i odparł tylko:

- Sprawdź, co z kobietą.

Reiner zmrużył oczy i zawahał się, ale ostatecznie odwrócił się i ruszył pod pokład.

•

Znalazł ją w ich wspólnej kajucie.

- Co tam się stało? - zapytała cicho. - Widziałam błysk.

- To nic. Nic ci już nie grozi.

- Reiner... - szepnęła znużonym głosem, kręcąc głową.

Odgarnął z jej czoła niesforne kosmyki włosów, po czym przełknął ślinę i powiedział:

- Istoty, straszliwe istoty. Ale już ich nie ma.

Spojrzała najpierw na jego twarz, a później na dłoń.

- Twoja ręka.

Rana krwawiła, ale nie czuł już bólu.

- To przekleństwo i kara za moją głupotę - prychnął.



- Tańczę tak, jak mi zagrają. Aziz wszystko ukartował.

Jej odpowiedź go zaskoczyła.

- Jeśli wiesz, że tobą manipulują, to czemu dajesz się wodzić za nos?

- Wyczekuję okazji - odpowiedział, tym razem zaskakując sam siebie szczerością. - Nie mam złudzeń. Żyję - i ty żyjesz, dodał w duchu - tylko dlatego, że jestem potrzebny. Ale kiedyś w przyszłości pojawi się okazja i ja z niej skorzystam.

- Naprawdę w to wierzysz? - zapytała. W ustach innej osoby zabrzmiałoby to jak szyderstwo, ale Delphine obce były takie przejawy ludzkiej złośliwości. Naprawdę chciała wiedzieć.

Reiner zastanowił się nad tym.

- Tak - odparł wreszcie.

- W takim razie jestem pewna, że ci się powiedzie. - Posłała mu promienny uśmiech, który odwzajemnił. - Pozwól, że się na chwilę położę. Tylko na chwilę - dodała, zamykając oczy.

Uśmiech na twarzy Reintera ustąpił smutkowi i złości. Oczywiście, że była zmęczona. Przynajmniej raz Aziz mówił prawdę. W jej ciele dojrzewały larwy Biesiadnika. Z każdym dniem stawała się słabsza, z każdym dniem dłużej spała.

A jednak, mimo wszystko, nie mógł się pogрузić w całkowitej rozpacz. Coś się zmieniło.

•

Kiedy Reiner ponownie wyszedł na podkład, wszędzie panował mrok. Nie widział już obcych brzegów ani błony zasłaniającej niebo. Jak długo płynęli po tej przeklętej rzece?

- Aziz - powiedział głośno.  
- *Efendi*. - Głos dochodził od strony bakburty. - Jak się czuje ukochana?

Reiner posłał mu krzywy uśmiech.

- Delphine odpoczywa.  
- Nie spytasz, co ze mną?  
- Nie.  
- Moje rany się goją.  
- Przykro mi to słyszeć.  
- Zapewne - odparł obojętnie Arab. - Twój mały pokaz mocy zwrócił na nas czyjąś uwagę.

- Tak? - Reiner nie wydawał się tym zainteresowany. Patrzył w ciemność, jakby szukał tam jakiejś odpowiedzi.

- Nie wiem, czyj wzrok na nas spoczął, ale to nie oznacza nic dobrego. Oby nie sięgał poza krańce tego świata. Niedługo opuścimy to miejsce i znajdziemy się w Berlinie.

Hauptmann zamknął zmęczone oczy.

- Mmm.  
- Nie chcesz wiedzieć, co zamierzam, *efendi*?

Reiner westchnął.

- Czy jest jakiś sposób, żeby usunąć larwy Biesiadnika?

- A więc to ci zaprzęta głowę, *efendi*. - W głosie Araba dało się słyszeć rozbawienie. - Nie przypuszczałem, że to potrwa tak krótko.

- Są rzeczy, których nigdy nie zrozumiesz, pokrako. Więc jak?

- Może.

- Tak sądziłem. Nie jesteś tak nieprzenikniony, jak ci się zdaje. Myślałeś, że wykorzystasz ją przeciwko mnie?

Że jej podobieństwo do prawdziwej Delphine pomiesza mi zmysły? Że kiedy przyjdzie co do czego, oddam ci duszę w zamian za jej bezpieczeństwo? Że będę posłuszny? Że moje poczucie winy przekazujesz w poczucie obowiązku? Nie dbam o nią i o to, co się z nią stanie. Moje poczucie winy przekulem w żądę zemsty i wszystkim, którzy przyczynili się do jej śmierci, przyjdzie słono zapłacić. Ale nie tak, jak ty sobie życzysz.

W świetle obcych gwiazd oczy Aziza jarzyły się jak dwa ogniki.

- Jesteśmy na miejscu, *efendi*.

## 7. Upiór

*Idąc w ciemny szlak nieznany,  
Od złych duchów opętany -  
Z krain, kędy Bóstwo - Noc  
Samowładną dźrzyż moc  
I, w gwiazdzistej lśnić koronie,  
Na swym czarnym siedzi tronie -  
Świeżom wrócił w nasze światy,  
Spoza Thule lodowatej -  
Ze sfer - co w mgłach się promienia -  
Poza czasem i przestrzenią.*

Edgar Alan Poe

*Berlin, Niemcy.  
Wrzesień, rok 1944*

Woda zafalowała niespokojnie. Nieczystości i porosty pokrywające tafłę jeziora zaczęły rozstępować się pod wpływem gorącego powietrza, wydostającego się na powierzchnię z nieznanego źródła. Bąble pękały z głośnym mlaśnięciem, rozchlapując wrzące błoto na wszystkie strony. Gdyby w okolicy pozostały jeszcze jakieś zwierzęta czy rośliny, błędzące w powietrzu termowyladowania zamieniłyby je w gorzącą plazmę. Wreszcie wody

zaczęły się formować w lej, jak gdyby jezioro zaczerpnęło oddechu. Tafla zapadła się pod nienaturalnie ostrym kątem, po czym eksplodowała fontanną płonącego szlamu i niezidentyfikowanych organicznych szczątków.

Barka wystrzeliła z głębin i z głośnym plaskiem opadła w muł.

Świat wypluł ich na powierzchnię.

- Jesteś szalony, Aziz - wychrypiał Reiner, podnosząc się z pokładu.

- Myślę, że nie masz prawa wygłaszać takich sądów. Zresztą, *efendi*, nie powinienes oceniać jednostki w ode-rwaniu od jej rdzennego środowiska.

- Co to ma dokładnie znaczyć?

Arab wzruszył ramionami.

- Reiner? - Delphine wygramoliła się z nadbudówki. Z jej nosa leciała strużka krwi.

Erhard powstrzymał się od wszelkich gestów współ-czucia. Powiedział tylko:

- Jestem cały. A ty?

Skinęła głową, ale rodzący się uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Wasze zdrowie niezmiernie mnie cieszy - rzucił od niechcienia Aziz i wyjrzał za burtę. - Jesteśmy blisko brzegu, możemy brodzić.

- Gdzie właściwie jesteśmy?

- Muggelsee.

- To niemożliwe.

Odarte z zieleni, pełne szlamu i nieczystości jezioro wyglądało niczym toksyczne bagnisko. Ten ohydny ściek nie mógł się znajdować na przedmieściach Berlina.

- Och, zapewniam cię, *efendi*, to bardzo możliwe. Docieramy do serca Eskalacji. Spójrz na Zegar.

Reiner posłusznie spojrział w stronę wskazaną przez Aziza. Nad Berlinem górowała strzelista iglica, której szczyt wieńczyła lśniąca kula czerwonego światła. Znacznie urosła od czasu, kiedy widział ją po raz ostatni. Wokół unosiła się przesycona blaskiem mgła, którą co chwila przesywały elektryczne wyładowania.

- Widzę, że rzeczywiście nigdy nie można wrócić do domu - mruknął.

- Jeśli to cię niepokoi, Welthauptstadt złamie ci serce. Z potęgą bogów w rękach Speer wznosił nowy Berlin na ruinach starego.

- Wiem, że zamienili Tiergarten w port lotniczy wimánów.

- To tylko uwertura. W cieniu Zegara zbudowano Volkshalle, halę ludową, w której wnętrzu, o ironio, czai się coś nieludzkiego. *Ctanlgan*. Głodna Matka uczująca na ludzkich szczątkach.

- Twoje kwieciste mowy stają się z dnia na dzień bardziej nużące, Aziz. Volkshalle to macierz ctanów, rozumiem. Coś jeszcze?

- Wszystko w swoim czasie. Musimy się stąd wydość, zanim zostaniemy wykryci.

Nie czekając na odpowiedź, Aziz przeskoczył przez burzę.

Reiner kiwnął zapraszająco do Delphine.

•

To nie był Berlin, który pamiętał. Ulice były zatłoczone, to prawda, ale głównie przez ciężarówki z zaopatrzeniem, wozy pancerne i pokraczne mechanizmy Eskalacji,

a także tabuny robotników pracujących na trzy zmiany w niezliczonych fabrykach rozsianych po całym mieście. Stare budownictwo zastąpiły wysokie i posępne, homogeniczne wieżowce. Ściany były obdrapane i szare, bruk pokrywał pył i cienka warstewka pleśni. Kwaśne chmury i flota wimanów przesłaniały niebo, więc jedyne słońce, jakie znali obecnie berlińczycy, było słońcem Eskalacji. Czerwona kula energii unosiła się nad Zegarem Fannsbacha niczym zły omen. Wszystko było skąpane w posępnej, krwawej poświacie. Cośmy uczynili?

- Jesteśmy na miejscu, *efendi*.

Stanęli przed rozpadającą się dwupiętrową willą w północnym Neukölln. Ogród, który ją otaczał, dawno zmarniał, uschnięte szczątki roślin przemieniły się w zielonoczną pierwotną maź. Gdziekolwiek po murach wspinały się dziwaczne, obce porosty, stanowiące jedyny ślad życia w najbliższym otoczeniu.

- Należała do Bertholda Clausa, jednego z dobrych przyjaciół Basima Lee. Nie sądzę, żeby nas tu szukano.

- Nie będziemy się narzucać? - Reiner wykrzywił twarz w drapieżnym uśmiechu.

- Powiedziałem: należała. Berthold Claus zmarł tuż przed przybyciem Basima Lee do Londynu.

- Jakże fortunnie.

- W rzeczy samej. Tu będziemy bezpieczni.

- Skoro tak mówisz.

Wnętrze było urządzone z przepychem, ale patyna kurzu osłabiała to wrażenie. Ściany zdobiły święte afrykańskie maski i kilimy z Bliskiego Wschodu, na szafkach

stały posągi Buddy i bliżej niezidentyfikowane figurki z najróżniejszych zakątków świata. Berthold Claus, podobnie jak Basim Lee, fascynował się kulturami obrzeży.

Wspięli się po olbrzymich, trzeszczących ze starości schodach na pierwsze piętro, gdzie Aziz poprowadził ich długim korytarzem w głąb północnego skrzydła. Na ścianach holu wisiały obrazy przedstawiające egzotyczne zakątki świata i portrety, być może Bertholda Clausa i jego szlacheckich antenatów. Każdy z mężczyzn pozował ze sztuczerem albo dubeltówką i w pełnym łowieckim rynsztunku. Reiner machinalnie pomyślał o ojcu. Spodobałoby mu się tu.

Aziz zatrzymał się przed niewielkimi drzwiami w końcu korytarza i otworzył je ze skrzypieniem. Wewnątrz stały jedynie stare, zakurzone meble. Przez ha wpół zasłonięte okno do pokoju wpadał czerwony blask.

- Przytulnie. Co tu robimy?

- Ty i twoja towarzyszka potrzebujecie odpoczynku - powiedział Aziz, podchodząc do okna.

Kiedy je otworzył, zamiast orzeźwiającego powiewu, którego Reiner się spodziewał, do pokoju napłynęła fala gorąca i ostry zapach spalenizny. Skrzywił się i mruganiem próbował powstrzymać łzawienie.

- Delphine, drzwi po lewej prowadzą do sypialni. Proszę, zdrzemnij się, wyglądasz blado - rzekł Arab, a troska w jego głosie wydawała się Reinerowi niemal szczerą. Niemal. - Ty też powinieneś się zdrzemnąć, *efendi* - dodał, kiedy kobieta zniknęła w sąsiednim pokoju.

- A ty?



- Ja muszę wszystko przygotować.  
- Przygotować? Z tego, co rozumiem, naszym celem jest Volkshalle.

- Tak, ale nie tylko. Pamiętaj, *efendi, ctanlgan, salgotath* i Fannsbach, który zaprowadzi nas, niczym nić do kłębka, do swych bogów. Co zrobisz później, już mnie nie interesuje. Głodna Matka wije się w trzewiach Volkshalle, to prawda, ale *salgotath* są przebiegłe i skryte, a Fannsbach dobrze strzeżony. Potrzebujemy czegoś więcej, *efendi*. Zrobię, co obiecałem. Dostanę się do Zegara i okradnę go z mocy, choć na krótką chwilę. Bez potęgi Eskalacji twoi wrogowie będą dla ciebie jak bezbronne jagnięta.

- Możesz to zrobić? Zatrzymać Eskalację?

Kłamstwa Aziza sięgały znacznie głębiej, niż przypuszczał.

- Nie, *efendi*, jedyne, na co mogę liczyć, to krótkotrwała przerwa w jej strumieniu. Nic prócz śmierci bogów nie powstrzyma jej całkowicie.

- A przynajmniej ciągle mi to powtarzasz. Więc? Jak mamy zatrzymać Eskalację?

- Źle mnie zrozumiałeś - zachnął się Arab. - Ja zatrzymam Eskalację. Ty czekaj tu na znak ode mnie.

Reiner nie wierzył własnym uszom.

- Naprawdę sądzisz, że cię puszcze? Po tych wszystkich kłamstwach? Nie rozśmieszaj mnie.

- Nie masz wyboru - odparł Aziz z uśmiechem pozbawionym wesołości. - Mógłbym ci przemawiać do rozsądku i tłumaczyć, dlaczego wszystko trzeba rozegrać w ten sposób, ale nie mani na to czasu ani ochoty. Użyję więc innego argumentu. W pokoju obok śpi kobieta, bezbronna kobieta, zdana na twoją łaskę. Miasto roi się od ctanów, a

ona śmierdzi Biesiadnikiem. Gdyby któryś z nich ją zwięszął... Idź za mną, jeśli się odważysz, ale pamiętaj, że wszystkie wybory ciężyc będą na twych barkach.

Po tych słowach bez ostrzeżenia wyskoczył przez otwarte okno.

Reiner został na miejscu.

Przeklęty Arab! Przejrzał go na wylot. Znał jego uczucia i reakcje lepiej niż on sam.

- Odszedł? - usłyszał od strony drzwi sypialni.

Oto aksamitna rękawiczka towarzysząca stalowej pięści.

- Wróci - odparł, zamykając oczy i pochylając głowę w wyrazie rezygnacji.

- Martwi cię to? - zapytała Delphine z troską w głosie.

- Martwi mnie bezsilność.

- Co masz na myśli?

- Myślę, że moja klatka jest zbyt idealna, żeby się z niej wyrwać.

Czemu był tak cholernie szczery? Nawet z tamtą Delphine, prawdziwą Delphine, nigdy nie pozwalał sobie na całkowite opuszczenie gardy.

- Ja nią jestem, prawda?

Odwrócił się zdezorientowany.

- Tylko nie próbuj zaprzeczać. Jestem dla ciebie ciężarem. Chciałeś się mnie pozbyć w Rzymie, ale tego nie zrobiłeś. Teraz tego żałujesz.

- Delphine...

- Czemu za nim nie poszedłeś?

- Słyszałaś to? - westchnął. - Nie mogę. Nie potrafię.

- Przez nią?

Ja... ja ją opuściłem, pomyślał. Zabiłem ją. Porzuciłem

dla idei, która obecnie wydawała się równie pusta jak moje serce. Zamieniłem ją na ten wypaczony świat. Sprzedałem się tak tanio.

- W tym, co robisz, nie znajdziesz odkupienia, Reinerze Erhardzie. - Jej głos brzmiał teraz inaczej, dochodził jakby z oddali. - Uważasz, że Aziz pozostawił mnie przy życiu, żeby cię spętać. Jeśli tak, pomylił się. Nie będę cię zatrzymywać. Powinieneś za nim pójść. - Podeszła do niego i delikatnie położyła mu dłoń na piersi. - Reiner, ja nią nie jestem. Ale będę tu na ciebie czekać.

Ubierała w słowa jego niewypowiedziane lęki.

- Kim jesteś? - zdołał zapytać, dopiero po chwili zdając sobie sprawę z absurdalności pytania.

Delphine tylko się uśmiechnęła.

- Nie martw się. Idź.

•

Reiner czuł się jak szpieg. Przemykał się po przedmieściach, szczelnie opatulony płaszczem, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Unikał spojrzeń przechodniów, unikał patroli Wehrmachtu i servitorów strażniczych, nie mógł jednak uniknąć zimnych kalkulacji i nieuniknionych konkluzji.

Było za późno. Wahał się zbyt długo.

Zgubił go.

Niepostrzeżenie dotarł do Unter den Linden, gdzie przystanął, żeby zebrać myśli. Co mógł zrobić, by pokrzyżować plany Aziza? Poprosić o pomoc Kripo? Wyśmialiby go. Abwehra? Na samą myśl usta drgnęły mu w drwiącym uśmiechu. Gestapo? Czy mógł liczyć na pomoc

któregoś ze swoich dawnych współpracowników? Nie, nie zjednał tam sobie żadnych przyjaciół.

Wokół powoli zapaliły się napędzane Eskalacją latarnie. Bulwar Unter den Linden wziął swoją nazwę od lip, którymi wysadzone były oba jego skraje, ale drzewa dawno uschły w zimnym świetle Zegara Fannsbacha. Powykręcane, wysuszone na wiór pnie przypominały Reinero-wi ukrzyżowanych mężczyzn, których widział kiedyś na ikonie przedstawiającej rzymską via Appia po nieudanym powstaniu niewolników. Mijali go przygarbieni ludzie, powłóczący nogami. Wszyscy zdawali się zmierzać w jednym kierunku, przeciwnym do centrum miasta. Niektórzy nosili na ramionach szare opaski i tych właśnie wystrzegą się reszta.

W blasku czerwonej łuny Unter den Linden wyglądała niczym droga do piekła. Piekła, w które przeistaczał się Sen.

Jestem całkiem sam, pomyślał Reiner. Nie ma nikogo innego.

Nagle wyprostował się jak struna.

Nie, był jeszcze ktoś, Hess się o to postarał. Aziz próbował temu zaprzeczyć, ale nie był wszechwiedzący i popełnił błąd.

Reiner ruszył z miejsca, teraz jego energiczny krok kontrastował z otoczeniem.

Gdzie szukać nieznanego mężczyzny?

Skręcił w lewo i opuścił Unter den Linden. Wiedział, dokąd zmierza, i ta świadomość dodawała mu sił. Czuł, jakby z jego barków zdjęto wielki ciężar. Znajdzie to, czego szuka. Znajdzie Dietera Vellera.

Mijał kolejne skrzyżowania. Jügerstrasse, Taubenstrasse, Mohrenstrasse. Szare, kwadratowe budynki,

bardziej mauzolea z cegły i cementu niż domy mieszkalne, czarne, nieoznaczone furgonetki wyłaniające się znikąd i zmierzające w nieznanym kierunku, samotni funkcjonariusze policji skradający się ulicami, jakby bali się własnych cieni.

Co jakiś czas Reiner słyszał dziwne szmery dochodzące z bocznych uliczek, śliskie młaśnięcia ze studzienek albo stuk czegoś uderzającego o dachówki pokrywające spadziste dachy. Dwa razy zdawało mu się, że na tle czerwonej tarczy Eskalacji widzi poruszające się po budynkach niewyraźne sylwetki.

Mroczna dżungla, przypomniał sobie słowa Aziza.

Postawił kołnierz płaszcza i przyspieszył kroku. Zatrzymał się dopiero przed strzelistym, brunatnym gmachem Zivilstandsregister. Było późno, urząd powinien być zamknięty. Świetnie.

Pokonał dwa stopnie prowadzące do drzwi i załomotał w nie gwałtownie. Chwila ciszy, później szuranie i wreszcie zmęczony, zachrypnięty głos:

- Zamknięte.
- Otwierać. Gestapo.

Stróż nie wahał się długo. Reiner usłyszał dźwięk otwieranego zamka i przesuwanej zasuwki. Drzwi uchyliły się na kilka centymetrów.

- Tak?

Mężczyzna za drzwiami nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat. Był postawny, ale w oczach czaił się strach.

- Powiedziałem: gestapo. - Reiner błysnął swym niklowanym dyskiem upoważniającym. Nie czekał na reakcję stróża, tylko pchnął drzwi do środka i przekroczył próg. Po raz pierwszy od dawna poczuł słodki smak władzy. - Potrzebuję kogoś znaleźć. Gdzie trzymacie archiwa?

Trzęsącą się ręką stróż wskazał drzwi na końcu korytarza. Reiner bez słowa wyjaśnienia ruszył w tamtym kierunku. Za progiem ciągnęły się wąskie, spiralne schody oświetlone kilkoma ściennymi lampami, dającymi słabe różowe światło. Na samym dole znajdowały się kolejne drewniane drzwi, na których wypisane srebrną, grawerowaną czcionką widniało słowo: „Archiv”. Reiner powoli przekręcił klamkę, uchylił drzwi i wślizgnął się do środka.

Tam czekały na niego setki tysięcy akt, dziesiątki tysięcy narodzin, małżeństw i zgonów, wszystkie odnotowane, uporządkowane i składowane w kilkunastu przestronnych pomieszczeniach. W głównym holu znajdowało się biurko, które za dnia musiał zajmować naczelnny archiwista. Reiner podszedł do niego niespiesznie i wziął do ręki pierwszy lepszy rejestr. Miliony wpisów. Na szczęście był już kiedyś w podobnym urzędzie, prawdę powiedziawszy, bywał w takich miejscach wiele razy. Znał niemiecki system księgowania, jak proboszcz zna katechizm, dlatego poszukiwania nie powinny mu zająć dużo czasu. Sięgnął po kolejną księgę, która okazała się indeksem pomieszczeń. Szybko zlokalizował pokój, który go interesował, odłożył wolumin na miejsce i odnalazł odpowiednie drzwi. Wewnątrz było ciemno, chwilę zajęło mu odnalezienie włącznika światła.

Pokój był duży, ale rzędy szafek podzieliły go na szereg mniejszych niby-korytarzy, niwelując odrobinę to wrażenie. Tuż przy drzwiach znajdowało się kilka biurek, a obok nich szafa pancerna. Jeden strzał z termostrahla stopił zamek. Reiner ostrożnie otworzył drzwiczki szafy i

zaczął przeglądać stare, pozszywane akta. Jedno repertorium, później drugie i trzecie.

Veller. Damian, David, Diederich.

Dieter. Dieter Veller.

Zmarły trzydziestego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku.

- To niemożliwe - wymamrotał bezwiednie Reiner.

Ale to nie mogła być pomyłka. Zivilstandsregister nie popełniało takich błędów. Według repertorium Dieter Veller zmarł w zeszłym roku, a jego akta to potwierdzały. Z drugiej strony Basim Lee powinien był o tym wiedzieć, prawda? Reiner przejechał palcem wzdłuż ostatniego wpisu akt osobistych. Pochowany na Cmentarzu Inwalidów. Sto czternaście łamane na osiemdziesiąt siedem.

•

Zmiany spowodowane Eskalacją dotyczyły wszystkiego. Nic w Berlinie nie było już takie samo. Reiner zastanawiał się nad tym, kiedy przemierzał kamienne ścieżki pomiędzy rzędami nagrobków.

Na Cmentarzu Inwalidów tętniło życie. Obce, nienaturalne życie. Każdą gładką powierzchnię - ziemię, płyty chodników, nagrobki - pokrywała skomplikowana sieć porostów i czegoś, co przypominało morski koral. Tam, gdzie kiedyś stały drzewa, teraz wznosiły się kępy gigantycznego sitowia. W powietrzu unosiły się chmary insektów. Wpadały do oczu, ust i nosa, wpełzały do uszu i za koszulę. Wyżej całe roje podobnych, ale nieco większych owadów polowały na ptaki, które przyleciały tu nieroztropnie z otaczających Berlin pól. Jak ludzie mogli pozostać

bierni wobec tej przerażającej przemiany? Jak mogli na to patrzeć i nic nie robić?

Tak jak zawsze, powiedział sobie w duchu. Kiedy nie mogli przymknąć oczu, odwracali głowy. Ale niedługo nie będzie gdzie się odwrócić, wszystko zostanie wypaczone.

Sto czternaście na osiemdziesiąt siedem.

Nie spodziewał się podwójnego grobu. Nie wiedzieć czemu założył, że Dieter Veller, tak jak on, był samotnikiem.

Amelia Anna Veller. Ukochana żona.

Dieter Veller. Wierny obywatel, patriota i sługa ojczyzny.

Oboje zmarli w 1943 roku.

Westchnął.

- Czy mnie też wystawią taki nagrobek?

- Myślę, że to zależy.

Reiner odwrócił się błyskawicznie, dobywając termostrahla. Na ścieżce, którą przed chwilą przyszedł, stał mężczyzna spowity w szary, wojskowy płaszcz. Głowę zasłaniał mu szeroki kaptur, zbyt duży, żeby uznać go za część oficjalnego munduru. Spod kaptura spływał gruby ciemnozielony szal. Reiner dostrzegł, że nieznajomy nie jest uzbrojony. Z długich rękawów wystawały puste dłonie, obwiązane grubymi, pożółkłymi od jodyny bandażami.

- Śledzisz mnie?

- Dłużej, niż pan myśli. - Głos był przytłumiony, jakby mężczyzna mówił przez warstwę waty. - Ale wszystko jest w porządku, bo widzę, że pan również mnie szukał. - Kaptur nieznacznie skinął w stronę nagrobka.

- Dieter Veller? Doprawdy?



Nieznajomy zaśmiał się lub zakaszłał, Reiner nie potrafił odgadnąć.

- W innym życiu. Posługiwanie się tym imieniem teraz byłoby kłopotliwe. Ostatnimi czasy preferuję, kiedy ludzie zwracają się do mnie prościej.

- Trup? - podsunął bez cienia wesołości Reiner.

- Upiór. Przemykam się w ciemności i skrywam twarz za maską. - Tak, teraz nie było wątpliwości, pod kapturem twarz nieznajomego zasłaniała jakaś metaliczna przesłona. - Jak Upiór z Opery, rozumie pan. Wybitne dzieło sztuki. I adekwatne, symbolizm jest bardzo ważny. Mówię oczywiście o oryginale. Ewentualnie o filmie, tym z 1925 roku. Ten z zeszłego był koszmar.

Reiner powoli dochodził do wniosku, że jeśli nawet był to rzeczywiście Dieter Veller, to część jego jaźni została pogrzebana tu obok, dwa metry pod ziemią.

- Milczysz, przyjacielu. Czyżbyś miał zostać moim Persem? Nie, nie odpowiadaj, widzę, że nie masz pojęcia, o czym mówię.

- Jeśli idzie o sztukę, jestem zupełnym ignorantem.

- I zdajesz się być z tego dumny.

- Nie przypominam sobie, kiedy przeszliśmy na ty - prychnął Reiner. - Mam uwierzyć, że jesteś tym, za kogo się podajesz? Na jakiej podstawie?

- Akt wiary z samej definicji nie wymaga dowodów. Co jest dla mnie dość wygodne, bowiem żadnych nie posiadam. - Mężczyzna w masce postąpił krok do przodu.

- E-e-e! - Reiner pomachał pistoletem. - Tak dobrze się jeszcze nie znamy. Stój tam, gdzie stoisz.

- Determinacja, ślicznie. Cnota, jeśli idzie w parze z rozsądkiem. Niestety, tego ostatniego zdajesz się posiadać deficyt. Nie rób takiej zdziwionej miny, widziałem cię poprzez Oko Świata. Nosisz w sobie młodego boga.

Reiner myślał gorączkowo. Aziz wspomniał coś o jakiejś obecności, która zwróciła na nich swą uwagę, ale mówił o niej jak o zagrożeniu. I może właśnie dlatego powinien zaufać zamaskowanemu mężczyźnie.

- Nie z własnej woli. - Postanowił zmienić temat. - Co ci się stało? - Lufą pistoletu wskazał na bandażę owiniętą wokół dłoni mężczyzny.

- To? Prawdę powiedziawszy, to tylko gra światła i cienia. To znaczy w metaforycznym sensie tego słowa. Nie, prawdziwe pytanie powinno brzmieć, co ci się stało „tu” - mówiąc to, mężczyzna teatralnie zamachał dłonią przed zakrytą kapturem twarzą. - A odpowiedź brzmiałaby: To długa historia, powinniśmy porozmawiać w jakimś bezpieczniejszym miejscu. Tutaj ściany mogą mieć uszy. I to wcale nie w sensie metaforycznym.

Reiner nie ruszył się z miejsca.

- Możesz albo ze mną pójść, albo mnie zastrzelić, innej możliwości nie ma. Podejrzliwość jest dobra w umiarze.

- Sypiesz mądrościami jak z rękawa - odciął się Reiner. - Powiedz, jak takie okropieństwa - tu wykonał okrężny ruch pistoletem - mają miejsce w świetle dnia i nikt nie podnosi krzyku?

- To przecież najstarsza z prawd na świecie. - Mężczyzna w masce nagle spowaźniał. - I każdy z nas w głębi serca ją zna. Są tylko dwa stany, w jakich każda

rzecz może występować: wcale nie istnieć albo istnieć w nieskończonej liczbie iteracji.

- Najwyraźniej mam fatalny gust co do moich informatorów. Jak należy to rozumieć?

- Może inaczej. Jeśli poplamisz koszulę, to czy zrobisz jedną plamę, czy wiele, nie będzie już miało takiego znaczenia.

- Ze skrajności w skrajność. Może spróbujesz to wyłożyć prościej? - Reiner szybko pokręcił głową. - Nie, lepiej nie próbuj. Wiem, o czym mówisz.

- To nie wydarzyło się w jedną noc. Byłem tu. Widziałem na własne oczy. Najpierw pojawiły się dobrodziejstwa Eskalacji. Później pogorszyło się powietrze, ale tego można było się spodziewać po wzmożonej produkcji przemysłowej. Eksperymenty z żywą ludzką tkanką? Przecież wykonywaliśmy je już na wrogach. Obumierająca flora i fauna? Nieunikniony skutek uboczny procesu konwersji energii. Szara ospa? Zmutowany wirus, konsekwencja zanieczyszczonego powietrza. Przy tym wszystkim trochę porostów i dziwnych owadów w jednym, odosobnionym miejscu miasta nie wywołuje żadnej reakcji. Zresztą kiedy wygramy wojnę, będziemy mieli tyle dziewiczej przestrzeni życiowej, ile dusza zapagnie.

Reiner zdał sobie z czegoś sprawę.

- Ludzie z szarymi opaskami.

- Sv-pozytywni. - Mężczyzna w masce skinął głową. - Władze pozwalają im chodzić po mieście, bo lada dzień wprowadzą do obiegu szczepionkę. - Powiedział to jakimś dziwnym tonem. - Przynajmniej mówią, że to szczepionka.

- Ty w to nie wierzysz?

- Nie. Szara ospa to nie wirus. To choroba popromienna.

Skutek uboczny Eskalacji. - Veller wzdrygnął się. -  
Chodźmy stąd, czuję się tu nieswojo.

- Jakbyś chodził po własnym grobie?

- Mhm. - Nie czekając na przyzwolenie Reinera, mężczyzna odwrócił się. - Aha, nie dosłyszałem twojego imienia. Ty znasz moje.

Reiner zawahał się, ale tylko na moment.

- Reiner Erhard.

- Cała przyjemność po mojej stronie - rzucił mężczyzna w masce, nie odwracając się. - Chodźmy.

Reinerowi nie pozostało nic innego, jak tylko za nim podążyć.

Opuścili cmentarz inną drogą, wychodzącą na Sellerstrasse. Berlin pogrążył się już w mroku, ale relatywna bliskość Zegara sprawiała, że różnica pomiędzy dniem a nocą była niemal niezauważalna. Dieter Veller uniósł rękę, jakby chciał dać sygnał. Z gęstniejącej powoli mgły wyłoniła się taksówka. Styłowy czarny adler triumph junior.

- Nie sądziłem, że jeszcze je produkują - zagadnął Reiner, kiedy mężczyzna w masce otwierał drzwi pasażera.

- Nie produkują ich od trzydziestego dziewiątego. Wsiadaj.

Chociaż Reiner nie spuszczał dłoni z rękojeści termostrahla, posłusznie wgramolił się do środka. Tapicerka była przetarta, ale wykonana z prawdziwej skóry.

Dieter Veller wsiadł tuż za nim, zatrzasnąwszy drzwiczki.

- Najlepszy model - powiedział i zastukał w okienko kierowcy. Zasuwka otworzyła się bezszelestnie. - Staatsooper. Szybko.

Samochód ruszył, a Veller wyraźnie się odprężył.

- Upiór w operze? - zapytał Reiner z uśmiechem.

- Dokładnie tak. Jestem beznadziejnym przypadkiem romantyka. Na szczęście od czasu, kiedy Goebbels ogłosił wojnę totalną, gmach opery pozostaje zamknięty. Ach, nic nie wiesz. - Dieter Veller sięgnął pod siedzenie i wydobyl karafkę oraz dwie szklanki. Reiner dostrzegł, że bandaż na rękach skrywają jakieś druciane stelaże owinięte wokół dłoni. - Według maszyny propagandowej jesteśmy u progu ostatniej wielkiej ofensywy. Naród musi zachować wiarę i ponieść ostateczne poświęcenie. Do czasu zakończenia wojny rozrywki i uciechy są zakazane. Brandy?

- Dziękuję. Widzę, że nie po raz pierwszy podróżujesz tą taksówką. - Reiner pociągnął solidny łyk złocistego płynu. Palił, ale to był dobry ogień.

- Zgadza się. Można powiedzieć, że ją zarekwirowałem. Jej kierowca ma wobec mnie dług.

- Rozumiem.

Reiner wyjrzał przez okno. W oddali nadal majaczyła czerwona kula Eskalacji. Teraz, na ciemniejszym niebie, łatwiej było wypatrzeć oświetlone reflektorami sylwetki olbrzymich supervimanów, które wisiały nad miastem. Przynajmniej trzy z nich były lotniskowcami klasy Bismarck, zdolnymi przenosić po cztery szwadrony standardowych vimanów, ale reszty nie rozpoznawał.

- Tamten to „Reichsehre”. Lotniskowiec dalekosiężny. Posiada silniki v-grawitacyjne i zwykłe wodorowe. Jest w stanie operować poza liniami wroga przez wiele tygodni bez uzupełniania zaopatrzenia - wyjaśnił Veller, jakby odczytując wyraz twarzy Reiner. - A jeśli idzie o taksówkę,

pomysł jest genialnie prosty. Najwierniejsi są ci, którzy zawdzięczają nam życie. Mam wielu takich, hm, przyjaciół.

Hauptmann oderwał spojrzenie od majaczącego na horyzoncie kolosa. - Pomysłowe.

- Bynajmniej. Ideę ukradłem bezwstydnie od Chrismana, Sweetsa i Charlota.

- Kogo?

- Scenarzystów pracujących dla „Detective Story Magazine”. W innym miejscu i czasie byłbym skłonny przybrać imię Ciebie. To w zasadzie nieistotne. O czym to mówiłem? A tak, ostatnia wielka ofensywa.

Reiner spojrział na pustą szklankę w rękach Vellera.

- Nie pijesz?

Mężczyzna uniósł szklankę i przyjrzał się jej krytycznie.

- Stary nawyk. - Veller odgarnął do tyłu kaptur. Całą twarz zasłaniała mu żelazna maska. - W tej chwili nie mam możliwości technicznych, żeby przyjmować jakiegokolwiek płyny.

Hauptmann zmarszczył brwi.

- Wielka ofensywa - nalegał Veller. - Czy wiesz, o czym mówię?

- Stany Zjednoczone.

Tego właśnie obawiał się Reiner. Jeśli Rzesza wda się w wojnę za Atlantykiem, zanim straci Eskalację, skutki mogą być oplakane.

- Tak. - Mężczyzna w masce wydawał się zadowolony.

- To ostatnia przeszkoda. Kilka dni temu zdobyliśmy Moskwę. Car nie żyje. Bolszewicy znów unieśli swą ohydną głowę. Wielka Rosja się rozpada.

- Ile mamy czasu? - zapytał bez ogródek Reiner.

- Kilka tygodni. Podjąłem już pewne kroki, ale nie

sądziłem, że zdążymy ich powstrzymać. Twoje przybycie wszystko zmienia. Skontaktuję się z moimi współpracownikami. Nie bądź zdziwiony, nie działam w pojedynkę. Jest wiele grup, które pragną ujrzeć zmierzch Eskalacji.

Reiner doskonale o tym wiedział.

Samochód zaczął zwalniać. Dieter Veller wyjrzał przez okno, po czym ponownie zwrócił się do Erharda:

- Jesteśmy na miejscu. Resztę omówimy w środku. Dziękuję, Sam. - To ostatnie mężczyzna rzucił w kierunku okienka kierowcy.

Kiedy tylko wysiedli, triumph junior ruszył.

- Stara się trzymać poza widokiem - szepnął wyjaśniająco Veller. - Berlińskie noce nie są już bezpieczne. Ciemnością rządzą widma, a z każdym dniem przybywa ich więcej. Twoje przybycie tłumaczy ich powrót. To tu. - Wskazał monumentalny, posepny gmach, który wznosił się przed nimi. - Staatsoper.

Wyjaśnienie było zbyt ciche, Reiner wiedział, gdzie się znajdują. Nieczęsto bywał w Berlinie, jego obowiązki zmuszały go, do ciągłych podróży, ale ten budynek pamiętał doskonale, bo Delphine była nim zachwycona.

- Ostatnio odwiedzam tylko takie miejsca - mruknął Reiner.

- Nie przepadasz za zabytkową architekturą? - zagadnął lekko rozbawiony Veller.

- Bynajmniej.

- W takim razie dobrze, że nie zajęchaliśmy od frontu. Tędy.

Mówiąc to, mężczyzna poprowadził Reintera wzdłuż ogrodzenia do bocznej furty. Za nią rozpoczynała się

wydeptana ścieżka prowadząca przez niewielki, poźółkły ogród do małych, skromnych drzwi w zacienionej części budowli.

- Nikt nas nie zobaczy?

- Nauczyłem się, hm, mącić umysły ludzi. Pokonałem tę trasę wiele razy, a moja obecność stawała się coraz mniej wyraźna. Myślę, że dziś mógłbym stanąć tuż przed strażnikami i pozostać niezauważonym.

Więc ten zamaskowany człowiek podający się za Dietera Vellera znał sztuczki nieobce Azizowi, pomyślał Reiner. Muszę się mieć na baczości.

- Nie ma potrzeby tego sprawdzać.

- Nie ma - przytaknął Veller, otwierając drzwi dla obsługi. - Schodami na samą górę - dodał, kiedy znaleźli się w bocznym westybulu. - Później na poddasze.

Korytarze opery były puste. Obrazy zdjęto ze ścian, meble przykryto kapami. Splendor pozostał, ale przygaszony, zamrożony. Reiner czuł się, jakby właśnie wkroczył na zgoła inny cmentarz.

- Ponuro tu.

- Tak lubię. Spokój, jaki panuje w miejscu całkowicie pozbawionym życia i ruchu, pozwala mi się skupić. To już niedaleko.

Schody skrzypiały pod ich stopami. Mijane korytarze, ciemne i pełne kurzu, przywodziły Reinerowi na myśl komnaty Biesiadnika. Wreszcie Veller pchnął olbrzymie, drewniane drzwi, które ze stęknieniem otworzyły się na trzy czwarte szerokości.

- To tu. Dalej się nie otwierają. Drewno się wypaczyło. Reiner kiwnął głową i przestąpił próg. I wkroczył do



zupełnie innego świata. Pomieszczenie było przestronne, skąpane w bladym świetle rozstawionych strategicznie lamp naftowych i czerwonego blasku Eskalacji, bijącego z okna. Pod sufitem ciągnęły się rzędy wieszaków, teraz w większości pustych, na których wisały kiedyś kostiumy artystów. Wzdłuż jednej ze ścian ustawiono długą ławę, wypełnioną przyborami do charakteryzacji, różnego rodzaju maskami i starymi księgami, nad którą wisiał szereg różnej wielkości luster. Po drugiej stronie do ściany przyklejono setki wycinków z gazet, fotografii i map, wszystkie poopisywane drobnym, starannym pismem. Była tam też tablica, na której ktoś rozpiisał kredą skomplikowane równania matematyczne. Wszędzie wały się połamane krzesła. Najbardziej imponujący był jednak ogromny drewniany stół zajmujący centralną część pomieszczenia. Ktoś zadał sobie trud zbudowania na nim makiety Berlina. Część z miniaturowych budynków była podpisana, w inne wbito malutkie niebieskie, zielone lub czerwone flagi.

- Co to jest? - Reiner wskazał na zapisaną tablicę.

- Nierozwiązywalne równanie, tak je nazywali. Nie jestem go w stanie zgłębić. Za każdym razem, kiedy próbuję... Reiner? Otrząśnij się.

Hauptmann zdołał oderwać wzrok od tablicy. Pokręcił głową i zmrużył oczy.

- Przez chwilę czułem...

- Jakby czas się zatrzymał?

- Dokładnie.

- To twój mózg zwolnił, niezdolny przeskoczyć uwiecznionego tam problemu. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej wydaje mi się, że to pułapka. Pułapka duszy. Demoniczna pieczęć.

Pieczeńć...

- Co więzi?

- Co więziła. Ktoś zdołał je rozwiązać. Teraz to tylko akademicki problem, który służy mi do, hm, zabicia czasu.

Reiner wiedział już, czym było równanie i kogo dawniej więziło, ale nie zamierzał się zdradzać.

- Reinerze Erhardzie - podjął Veller - czas na libretto. Powiedz mi, co sprawiło, że zamieszkał w tobie młody bóg?

- Prosto z mostu? Mieszanina desperacji i manipulacji - odparł cierpko Reiner, starając się nie patrzeć bezpośrednio na tablicę. W kącie pomieszczenia dostrzegł stertę starych amerykańskich gazet z lat trzydziestych. Podszedł i przykucnął, żeby się im lepiej przyjrzeć. „Detective Story Magazine”. Na okładce jakiś zamaskowany mężczyzna w kapeluszu walczył z bandą półnagich Hindusów. W Nowym Yorku. - Z przewagą tego drugiego.

- Czy to ten, który spoczywał w szponach Argusa? - dopytywał się Veller. Zrzucił swój wojskowy płaszcz na jedno z krzesel... a później zrobił to samo z drugim płaszczem, który nosił pod spodem. Teraz wydawał się znacznie drobniejszy. Twarz zakrywała mu maska, której dolna część ginęła w fałdach grubego szala.

- Czy to ten? Chcesz powiedzieć, że jest ich więcej? - Reiner podniósł głowę znad sterty magazynów i wbił wzrok w zamaskowanego mężczyznę.

Ta maska. Metalowa, pozbawiona wzorów, o wąskich szparach, zza których wyzierały przekrwione oczy. Gdzieś widział już coś podobnego. Wspomnienie przypominało

obraz dostrzeżony kątem oka - wiedział, że coś tam jest, ale nie potrafił tego zidentyfikować.

- Prawdopodobnie. Każda rzecz może albo nie istnieć...

- Tak, tak - przerwał mu zniecierpliwiony, odrzucając trzymaną w rękach gazetę z powrotem na stertę. - Potrzebuję nie twoich mądrości, tylko odpowiedzi. Powiedz mi wprost, jeśli potrafisz, jak daleko sięga sieć twoich sprzymierzeńców?

Mężczyzna w masce skrzyżował ręce na piersi.

- Jeśli chcesz prostej odpowiedzi, zadawaj proste pytania.

- Czy pracowałeś z kimś, kto przebywał w Londynie? - Reiner chciał zapytać o Hessa, ale postanowił to zrobić okrężną drogą.

Veller przechylił głowę i pokiwał zdecydowanie palcem.

- Teraz rozumiem. Jesteś ostatnim, którego starał się zwerbować Hess. Najwyraźniej mu się udało. Spotkałeś Basima Lee? Masz księgę?

Mnogość informacji na chwilę przytłoczyła Reinerą.

- Nie całkiem - odpowiedział wreszcie. - Hess nie żyje, Basim Lee też. Szantażem sprowadzili mnie do Paryża, od tamtej pory uciekam. W pewien sposób moje działania rzeczywiście pokrywają się z oczekiwaniami Hessa. Jaka księga?

- Oryginał *Nemetus*. Przypowieści o rajach utraconym. Ona była jednym z powodów podróży Hessa do Wielkiej Brytanii.

Ach, przesyłka.

- Nie mam jej. Czemu była tak ważna?

- Rzucała światło na wiszące nad nami zagrożenie,

-

bowiem opisywała jego poprzednie nadejście. Prawdopodobnie skrywała sekrety Eskalacji. Hess wierzył, że ukryto ją gdzieś w ruinach Wału Hadriana.

- Wierzył? Myślisz, że Hess mógł ją odszukać? Z tego, co pamiętam, był więźniem Jego Królewskiej Mości.

- Hess był dokładnie tam, gdzie chciał być. Jedyne, czego nie przewidział, to wcześniejszej inwazji na Wielką Brytanię.

- Nie zdążył uciec.

- Można to tak ująć.

- Jeśli odnalazł księgę, musiała wpaść w ręce wroga.

Veller wciągnął ze świstem powietrze.

- Podejrzałem śmierć Hessa i Basima Lee, ale miałem nadzieję, że chociaż czemuś posłużyły. Przepraszam, ta uwaga była niestosowna. Jesteś tu i masz młodego boga, a to już jakaś pociecha. Niestety bez *Nemetus* wachlarz naszych opcji kurczy się z sekundy na sekundę. - Mężczyzna zaczął się przechadzać tam i z powrotem wzdłuż stołu. - Powiedziałaś: szantaż? Basim Lee był łagodnym, bojaźliwym człowiekiem.

Raczej przerażonym, pomyślał Reiner.

- Cechy, których z pewnością nie dzieli jego arabski służący - powiedział na głos. - To on zaprowadził mnie do klasztoru w Rzymie.

- Aziz? Niemy, niedorozwinięty służący Basima Lee? Niemożliwe.

- Niemy? Niedorozwinięty?

Reiner poczuł, że na jego czole zaczęły się zbierać kropelki zimnego potu. Aziz nie był tym, za kogo się podawał.

Tej jednej rzeczy nigdy nie próbował podważyć.

- Zapewniam cię, że to prawda.

Przecież poznał Aziza, zanim jeszcze Basim Lee zginął. Anglik rozpoznałby oszusta podszywającego się pod służącego.

Nagle w oczach Reintera pojawił się błysk zrozumienia.

Potrafiłby mieć umysły ludzi.

- On tu jest, w Berlinie. Jest ifrytem albo - starał sobie przypomnieć tę przeklętą nazwę - salgothem. Jest salgothem.

Veller milczał, ale to milczenie było wymowne jak cisza przed burzą. Reiner znalazł się na ludziach i chociaż nie mógł zobaczyć twarzy mężczyzny, który przed nim stał, wiedział, że pustkę pomiędzy słowami wypełniała tajemnica.

- Ty coś wiesz - stwierdził. - Mów.

- Do rzeczy i bez sprzeciwów, jak na gestapowca przystało - zaśmiał się bez wesołości w głosie Veller. - Proszę: *Salgotath* to architektki Eskalacji. Stworzenia odpowiedzialne za opracowanie technologii, którą posługuje się Rzesza.

Reiner pokiwał głową, raczej do siebie niż do swojego rozmówcy.

- Aziz powiedział mi to samo. To sprzymierzeńcy ctanów i Fannsbacha.

- Mówisz: sprzymierzeńcy. Musisz więc coś zrozumieć: on nie ma sprzymierzeńców, Reinerze Erhardzie, tylko narzędzia. Jest wybrańcem ślepego boga, bezkształtnej i bezświadomej masy, która pochłania wszystko, z czym się zetknie. Tego z bogów-Trójcy nazywam Lewiatanem.

- Lewiatanem? - zdziwił się Reiner. Pamięć podpowiadała mu tylko jedno: - Tym od Hioba?

- Nie. Tym od Hobbesa. Śmiertelnego boga.

- Nie rozumiem.

Veller pokiwał głową.

- Widzisz, naszło mnie to podczas snu. Hobbes był siedemnastowiecznym filozofem, który twierdził, że w naturalnym stanie człowiek jest słabą, opętaną strachem, gwałtowną istotą. Tylko pod opieką Lewiatana, śmiertelnego boga, zapanuje pokój. Hobbes nazywał tym bogiem państwo.

- Państwo? Co to ma wspólnego z bogami-Trójcą?

- Lewiatan, bóg z Voghtoth, jest państwem bez granic. Jest przyobleczonym w ciało, dosłownym odzwierciedleniem koncepcji, którą ci właśnie zacytowałem. Na początku sam nie potrafiłem tego zrozumieć, ale spróbuję to wyjaśnić. Ctany to pasożytniczy gatunek, który w zamierzchłych czasach zamieszkiwał organizm Lewiatana. Jego wola była jednak zbyt potężna dla ich ograniczonych umysłów i dlatego bóg ich pochłonął, uczynił swoim przedłużeniem. Wiem o wielu gatunkach, wielu potwornych istotach, które spotkał ten sam los. *Ctanlgan* i jej dzieci to tylko cząstka zastępów, których imię legion. Wszystko i wszyscy, którzy weszli z nim w długotrwały kontakt. Wchłonięci. Wystawieni na wpływ boga stali się jego częścią, częścią żywego państwa. Ich wolna wola została stłumiona, ustępując wyższemu priorytetowi: dobru Lewiatana. Nasza rasa jest następna.

Reiner wypuścił powietrze z ust, starając się to wszystko przetrawić.

- Powiedziałeś, że ten bóg, ten Lewiatan, jest bezmyślny. To wszystko wokół zostało zorganizowane.

Przemyślane i zaplanowane.

- Bóg jest ślepy, ale jego wybraniec już nie. To on pociąga za sznurki.

- A ctany go słuchają?

- Taka jest ich istota. Mówiłem ci, to narzędzia.

- Są więc niczym rój owadów.

- Nie! - zaoponował gwałtownie Veller. - To zbyt proste uproszczenie. Każdy z bytów stanowiących część Lewiatana posiada jakiś wymiar samoświadomości. Potrafią myśleć, podejmować samodzielne decyzje, postępować samolubnie. Jednak w ostatecznym rachunku są częścią swojego boga i ich istnienie służy rozszerzeniu jego wpływu. To jakby inny, obcy ekosystem. Nowy porządek rzeczy. Owady i kwiaty nie dzielą wspólnego umysłu roju, a jednak te pierwsze co roku zapylają te drugie i w ten sposób zapewniają przetrwanie obu gatunków. Tak je zaprogramowano. Takie przeznaczenie zapisano w ich krwi. Oto śmiertelny bóg.

Taka wizja zgadzała się z opowieściami o straszliwej przeszłości Ziemi, które snuł Aziz.

- Fannsbach, Człowiek, Którego Imię Porwał Wiatr czy wybraniec, jak wolisz go nazywać - kontynuował Veller - musi zginąć. On jest głosem boga. Jedyne głosem. Jego śmierć zasieje chaos w szeregach Lewiatana. On jest tylko człowiekiem. Bardzo starym, bardzo mądrym, ale śmiertelnym i pozbawionym mocy. Nawet sługi, którymi dowodzi, zostały tu sprowadzone poprzez wieki przez innych, potężnych czarowników i kapłanów albo ukrywały się w zakamarkach świata od zarania czasu.

- *A salgotath?*

Veller potarł się po karku.

- Zgodnie z tymi fragmentami *Nemetus*, które było mi dane poznać, nie są dziećmi Lewiatana. Przeciwnie, są zaprzysięgłymi wrogami jego i pozostałych bogów-Trójcy.

- Wrogami? Ich Eskalacja przemienia nasz świat na podobieństwo Voghtoth. To nie wystarczający dowód na istnienie przymierza?

- Mówiłem ci: w Voghtoth nie ma sojuszy, tylko podległość. *Salgotath* nie różni się niczym od ctanów. Kolejna pochłonięta rasa na liście bez końca. Wpływ Lewiatana jest przemożny i nieubłaganie prowadzi do jednego tylko rezultatu. Bez względu na to, czym były kiedyś, teraz służą jego woli. Jeśli zaś idzie o Eskalację... to prawda, Voghtoth przenika poprzez Wrota, ale tam, gdzie energia jest naprawdę silna, nie pozostaje nic. Sama Eskalacja generuje promieniowanie gamma, które zabija każde życie. Nie wiem, czy to tylko skutek uboczny, czy świadoma funkcja.

- *Salgotath*... wchłonięci - powtórzył bezwiednie Reiner.

*Są tym, czym mogłem być, gdybym się zatracił. Na tym świecie są moim brzemieniem. Moi zagubieni bracia.*

- Aziz albo istota, która się za niego podaje, wie o losie, który spotkał *salgotath*. I nie godzi się nań - powiedział z pewnością w głosie. - Arab rzeczywiście jest wrogiem Lewiatana. *Salgothem* o wolnej woli. - Prawda wreszcie przybierała jakiś kształt, chociaż nie wiedział, czy to mu się podoba. - Przywiódł mnie tu, abym zniszczył Fannsbacha i jego upadłych pobratymców.



Veller cmoknął, pokiwał głową, jakby coś rozważał, wreszcie podszedł do długiej ławy i spomiędzy rupieci wydobyl podniszczoną księęę. Przewertował ją kilkakrotnie i powiedział:

- Jeśli masz rację, przywiódł cię tutaj, żebyś zniszczył wszystko. W tej księęę - postukał palcem w wytartą okładkę - ukryto cytaty z traktatu, którego szukał Hess. *Nemetus*.

- Wspominałeś już o nim, ale przed dzisiejszym wieczorem nigdy o nim nie slyszalem.

- Nie dziwię się. - Veller był wyraźnie rozbawiony jego odpowiedzią. - Ostatnie dzieło Platona, chociaż podejrzewam, że i on oparł swój tekst na jeszcze starszym podaniu. Dialog opowiada o mitycznej cywilizacji, która sprowadziła ha siebie zgubę. O raj, który budowała i z czasem utraciła, i o wojnie, którą prowadziła. W obliczu klęski z rąk nieznanego, wewnętrznego wroga ta mityczna cywilizacja wolała się unicestwić, niż przegrać. Wywołała nieopisany kataklizm, który całkowicie zmienił oblicze naszej planety.

- Zniszczyli swojego, wroga?

- Zepchnęli go do Vogthoth.

- Tą cywilizacją byli *salgotath*.

- Tak.

- Aziz twierdził, że zniszczenie przynieśli młodzi bogowie.

- A któż mógł wtedy wykorzystać ich moc? Młodzi bogowie to nasienie zniszczenia, ale ich czynami nie kieruje żadna wola.

Jakże Aziz zręcznie przeplatał kłamstwa i półprawdy!

- Więc myślisz, że wykorzystali młodego boga?

- Niewykluczone. Desperacja popycha ludzi do straszliwych czynów. Jak było naprawdę, pewnie nigdy się nie dowiemy. Niewiele z ich cywilizacji przetrwało do naszego czasu. Ruiny ostatniego z ich miast można znaleźć pod piaskami An-Nafud.

- Irem.

- Zgadza się. - Veller wydawał się zdziwiony.

- Aziz powiedział mi, że tam właśnie Fannsbach odnalazł *salgotath*.

- Tak też było. To ostatni i bezsporny dowód, że *salgotath* są cywilizacją opisaną w *Nemetus*. Byli zamrożeni wewnątrz Słupów Wieczności, czekając... Opatrzność wie, na co. Zostali obudzeni przed czasem, żeby Fannsbach mógł zrobić użytek z ich technologii.

- Słupów Wieczności? O czym mówisz? - Reiner dowiadywał się o zbyt wielu rzeczach naraz i nie był w stanie wszystkich ogarnąć.

- To megalityczne, gładzone cylindry z nieznanego metalu, odporne na żywioły i upływ czasu, które stoją w centrum Irem. Według relacji świadków były puste, nie licząc dwóch *salgotath* i dziwacznej, obcej technologii.

Zapanowała krótka cisza.

- Dziś - podjął Veller - dawni wrogowie pracują wspólnie nad zagładą ludzkości.

- A Aziz pragnie położyć temu kres. Za wszelką cenę. - Myśli Reinera gnały jak opętane. - Musimy go znaleźć. - Tym razem będzie szybszy. - Musimy ukryć Delphine.

- Delphine? - zapytał zaskoczony Veller.

- To długa historia. Znasz jakieś bezpieczne miejsce?

- Właśnie w nim przebywasz. Póki żyję, żaden pomiot Voghtoth nie postawi tu stopy. Zresztą wątpię, żeby któryś się odważył.

Reiner stężał. Coś w tych słowach sprawiło, że włosy na karku stanęły mu dęba.

- Mówisz, że istoty Lewiatana nie mają tu wstępu?

- Tak. Czy nie wyraziłem się dość jasno?

- A jaka siła zdoła je powstrzymać? - zapytał, oddychając coraz szybciej.

- Czy to nie boleśnie oczywiste? - odpowiedział znużonym głosem Veller, rozkładając ręce. - Bogu równy jest tylko inny bóg. A ja jestem jego wybrańcem.

Reiner odskoczył do tyłu. Jedną ręką dobył termostrahla, w drugiej błysnęła klinga czarnego miecza. Krew z rany na dłoni bryznęła po ścianie, zostawiając na zdjęciach i wycinkach gazet karmazynowe plamy.

- Powiedz, że się przesłyszałem.

- Niestety, Reinerze Erhardzie, chciałbym, żeby tak było - odparł Veller ze smutkiem. - Jak wiesz, jest troje bogów, którzy interesują się rodzajem ludzkim. Lewiatan, obcy ekosystem i nowy porządek rzeczy, to ten, któremu służy Fannsbach. Ragnarök, wcielenie chaosu i najniższych żądz. I Lilith, Oszust, Bóg za Wachlarzem. Ja służę temu ostatniemu. Uwierz mi, nie miałem wyboru - dodał, jakby samo zapewnienie miało uczynić ten fakt łatwiejszym do przełknięcia.

- Jasne - rzucił Reiner, jego głos ociekał sarkazmem. - Teraz powiesz, że bóg, któremu służysz, pragnie dobra ludzkości.

- Pragnie zagarnąć Ziemię.

- Przynajmniej jesteś szczerzy.  
- Ale to nie ma znaczenia.  
- Nie? - zaśmiał się rozpaczliwie Reiner.  
- Nie. Służę Lilith. Oszustowi. Bogu bez twarzy a tysiącu imion. Bogu kłamstwa i zepsucia. Istnieją prawa, którym podlegają nawet przedwieczni. Jestem wybrańcem bogini zdrady i, tak jak każdemu z moich poprzedników, jest mi przeznaczona ją zdradzić. Nie możesz nie doceniać ironii tego żalosego kręgu.

- Twój bóg przygląda się temu bezczynnie?

Veller wzruszył ramionami.

- Jego motywy pozostają poza spektrum mojego rozumienia. I nie dbam o to. Jestem tu wbrew jego woli i walczę ze wszystkim, co reprezentuje. Nie robię tajemnicy z tego, czym się stałem. Idziemy po tę twoją Delphine czy nie?

Reiner westchnął i opuścił pistolet. Tylko jednego mógł być pewien: że ten mężczyzna, Dieter Veller, nie stoi po tej samej stronie co Aziz. Ich konfrontacja może się okazać ciekawa. Wtedy zdecyduje, w co wierzy.

- Mam nadzieję, że twój kierowca na ciebie czeka.

Veller odłożył książkę na stół i wziął jedną z masek leżących na ławie. Miedzianą, z ruchomą płytką w miejscu ust.

- Zawsze.

Mężczyzna przyłożył do twarzy nową maskę, która przylgnęła szczelnie, całkowicie zastępując poprzednią. Niezła sztuczka, pomyślał Reiner.

•

Triumph junior mknął ulicami Berlina, przecinając lodowatą mgłę i wzbijając tumany kurzu. Reiner zastanawiał się, jak to wszystko się skończy.

- Berthold Claus? Nic mi to nie mówi - rzucił mimochodem Veller, poprawiając opatrunki na rękach.

- Tego się obawiałem - westchnął Reiner. - Co to właściwie jest? Te druty owinięte wokół twoich palców.

- Miniaturyzacja. Najnowszy model broni termostrugowej.

- Na nic ci się nie przyda. Aziz jest zupełnie niewrażliwy na promienie śmierci.

- Możliwe, ale nie tylko on jest naszym wrogiem. Nigdy nie wiesz, z kim przyjdzie ci się zmierzyć.

Reiner spojrział na swoją prawą rękę, na obce żyły, które pulsowały tuż pod bladą jak pergamin skórą. Pomyślał o obcym bycie, który uczynił sobie dom z jego ciała.

Samochód się zatrzymał, a w okienku kierowcy pojawiła się niewielka szpara.

- Jesteśmy na miejscu, proszę pana.

- Dziękuję, Sam. Reiner?

Hauptmann skinął głową i otworzył drzwi. Kierowca znał się na rzeczy, pomyślał, rozglądając się. Zatrzymali się ulicę wcześniej, willa Bertholda Clausa majaczyła na horyzoncie. Resztę drogi przejdą pieszo pod osłoną mgły. Ich nadejścia nie zdradzi ryk silnika ani pisk opon.

Panował chłód, w powietrzu unosił się niezidentyfikowany, nieprzyjemny zapach. Ściany domów, obok których się przemykali, były zimne i pokryte tym samym pyłem, który zasnuł bruk. Ulice były wyludnione. Czy tak

zaczynał się upadek Irem, miasta pod piaskami?

Dotarli do spękanego muru, otaczającego rezydencję Bertholda Clausa. Furtka stała otworem, jakby zapraszała do środka. Reiner spojrzął po oknach, ale w żadnym nie paliło się światło. Dobrze. Szybkim krokiem pokonał kilkanaście metrów dzielących go od drzwi frontowych.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli zostaniesz tu i... - Reiner odwrócił się do Vellera, ale mężczyzny już tam nie było. - Świetnie - kiwnął głową i wszedł do domu.

W kilku susach pokonał schody i dotarł do pokoju zajmowanego przez Delphine.

- Tęskniliśmy za tobą, *efendi* - odezwał się Aziz, kiedy tylko Hauptmann przekroczył próg.

- Reiner - szepnęła Delphine. W jej oczach zagościła radość, ale i jakiś odległy niepokój. Hauptmann posłał jej ostrzegawcze spojrzenie.

Nie tego się spodziewał, ale może zdoła obrócić sytuację na swoją korzyść. Ocenił odległość do Aziza stojącego przy oknie i Delphine siedzącej przy stoliku. Musiał znaleźć się pomiędzy Arabem a kobietą.

- Czy zechcesz nam powiedzieć, gdzie się podziewałeś, *efendi*?

- Nie - odparł Reiner z satysfakcją w głosie.

- Imponuje mi twoja zawziętość, aczkolwiek czasami bywa męcząca. Dobrze, zachowaj swoje sekrety. Nie mamy wiele czasu.

Tu masz rację, potworze, pomyślał Reiner.

- Nawiązałem kontakt z moimi braćmi. Z ich oryginalnych osobowości pozostało niewiele, przytłoczył je ogrom bogów-Trójcy, ale udało mi się do nich dotrzeć. Bardzo

fortunny, bowiem pomyliłem się co do istoty Zegara.

- Doprawdy? - Reiner postąpił dwa kroki do przodu.

- Tak, *efendi*. Myślałem, że Fannsbach i *salgotathy* wzniesli go od podstaw, ale w rzeczywistości tak nie jest. Jakimś sposobem udało im się przetransportować tu jeden ze Słupów Irem. Uszkodzić go może jedynie młody bóg.

- Jak wygodnie.

Kolejne dwa kroki. Zachować spokój.

- Wygodnie? - zachnął się Aziz, kręcąc głową. - Nie, zaiste bardzo niewygodnie! Musiałem zmienić mój pierwotny plan i nakłonić do sabotażu mych braci, pozostawiając ich tym samym przy życiu i zdradzając im twoje istnienie.

- I udało ci się? Chylę czoło przed twoimi zdolnościami perswazji.

Reiner prawie już dotarł pomiędzy Araba a Delphine. Kobieta nic nie mówiła, tylko przyglądała się obu mężczyznom z narastającym napięciem. Czymkolwiek była, widziała więcej, niż mogłoby dostrzec ludzkie oko.

- A mnie zdumiewają twoje niewyczerpane pokłady sarkazmu, ale nie czas na wymianę uprzejmości. - Usta Aziza rozciągnęły się w wymuszonym uśmiechu. - Musimy działać szybko. Kiedy zabraknie Eskalacji, rozpęta się piekło. Nawet bez cudownej technologii bogów Volkshalle będzie broniona.

Najlepiej spróbować od strony północnej. Tam Speer wznosił coś w stylu *cryptoporticusa*, osłoniętego pasażu, który prowadzi niemal do samego pomieszczenia centralnego. Tamtędy dostarczają ludzkie ofiary dla *ctanlgan*. Tam...

- Nie.
- Co?
- Nie. Dalej poradzę sobie sam.

Wyraz szoku, jaki odmalował się na twarzy Aziza, był bezcenny.

- Ale przedtem odpowiesz mi na kilka pytań.

Arab opanował zdziwienie i na jego twarzy znów pojawił się drwiący uśmiech.

- Nie sądzę.
- Albo zginiesz. Powinienem być to powiedzieć od razu?

Z cieni na lewo od Aziza zaczęła się wyłaniać sylwetka Dietera Vellera.

- Ostatnim razem ci się nie udało.
- Ostatnim razem byłem sam - uśmiechnął się Reiner.
- *Efendi*, kończy się nam czas. O dwunastej *salgotathy* wyłączą mechanizm, który napędza Eskalację...
- A machina wojenna Rzeszy zamieni się w dynię, tak, rozumiem.

- Zgrabnie - skomentował Veller, który zmateriałizował się już całkowicie. Jego pojawieniu się towarzyszyło mokre mlaśnięcie.

Arab odwrócił się w jego stronę, ale równie szybko wrócił spojrzeniem do Reintera.

- On?! Błagam, *efendi*, nie możesz sprzymierzyć się z tym człowiekiem! Jest wysłannikiem bogów zamieszkujących Voghtoth!

- Tak, wiem, powiedział mi. To było odświeżająco szczerze.

- *Efendi*, on jest nie lepszy od Fannsbacha, jego bóg kryje się za wachlarzem masek, ale jest równie niebezpieczny.



On cię zdradzi i wszystkie twoje wyrzeczenia pójdą na nic!

- Ty coś o tym wiesz, co? - syknął Reiner głosem pełnym jadu. Obca krew krążąca w jego ramieniu już wrzała, mięśniami targały paroksyzmy zrodzone z niecierpliwości. - Popychasz mnie w objęcia szaleństwa, rozniecasz mój gniew, moją rozpacz, moją pogardę, chcesz, żebym zatracił nadzieję, człowieczeństwo i wolę przetrwania. Żebym wypuścił boga i zniszczył ten świat.

- Nie, *efendi!* - zaprotestował rozpaczliwie Aziz. Czy to nuty desperacji pojawiły się w jego głosie? - Wszystko, co mówisz, jest prawdą, ale przyświecał mi inny cel. Próbowałem cię uwarunkować. Zahartować niczym stal, naostrzyć niczym miecz, abys sprostał wyzwaniom, które na ciebie czekają.

- Najwyraźniej ci się nie powiodło.

- Nieprawda! Nienawiść uczyniła cię silnym! Opanowałeś moc pierścienia, który ci dałem, ujarzmiłeś w sobie boga. Jesteś najpotężniejszym wolnym człowiekiem, który dziś stąpa po tej ziemi.

- Wolnym, w tym masz całkowitą rację. - Z dłoni Reintera gładko wysunął się al-hadżar. Tym razem Hauptmann prawie nie poczuł bólu. - A jeśli nie mylisz się w pozostałych sprawach, to gorzko tego pożałujesz.

Podłoga zaczęła dygotać. Czarne ostrze miecza rozjarzyło się przedziwnym blaskiem.

- Reinerze - odezwał się Veller z wyraźnym niepokojem.

Drgania przybrały na sile, z sufitu zaczął odpadać tynk. Gdzieś w oddali rozległo się narastające brzęczenie. Aziz patrzył w milczeniu.

- Reinerze, to nie jest wyjście - nalegał Veller, powoli unosząc dłonie.

- Reiner - szepnęła Delphine, chwytając Hauptmanna za zdrowe ramię.

Drgania ustąpiły, miecz na powrót zmatowiał. Reiner spojrział na kobietę i uśmiechnął się.

- Tego uśmiechu jeszcze nie widziałam - szepnęła, zagryzając dolną wargę - ale chciałabym go oglądać częściej.

- Miękkie serce nie ocali twojej rasy - warknął Aziz z nieukrywaną odrazą w głosie.

- Niewiele wiesz o ludziach, co, salgocie? - powiedział Veller, opuszczając dłonie.

- Więcej, niż ci się zdaje, posłańcu. Zaczynam wątpić, czy Reiner Erhard naprawdę jest właściwą osobą, w której rękach należało złożyć losy waszego gatunku.

- Wiesz, co jest śmieszne, Aziz? - rzucił Reiner rozbaawiony, jakby przed chwilą nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. - Rzeczywiście nie jestem tą osobą.

Delphine posłała mu pytające spojrzenie, Veller milczał, ale Hauptmann wyczuł na sobie jego wzrok. Tylko Arab pozostał niewzruszony.

- Chodzi ci o to - powiedział spokojnie - że nie jesteś rodzonym synem Adelmara Łowcy? Myślisz, że o tym nie wiem? Myślisz, że to ma znaczenie?

- Powiedziałeś... - Reiner zaniemówił.

- Powiedziałem, co musiałeś usłyszeć. Sam wiesz najlepiej, że nie powinienes mi wierzyć - zachichotał Arab. - *Efendi*, gdybyś był tylko ciałem, nie różniłbyś się od innych dzieci bogów-Trójcy. Więzy, które łączą przedstawicieli twojego gatunku, to nie tylko krew i tkanka. Wasza

pracowitość, lojalność, upór czy odwaga, wasza bojaźliwość, chciwość, zazdrość czy małostkowość. To ulotne cechy, których próżno szukać w pierwiastkach, z których składa się ludzkie ciało. Posiadasz nieugiętą wolę i nie spotykana determinację, i te właśnie cechy czynią cię synem swego ojca.

Jeśli tak, młody bóg nie powinien umierać, pomyślał przelotnie Reiner, a przecież czuł, że tak właśnie się działo. Ach, ale to nie miało nic wspólnego z młodym bogiem, prawda?

- To nie ze względu na Gabrletha zostałem wybrany - powiedział wreszcie, raczej do siebie niż do zebranych.

- Nie. On potrzebował krwi Erharda, aby przetrwać. My za to potrzebowaliśmy kogoś, kto go opanuje. Okiełzna. Kto wytrwa do końca. Kogoś, czyja wola potrafi przesuwac metaforyczne góry i sprawia, że zwyczajne słowa nabierają w jego ustach nadzwyczajnej mocy. Tę właściwość, która was różnicuje, a która jest w tobie nad wyraz silna, można nazwać duszą.

- Gównu prawda - prychnął Veller. - Chowasz się za pięknymi słowami, ale ja wiem, jaka zimna i wyrachowana rasa wydała cię na świat. Czytałem ustępy *Nemetus* i wiem, że nie zawahaliście się przed starciem własnej cywilizacji z powierzchni Ziemi.

- I nie zawahalibyśmy się zrobić tego ponownie. Ale rozpacz nie jest cechą właściwą wyłącznie mojej rasy. - Aziz zmierzył Vellera krytycznym spojrzeniem. - Z tego, co wiem, byłeś kiedyś szlachetnym mężczyzną, kapitanie Veller. Dziś widzę, że upadłeś nisko.

- Śmierć zmienia ludzi. Odpowiesz na nasze pytania.  
- Czyżbyś próbował wniknąć do mojego umysłu, kaptanie Veller? I cóż tam znalazłeś?

Veller przez chwilę milczał.

- Nic. Liczby - powiedział wreszcie, zdziwiony.

Arab uśmiechnął się wrednie.

- Odpowiesz na nasze pytania, jeśli nie tak, to w konwencjonalny sposób.

- Radzę go posłuchać, Aziz - dodał Reiner. - Wydaje się bardzo zdeterminowany.

- Nie mam zamiaru - zaczął Arab, ruszając w stronę Vellera, ale zatrzymał się w pół kroku.

Za jego plecami Hauptmann uniósł przed siebie rękę, na której nosił pierścień Sulejmana. Od artefaktu było przerażające ciepło.

- Miałeś rację. Panuję nad mocą pierścienia. Powiedz teraz, co zamierzałeś.

Aziz uśmiechnął się.

- Nie.

- Rozkazuję ci mówić - warknął Reiner.

- Takiej władzy jeszcze nie posiadasz. Poza tym nic ci po odpowiedzi, której nie chcesz usłyszeć.

- To znaczy? - Po raz pierwszy do rozmowy wtrąciła się Delphine.

- Tryby historii obracają się nieubłaganie. Błędów dokonanych nie można naprawić. Tego świata nie da się ocalić. Wasz rodzaj tak. - Arab kiwnął głową do Reiner. - Ale świata nie. Nic więcej nie powiem.

- Dość - syknął Veller. - Ten pierścień, o którym zapomniałeś wspomnieć, pozwala ci go zniewolić, tak? Nie możesz go zmusić do mówienia?

- Najwyraźniej nie. Ale daj mi czas. Opanuję jego moc, prawda, Aziz?

Arab zamknął oczy. Kiedy je otworzył, powiedział ze zrezygnowaniem:

- Tak. - Spojrzał na Vellera. - Ale nie mogę ci na to pozwolić.

- Nie masz wyboru. Nie wypuszczę cię, dopóki nie uzyskam odpowiedzi.

Aziz westchnął.

- Aby jeden mógł przetrwać, oba muszą istnieć - szepnął.

- Co?

- To ja zwaбіłem cię do Paryża. Umysł Basima Lee był dla mnie niczym glina.

- Domyśliłem się tego - powiedział ostrożnie Reiner. - Po co mówisz mi o tym teraz?

- Ale to by nie wystarczyło - kontynuował Aziz, jakby recytował coś z pamięci. - Twoja wola była zbyt przemożna. Nigdy nie zdradziłbyś Rzeszy. Nigdy byś mi nie ufał. Żeby zwrócić cię we właściwym kierunku, zwrócić przeciwko rzeczy ci drogiej, musiałem zabrać ci rzecz jeszcze droższą.

Z twarzy Reiner'a odpłynęła krew. Wyglądała teraz niczym maska pogrzebowa. Nie, nie, nie.

- Kiedy przybył ctan, nie stanąłem w jej obronie. Pozwoliłem jej umrzeć.

Miecz ze świstem przeciął powietrze.

- Nie! - wrzasnął Veller, ale było za późno.

Głowa Araba potoczyła się pod ścianę, bezwładne ciało osunęło się z głuchym tąpnięciem na ziemię.

- Coś uczynił?!

Ale Reiner go nie słyszał. Nic z tego świata do niego

nie docierało. Spoza świata... tak, słyszał brzęczenie i dźwięk tłuczonego szkła. Czuł, jak wzbierają w nim fale nieskrępowanej mocy.

Do rzeczywistości przywrócił go ostry ból policzka. Spojrzał w dół i zobaczył stojącą przed nim Delphine. Prawą dłoń miała poczerwieniałą i zaciśniętą w pięść. Za nią, w kącie, z którego wcześniej się wyłonił, leżał Dieter Veller, nieprzytomny lub martwy.

- Próbował cię powstrzymać - szepnęła Delphine, obejmując go delikatnie.

- I ty również. Zniszczyłbym wszystko. Dziękuję - wymamrotał, czując napływające do oczu łzy. Płakał za Delphine, która zmarła w Paryżu? Czy dlatego, że nie widział prawdy, chociaż była tuż przed nim? A może...

Dokonał swojej zemsty. I nie czuł ani ulgi, ani satysfakcji.

- Nie zrobiłbyś tego i tak.

Reiner spojrział na stojącą przy nim kobietę. Czuł wdzięczność.

Że ktoś cenił go wyżej, niż na to zasługiwał. Pozwolił łzom płynąć.

## 8. Początek końca

*Dobrzy zawsze byli początkiem końca.*

Fryderyk Nietzsche

Stali przytuleni, ale wiedział, że kiedyś to się musi skończyć. Świat się nie zatrzymywał, nawet dla niego. Powoli opuścił ręce i czekał, żeby Delphine to zrozumiała. Ona jednak nie chciała go puścić.

- Proszę... - odsunął ją powoli. - To nie czas.

Spojrzał jej w oczy. Coś się zmieniło. Nie wyglądała już jak wierna kopia tamtej Delphine, zupełnie jakby opadł jakiś urok, który krępował go do tej pory. Kolejna sztuczka, kolejne kłamstwo. Smycz, na której trzymał go Arab, sposób, w jaki starał się nim kierować. Po jego śmierci Reiner odzyskał wolność.

- Muszę sprawdzić, co z Vellerem.

Delphine przełknęła ślinę i kiwnęła głową.

- Kim on jest?

- Moją okazją - odparł, ale uświadomił sobie, że wie o nim niewiele więcej. Veller był człowiekiem Hessa, wrogiem Fannsbacha i Eskalacji, wybrańcem jednego z bogów.

Jakie były jego prawdziwe zamiary? Pamiętał, że kiedy próbował zawezwać moc młodego boga, Veller wymierzył w niego miniaturowe pistolety. Przez myśl przemknęła mu straszna wizja, że pozbył się jednego manipulatora po to tylko, żeby zastąpić go innym. - Ale nie ufaj mu.

- Dobrze, Reiner. Czy... - zaczęła, odwracając wzrok. - Aziz kłamał w tak wielu sprawach...

- Tak?

- Czy... czy myślisz, że... kłamał również o Biesiadniku?

Reiner wreszcie zrozumiał, co chciała mu powiedzieć. Pytasz mnie, czy będziesz żyć? Albo czy dasz życie kosztownym bytom spoza tego świata? Jak mógł jej odpowiedzieć? Sam nie wiedział, co myśleć. Aziz przeplatał kłamstwa prawdami tak zręcznie.

- Tak myślę - powiedział.

Najwyraźniej nie oczekiwała od niego niczego więcej, bo tylko się uśmiechnęła.

Reiner przełknął ślinę i odetchnął. Wszystko po kolei. Przeszedł przez pokój i przykucnął obok Vellera. Uderzenie, które popchnęło go na ścianę, musiało być silne, bowiem pozostawiło się pęknięć w próchniejącej powierzchni boazerii. Kiedy Reiner wyciągnął dłoń, żeby zbadać mężczyźnie puls, ten chwycił go za rękę.

- Nie dotykaj maski.

- Nie zamierzałem. Cieszę się, że jeszcze z nami jesteś.

- A ja, że nie udało ci się zerwać drugiej przesłony.

Pomóż mi wstać.

Hauptmann pomógł Vellerowi stanąć na nogi.



- Drugiej przeszłony?

Czemu Reiner miał zawsze uczucie, jakby wszedł do kina w połowie seansu i był jedyną osobą, która nic nie rozumie?

- To skomplikowane i w zasadzie bez znaczenia - zbył go Veller. - Czemu to zrobiłeś?

- Już tego nie cofnę, więc jakie to ma znaczenie?

- Zabiłeś jedynego, który mógł nam wyjaśnić tajemnice Eskalacji. - Głos zamaskowanego mężczyzny ociekał oskarżeniem. - Możesz przynajmniej podać powód.

- Zabił i skazał na potępienie niewinną osobę.

Wymawiając te słowa, Reiner zdał sobie sprawę, jak daleki jest od uczuć, które przepełniały go w Rzymie. Gdzie była rozpacz, tęsknota i bezsilny gniew? Jeszcze przed chwilą jedno słowo mogło go wpędzić w amok, teraz czuł się spokojny niczym poranne morze po całonocnym sztormie.

- Jedną? Jedną osobę? Zrobił z ciebie głupca, Reinerze Erhardzie. Sekrety, które zabrał ze sobą do grobu, mogły skrywać klucz do przetrwania ludzkości. Cena takich tajemnic jest wysoka, nawet jeśli mierzyć ją ludzkim życiem.

Reiner spojrział w beznamiętne, miedziane oblicze mężczyzny, który kazał się nazywać Upiorem, i zrozumiał, jak niewiele z człowieka kryło się za maską. Uśmiechnął się.

- Tak, wydobył ze mnie, co najgorsze. Zamierzasz mnie osądzić?

- Nie - odparł już spokojniej Veller. - Jak mówiłeś, to już bez znaczenia. Nadal mamy wiele pracy. - Odwinął rękaw i spojrział na zegarek. - Za pięć dziesiąta. Musimy działać, kiedy okoliczności są sprzyjające i wykorzystać

szansę, którą dał nam ten salgoth. Zmobilizuję tylu, ilu się da.

- Szybko dochodzisz do siebie - zauważył Reiner. I szybko godzisz się ze stratami, dodał w duchu. - Chcesz zaatakować Volkshalle? Czy Zegar?

- Jedno i drugie. I zabić Fannsbacha.

- Z mojej strony nie będzie sprzeciwów - powiedział Hauptmann, ale z pewnym niepokojem zauważył, że ten plan niewiele różni się od tego, co proponował Aziz.

- Reinerze i... hmm... - Delphine zawahała się.

- Upiór - podpowiedział Erhard.

- U... Upiorze - powiedziała niepewnie Delphine. - Myślę, że powinniście to zobaczyć.

Delphine klęczała przy ciele Aziza. Rysy Araba się zmieniły. Twarz wyglądała tak, jakby pod skórą kryło się więcej kości niż normalnie. Ciemna karnacja ustąpiła sinej bieli, oczy zmatowiały, a ludzką źrenicę zastąpiły trzy czerwone punkciki wielkości łebków od szpilek. Reiner przypuszczał, że Aziz nie był człowiekiem, ale nie spodziewał się tak daleko idącej metamorfozy... a może nie spodziewał się, że pomimo transformacji ciało pozostanie zaskakująco człekokształtne. Ludzkie.

- Potwór - zawyrokował Veller.

- Nawet ciebie zwiódł.

Veller uniósł głowę. Reiner wyobraził sobie, że mężczyzna w masce rzuca mu zimne spojrzenie.

- Nie, spójrzcie tutaj - wskazała Delphine.

Wreszcie zobaczyli, co chciała im pokazać.

- Nie rozumiem - powiedział wreszcie Veller.

- Ja też nie - przytaknął Reiner.

Szare włókna, które biegły wzdłuż rdzenia kręgowego Araba, wyglądały jak kable.

- I ta czerwona poświata.

- Eskalacja. Miał jej pełno w sobie - zauważył Veller. - Wystrzeliła w sufit, kiedy odciąłeś mu głowę, ale myślałem, że to sprawka młodego boga.

Reiner uniósł wzrok i zobaczył wypaloną w suficie dziurę. Aż dziwne, że nie zauważył jej wcześniej.

- Przypomina senatora - skwitował.

*W przeciwieństwie do ciebie, efendi, w moich żyłach nie płynie krew.*

W ciele Aziza cyrkulowała Eskalacja, to musiało tłumaczyć jego odporność, ale...

- Czy to coś zmienia? - zapytał Veller.

Reiner spojrzał na Delphine, ale nie otrzymał pomocy.

- Nie - zawyrokował po dłuższej chwili zastanowienia. - Rodzi tylko więcej pytań.

- Które musimy pozostawić bez odpowiedzi - przytaknął Veller. - Jeśli chcemy mieć cię szansy na sukces, powinniśmy ruszać. Pójdę po taksówkę. - Obejrzał się na zwłoki. - I przyślę po nie kogoś.

Mężczyzna rozpląnął się w cieniach, z których się wyłonił.

Reiner pokiwał głową, wstał i podszedł do kąta, w którym zniknął Veller. Teraz dopiero dostrzegł, że całą ścianę pokrywała tu jakaś pleśń. Wzdrygnął się i odwrócił do Delphine.

- Chodź, znajdziemy dla ciebie bezpieczne miejsce. O dwunastej Berlin ogarnie szaleństwo. Aziz był niebezpieczny, ale na świecie czyha więcej ohydy. - Myślami wybiegł ku ctanom, ale teraz, kiedy znał prawdę o Paryżu, nie pałał już do nich tak zajadłą nienawiścią.

- Tak - przyznała kobieta z zadumą w głosie. - Był nie-ludzko silny i niepowstrzymany.

- Za to zupełnie bezbronny wobec mocy pierścienia - zripostował z uśmiechem Reiner.

- Tak - powtórzyła Delphine. - Jeśli chciał cię zwieść, czemu wręczył ci broń, która mogła go powstrzymać?

Reiner nie znał odpowiedzi na to pytanie.

•

W oddali rozległ się grzmot. Reiner poczuł na twarzy pierwsze krople deszczu, ciepłe i kwaśne. Ich dotyk nie przynosił ukojenia. W tym deszczu nie było Życia, pomyślał. W tym mieście nie było życia. Mężczyźni i kobiety, którzy snuli się ulicami Berlina, byli martwi, po prostu jeszcze o tym nie wiedzieli. Bez Względu na to, czy zmiecie ich światło młodego boga, lodowaty ogień Eskalacji, czy staną się częścią Lewiatana, czy też umrą na szarą ospę - zapłacą drogo za Sen jednego człowieka. Czy Führer zdawał sobie sprawę z tego, co zgotował swemu wybranemu narodowi? Czy robiło mu to różnicę?

Siedział pod pomnikiem Obrońców Ojczyzny, wzniesionym na cześć poległych podczas bitwy pod Carycynem. Wciąż pamiętał ich krzyki. Zwierzęce, żalosne wycie. Pamiętał kolor z przestworzy, który obracał wszystko w ruinę, pamiętał gorące tumany, które wyrzuciła w górę fala uderzeniowa. Wrzący pył przylepiał się do skóry i obracał ludzi w żywe posągi.

Powinien był tam zginąć. Tak byłoby prościej.

Kilkaset metrów przed nim wznosiła się olbrzymia kopuła Volkshalle. Szary kamień, z którego ją wykonano, pokrywały misterne wzory. Kolumnadę wokół budowli oświetlał tysiąc karmazynowych, napędzanych Eskalacją

reflektorów. Speer miał wizję, ale dopiero boża magia pozwoliła ją urzeczywistnić. Budynek wyglądał jak starożytny Panteon, tylko większy i bardziej majestatyczny. Jego monumentalne rozmiary miały symbolizować potęgę ludzkiej woli i ogłaszać wszem i wobec, że staliśmy się dziś niczym bogowie.

Tak przynajmniej mówił Veller. Reinerowi Volkshalle kojarzyła się raczej z wrzodem, z którego sączyła się ropa zatruwająca zdrowy organizm Rzeszy. Była niczym skaza na skórze świata, przypomnienie, że ludzi nie wiążą prawa natury i nie istnieją dla nich żadne świętości, których nie byliby skłonni pogwałcić w imię jakichś szaleńczych idei.

- Natura nie zna idei - powiedział mu Veller, kiedy godzinę wcześniej stali nad planem miasta w budynku Opery. - Zna sprawiedliwość i moralność.

Powiedziano nam, że to wszystko, co dzieje się wokół, to cena postępu.

Prócz nich i Delphine zebrало się tam jeszcze kilku mężczyzn, większość w mundurach niemieckiej armii. Reiner nie znał osobiście żadnego z nich, ale rozpoznał kilka twarzy. To byli dobrzy żołnierze i doskonali dowódcy. Patrioci. Dziwiła go ich apatia i nieobecne, zamglone spojrzenia.

- Dziś oznajmimy światu, że nie godzimy się na taką cenę. Tu - Veller wskazała na miniaturę Volkshalle - mieści się *cryptoporticus*, o którym wspominał Arab. Z tego, co rozumiem, prowadzi bezpośrednio do komnat pod nawą główną. - Mężczyzna przeszedł do stojącej pod ścianą ławy i wziął do ręki jeden z leżących tam woluminów. Reiner zauważył, że była to inna księga niż poprzednim razem. - Kult *ctanlgan* sięga czasów

starożytnych. Według *Unaussprechlichen Kulten* oddawali jej cześć mieszkańcy afrykańskiego plemienia Songhai już w dwunastym wieku. - Veller zauważył nieobecny wyraz twarzy Reintera. - Uwierz mi, to ma dla nas znaczenie. *Ctanlgankai*, co znaczy Czerw Wiosny, była boginią lubującą się w wilgoci i zimnie. Będziesz musiał sprawdzić podpiwniczenie, zaczynając tutaj - Veller ponownie wskazał na makietę - gdzie przebiegają miejskie kanały. *Ctanlgan* nazywano również Ciszą Puszczy, bowiem kiedy nadchodziła, zamierały wszystkie inne dźwięki. Długo się zastanawiałem, jak taka istota może się ukrywać w samym sercu Berlina. I wreszcie zrozumiałem. Ona, tak jak ja, potrafi zasnuwać umysły mgłą zapomnienia. Ludzkie oko nie zdoła jej dostrzec, jeśli ona sobie tego nie życzy.

- To jak sobie wyobrazasz tę operację? - zapytał z powątpiewaniem Reinter.

- Twoje wątpliwości są nie na miejscu, Erhard. Ten plan wprowadzono w ruch dawno temu, na długo, zanim przywdziałem maskę bogini. Opracowali go wrogowie Lewiatana, słudzy mego boga, Lilith, a ja odziedziczyłem ich wiedzę i sekrety. Według ich zapisków jedynymi, którym *ctanlgan* się objawiała, byli jej kapłani. Chodzi o zapach albo o zmysł bardzo podobny do zapachu. Podczas makabrycznych obrzędów odprawianych w jej imieniu kapłani kąpali się w jej żółci. Te soki pozostawiały na ich ciele przebarwienia, a na uzębieniu trudno zmywalny osad. - Veller sięgnął do kieszeni i wysypał na stół garść żółtych kamyków. - To zęby jednego z kapłanów.

- Zęby? Jesteś pewien, że to zadziała?

- Tak.

-

- Skąd je wzięłeś? - zapytał podejrzliwie Reiner.

- Dostałem je w spadku po moim poprzedniku. Do niedawna nie zdawałem sobie sprawy z ich przeznaczenia. Udało mi się ustalić, że zostały zebrane nad jeziorem Tanganika w Afryce tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej.

Serce Reintera zabiło mocniej. To byłby zbyt wygodny zbieg okoliczności. Nie, wszystko nabierało makabrycznego sensu. Zawsze przeczuwał, że Łowca mógł mieć coś wspólnego z ctanami, w końcu potrafił z nimi walczyć, ale to - tego się nie spodziewał. Teraz prawda wyszła na jaw. Potwory, które wymordowały cały obóz i zabiły biologicznego ojca Reintera, pojawiły się tam w pogoni za Łowcą, a on przybył po zęby kapłana.

Ojcze, czy byłeś jednym z nich? Wyznawców Lilith?

Oczywiście, że byłeś. Znałeś czarnoksiężskie słowa.

Reiner wbił wzrok w pożółkłe, przeżarte próchnicą zęby, które Veller wysypał na stół tak nonszalancko, niczym garść monet. Te zęby ukształtowały jego życie. Koło powoli się zamykało.

- Wystarczy, że będę je miał przy sobie? - zapytał.

- Wystarczy, że będziesz miał jeden z nich. Pozostałe rozdzieli pomiędzy ludzi Setzera. - Veller kiwnął na Oberleutnanta, który stał w rogu pomieszczenia i palił papierosa. - Macie wystarczająco dużo torpeksu, żeby wysadzić pół Volkshalle. Jeśli podłożycie ładunki bezpośrednio w okolicy *ctanlgan*, powinna zostać momentalnie unieczystwiona.

- Ctany potrafią się regenerować.

- Tak - przyznał Veller. - Istnieje kilka zaklęć, które mogą utrwalić wasze zwycięstwo. Niemniej najpewniejszy będzie al-hadžar.

- Czarny miecz?  
- Podobno może zabić wszystko.  
- Podobno? Prościej będzie użyć pełni młodego boga. Potęgi, która spopiela.

- Tak, dlatego tego właśnie nie zrobisz. Czy nie rozumiesz, że po to zostałeś tu sprowadzony? Żeby go użyć w ten sposób? Nie, młody bóg będzie narzędziem naszego zbawienia, ale jeszcze nie dziś. Dopiero kiedy uda nam się go zbadać, poznać granice jego mocy...

- Tak, tak - warknął zniecierpliwiony Reiner.

Veller kiwnął głową.

- W takim razie się rozumiemy. Kiedy wysadzisz Volkshalle, będziesz musiał tam wrócić. *Ctanlgan* próbuje przybrać bardziej namacalną postać, żeby przetrwać. Użyj al-hadžara i nie miej litości. - Reiner niechętnie kiwnął głową, a Veller podjął wyjaśnienia. - W tym samym czasie Hauptmann Töge i Ernst Troiker poprowadzą swoich ludzi w głąb Zegara Fannsbacha. Ponieważ Eskalację generuje jeden ze Słupów Wieczności sprowadzony tu z Irem, towarzyszący im doktor Rennalti postara się trwale uszkodzić aparaturę konwersyjną, jedyny element mechanizmu wykonany ludzkimi rękoma. Ja udam się na samą górę, do gabinetu Fannsbacha.

- Poradzisz sobie?

- To tylko człowiek - powiedział z pewnością w głosie Veller, ucinając dyskusję.

A ty kim jesteś? - pomyślał Reiner.

- Pozostaje jeszcze jedna kwestia, jeden nierozwiązany wątek. Stowarzyszenie Thule. Nie zdołamy odnaleźć wszystkich jego członków, ale to bez znaczenia. Władzę



ma tylko garstka, a ja znam ich nazwiska. Poruczniku Bregfast zwrócił się Veller do jednego z oficerów. - Znajdziecie ich. Wyciśnięcie z nich, co się da, a kiedy stracą przydatność, zabijecie.

- Widzę, że dobrze to przemyślałeś.

- Miałem dużo czasu.

- A co z *salgotathami*?

- Jeśli Arab się nie mylił, będą wewnątrz Zegara. Nie zdołają uciec. Kiedy zabiję Fannsbacha, odszukam je i zgładzę.

- Jeśli zabijesz Fannsbacha - sprostował Reiner.

- Nie zawiodę, nie bój się.

- Jesteś przeraźliwie pewny siebie.

Veller wypuścił powietrze z płuc.

- To wszystko, panowie - powiedział do zebranych. - Udajcie się do swoich oddziałów i czekajcie na nas.

Zgromadzeni oficerowie posłusznie opuścili pomieszczenie. Został tylko Erhard, Veller i Delphine.

- Strasznie cisi - zauważył Reiner.

Veller podszedł bliżej. Światło Eskalacji igrało na polerowanej powierzchni jego maski.

- Kiedy tamten Zegar wybije dwunastą, odbierzemy Rzeszę.

- Udało ci się zgromadzić wielu sprzymierzeńców. - Reiner postanowił zmienić temat. - Wszyscy mają wobec ciebie dług?

- Niektórzy.

Reiner rzucił szybkie spojrzenie na Delphine, która stała cicho przy oknie. Twarz miała bez wyrazu, ale jej oczy zdradzały napięcie.

- Niektórzy?

- Reinerze, nie stać mnie na luksus przebierania w

środkach. Wielu rzeczywiście zawdzięcza mi życie i z wdzięczności rodzi się ich lojalność. Inni się mnie boją, boją się tego, co mogę zrobić z nimi i ich bliskimi. Ich wierność jest gorsza, zrodzona ze strachu, ale nie na to nie poradzę. Pozostali... cóż, pozostali mają słabą wolę. Ich umysły...

- Nie mów. Niech zgadnę. Były dla ciebie niczym glina?

- To niepotrzebnie pompatyczne wyrażenie, ale tak, coś w tym rodzaju.

- Myślisz, że jesteś inny od Aziza? - zapytała nagle Delphine lodowatym głosem.

- Jestem. Nie możesz mnie oceniać bez odpowiedniego kontekstu.

- Jestem młoda, Upiorze. Mogę oceniać świat jedynie bezpośrednio. Kontekst to tylko inne słowo na wymówkę.

- Nie! - warknął Veller, najwyraźniej rozwścieczony. - Musicie zrozumieć, nie pragnąłem tego, zostałem oszukany i przemieniony. Brzydę się tym, czym się stałem i co robię.

- Ale nadal to robisz.

- Bo ktoś musi. Historia została wykolejona z pierwotnego toru, ludzkość została wypchnięta poza granice naturalnych praw. Ktoś musi stanąć ponad tym wszystkim i przywrócić naturalny bieg rzeczy. Nikt inny nie jest dostatecznie silny, żeby stawić czoło ciemności.

Delphine spojrzała na Reinera.

- A co potem? - zapytała cicho.

Głos Vellera nie wyrażał żadnych emocji.

- Potem?

- Dość już tych rozważań - przerwał im Reiner, któremu

nie podobał się kierunek, w jakim zmierzała rozmowa. -  
Tracimy tylko czas, którego zostało nam już niewiele.

- Masz rację. Powinniśmy ruszać - szepnął Veller.  
Kiedy zobaczył wyraz twarzy Delphine, dodał: - Dam  
wam chwilę.

Po tych słowach wyszedł na zewnątrz. Gdy tylko drzwi  
się za nim zamknęły, Delphine syknęła:

- On przeraża mnie bardziej niż Aziz.

- Spokojnie - powiedział Reiner, podszedł do okna i  
objął ją delikatnie. Co najgorsze, on również miał takie  
uczucie.

- Uważaj na siebie.

Przytulił ją mocniej, odruchowo, nie wiedząc, co wła-  
ściwie czuje.

•

- Już czas, kapitanie - otrzeźwił go chrapliwy głos  
Oberleutnanta Setzera. Świeże wspomnienia rozplynęły  
się w oleistych strugach deszczu.

- Już? - westchnął Reiner. - Powiedz swoim ludziom,  
żeby ruszali w kierunku wejścia. Rozproszyc się, utrzy-  
majmy nasze intencje w tajemnicy jak najdłużej.

Zaśmiał się w duchu, bo ulewa była dla nich darem od  
bogów. Lało gorzej niż w Rzymie, szemrząca ściana desz-  
czu zmieniała ludzkie sylwetki w niewyraźne zjawy. Kar-  
mazynowe światło Eskalacji mieniło się w każdej kropli.  
Reiner wyobrażał sobie, że aniołowie rozdarli w niebie  
wielką ranę i to nie woda, a krew spływała teraz na zie-  
mię. W takim deszczu nawet ctany nie podchwycą tropu.

- Poruczniku, co sądzisz o planie Ve... Upiora? - zagadnął Setzera, kiedy szybkim krokiem zbliżali się do Volkshalle.

- Słucham? Ach, myślę, że wiceadmirał Canaris wszystko dobrze przemyślał.

Canaris?

- Poruczniku, Canaris odbywa karę więzienia w obozie koncentracyjnym we Flossenbürgu.

Setzer postukał się w skroń, jednocześnie mrugając porozumiewawczo.

- On tylko chce, żeby ludzie tak myśleli. Widział go pan przecież.

Ja widziałem tylko maskę, pomyślał Reiner.

- Masz rację, poruczniku.

Zatrzymali się w odległości kilkunastu metrów od *cryptoporticusa*. Pod załomem dachu stało trzech, nie, czterech żołnierzy. Reiner nie mógł dostrzec szczegółów.

- Waffen-SS - zauważył porucznik. - Uzbrojeni w karabiny termostrugowe.

- Widzisz coś w tej powodzi, Setzer?

- Nie. - Porucznik uśmiechnął się pod nosem. - Byłem tu już wcześniej. Wiceadmirał się o to postarał. Znam ich rutynę i zmiany wachty. Słyszysz pan stukot, Herr Hauptmann?

- Ledwo słyszę ciebie, Setzer.

- Proszę spojrzeć na południe.

Reiner wytyczył wzrok. Rzeczywiście coś się tam poruszało. Duże, kanciaste, kroczyło sztywno, jakby utykało. Kulejący gigant. PzK S. Przeniósł spojrzenie na majaczącą na niebie czerwoną kulę Eskalacji. Wszystko zależało od prawdziwości słów Aziza.

- Czemu pan to robi, poruczniku? - Pytanie wydobyło

-

się z jakichś ukrytych zakamarków umysłu Reiner. - Pomaga Canarisowi obalić rząd.

- A pan? - odciął się Setzer. - Przepraszam, kapitanie. Rzesza kazała mi walczyć za ideały, których nie wyznawałem. Straciłem ojca, straciłem synów. Moja żona i córki... zabrała je szara ospa. Nie pozwolono mi nawet zakopać ich zwłok. Kiedy poznałem prawdę, wiedziałem, co muszę zrobić. Rozumie mnie pan?

Rozumiem, Setzer. Rozumiem.

- Gotowy? - powiedział tylko, spoglądając na zegarek.

Setzer skinął głową, odbezpieczając swojego StG44. Reiner ścisnął w rękach taki sam karabin. Jeśli... nie, kiedy Zegar zostanie wyłączony, broń termostrugowa na wiele się nie zda. Operacja będzie przebiegać gładko, przynajmniej dopóki drogi nie zastąpią im ctany lub inne okropieństwa.

Gdzieś w oddali jakiś zegar wybił dwunastą.

Czerwona sfera, która wisiała nad Berlinem niczym zły omen, błysnęła, a potem skurczyła się do niewielkich rozmiarów. Wszędzie wokół zgasły światła, pogrążając stolicę w pierwotnym mroku. Krążące po niebie vimany zaczęły spadać, miażdżąc wszystko, co znajdowało się pod nimi. Gdzieś za horyzontem rozległy się eksplozje. Zawyły syreny.

Jeszcze chwila.

Żołnierze strzegący *cryptoporticusa* zaczęli coś do siebie nerwowo wyrzaskiwać. PzK S zamarł w pół kroku i przewrócił się. Nawet przez siąpiący deszcz Reiner widział kontury walących się wieżowców, przygniecionych szczątkami vimanów, i łuny pożarów, które wybuchały na terenie całego miasta.

Jeszcze chwila.

Wrota *cryptoporticus* rozwarły się szeroko, wypływając na zewnątrz kilkunastu nieuzbrojonych ludzi. Poruszali się szybko i zwinnie, niemal jak zwierzęta. To ctany, pomyślał Reiner. Spieszą bronić swego pana i serca Eskalacji. Nie będziemy im przeszkadzać.

- Teraz - szepnął, kiedy sylwetki istot rozpląły się we mgle i deszczu.

Jego żołnierze rzucili się do wrót *cryptoporticus*. Strażnicy byli tak zdezorientowani, że nie zdążyli nawet wydobyć palnej broni bocznej. Krzyki i echa karabinowych wystrzałów pochłonęło wycie syren i bębnienie ulewy, ognie błyskające w lufach pożarła ciemność.

Reiner przestąpił nad zwłokami strażników i zatrzymał się przed masywnymi stalowymi wrotami.

- Poruczniku, klucze.

Setzer i jeden z jego podwładnych przeszukali ciała. Znaleźli dwie kod-karty, po jednej na każdy z pneumatycznych zamków.

- Otwierać. Dwóch ludzi po lewej, dwóch po prawej. Setzer, jesteś ze mną. Reszta za nami, nie rozdzielamy się.

Spoza wrót dochodził stukot i szum maszynierii.

- Cokolwiek tam zobaczycie, da się to zabić, jeśli tylko wpakujecie w to dostatecznie dużo kul - skłamał. Czuję, że żaden z jego podwładnych nie chciałby znać prawdy.

Drzwi wydały z siebie syk uchodzącego powietrza i rozwarły się.

- Idziemy.

*Cryptoporticus* był szeroki i nieoświetlony, dobrze, że

zabrali ze sobą latarki. Tunel początkowo prowadził prosto, ale po jakimś czasie odbijał łukiem w prawo. Reiner domyślał się, że korytarz biegnie po obwodzie centralnej nawy. Po drodze mijali równie zaciemnione odnogi i boczne korytarze, ale Veller ostrzegał ich przed zbaczaniem z trasy. W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach, którego Reiner nie potrafił zidentyfikować. Tunel okazał się zaskakująco pusty, dotychczas nie natknęli się na kolejnych wartowników. Ściany pokrywał zielonkawy nalot, raczej śluz niż porosty.

- Na suficie - zauważył Setzer.

Reiner uniósł wzrok.

Sklepienie pełzało. To była bezkształtna masa, morze istnień.

- Idziemy dalej - szepnął, zaciskając dłoń na pożółkłym zębie. - Nie świecić po suficie.

Nagle w korytarzu zaroilo się od istot. Były mniejsze niż ctan, który zaatakował Reinera w Paryżu, żadna z nich nie przybrała również humanoidalnej postaci. Potwory poruszały się na czterech straszliwie długich, cienkich nogach albo zwisały z kotłującej się u sufitu masy na chwytnych mackach wyrastających z tułowia. Paszcze stworzeń przypominały psie pyski, tylko o zdecydowanie większej liczbie zębów. Zdeformowane, podłużne czaszki wieńczyły trzy pary zielonkawych, obcych oczu. Gdyby Reiner nie widział tego rodzaju koszmarów wcześniej, pewnie skamieniałyby z przerażenia.

Ludzie Setzera zdawali się niewzruszeni. Brnęli naprzód jak zaprogramowane roboty.

Jeden z nich nieostrożnie przeniósł snop światła na wiszące przed nim wynaturzenie. Stworzenie zjeżyło się, warknęło i rzuciło na żołnierza.

Reiner chciał mu pomóc, ale wiedział, że nic nie dzia-  
ła. Jeśli teraz wdadzą się w walkę, nigdy nie dotrą do  
pieczary *ctanglan*. Gestem ręki nakazał spokój.

Mężczyzna padł pod atakiem istoty. W jego oczach nie  
było strachu. Psowata kreatura rozrywała go na strzępy, a  
on daremnie starał się uwolnić. Wszystko w absolutnej  
ciszy.

Co im uczyniłeś, Veller?

Reiner odwrócił wzrok i nakazał podjąć marsz. Chciał  
jak najszybciej zostawić to miejsce za sobą. Wyrzucić z  
umysłu wszelkie wspomnienia, wymazać z pamięci widok  
pustych oczu żołnierza.

Ruszyli dalej.

Istoty zdawały się nimi nie interesować, jeśli nie zo-  
stały sprowokowane. To nie były ctany, zrozumiał Re-  
iner. To jakieś inne pomioty, słabsze, zupełnie bezmyśl-  
ne.

Pomiędzy czteronożnymi psowatymi pojawiły się inne  
stworzy: podłużne i pełzające, niczym tasiemce wielkości  
jamników, i olbrzymie, grube, pokryte pseudochityno-  
wym pancerzem, które ledwo mogły się poruszać. Były  
też inne, zbyt wiele innych, by wymienić je wszystkie.

Nieskrępowana prokrecja, zrozumiał Reiner. Więk-  
szość z tych stworów nie nadawała się do życia. Ich orga-  
ny nie pełniły żadnych funkcji, kończyny wyrastały w  
przypadkowych miejscach, nierzadko zbyt wątle, żeby  
utrzymać ciężar właściciela. To było szaleństwo obleczo-  
ne w ciało.

- Kapitanie - powiedział cicho Setzer. - Widzę światło  
na końcu korytarza.

Teraz i Reiner je zobaczył. Połyskliwa, zielonkawa



poświata falowała, jakby blask dochodził z dna jakiegoś zbiornika wodnego.

- Do przodu, poruczniku - szepnął Reiner. - Jesteśmy niemal u celu.

Przeszli całą drogę, nie oddając ani jednego strzału. Nawet nie skorzystali z potęgi młodego boga, chociaż ten, czując śmierć i krążącą we krwi Hauptmanna adrenalinę, rwał się do czynu.

*Cryptoporticus* wychodził na rozległą komnatę. Do połowy wypełniała ją woda i z jej odmětów, z nieznanego źródła biło to przedziwne, zielone światło. W dół, do wodnej tafli prowadziły schody, jakich nie budowano już od setek lat: wysokie i strome, przeznaczone nie dla ludzi, ale dla olbrzymów, schody, po których miała spływać krew ofiarna.

Na ścianach komnaty roily się ctany, dziesiątki ctanów.

Najbardziej przerażające było jednak to, czego nie widziało się na pierwszy rzut oka. Kiedy wzrok przyzwyczaił się do zielonej poświaty, zaczynał dostrzegać kontury i kształty, załamania linii wodnej, cienie, które coś musiało rzucać. Coś olbrzymiego. Niewidocznego.

Ctany na ścianach wiły się i syczały, ale nie ruszały się z miejsca.

Na co czekały? Dlaczego nie walczyły?

Reiner zeskoczył o stopień niżej i ponownie spojrział w głąb komnaty.

Opatrzności! Wreszcie dostrzegł obrzmiałe, gigantyczne, półprzezroczyste cielsko, które wystawało z wody i sięgało pod sam sufit. Czy to magia zębów pozwoliła mu je zobaczyć?

Pod błoniastą, oślizgłą skórą rozpościerała się sieć żył

i niezliczone narządy: serca, żołądki i gonady. Wokół tułowia istoty wiły się tysiące cienkich jak kable telefoniczne macek. Niektóre trzymały w uścisku ludzkie zwłoki, inne oplatały wciąż żywych ludzi, których twarze wykrzywione były w grymasach rozkoszy graniczącej z bólem.

Ledwo powstrzymał się od wymiotów.

Kiedy podniósł głowę, wciąż przytrzymując rękę przy ustach, zobaczył inne, większe macki zakończone ślepyimi paszczami, wściekle kłapiące w kierunku intruzów. Być może Veller przecenił moc zębów kapłana albo nie docenił inteligencji *ctanlgan*.

Czas ukrywania się skończył.

- Setzer, przygotuj torpex!

Porucznik odkrzyknął coś w odpowiedzi i zaczął ściągać plecak. Pozostali żołnierze otworzyli ogień do poczwary, która zalegała w centrum pomieszczenia, ale ich kule zdawały się nie wywierać żadnego efektu. Pociski przebijały tkankę, która natychmiast się zasklepiała, i wędrowały dalej w głąb cielska, szybko wytracając prędkość. Kiedy się zatrzymywały, zaczynały się rozpadać na pierwiastkowe składniki. Organizm *ctanlgan* po prostu je wchłaniał. Przezroczysta skóra zaczynała szarzeć, stawała się grubsza, wzbogacona metalem twardniała.

Reiner skupił wzrok na jednej ze szczękomek i opróżnił w nią cały magazynek. Z ciała zostały tylko strzępy, ale szybko zaczęły się zrastać, tym razem w zupełnie inny kształt niż poprzednio.

Czy torpex wywoła jakikolwiek efekt?

- Setzer, teraz!

Porucznik nie odpowiedział. Zamilkły również odgłosy wystrzałów.

- *Scheisse*, Setzer! Dawaj te materiały wybuchowe! - Reiner odwrócił się, żeby ponaglić porucznika i zamarł. Jego ludzie, w tym Setzer, stali w bezruchu niczym za-hipnotyzowani. - Setzer!

- On pana nie słyszy, kapitanie - przemówił głos kobiety. Stała w wejściu do komnaty, częściowo skryta w cieniu rzucanym przez załom *cryptoporticusa*. Czy podążała za nimi od samego początku, czy też czekała tutaj, niczym pająk w sieci? - Jego umysł przebywa gdzie indziej.

Istoty, które kłębiły się u jej stóp, i ctany, które pełzały po ścianach, warczały i szczekały na nią z przedziwną odrazą. Ona, podobnie jak Reiner, była tu niechcianym gościem. Obcym.

- Jesteś jedną z nich - wycedził. Miecz wysunął się bezszelestnie z jego nadgarstka. - *Salgotathem*.

W ciemności, która skrywała twarz kobiety, błysnęły zęby.

- Widzę, że powiedział ci więcej, niż powinien.

Aziz?

Jeden po drugim ludzie Setzera zaczęli skakać w dół, ku zielonkawej powierzchni wody. Ich oczy zasnuwała mgła, na ustach malował się błogi uśmiech. Ich umysłami zawładnęła obca siła.

- Czy podał ci też cel twojego istnienia? - zapytała kobieta. W jej głosie nie było ani złośliwości, ani satysfakcji, ani ciekawości.

Reiner zmrużył oczy. Po schodach i ścianach zbliżały się do niego ctany. Powoli, jakby celowo opóźniały swój marsz. Poczul narastający ucisk w skroni, wychwycił myśli, które nie należały do niego. Obca świadomość wdzierała się do jego umysłu, paraliżując ciało. Ale on nie był

bezradny. Chociaż wtedy nie zdawał sobie z tego sprawy, poznał to uczucie niemal intymnie podczas swojej podróży do Berlina. Poznał i od początku z nim walczył. Nauczył się z nim walczyć. Aziz go nauczył.

- Przyniosłeś nam młodego boga. Nie pojmujesz, ile to dla nas znaczy.

- Nie jest dla was - zdołał wykrztusić Reiner.

- Nie, nie jest przeznaczony dla nikogo. Jest groźbą, która wisi nad wszystkim, co staraliśmy się zbudować.

- Plugawa gadzino, zmiotliście wszystko, co kiedykolwiek stworzyliście, czego jeszcze chcecie? Czemu? Czemu niszczyacie nasz świat?

- Niszczymy? Tworzymy. Coś piękniejszego, niż mógłbyś sobie kiedykolwiek wyobrazić. Raj. Raj na Voght. Proszę, nie szamocz się, twój umysł jest śliski, ale to nie zda się na nic. Proszę. To nie potrwa długo. Spójrz na przedsmak tego, co tu powstaje. - Słowa *salgotatha* nie niosły ze sobą żadnych emocji. - Czy okiem umysłu widzisz już świat, który dla ciebie stworzyłam?

*Staralem się ciebie uwarunkować.*

- Nie. - Reiner uśmiechnął się i szarpnął lewą ręką.

Gwałtowny wiatr, który przyzwał za pomocą pierścienia, wytrącił kobietę z równowagi. Poleciała do przodu w stronę stojącego o stopień niżej Hauptmanna. Ten zamachnęła się mieczem, chcąc przeciąć ją na pół.

*Salgotath* była zwinniejsza, niż się spodziewał. Obróciła się w locie, podkurczyła nogi i zamiast spotkać się z ostrzem, odbiła się od płazu i przekoziółkowała nad głową zaskoczonego mężczyzny. Wylądowała z hukiem

kilka stopni niżej, rozbijając kamienną powierzchnię schodów.

- Skur... - zaczął Reiner, ale *salgotath* obróciła się i skoczyła w jego stronę. Wybiła się z taką siłą, że spowodowała kolejne pęknięcia kamienia.

Hauptmann ponownie machnął ręką, posyłając przed siebie huraganowy podmuch. Kobieta zatrzymała się w powietrzu, jakby napotkała nieprzekraczalny mur. Zostałaby zepchnięta w głąb komnaty, gdyby nie chwyciła się stopnia schodów. Reiner z przerażeniem zauważył, że jej palce bez trudu wbiły się w kamień. Kobieta podciągnęła się w górę i zebrała do kolejnego skoku. Reiner ciął mieczem. Teraz był szybszy, jakby młody bóg pompował w niego swoisty rodzaj adrenaliny. *Salgotath* wykonała kolejny unik, ale tym razem za wolno.

Poleciały iskry, w górę wystrzeliła fontanna Eskalacji.

*Salgotath* wylądowała o kilka stopni niżej. Z kikuta ręki, odciętej na wysokości łokcia, sterczał pęk kabli i unosił się rzadki, czerwony dym.

Jest taka sama jak Aziz, pomyślał Reiner.

*Salgotath* przykucnęła, szykując się do następnego ataku.

Reiner zebrał myśli i skupił się na pierścieniu, którego żar parzył teraz jego dłoń.

- Stój! - wrzasnęła i postać zatrzymała się jak zamrożona.

Wprawdzie *salgotathy* nie były ludźmi, ale na twarzy tego, który klęczał kilka metrów od Hauptmanna, malowało się bardzo ludzkie zdumienie.

- Nie spodziewałaś się tego, prawda? - zagadnął, próbując utrzymać mentalny chwyt. - Powiedz mi, czemu?

Czemu sprzymierzyliście się z wrogiem, który doprowadził waszą cywilizację do upadku?

- Bredzisz, człowieku - odpowiedziała niespodziewanie *salgotath*. - Rozejrzyj się, nasza cywilizacja rozkwita. Spójrz na jaśniejsze wieże centralnego metropleksu.

Kobieta uniosła głowę ku sklepieniu komnaty. Prócz śluzu pokrywającego tynk i pełzających po suficie ctanów Reiner nie widział niczego.

- Rozejrzyj się po tym laboratorium hydroponicznym. Bądź świadkiem cudów inżynierii genetycznej. Już niedługo, człowieku, lada dzień zbudujemy raj na Voght, spełnienie naszych najskrytszych marzeń.

Reiner zrozumiał. Ta istota, która przed nim stała, była uwięziona we własnym umyśle, nie bardziej świadoma tego, co działo się wokół, niż obywatele Rzeszy. Zawładnęła umysłami Setzera i jego ludzi, próbowała sięgnąć do umysłu Erharda, przez cały czas nie zdając sobie sprawy, że ktoś już ją zniewolił.

- To Fannsbach, prawda? On wami steruje. Odpowiedz mi.

Próbował wpłynąć na jej umysł. Jego myśli prześlizgiwały się po rzędach cyfr, na które składała się jaźń *salgotatha*, próbując wyłowić z nich chociaż szczyptę sensu.

- Wielki Architekt Salgothańskiego Imperium. I nasi bracia spoza czasu. Ich sygnał, tak czysty...

- Wystarczy, Uzza - rozległ się głos. Chrapliwy, dostojny.

Reiner obrócił się powoli. Na szczycie schodów stał starszawy, wysoki mężczyzna. Miał krótko przycięte siwe włosy i równie białą brodę, niebieskie oczy, chociaż pozbawione wyrazu, wpatrywały się w niego intensywnie.

*Schwytajcie go żywego, usłyszał Reiner w myślach, strata młodego boga jest niedopuszczalna.*

Omiótł komnatę wzrokiem i zrozumiał, że nie wygra. Ctany, które osaczały go ze wszystkich stron, dotychczas tylko widzowie jego zmagania z *salgotathem*, ruszyły w jego stronę. Macki *ctanlgan*, które do tej pory trzymały się na dystans, teraz ponownie uniosły się w powietrze.

Kobieta wreszcie wyrwała się z jego mentalnego więzienia.

- Cóż - westchnął Reiner, spoglądając na klingę kamiennego miecza.

Oba *salgotathy* ruszyły ku niemu. Próbowaly wspólnie sparaliżować jego umysł, ale spóźniły się o ułamek sekundy. Wiedziały, że jest już za późno.

W oczach *salgotatha* kobiety pojawiło się przerażenie. Chwilę później komnatę rozświetliło zgoła inne niż dotychczas światło.

•

Nie było krzyków. Nie lała się krew. Wszyscy, którzy zastępowali mu drogę, po prostu umierali. Pożerała ich ciemność, którą krył za maską. Tak było lepiej. Czyściej.

Samotnie przemierzał korytarze iglicy, którą nazywano Zegarem Fannsbacha, zaś jego myśli błąkały się po odmětach Vogthoth. W tym transie jego ruchy były spokojne i oszczędne, nigdy zbędne. Chociaż był tu po raz pierwszy, bastion Eskalacji nie miał przed nim tajemnic.

Taka była moc Oka Świata.

Delikatnie pchnął dębowe, dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do gabinetu Wilhelma Fannsbacha, wybrańca

Lewiatana. Mężczyzna, który żył od setek lat i który był architektem powrotu bogów-Trójcy, uniósł wzrok znad dokumentów spoczywających na jego masywnym biurku i poprawił oprawione w złoto okulary. Kaszlnął, zakrywając usta zaciśniętą w pięść dłonią, po czym uśmiechnął się dobrotliwie.

Mężczyzna w masce nie stracił rezonu. Powolnym, miarowym krokiem ruszył w stronę biurka, rozglądając się bacznie po pokoju. Wysoki sufit zdobiła reprodukcja sklepienia Kaplicy Sykstyńskiej. Za tylną, przeszkloną ścianą gabinetu rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok Berlina, teraz skąpanego w deszczu i ciemności, ogarniętego chaosem. Po drugiej stronie szkła znajdował się duży balkon. Sam gabinet był urządzonego po spartańsku. Prócz biurka stojącego na środku i dużego zegara z kukułką w kącie nie było tu nic, co odwracałoby uwagę. Nic, co mogłoby go zaskoczyć.

Zatrzymał się przed biurkiem, jak poddany na audyencji lub petent w urzędzie. Na zasłanym papierami blacie stało niewielkie radio bez pokręteł oraz kałamarz.

Veller milczał. Ciszę wypełniało tylko miarowe tykanie.

- Nigdy nie ma właściwych słów, żeby wyrazić najgłębsze myśli, prawda? - zagadnął wreszcie mężczyzna siedzący za biurkiem.

- Nie.

- Czy wiesz, czemu tak jest?

- Ewolucja. Słowa pojawiły się później niż myśli.

Fannsbach skinął głową z aprobatą i zaplótł dłonie na piersi. Veller zauważył, że brakowało mu palca wskazującego prawej ręki. Jego sługi potrafiły się zregenerować



z garstki popiołu, a on sam nie mógł odtworzyć jednego palca. Żałosne. Westchnął i uniósł ręce do twarzy.

- A jednak - zaczął Fannsbach - nie wypada mi milczeć. Pozostało to, czego najmniej się po mnie spodziewacie. Prawda. Zostałeś okłamany.

- Wiem.

- Nie wiesz. Widząc skutek, nie możesz wiedzieć, co go poprzedzało. Możesz się tylko domyślać. Nie zdzierając maski, nie możesz wiedzieć, co się za nią kryje. Możesz tylko zgadywać.

Mężczyzna, który stał przed biurkiem, nie odpowiedział. Nie było sensu wdawać się w dyskusję. Zamiast tego ściągnął maskę.

Nic się nie stało.

- Nie ma tam nic, czego już bym nie widział - odparł spokojnie starzec. - Jak dawno temu ogłuchłeś na...?

- Nie usłyszę od ciebie słowa prawdy.

- Prawda tkwi w każdym słowie i nie zważa na nasze intencje. Objawia się sama.

Te słowa, tak znajome. Veller był wstrząśnięty.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza, gwałtownie wy dobył z niej rewolwer, wycelował i wystrzelił. Chybił. W górę wzbila się chmura pierza z oparcia fotela. Fannsbach okazał się szybki, zdążył się ukryć za biurkiem.

Zanim któryś z mężczyzn zdołał zrobić coś jeszcze, biurko pękło i rozpadło się na dwoje. Ze środka, wprost na Vellera, wyskoczyła człekokształtna czarna istota z mackami. Przemyślnie ukryty ctan.

Czemu go nie wyczuł?

Potwór przewrócił go i wytrącił z ręki rewolwer, ale

na nic więcej nie wystarczyło mu czasu. Zaczął umierać. Przed ciemnością, która kryła się pod maską, nie było ucieczki, nawet dla pomiotów bogów-Trójcy.

Jednak tego wszystkiego Veller nie zobaczył w Oku Świata, to wszystko wydarzyło się inaczej, niż mu obiecano. Został okłamany. Dlatego zrywając się z ziemi, stracił opanowanie i warknął:

- Jesteś martwy, Fannsbach!

Wybraniec Lewiatana wybiegł już na balkon. Poruszał się szybko jak na starca.

Veller podniósł rewolwer i rzucił się w pościg. Oddał strzał, później drugi i trzeci, ale żaden nie trafił. Kule miały Fannsbacha, jakby odginała je jakaś niewidzialna siła. Zza balustrady otaczającej balkon zaczął się wychylać zeppelin. Nie wiman napędzany Eskalacją, ale zeppelin wypełniony helem i wprawiany w ruch silnikami spalinowymi.

Skąd Fannsbach wiedział?

Za barierką do iglicy przymocowano stalową kładkę, taką, jakich używano w hangarach maszyn lotniczych. Po tym metalowym pomoście biegł Fannsbach. Lejący się z nieba deszcz przyklejał mu włosy do twarzy i ściekał po okularach, ograniczając widoczność. Veller, kilkanaście metrów za nim, z największą trudnością utrzymywał równowagę, bowiem śliska, mokra nawierzchnia uciekała mu spod nóg. Oddał kolejny strzał z biodra. Kula zaczęła skręcać, podobnie jak trzy poprzednie, ale tym razem Veller był znacznie bliżej celu i tajemnicza siła miała zbyt mało czasu na całkowitą zmianę trajektorii. Pocisk ugodził starca w nogę, tuż poniżej kolana. Fannsbach nie zwolnił. Nie zważając na ból, kuśtykał dalej w kierunku opuszczającej się ze sterowca drabinki.

Czarny zeppelin zlewał się z nocnym niebem, zasłaniał już cały horyzont. Fannsbach wspinał się po stalowej drabince z niebywałą zręcznością, całkowicie ignorując ranę w nodze. Veller uświadomił sobie, że nie zdąży go schwytać.

Zatrzymał się.

Oparł się o balustradę, wyprostował się i wyciągnął przed siebie broń. Wymierzył. Jego cel kończył właśnie wspinaczkę, jedną nogą był już w otwartym włączniku prowadzącym do gondoli sterowca. Jeden strzał, by zakończyć ten koszmar.

Nagle na horyzoncie wykwitł słup światła. Na mgnienie oka pojawił się w nim zarys jakiejś owadopodobnej istoty. Światłość, niczym żywe stworzenie, pomknęła w stronę Zegara, pochłaniając wszystko na swojej drodze.

Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał Veller, był gardłowy śmiech starca.

## 9. Drugi kapitan

*Cierpienie zagraża nam z trzech źródeł: ze strony naszego własnego ciała, któremu pisane jest zmarnieć i rozpaść się, i które nie może sobie nawet poradzić bez sygnałów ostrzegawczych w postaci bólu i lęku; ze strony świata zewnętrznego, który rzuca przeciw nam przytłaczające i bezlitosne siły zniszczenia; i wreszcie ze strony naszych relacji z innymi ludźmi. Cierpienie pochodzące z tego ostatniego źródła jest być może najbardziej bolesne.*

Zygmunt Freud

*Berlin, Niemcy.  
Listopad, rok 1943*

- Wygląda tak samo jak poprzednie, Herr Hauptmann  
- oznajmił płaczącym głosem szeregowy, który otrzymał  
niewesołe zadanie zabezpieczenia miejsca zbrodni. Hans  
Brussel był czwartą ofiarą w ciągu ostatnich ośmiu

miesiący. - Takie same obrażenia. - Chociaż Brussel zginęła od kuli, która rozszarpała mu podbrzusze, na szyi nosił sine ślady sznura. - I taki sam symbol. - Szeregowiec wskazał nabazgrane na ścianie dwie bliźniacze błyskawice SS.

- Czy to krew? - zapytał kapitan Dieter Veller, przyglądając się bliżej czerwonym znakom.

- Nie, Herr Hauptmann. To jakaś farba. - Szeregowiec przełknął ślinę. - Morderca całą krew zużył tam.

Dieter podążył spojrzeniem za palcem żołnierza. W drugim pokoju zobaczył istne piekło. Krew pokrywała podłogę, ściany i sufit, gdzieniegdzie chaotycznymi plamami, gdzie indziej zaskakująco precyzyjnie napisanymi słowami i ciągami cyfr przypominającymi równania matematyczne. Szeregowiec, ledwo powstrzymując się od wymiotów, poprowadził Vellera w głąb tej krwawej łaźni.

Dieter poczuł, że ogarniają go nudności.

- Hauptmann Seldorf uważał, że to jakiś szyfr.

Kapitan Seldorf był poprzednikiem Dietera Vellera. Nie udało mu się odkryć tożsamości mordercy, który zdobył sobie w oficerskich kręgach miano SS-Mördera, dlatego został odsunięty od sprawy.

Seldorf, a przed nim Dannerode i Falniche, wszyscy szukali niewidzialnych nici, związku, wzoru, który wskazałby im kolejną ofiarę. Ale wzór jakby nie istniał. Zbrodni dokonywano w nieregularnych odstępach czasu, w różnych częściach Berlina. Ofiarami byli kolejno: dyrektor fabryki BMW, kapitan SS, profesor Uniwersytetu Technicznego i obecny tu, niestety już tylko ciałem, Hans Brussel, doradca w Ministerstwie Propagandy i

Oświecenia Publicznego Rzeszy. Łączyło ich tylko to, że byli wiernymi obywatelami. Jeśli tak miał wyglądać niewidzialny wzór, potencjalnych ofiar były w Berlinie niezliczone zastępy.

- Kapitan Seldorf się mylił. - Dieter zapatrzył się na pomazane ściany. - Symbole, słowa i liczby nic nie znaczą. Służą odwróceniu uwagi. To wykalkulowana maska.

Szeregowiec rzucił mu pytające spojrzenie, ale Veller zdążył się już odwrócić. Podszedł do stojącej pod ścianą przeszklonej biblioteczki i zaczął przeglądać kolejne pozycje. Brussel okazał się nie lada bibliofilem, a jego zainteresowania wykraczały daleko poza socjologię i psychologię. Kapitan zatrzymał wzrok na grubej, przedwojennej publikacji *Rys filozofii Zachodu końca XVIII i początku XIX wieku*. Interesujące. Za szklaną szybką regału kryły się książki, które ściągnęłyby na Brüssela uwagę gestapo.

- Kapitanie? - Szeregowiec nie nadał za tokiem rozumowania Vellera. Dla niego było jasne, że te rytualne morderstwa są dziełem szaleńca.

- To nie jest zabójstwo na tle religijnym.

Takie przypuszczenie wysnuł Falniche, zanim został odsunięty od sprawy. To założenie nie mogło być prawdziwe, skoro... wzrok Dietera przykuła czerwona plamka pozostawiona na jednym z tomów. Krew nie miała prawa znajdować się po drugiej stronie szkła. Chyba że... chyba że morderca przeglądał biblioteczkę albo Brussel zginął właśnie w tym miejscu. Veller otworzył drzwiczki szafki i pospiesznie sięgnął po pobrudzony wolumin, *Timaios i Kritias* Platona. Zaskoczony, otworzył księgę na pierwszej stronie. Wydanie I, Monachium, 1918, a pod spodem

drobnym, starannym pismem, liczby: 38 i 47. Czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Czy może czysty przypadek sprawił, że krwawy ślad oznaczył tę akurat książkę?

- Kapitanie? - Szeregowiec wyrwał Dietera z zamyślenia. - Jeśli to nie zabójstwo, to co?

- To egzekucja - odparł Veller, ważąc księgę w dłoni.

- Egzekucja, Herr Veller? - zapytał zimny, beznamiętny głos, którego Dieter nie rozpoznał.

Kapitan obrócił się na pięcie, chowając książkę za plecami.

W drzwiach pokoju ujrzał kolejnego funkcjonariusza. Brązowy, przeciwdeszczowy płaszcz narzucony na nie dbale zapiętą marynarkę mówił Vellerowi, że jego rozmówca przybył tu w największym pośpiechu.

- Pan jest...? - Widocznie ktoś ważny, bo strażnicy na dole mieli wyraźny rozkaz nikogo nie wpuszczać. Jeśli ten mężczyzna mógł odwołać to polecenie...

- Heinrich von Turen, Abwehra. Sądzi pan, że miało tu miejsce coś więcej? - Mężczyzna podszedł bliżej i Dieter mógł mu się przyjrzeć. Twarz agenta przecinała blizna, ciągnąca się od skroni aż po podbródek, ale nawet ona nie odwracała uwagi od przeszywającego spojrzenia lodowatych, obcych oczu. - Proszę się podzielić swoimi spostrzeżeniami, Herr Hauptmann, mogą być wielce pomocne w moim śledztwie.

- Pana śledztwie? - zapytał zdziwiony Dieter. Swoje dochodzenie rozpoczął niespełna godzinę temu.

- Oto nowe rozkazy.

Von Turen sztywnym ruchem wręczył Vellerowi starannie złożony dokument. W miarę lektury mina

kapitana rzedła. Miał podzielić los Dannerode'a, Falnichea i Seldorfa. Tak jak oni, został w obcesowy sposób oddelegowany do innych czynności. To implikowało coś więcej niż serię chaotycznych morderstw.

- Więc jak z pana teorią?

Veller odchrząknął.

- Cóż, przypuszczam, że ktoś, prawdopodobnie sympatyk aliantów, wymierza sprawiedliwość.

Von Turen uśmiechnął się kwaśno.

- To wszystko? A symbole na ścianie? A symbol SS?

- Mydlenie oczu. Może myśli, że poszukamy winowajcy we własnych szeregach? - A może pomyśli, że tego nie zrobimy? Obecność Abwehry mogła sugerować działalność szpiega.

- Celna uwaga, Herr Hauptmann. Pana wkład zostanie doceniony - oznajmił z wymuszoną grzecznością von Turen. - Dziękuję panu za pomoc, może pan odejść. - Co tak naprawdę znaczyło: „Niech się pan stąd wynosi, natychmiast”. - Jeśli będę pana jeszcze potrzebował, skontaktuję się z panem.

Dieter tylko stuknął obcasami, zasalutował i wyszedł. Przez myśl mu nie przeszło, żeby zakończyć dochodzenie.

•

Pełen pytań maszerował po Leipziger Strasse, ledwie zauważając kroczące samym środkiem ulicy bojowe maszyny PzK S. Srebrnoszare kolosy mijały go ze szczękiem przekładni i warczeniem silników, ale on przesuwiał po nich obojętnym wzrokiem. Jeszcze rok temu stałby oniemiały, na równi z podziwu i strachu, ale od bitwy pod



Carycynem wiele się zmieniło. Maszyny kroczące, następcy czołgów, stanowiły zaledwie czubek góry lodowej postępu. Na samą myśl Dieter bezwiednie uniósł głowę.

Nawet teraz, w dzień, na horyzoncie widać było czerwoną lunę rozchodzącą się od szczytu Zegara Fannsbacha. Miejscami emanację Eskalacji przesłaniał dym unoszący się z kominów fabryk Nowego Typu, które jak grzyby po deszczu wyrastały nie tylko w Berlinie, ale w całych Niemczech. Smog i nienaturalne światło zastąpiły czyste i znajome niebo.

Prawdę mówiąc, Veller bał się potencjału, jaki niosła ze sobą Eskalacja. Tak, wiedział, że dzięki nowemu źródłu energii Rzesza pokonuje wrogów na wszystkich frontach, że dzięki vimanom Luftwaffe rządzi w powietrzu, a Kriegsmarine na morzach. Ale cała ta technologia przyszłości go przytłaczała, czuł się malutki i niepotrzebny, a nader wszystko... zagrożony

Przyspieszył kroku i gdy nikt nie patrzył, odbił w wąską uliczkę, kończącą się po kilkunastu metrach małym placikiem, ze wszystkich stron otoczonym ścianami kamienia. Na środku rosło kilka karłowatych drzewek, teraz usychających od wszechobecných zanieczyszczeń. W ich cieniu stała ławeczka.

- Ojcie. - Veller skłonił się pobożnie przed siedzącym na niej księdzem. - Jak to robisz, że jesteś tu za każdym razem, kiedy akurat potrzebuję twojej pomocy?

Kapłan na ławeczce miał około pięćdziesięciu lat. Kiedy podniósł głowę, w jego oczach zagościły figlarne ogniki, a usta drgnęły w powstrzymanym uśmiechu.

- Może powinienes sobie zadać pytanie, dlaczego

zawsze potrzebujesz pomocy, kiedy akurat tu jestem? -  
Dopiero teraz się uśmiechnął. Veller zaśmiał się.

- Gdybym cię nie znał, powiedziałbym, że twoja zagadkowość pasuje raczej do templariusza niżli do rzymskokatolickiego księdza.

Veller bez zaproszenia usadowił się na ławce.

- Dobrze więc, że mnie znasz, mmm? - Tym razem ksiądz nie powstrzymał chichotu.

- Humor ci dopisuje, ojczec. To dobrze, zważywszy na okoliczności. Jak się miewają bracia? Co z... naturą? - zapytał ostrożnie.

- Umiera - westchnął kapłan i cała radość go opuściła.  
- Każdy dzień to zwycięstwo technologii nad przyrodą. Jeśli tak dalej pójdzie... - urwał. - Ta wojna musi się jak najprędzej skończyć, bez względu na wynik.

Veller wiedział, że ojciec jest żarliwym patriotą i całym sercem życzy zwycięstwa Rzeszy. Niemniej to Vaterland był częścią natury, nie odwrotnie. Veller wiedział, co ojciec by poświęcił, gdyby miał wybierać.

- Twoje słowa balansują na granicy dobrego smaku, Klemt. - Po raz pierwszy od początku spotkania Dieter zwrócił się do kapłana po nazwisku. - Masz szczęście, że mój słuch nie jest najlepszy.

Na działalność księdza i jego współpracowników Veller przemyślał oko od początku wojny. Nie robili w zasadzie nic, co szkodziłoby dobru Rzeszy, ale ich graniczące z pogaństwem praktyki mogłyby zwrócić uwagę Abwehry, która wykorzystałaby każdą sposobność, żeby zadać cios Kościołowi.

- Zaiste, w takim razie obaj mamy szczęście - odpowiedział pojednawczo ojciec Klemt.

Miał rację. Veller, podobnie jak ksiądz, należał do wyznawców filozofii natury. Wierzył w Gaję, matkę całego życia. Nie jako istotę, ale zestaw nieprzemijalnych praw i zasad, którymi rządził się świat. Tak jak Klemt, z rosnącym niepokojem przyglądał się budowie Zegara Fannsbacha i kolejnych fabryk, i tak jak on bał się stalowego świtu.

- Jak ona się czuje? - zapytał nagle kapłan.

Veller przełknął ślinę. Starał się o niej nie myśleć. Zakopał się w pracy, wykorzystywał każdą wymówkę, żeby wyrwać się z domu.

- Jest słaba - wykrztusił. - Mówi, że czuje się lepiej, ale... Lekarze twierdzą, że to nie potrwa długo.

Kapłan uśmiechnął się smutno.

- Pamiętam, jak za nią chodziłeś. Nie mogłeś oderwać od niej wzroku.

- Tak. Nadal nie mogę - skłamał.

Szara ospa obróciła piękność Amelii w ruinę. Włosy wypadły, część twarz pokrywały bąble i jątrzące się ropnie, z pozostałej części zeszła skóra. Straciła większość zębów i paznokci. Nie mógł na nią patrzeć, nie mógł z nią rozmawiać. Kiedy tylko ją widział, kiedy czuł zapach środków dezynfekujących, zbierało mu się na wymioty. Pytała go, czy wciąż ją kocha, a on milczał. Prosiła go, żeby przy niej siedział, ale on się wykręcał i uciekał. Wiedział, że łamie jej serce.

- Będę się za nią modlił.

- Dziękuję, ojcze.

Kapitan odpedził od siebie myśli o chorobie żony. Nie mógł sobie pozwolić na rozproszenie uwagi. Nie chciał sobie na to pozwolić.

- A teraz powiedz - kontynuował ksiądz - co możemy dla ciebie zrobić.

Kapłan miał na myśli Zielony Krąg, heretycką sektę wyznawców Gai.

- Muszę odszukać mężczyznę. - Dieter sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza. - Mężczyznę, który trzymał to w rękę.

Wyjął poplamiony tomik, *Timaios* i *Kritias*. Wątpił, żeby agent Abwehry zauważył jego zniknięcie. Kapłan wziął książkę w dłonie.

- Ach, Platon. Filozof?

- Zabójca.

- Czasem to niewielka różnica. - Ojciec Klemt spojrział raz jeszcze na sfatygowaną okładkę. - Odpowiedzi otrzymasz wieczorem.

Wstał.

Od kiedy Veller pamiętał, ich układ zawsze działał tak samo. On zapewniał Kręgowi bezpieczeństwo, oni służyli mu swoimi... ekspertyzami. Przynajmniej wolał myśleć o tym jako o ekspertyzach. Ich tajemnicze i mistyczne ścieżki pozostawały dla niego niedostępne. Ale nie liczyły się jego przekonania ani wiara czy niewiara w metody Kręgu. Liczyły się efekty.

Wieczorem otrzymał adres. Tylko adres. Powinien dostać imię i nazwisko.

- Ten człowiek jest bezimienny. Albo martwy - usłyszał w odpowiedzi na swoje niewypowiedziane pytanie.

Krąg nigdy wcześniej nie zawiódł go tak bardzo. A może morderca wcale nie dotykał tomiku, może zrobił to jedynie Brussel, tuż przed śmiercią? Prawda, dostał adres, mieszkanie profesorskie na Uniwersytecie Technicznym. Nie musiał sprawdzać, wiedział, że należało do Wilhelma Lowelthala, poprzedniej ofiary SS-Mördera.

- Czemu tam?
- Tam prowadzą kroki właściciela książki.

Po tych słowach wysłannik pogan, który dostarczył mu informację, odszedł. Dieter stał jeszcze przez chwilę w bezruchu, głęboko zamyślony. Brussel i Lowelthal na pewno się znali. Może adres do czegoś się przyda.

•

W mieszkaniu profesora unosił się nieprzyjemny zapach detergentów. Po krwi i napisach na ścianach nie zostało ani śladu. Dieter nie wiedział, czy to Kripo, Abwehra czy może pedantyczna asystentka Lowelthala się o to postarała. Pech, niewiele tu znajdzie.

- Może mi pani powiedzieć o nim coś więcej? - zapytał zmieszaną asystentkę. To ona opiekowała się mieszkaniem, była też pierwsza na osobistej liście przesłuchań Vellera i, jeśli mu się poszczęści, ostatnia. - Cokolwiek?

- Profesor był... skryty. Stronił od ludzi. Wolał swoją pracę. - Kobieta ważyła każde słowo, jakby układała karcianą piramidę. - Ona go... pochłaniała.

- Jaką pracę? - Veller poderwał się z miejsca i zaczął przechadzać się wzdłuż regałów.

- Wykłady, praca naukowa. - To nie było w najmniejszym stopniu pomocne.

- To wszystko jego? - Dieter wskazał na półki wypełnione skomplikowanymi modelami silników, zwojnic, tranzystorów i Bóg jeden wie, czego jeszcze. Asystentka kiwnęła głową. - Książki też? - Veller podszedł do małej szafki z książkami.

- Są ustawione alfabetycznie. Profesor dbał o swoje zbiory - powiedziała z dumą w głosie.

- Widzę. Te mosiężne figury do segregowania... - Veller zmrużył oczy. - Czy ktoś tu był? To znaczy - poprawił się szybko - czy ktoś odwiedzał gabinet po wizycie policji?

- Nie.

Zabójstwa Lowelthala i Brussela dzieliły tylko dwa tygodnie, znacznie mniej niż wszystkie poprzednie. SS-Mörder nabierał rozpędu. To mogło go zgubić.

- Wszystko było zamknięte, z rzeczami czekamy na jej córkę. Praca nie pozwala jej przyjechać do Berlina w najbliższym czasie - powiedziała kobieta z takim wyrzutem, jakby winiła ją za śmierć profesora.

Veller nie miał czasu ani ochoty zagłębiać się w relacje między Lowenthalem, jego asystentką i jego córką. Zwłaszcza że odnalazł to, czego szukał.

- Tu brakuje książki.

- Słucham? - zapytała zdziwiona.

- Przerwa pomiędzy woluminami. Tu stała jeszcze jedna księga. - Wnioskując po sąsiednich pozycjach, autor musiał być na literę P. Jak Platon. - Czy była tu, kiedy ktoś przyszedł... - Dieter zastanawiał się nad doborem właściwych słów - ...posprzątać?

Po minie asystentki poznał, że nie trafił.

- Nie... nie jestem pewna.

- Odświeżę pani pamięć. Czy widziała pani u profesora tę książkę? - Veller podał asystentce *Timaios* i *Kritiasa*.

Początkowe zaskoczenie, jakie dostrzegł w jej oczach, ustąpiło pewności.

- Tak! Pamiętam, profesor często trzymał ją... - Kobieta przyjrzała się bliżej. - Nie. To nie ta.

- Nie? - zapytał Dieter, uśmiechając się szeroko. - Przed chwilą była pani przekonana, że jednak ją widziała.

Asystentka zaczerwieniła się.

- Miałam na myśli, że to nie ten sam egzemplarz. Ta sama książka, ale nie ten sam egzemplarz, rozumie pan? Ta ma bardziej zniszczoną okładkę. Niech się pan tak nie dziwi, kapitanie, tę książkę pamiętam dokładnie; jak mówiłam, profesor trzymał ją często na nocnym stoliku. O, tam - wskazała na pusty stół przy wezglowiu łóżka.

Co to wszystko oznaczało? Czemu SS-Mörder miałby ją zabrać? Czemu nie zabrał obu?

- Czy mogę zapytać, skąd pan ma swój egzemplarz? - zagadnęła nieśmiało asystentka, wytrącając Dietera z zamyślenia.

- A czemu pani pyta? - zripostował. Kripo nie musiało się tłumaczyć ze swoich poczynań.

- Z ciekawości, tylko z ciekawości - wycofała się szybko. Chyba się go bała. Niepotrzebnie. Dieter Veller nigdy nie skrzywdził kobiety. Przynajmniej nie w taki sposób, jak myślała. - To bardzo cenna książka - dodała po chwili przerwy. - Pierwsze wydanie, tak przynajmniej mówił profesor.

- Rzeczywiście. Pierwsze. - Veller zastanowił się chwilę. - Nie wie pani, ile mogli ich wtedy wydrukować?

- Nie mam bladego pojęcia.

Ale ktoś miał. Książka była jedynym tropem. Dieter musiał nim podążać, nie widział innego wyjścia. Dopóki widział przed sobą cel, nie mógł zbłądzić. Prawda objawia

się sama, głosiło stare powiedzenie pogan. Ty musisz tylko znaleźć się we właściwym miejscu i czasie, żeby ją poznać.

- Dziękuję za udzieloną pomoc. Do widzenia. - Veller ruszył do drzwi, ale zatrzymał się w progu, jakby coś sobie przypomniał. - Czy profesor miewał gości? Czy znał Hansa Brussela?

Pytania były rutynowe, właściwie niepotrzebne. Znów wyłączył z niego przywiązany do protokołu oficer Kripo.

- Brussel? Wysoki szatyn? - zapytała niepewnie.

- Zgadza się... - powiedział powoli Veller, odwracając się. - Bywał u profesora?

- Tak, chyba że mówimy o innym Brusselu. - Starła się zażartować, ale nie bardzo jej to wyszło. Dieter zmusił się do uśmiechu. - Przychodził na kawę, nie wiem, skąd się znali.

Veller zastanowił się chwilę, po czym opisał jej wszystkie poprzednie ofiary. Lowelthal znał większość z nich. To był ten związek. Ofiary po prostu się znały. Jak mogli to przeoczyć? Śledczy Kripo zmieniali się jak rękawiczki, ale Abwehra? Oni powinni byli do tego dojść. Dieterowi serce zabiło mocniej. Może doszli? Może nie musieli dochodzić? Czyżby zmiany oficerów przydzielonych do sprawy służyły tylko i wyłącznie zatarciu śladów? Dokąd właściwie oddelegowano poprzednich śledczych?

- Może się pan czegoś napije? Wygląda pan jakoś blade.

Veller otrząsnął się z zadumy.

- Nie, wszystko w porządku. Czy pamięta pani, z kim ostatnio przed śmiercią widział się Lowelthal?

Asystentka zmarszczyła czoło, jakby starała się sobie przypomnieć.



- Freiheoing. Gustav Freiheoing powiedziała wreszcie.

•

Zamknięte.

Swoim dobijaniem się Veller zbudziłby nawet nieboszczyka. Albo więc nikogo nie było, albo - cóż - również nikogo nie było, ale w zupełnie innym sensie. Wolał nie ryzykować. Sięgnął do kieszeni i wydobyl malutki srebrny cylinder. Węższą końcówkę precyzyjnie wycelował w zamek i ścisnął.

Broń termostrugowa była bezgłośna, a śmiercionośne promienie, jakie emitowała - niedostrzegalne gołym okiem. Ich efekty wręcz przeciwnie. Zamek zaczął syczeć, a po chwili roztopił się zupełnie w kłębach pary.

Mikropistolet był nieporęczny w użyciu. Powinni go zaprojektować jakoś inaczej, pomyślał Veller. Może należałoby go nosić na przegubie, jak zegarek?

Kręcąc głową, schował broń do kieszeni, pchnął delikatnie drzwi i powoli wszedł do środka. Było późno, kiedy odwiedzał mieszkanie Lowelthala, teraz... teraz było wcześniej. Mrok rozjaśniała jedynie wpadająca przez okna księżycowa poświata, zmieszana z czerwoną luną Eskalacji. Kula energii unosząca się nad Zegarem Fannsbacha z dnia na dzień rosła, niedługo całkowicie przesłoni niebo. W karmazynowym blasku pokój wyglądał niczym przedświecie piekieł. Groteskowe posążki na szafkach i obsceniczne obrazy na ścianach świadczyły o wysublimowanych gustach ich właściciela.

- Godzina wilka - usłyszał zza pleców męski głos, cichy, ale wyraźny i jakby śliski. Chciał się obrócić, ale

poczuł na plecach ucisk zimnej stali. - Proszę nie próbować żadnych sztuczek, kapitanie. Żadna z nich nie przejdzie. - Głos wydawał się rozbawiony.

- Freiheing? - zapytał Veller bez nadziei.

- Nie - szepnął głos tuż nad uchem Dietera. - Pudło.

Veller zamilkł, zbierając myśli.

- Aczkolwiek i tak jestem pod wrażeniem. Zawędrowałeś daleko od komisariatu, kapitanie, bardzo daleko - wyręczył go nieznajomy. Głos był prawie niesłyszalny, ale przecinał powietrze niczym świst pocisku. - Dalej niż którykolwiek z twoich poprzedników.

Te słowa tylko utwierdziły Vellera w podejrzaniach. Nieuchwytny SS-Mörder wreszcie się ujawnił.

- Poprzedników? - zapytał z udawanym niedowierzaniem Dieter, grając na zwłokę, dając czas pędzącym myślom na znalezienie jakiegoś rozwiązania. - Co masz na myśli?

Głos zaśmiał się drwiąco w odpowiedzi.

- Masz mnie za prostaczka, kapitanie? Nie, nie sędzę.

- Veller usłyszał szcęk odbezpieczanego kurka rewolweru. Koniec był bliski. - Książki. Twoja przenikliwość mnie zdumiewa. - Ucisk na plecach zniknął, widocznie napastnik się odsunął, gotowy do strzału. - Następny jest baron Klaus von Braun.

- Następny? - Kolejna ofiara na liście. - Po co mi to mówisz... morderco? - Veller nie wytrzymał, jakiś impuls kazał mu rzucić wyzwanie nieznajomemu. Zresztą co miał do stracenia?

- Jestem tylko sługą - odparł spokojnie głos, rozchodząc się po pokoju z niezwykłą czystością.

- Sługa? - zapytał autentycznie zbity z tropu Dieter. -  
Czym? - Odpowiedziała mu tylko cisza, przerywana miarowym człapaniem metalowych łąp PzK S, postukujących o bruk kilka ulic dalej. - Czym? - powtórzył.

Nie słysząc odpowiedzi, odwrócił się powoli. Był sam.  
Zupełnie sam.

•

Powoli świtało.

Zawsze, kiedy trawiły go wątpliwości, ukojenie przynosiła mu przechadzka po Tiergarten, ale teraz park został zrównany z ziemią. Jego miejsce zajął port powietrzny - największe lądowisko wimánów i sterowców zaopatrzeniowych we wschodnich Niemczech.

Nawet w tej chwili jeden z tych olbrzymów, neuzeppelein rozmiarów hali produkcyjnej, przy którym „Hindenburg” wydawałby się karłem, wzbijał się majestatycznie w powietrze. Jego silniki, fuzja staromodnych, napędzanych gazem Blaua i nowoczesnych komór w-grawitacyjnych, wydawały straszliwy huk, słyszalny nawet trzysta metrów dalej, w miejscu, które Veller obrał za punkt obserwacyjny.

Spóźnił się, Freiheing nie żył. Morderca nie zdążył przyozdobić ścian jego posoką, ale był to jedyny sukces Dietera. Nie zabrał też dzieła Platona, które stało spokojnie na półce, ale to akurat Vellera nie zdziwiło. Doszedł do wniosku, że to Abwehra zabierała książki, nie SS-Mörder. Ale w jakim celu?

Jaką grę prowadził sam SS-Mörder? Jego motywy pozostawały dla Vellera nieprzeniknione; im więcej się

nad nimi zastanawiał, tym bardziej czuł się zagubiony. Czy morderca chciał odwrócić uwagę Kripo? Ale dlaczego zostawił go przy życiu?

I ta przeklęta książka. Tym razem o numerach 39 i 47. To samo drobne pismo. Trzydzieści dziewięć na czterdzieści siedem? Może istnieje czterdzieści siedem egzemplarzy. Ale kto je ponumerował - SS-Mörder czy ktoś inny, wspólny znajomy wszystkich denatów? Jeśli to ofiary, czemu morderca zaczął je numerować od środka? A może było więcej ofiar, tylko on nic o tym nie wiedział?

Czemu właśnie ta książka? Platon. Czemu? Veller przejrzał kilkakrotnie każdy egzemplarz, ale nie znalazł nic niezwykłego.

Zamknął zmęczone oczy i pokręcił głową. W ten sposób do niczego nie dojdzie. Mógł zgadywać cały ranek, ale wciąż pozostawał ten sam problem. Działać czy biernie czekać? Iść z tym do Abwehry i Heinricha von Turena czy dalej prowadzić śledztwo na własną rękę? Widział już pęknięcia na tafli lodu, po której stąpał. Czuł, że jego szyję oplata niewidoczna pętla, która we właściwym momencie zaciśnie się i jeśli nie skręci mu od razu karku, to na pewno utrzyma uścisk dostatecznie długo, żeby go zadusić.

- Przemysłne metafory nie rozwiążą moich kłopotów - upomniał sam siebie. Niewidoczna pętla? Kiedyś coś takiego nie przyszłoby mu do głowy, ale wtedy nie znał ojca Klemta. Z zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że książd miał na niego większy wpływ, niż chciałby przyznać.

I tak już popełnił przestępstwo. Był na miejscu zbrodni i nie zgłosił tego na komisariacie. Przeszukał mieszkanie denata bez nakazu, zataił informacje.

- Niczym tragiczny bohater widzę swój kres, ale ta sama cecha, która pozwala mi go dostrzec, każe mi zlekceważyć ostrzeżenie.

Zwiadowczy viman z hukiem przeciął niebo tuż nad głową Dietera. Kapitan o mało nie stracił równowagi i nie spadł z wąskiego gzymsu, na którym się usadowił. Aeroplan przeleciał jeszcze kilkaset metrów i w nienaturalny sposób, zaprzeczający prawom fizyki, zatrzymał się gwałtownie w powietrzu, gotów do pionowego lądowania. Pewnego dnia całe niebo pokryją te mechaniczne okropieństwa. Nie ma ucieżki od postępu, jedyna droga prowadzi do przodu, przypomniał sobie słowa ojca Klemta.

Powiedział to tamtego dnia, prawda?

To było jeszcze przed wojną. Veller został właśnie mianowany kapitanem Kripo. Tego samego wieczoru u jego drzwi pojawił się ojciec Klemt. Veller znał go od wielu lat, kapłan nauczał katechizmu w sierocińcu, w którym Dieter się wychował.

- Wiem, że zaniedbałem niedzielne msze - zaczął, ale ojciec Klemt machnął ręką z uśmiechem.

- Niektórzy chodzą odwiedzić Boga w jego domu, inni noszą go cały czas w sercu. Doszły mnie słuchy o twojej błyskawicznej karierze. Chciałem ci pogratulować. Cieszę się, że ci się udało. Byłeś najbystrzejszym dzieckiem u Świętego Benedykta. Zawsze ciekawy świata.

- Zawsze lubiłem wiedzieć, co kryje się za kolejną zasłoną - przyznał Veller.

- Z tego, co pamiętam, byłeś bardziej zainteresowany tym, co kryło się pod spódnicami koleżanek - zachichotał ksiądz.

Veller wybuchnął śmiechem.

- W tym tonie chciałbym cię zaprosić do opery - podjął ojciec Klemt. - Zasłużyłeś na chwilę odpoczynku. Mówią mi, że strasznie się zapracowujesz.

- Kto mówi?

- Ludzie. - Ksiądz mrugnął porozumiewawczo. - To jak?

- Myślałeś o czymś konkretnym?

- Tak. *Upiór w Operze*.

Veller nie chodził do opery, był raczej domatorem ślęczącym całe wieczory nad książkami, ale tym razem dał się skusić.

Tam ją poznał. Amelia grała Christine i już podczas pierwszego aktu skradła mu serce. Rzeczywiście nie mógł od niej oderwać wzroku. Każda linia jej twarzy tak perfekcyjna. Złociste loki opadające w dół niczym spadające gwiazdy. I te oczy, piękne i łagodne, a zarazem tak pełne siły.

Kiedy za namową ojca Klemta zagadnął ją po spektaklu, nie przeszłoby mu przez myśl, że pobiorą się jeszcze tej samej zimy. Amelia zawsze go wspierała we wszystkim, co sobie postanowił. On odwzajemniał się jej tym samym. Do czasu.

Wspomnienia szczęścia z każdym dniem bolały go bardziej.

Otrzeptał spodnie i ruszył ku metalowej drabinie prowadzącej na ulicę. Będzie działał. Chociaż to może być fałszywy trop, nawet pułapka zastawiona na niego albo na Zielony Krąg, będzie działał. Ostrożnie.

•

Nie mógł się pozbyć wrażenia, że wkracza do zupełnie innego świata. Posiadłość von Brauna znajdowała się na

peryferiach Berlina, ale każdy, kto postawił stopę na jej terenie, przysięgłby, że pokonał nie tylko kilka kilometrów, ale i kilkaset lat. Barokowy pałacyk wyrastający jakby spod ziemi na końcu krętej ścieżki potęgował to dziwne uczucie. Ornamenty zdobiące zewnętrzne ściany chyba były niedawno restaurowane, bo Veller nie znalazł na nich ani jednej szczeliny i ani jednego pęknięcia, a na zacienionych ścianach nie dostrzegł nawet kępki mchu. Pałacyk wydawał się sterylny. Veller wzdrygnął się na samą myśl i czym prędzej ruszył do drzwi frontowych.

- W czym mogę pomóc? - zapytał ciepłym, zachęcającym głosem lokaj, który mu otworzył.

- Kapitan Dieter Veller, chciałbym się zobaczyć z baronem Klausem von Braunem.

- Kapitan?

Nutka niepewności w głosie służącego kazała Vellerowi szybko dodać:

- To sprawa prywatna, jestem po służbie.

- Ach, rozumiem. - Lokaj wyraźnie się uspokoił. Miał być bardzo przywiązany do pracodawcy. - Sprawdzę, czy baron pana przyjmie.

Dieter skinął powoli głową. Poczekaj.

Lokaj wprowadził go do obszernego, dobrze oświetlonego holu. Sufit znajdował się tu niebotycznie wysoko, na ścianach wisiały olbrzymie lustra, dzięki którym pokój wydawał się jeszcze większy. Veller, pozostawiony sam sobie, przechadzał się niespokojnie z kąta w kąt. Atmosfera pałacyku, choć pozornie ciepła i zapraszająca, zaczynała go przytłaczać i wpędzać w stan przygnębienia. Gdzie tylko spojrzął, tuziny identycznych Dieterów odpowiadały mu zmęczonym, udręczonym spojrzeniem.

W co się wpakował? Motywy, które skierowały go do posiadłości von Brauna, nagle straciły sens, zastąpione przez przecucie zagrożenia.

Pułapka.

To była pułapka, ktoś widocznie dowiedział się o jego powiązaniach z Zielonym Kręgiem. Veller odwrócił się, gotów do wyjścia.

- Pan już wychodzi, Herr Veller? - Usłyszał tubalny głos dochodzący od schodów.

Dieter obrócił się powoli na pięcie.

- Sprzykrzyło mi się czekanie - odparł bezczelnie, mąskując zdenerwowanie. - Myślałem, że przejdę się po ogrodzie.

- Nic specjalnego, zapewniam pana, kapitanie - uśmiechnął się rozmówca. Schludny, elegancki garnitur, który miał na sobie, wskazywał na zamożność. - Może lepiej przejdźmy do salonu?

- Jeśli panu to nie przeszkadza, baronie, wołałbym porozmawiać w bibliotece. Zapach historii zawsze wpływa na mnie kojąco. Macie tu bibliotekę, prawda?

Uśmiech opuścił twarz von Brauna. Veller wymierzył mu policzek nie raz, a dwa razy w ciągu minuty.

- Ależ oczywiście. Proszę za mną.

Po drodze, kiedy mijali kolejne bogato urządzone, ale wyglądające na nieużywane pokoje, Dieter zastanawiał się, czemu od pierwszej chwili zapałał do barona taką niechęcią. Na pewno nie pomoże mu to w śledztwie, a baron mógł mieć wysoko postawionych przyjaciół. Wiadomość o jego wizycie na pewno dotrze do Abwehry.

- Jesteśmy - powiedział von Braun, otwierając solidne



dwuskrzydłowe drzwi. Za nimi znajdowała się biblioteka... i to nie byle jaka biblioteka! Zawierała co najmniej kilkanaście tysięcy woluminów.

- Pokażne zbiory - rzucił Veller, ruszając do pierwszego z regałów. - Jestem pod wrażeniem.

- Wybacz pan moją bezpośredniość, kapitanie, ale czemu zawdzięczam tę wizytę?

- Och, proszę się tym nie przejmować, przywykłem do konkretnych ludzi. - Mówiąc to, Dieter nie przestawał krążyć pomiędzy półkami. - Mielśmy anonimowy donos, że grozi panu niebezpieczeństwo. - Nie mógł powiedzieć prawdy, nikt by mu nie uwierzył, a sam pewnie szybko znalazłby się na liście podejrzanych. - Nie przykładamy do tego wielkiej wagi, ale jak pan wie, Kripo jest bardzo skrupulatne.

- Rozumiem. Czyli przybył pan mnie ostrzec? - Baron nie wydawał się przejęty.

- Po części. Ponoć ma pan być następną ofiarą SS-Mördera. - Veller obrócił się na tyle szybko, żeby dostrzec błysk przerażenia w oczach von Brauna. - Ale to mało wiarygodna informacja. Lubi pan filozofów?

- Słucham? Co to ma wspólnego z...

- Nic, nic. Pytam z ciekawości. Widzę tu wiele wybitnych dzieł... może miał pan okazję czytać Platona? *Timaios* i *Kritias* dla przykładu?

- Nie - odparł baron szybko, zbyt szybko. - Nie miałem przyjemności. Chociaż nadal nie wiem, co to ma wspólnego z zagrożeniem wiszącym nad moim życiem.

Von Braun wydawał się przerażony. I zaskoczony.

- Hipotetycznym zagrożeniem. Proszę nie przywiązywać do niego wielkiej wagi. Po prostu chcemy wszystko

solidnie sprawdzić. Czy jest powód, dla którego SS-Mörder chciałby pana śmierci? Czy otrzymywał pan ostatnio listy z pogrózkami? Naraził się pan komuś? - Veller mówił to tak lekko, jakby czytał listę zakupów.

- Nie!

- Więc nie ma się pan czym martwić. Ale jeśli coś by się panu przypomniało, proszę zadzwonić na komisariat Kripo i prosić o kapitana Vellera.

- To wszystko?! Przyjechał pan tylko po to?!

- Jak mówiłem, nie dajemy zbytnej wiary tym informacjom. Jeśli pan chce, Kripo przydzieli panu ochronę, ale...

- Nie, nie - odparł prędko baron.

- Rozumiem. Kłaniam się więc i żegnam. A, byłbym zapomniał - rzucił w drzwiach. - Znał pan Gustava Freiheoinga? Wilhelma Lowelthala? Hansa Brussela?

- Nie. Czemu pan pyta?

- To poprzednie ofiary. Myślałem, że warto zapytać.

- Ale... aha. Rozumiem. - Von Braun wyjrzał na usychający ogród otaczający pałacyk. - Widzę, że pana taksówka odjechała. Proszę poczekać, zawołam Hansa, on pana odwiezie.

- Bardzo dziękuję, byłbym zobowiązany.

•

Veller nie kazał taksówkarzowi czekać i teraz mógł zamienić niezobowiązujące słowo ze służącym barona. A było o czym rozmawiać - von Braun z pewnością coś ukrywał, chociażby fakt posiadania *Timaiosa* i *Kritiasa*. Kto wie, co uda się wyciągnąć od młodego sługi? Dobrze,

że baron nie wysłał z nim tego lokaja starucha, tamten prędzej by skonał, niż powiedział złe słowo o panu.

- Jak się nazywasz, młody człowieku? - zagadnął Veller, wyglądając przez szybę. Nie przypuszczał, że będzie wracał o tej porze. Było całkowicie ciemno.

- Hans.

- Hans. Długo pracujesz u barona?

- Trochę.

- Niezbyt z ciebie rozmowny człowiek, co, Hans? - Dieter znów wyjrzał przez szybę. Teraz widział już światła Berlina... po lewej stronie. - Hans, jesteś pewien, że to dobra droga?

- Tak.

Coś w głosie kierowcy kazało Vellerowi sięgnąć do kieszeni, do pistoletu termostrugowego.

- Aha. Czemu zwalniamy?

- Coś leży na drodze.

Dieter nie widział, co zagrodziło im drogę, zresztą szczerze wątpił, żeby cokolwiek tam leżało.

Hans błyskawicznie wydobyl pistolet. Zdążył wykonać pół obrotu, zanim strumień ciepła przepalił mu klatkę piersiową. Broń wypadła z bezwładnej ręki i poturlała się po podłodze. Powietrze wypełnił zapach spalonego mięsa.

- Och, Hans, powinieneś był iść z duchem czasu - westchnął Veller, spoglądając na swój mikroskopijny pistolet, którego nie musiał nawet wyciągać z kieszeni. - Co prawda będę musiał kupić nowy płaszcz, ale...

Urwał w pół zdania. Coś chwyciło go za szyję i ścisnęło. Stęknął. Poczul, że wokół jego głowy zaciska się stalowa pętla. Wyciągnął rękę, chcąc złapać napastnika... ale

nic nie znalazł. Zupełnie nic. Charcząc, usiłował otworzyć drzwi samochodu, ale niewidzialna siła przyszpiliła go do siedzenia. W panice nacisnął spust.

Na twarzy poczuł podmuch ciepłego powietrza. O mało nie spopielił własnej głowy. Uścisk zelżał. Veller dopiero w tej chwili dostrzegł wici powiewające w powietrzu, niczym pojedyncze sploty babiego lata. Wici, które wysuwały się z szeroko rozwartych ust Hansa.

Dieter skoczył do drzwi. Tym razem nic go nie powstrzymało. Wypadł na zewnątrz, przetoczył się po ziemi, odwrócił się i wystrzelił. Celował w bak paliwa. Lodowaty ogień przedostał się przez karoserię niczym przez zasłone z trzciny i dotarł do znajdującej się wewnątrz benzyny. Nastąpił zapłon.

Samochód eksplodował. Przez chwilę w chmurze dymu i ognia Veller widział rozczapierzoną istotę, krzyżówkę meduzy i pająka, ale obraz szybko rozmył się w kolaż czerni i czerwieni.

- Słodka Matko. - Dieter wzdrygnął się i przelknął ślinę.

Podniósł się powoli. Wokół niego o ziemię uderzały płonące fragmenty karoserii.

Wszystko było nie tak. SS-Mörder, Abwehra, baron, Veller nie chciał nawet myśleć o tym czymś w samochodzie. W co on najlepszego wdepnął?

Przesunął spojrzenie w górę i na prawo, na widoczny ponad koronami drzew zarys pałacyku von Brauna. Nie zajechali zbyt daleko, Hans widocznie kluczył po okolicy.

Czas złożyć baronowi powtórna wizytę.

•

Było już grubo po północy, kiedy Veller przekradał się przez ogród otaczający pałacyk. Nieprzyjemne wrażenie, które odniósł podczas swojej pierwszej wizyty, teraz jeszcze się nasiliło. Krzewy dygotały, chociaż noc była całkowicie bezwietrzna. Gdy przyjrzał się im z bliska, dostrzegł srebrnoszary pył, pokrywający liście, łodygi i grunt dookoła. Zebrał chusteczką odrobinę osadu i schował do kieszeni. Może baron prowadził nielegalną fabrykę materiałów wybuchowych? Zajmie się tym później.

Kuchenne drzwi ustąpiły równie łatwo, jak te w mieszkaniu Freiheoinga. Veller wślizgnął się niepostrzeżenie do środka i ruszył na piętro. Całkiem dobrze sobie radził, chyba marnował się na obecnym stanowisku. Wyłączywszy starego lokaja i Hansa, baron mieszkał sam, bo po drodze Veller nie natknął się na żywą duszę.

- ...tak, ale to już nie problem. Tak! - Dobiegło z jedynego pomieszczenia, w którym paliło się światło. Głos należał do von Brauna. Baron rozmawiał przez telefon. - Na bogów, wysłałem z nim jednego z tych twoich pomocników, kiedy wróci, będziesz mógł go sam przepytac. Martwię się raczej tym szaleńcem w masce.

W masce? Najwyraźniej Klaus von Braun wiedział o SS-Mörderze więcej niż on. Ci ludzie zdawali sobie sprawę z zagrożenia, jakie nad nimi wisało, może nawet znali tożsamość mordercy - a jednak trzymali te informacje w tajemnicy. Czemu?

Veller zatrzymał się przed drzwiami pokoju i przywarł do ściany. Na konfrontację przyjdzie jeszcze czas, teraz warto posłuchać.

- Jestem spokojny! Po prostu irytuje mnie, że przy

całej waszej potędze nie umiecie sobie poradzić z jednym...

Nagle von Braun urwał. Dieter sprężył się, gotowy wtargnąć do pokoju, ale baron wymamrotał:

- To wy. Ty. Nie kiwniecie nawet palcem. Jego wybryki są wam na rękę. Straciliśmy dla was użyteczność.

- Witaj, baronie - powiedział ktoś cichym, ale stanowczym głosem.

Śluchawka ze stukiem uderzyła o ziemię. SS-Mörder.

- Rudolf, posłuchaj mnie, oni się tobą wysługują - wybelkotał przerażony von Braun.

- Jestem sługą pana, który nie ma twarzy, baronie. Twój mocodawcy dawno temu stracili nade mną wszelką władzę.

Veller usłyszał dźwięk odprowadzanego kurka rewolweru. To było dla niego sygnałem. Z pistoletem termostrugowym w ręce wpadł do pokoju barona. Był to przestronny gabinet z niewielkim biurkiem przy ścianie, z której zwisał gobelin ze swastyką. Przed biurkiem kulił się baron von Braun. Przy oknie, przy zamkniętym oknie, musiał się poprawić w myślach, stał mężczyzna w masce.

- Kapitanie! - zaskomlił baron. - To morderca, SS-Mörder! Niech pan strzela!

- Byłem na tyle niegrzeczny, że podsłuchałem pana rozmowę, von Braun.

Baron jakby oklapł.

SS-Mörder postąpił krok do przodu. Jego czarną, matową maskę zdobiły jedynie dwa zygzaki. Pioruny SS wyłożone w samym materiale, z którego została wykonana. Jeśli miała jakieś szpary czy dziurki na oczy, Veller ich nie widział.

- Co nie oznacza, że pozwolę ci go zamordować. - Veller wymierzył w SS-Mördera i kiwnął na von Brauna.

- W takim razie mamy impas - powiedział z nutką rozbawienia w głosie mężczyzna w masce.

- Bynajmniej. Poinformowałem o wszystkim Kripo. Musimy tylko zaczekać - odparł spokojnie Veller, chociaż nic takiego nie zrobił.

- Na szczęście nie wydaje się pan na tyle głupi, kapitanie. Myślę, że inni dotarliby tu wcześniej i zupełnie nie byliby zainteresowani tym, co ma pan do powiedzenia.

- Dobrze. Zaczniemy inaczej. - Veller starał się nie spuszczać żadnego z mężczyzn z oczu. - O co tu chodzi?

- Kapitanie Veller - odezwał się baron. - Być może wcześniej nie byłem do końca szczerzy. Ale zapewniam pana, że ten mężczyzna jest straszliwie niebezpieczny. To zdrajca. Jego przedłużające się życie zagraża samej Rzeczy!

Veller spojrzał pytająco na SS-Mördera.

- To prawda - odparł po prostu tamten.

- On jest szalony, Herr Veller.

- Naszczuł pan na mnie to coś, baronie. - Veller przesunął lufę pistoletu w stronę von Brauna. - Wybacz pan mój sceptycyzm.

- Musi pan zrozumieć, Herr Veller, nie wiedziałem, czy można panu zaufać. Stawka jest zbyt wysoka. To coś, jak pan to nazwał, to kolejna emanacja Eskalacji, której istnienie odkryliśmy przypadkowo podczas naszych eksperymentów.

SS-Mörder zaśmiał się gorzko.

- Emanacja? Pan naprawdę nie ma o niczym pojęcia,

baronie. Nic zdaje pan sobie sprawy, coście uczynili. Ten pomiot, którym się pan wysługiwał, jest niczym w porównaniu...

- Zamknij się! Zamknij się! - zawył von Braun. - Kapitanie, błagam, dla dobra Rzeszy, w imię postępu...

Rewolwer wypalił.

Zdezorientowany Veller wycelował pistolet termostrugowy w SS-Mördera, ale coś powstrzymało go od pociągnięcia za spust. Charcząc, baron powoli osunął się na podłogę.

- Czemu to zrobiłeś?! Von Braun nie działał sam. Znał odpowiedzi.

- Nie wiedział nic. Był tylko jednym ze stopni na schodach z ludzkich kości. - Gdzieś z głębi pałacyku rozległy się krzyki, ktoś musiał usłyszeć wystrzał. - Niedługo zrobi się tu tłoczno, lepiej poszukajmy bezpieczniejszego miejsca na rozmowę.

SS-Mörder odwrócił się, otworzył okno i wyskoczył na zewnątrz. Sam nie widząc czemu, Dieter Veller podążył za nim.

Na podłodze, obok martwego ciała, leżała słuchawka.

•

Dieter Veller czuł się ścigany i zaszczuty. Przedzierali się przez lasy dzielące posiadłość von Brauna od Berlina niczym zbiegowie, za którymi wystawiono listy gończe. Cóż, przynajmniej za jednym z nich. Więc dlaczego Veller podążył za seryjnym mordercą i dlaczego pozwolił mu zabić von Brauna?

Hans, przerażająca istota, która podszywała się pod człowieka, stanowił wynaturzenie. Ktoś, kto walczył z



takim okropieństwem, nie mógł być do końca zły. Natomiast wszyscy, którzy sprzymierzali się z nim dobrowolnie, gdzieś po drodze zatracili własne człowieczeństwo.

- Baron zwrócił się do ciebie po imieniu - zagadnął zdyszany Veller.

- Nie mam imienia - zbył go SS-Mörder.

- W takim razie dokąd zmierzamy? - zapytał kapitan, odgarniając chaszczę, które drapały go po twarzy.

- Jesteśmy na miejscu. - Mężczyzna w masce zatrzymał się raptownie na skraju wzniesienia.

- Müggelsee?

Przed nimi rozpościerały się wody największego podberlińskiego jeziora. Panorama nadal była piękna, ale dało się już zauważyć znamiona postępu. Krystalicznie czystą tafłę wody skaziły plamy oleju i innych zanieczyszczeń, na brzegu co kilka metrów leżały martwe ryby.

- Tak. Na razie. - SS-Mörder rozpiął płaszcz i rozsiadł się na powalonym pniu drzewa. - To bardzo szczególne miejsce. I umiera na naszych oczach.

- Cena postępu - mruknął posepnie Dieter Veller. - Przejdźmy do rzeczy, nie przyszliśmy tu rozmawiać o Eskalacji.

- Wręcz przeciwnie. Eskalacja to sedno wszystkiego.

- Co?

- Wszystkich nas okłamano, kapitanie. Nigdy nie znaleźliśmy Eskalacji. Nie, proszę, nie przerywaj mi teraz. - SS-Mörder uniósł rękę. - Powiniennem zacząć od początku. Od niezwykłego znaleziska. Na początku wieku ekscentryczny matematyk, podążając za sennymi wskazówkami,

rozwiązał na pozór nierozwiązywalne równanie. Nazwał je ostatnią pieczęcią. Obudził coś, co nie powinno zostać obudzone. Ludzie usłyszeli kuszący zew nieznanego. Wśród lodów Antarktydy grupa badaczy odnalazła zahibernowaną istotę, która знаła tajemnice spoza czasu i przestrzeni. Inni nakłonili ją do współpracy, a jeszcze inni pomogli jej urzeczywistnić Eskalację. Później ci sami ludzie założyli Stowarzyszenie Thule.

Veller nie mógł się powstrzymać przed wtrąceniem:

- A ty ich zabijasz.

- Tak. Wszyscy oni, archeolodzy, psychologowie, żołnierze, technicy, inżynierowie i wielu innych, przyłożyli się do tego wielkiego dzieła. Niestety dzieło ostatecznie ich przerosło i z władców stali się poddanymi. Wśród najwiedzielszych ludzi Führera skrywa się coś nieludzkiego. To coś dało nam Eskalację, z sobie tylko znanych powodów. Zamierzam to coś unicestwić.

- W takim razie obrałeś okrężną drogę.

- Nie, kapitanie. - Veller po raz pierwszy usłyszał gardłowy śmiech SS-Mördera. Przeszył go dreszcz. - Krew, symbole, egzekucje to znamiona szaleńca. I chcę, żeby mnie za takiego uważali! Gdyby wiedzieli, co tak naprawdę zamierzam, już dawno by mnie uciszili.

- A więc to prawda, co powiedział baron: rzeczywiście się tobą posługują. - Tak, jak przypuszczał, Abwehra zamierzała ślad w nadziei, że SS-Mörder dokona krwawego dzieła.

- Nie dbam o to, komu moje czyny mogą się przysłużyć. Widzą tylko maskę i to mi na rękę.

- Ale czemu im na tym zależy? Na śmierci tych ludzi?  
- Ponieważ oni i tylko oni znają prawdę o tym, co wydarzyło się podczas wyprawy na Antarktydę. O świątyni skrytej za górami lodu i o istocie, którą w niej znaleźli. Prawdę o Fannsbachu.

- Doktorze Fannsbachu?

- Tak, ojcu Eskalacji, niech będzie potępiony.

Wszystko, co mówił SS-Mörder, wydawało się nierealne. Kapitan postanowił podejść do tematu od innej strony.

- Wybacz moją niepoprawną ciekawość, ale skąd tyle wiesz na ten temat?

- Ach, dziwię się, że to pytanie nie padło wcześniej, kapitanie. - SS-Mörder sięgnął pod kłode, na której siedział, i wydobył przyprószone ziemią zawiniątko. - Ale myślę, że już znasz odpowiedź.

Z tymi słowami wręczył pakunek Vellerowi.

- *Timaios* i *Kritias* - powiedział kapitan, zanim rozwinął paczuszkę.

- Brawo.

Veller otworzył książkę na pierwszej stronie. Zero jeden. Czterdzieści siedem.

- Byłeś pierwszy na liście? Byłeś jednym z nich?

- Byłem. Dołączyłem później, ale szybko zdobyłem władzę i pozycję. Książka to dar od doktora Fannsbacha, tego szatańskiego pomiotu. Każdy z nas dostał egzemplarz. W ten szczególny sposób zostaliśmy naznaczeni.

- Czemu Platon? - zapytał Veller, obracając wolumin w rękach.

SS-Mörder pokręcił głową i zabrał mu książkę.

- Połączyła nas tajemnica. Byliśmy wtedy o wiele młodszy,

naiwni. Niczym templariusze. Fascynował nas mistycyzm i symbolika. Platon wydawał się odpowiedni. Napisał trzydzieści sześć dialogów, ale znanych jest tylko trzydzieści pięć. Ostatni został zapomniany. Wiedział pan o tym, kapitanie?

Veller uniósł brwi.

- Myślałem, że jego ostatnią pracą były *Kritias* albo *Prawa*.

- Zna pan się na rzeczy, kapitanie. Jednak według pewnych źródeł Platon napisał jeszcze jedno dzieło. *Nemetus*.

- Według jakich źródeł? - Veller interesował się filozofią i o niczym takim nie słyszał.

- To nieistotne. Ani jedna kopia nie przetrwała do dnia dzisiejszego. Na stronnicach *Nemetus* opisano podobno ostatnie dni mitycznej cywilizacji, która okiełznała niewyobrażalną potęgę.

- Eskalację.

- Zgadza się. Te czterdzieści siedem egzemplarzy *Timaios* i *Kritiasa* jest wyjątkowe. W ich treść wpleciono cytaty z *Nemetus*. - SS-Mörder westchnął. - Ukryte znaczenia, tajne symbole. Czuliśmy się masonami dwudziestego wieku. Ale te czterdzieści siedem ksiąg jest szczególne jeszcze z innego powodu. Są przeklęte, rozumie pan, kapitanie? Radioaktywny izotop. Póki księgi nie spoczną w ziemi, niezawodnie prowadzą do ich właścicieli. To wyrok śmierci, choć wtedy jeszcze nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy.

- Jesteś numerem pierwszym. Jakoś udało ci się uciec.

- W tym szkopuł, kapitanie. Nie udało mi się. Zabili mnie. Dwukrotnie.

Veller nie mógł odczytać mimiki człowieka w masce, dlatego nie potrafił stwierdzić, czy jego rozmówca żartuje. Chciał coś powiedzieć, ale SS-Mörder nie dał mu dojść do słowa.

- Żywot temu byłem znany jako Rudolf von Sebottendorf. Tutaj, w tym miejscu, prawie dziesięć lat temu zostałem zabity po raz pierwszy.

Rudolf von Sebottendorff. Veller czytał o nim kiedyś w jakiejś berlińskiej gazecie. Okultysta. Demagog. Szaleńiec.

- Potraktuję te rewelacje z przymrużeniem oka.

- Niech pan odłoży na bok wątpliwości. Myślałem, że nadejście Eskalacji i wydarzenia dzisiejszej nocy osłabia pański wrodzony sceptycyzm. W każdym razie można powiedzieć, że śmierć otworzyła mi oczy. Dopiero w ostatnich chwilach przekonałem się, że istota, którą odkryliśmy, nie była ostatnim życzliwym synem pradawnej cywilizacji, tylko zmiennokształtnym potworem z najczarniejszych otchłani piekieł. Eskalacja otworzyła puszkę Pandory, i to znacznie wcześniej, niż pan przypuszcza, kapitanie. Kiedy umierałem, myślałem, że jest już za późno. Myliłem się. W pustce poza naszym światem czekają inne, obce i bezduszne byty.

Zrobiło się zauważalnie zimniej. Veller opatulił się szczelniej płaszczem, ale lodowaty chłód zdawał się dochodzić od wewnątrz.

- Musi pan zrozumieć, że nie jestem już w pełni sobą. Część mnie służy panu...

- ...który nie ma twarzy, pamiętam. Kogo masz na myśli?

- Tego, który dał mi nowe życie.

- *Idem per idem.*

- Nie potrafię tego opisać. To istota, którą zwabiły światła Eskalacji. Potworność stworzenia, które mnie zabiło, błędnie w porównaniu z koszmarem, który kryje się za jej maskami.

Wszystko, co mówił SS-Mörder, wydawało się obłądem, ale za każdym razem, kiedy Veller o tym myślał, przed oczami stawała mu makabryczna istota, „Hans”.

- Jeśli dobrze cię rozumiem - zaczął ostrożnie - sprzedałeś swoją duszę.

- Za dziesięć lat życia i dwie szanse. Tak.

- Jak mogłeś? - wyrwało się Vellerowi, zanim zdołał się powstrzymać.

- Nie zrobiłem tego dla siebie, jeśli o to pytasz. Gdyby nie to, tajemnice Eskalacji zabrałbym ze sobą do grobu. Wtedy wszyscy bylibyśmy zgubieni. Musiałem przetrwać. Myślę, że na moim miejscu zrobiłbyś dokładnie to samo.

Niebo jaśniało. Do świtu zostało jeszcze trochę czasu, ale już robiło się widno. Zbierała się poranna mgła. Głowa SS-Mördera obracała się nieustannie to w lewą, to w prawą stronę. Veller wyobrażał sobie, że mężczyzna, który skrywa się za maską, wodzi wzrokiem po okolicy.

- Wątpię.

SS-Mörder wzruszył ramionami.

- W każdym razie poznałeś już mój sekret, kapitanie - westchnął cicho.

- Zastanawiam się, dlaczego. To znaczy dlaczego mnie w to wciągasz?

- Jestem zmęczony. Dziesięć lat dobiega końca. Chcę zdać świadectwo mych uczynków. - Głos zza maski wydawał się teraz jeszcze cichszy.

- Ale czemu tu? Czemu nie zrobiłeś tego w mieszkaniu Freiheoinga? Czemu ja mam być twoim świadkiem?

- Wtedy byś mi nie uwierzył. Pewne rzeczy trzeba zobaczyć na własne oczy. Być we właściwym miejscu, we właściwym czasie, a prawda sama się objawi.

Veller pobladł.

- Widzę świt zrozumienia na twojej twarzy, kapitanie. Ojciec Klemt zapewniał, że posiadasz błyskotliwy umysł, i nie pomylił się.

- To ty podałeś mi adres Lowelthala.

- Nie tylko. W pewien sposób współpracujemy ze sobą już od dłuższego czasu. Poganie i ja mamy wspólne interesy.

Tak. Teraz Veller zrozumiał. Podobnie jak SS-Mörder, Zielony Krąg posiadał tylko jednego wroga. Eskalację.

- Baron miał rację w jednym - kontynuował zamaskowany człowiek. - Jestem zagrożeniem dla Rzeszy, przynajmniej dla tej nowej, zależnej od Eskalacji. Dano mi dziesięć lat, po których spadnie ostatnia maska, ostatnia przesłona, a ja dołączę do korowodu upadłych kochanków mego pana. Nie zmarnowałem tych dziesięciu lat. Ludzi takich jak ojciec Klemt jest więcej, niż mógłbyś sobie wyobrazić. Oświeciłem tych, którzy chcieli słuchać. To, co wiedziałem, przekazałem innym, ludziom takim jak ty, kapitanie.

- I opowiesz nam o każdym z nich, Rudolfie von Sebotendorf.

Wszystko, co wydarzyło się potem, zdawało się Vellerowi snem. Zdołał się odwrócić, ale nagle poczuł piekące

ukłucie w mostku. Z niedowierzaniem spojrział w dół, na wystającą z piersi czarną, węzowatą mackę.

SS-Mörder skoczył do przodu, ale nie zdążył wydobyć rewolweru. Czarne wici przebiły jego ręce i nogi, po czym uniosły go w powietrze.

- A jeśli nie opowiesz, po prostu wyrwę z ciebie odpowiedzi.

Nieznamy, który wyłonił się z mgły, podszedł do nich niespiesznie. Nosił długi płaszcz Abwehry, twarz skrywał mu naciągnięty na czoło kapelusz. Veller dostrzegł, że wijące się w powietrzu macki biorą swój początek gdzieś za jego plecami.

- „Służę panu, który nie ma twarzy”? Powinieneś nauczyć się odkładać słuchawkę, Sebottendorf. I dawno temu spalić to. - Jedna z macek podniosła z ziemi *Timaiosa* i *Kritiasa*, książkę, którą upuścił SS-Mörder.

- Wiedziałem, że nie pozostaniesz bezczynny. Że to ty po mnie przyjdiesz - powiedział spokojnie mężczyzna w masce. - Czekałem tak długo...

Veller zrozumiał, że Sebottendorf wszystko zaplanował. Nie tylko jego wtajemniczenie, nie tylko zabójstwo von Brauna, ale i to spotkanie, ostatni akt zemsty na istocie, która rzekomo już raz go zabiła. A jednak czuł, że jego własna nieunikniona śmierć nie była częścią planu.

Agent Abwehry zaśmiał się.

Wtedy maska otworzyła oczy. W ich wnętrzu kryła się pustka.

Węzowata macka, która przebiła Vellera, zadygotała i wycofała się z jego ciała. Mężczyzna, który ich zaatakował, upadł na kolana. Wici skręcały się po ziemi, jakby poraziło je wyładowanie elektryczne.



- Koło się zamyka - szepnął SS-Mörder. Maską znów była ślepa. - Zabiłeś mnie, a teraz ja zabijam ciebie.

- Nie - zachichotał mężczyzna czy raczej pokraczna istota, w którą w zastraszającym tempie się przeistaczał. - Nie miałem tej przyjemności. Nie wiedziałeś, że są nas dziesiątki? Jestem tylko jednym z wielu, głupcze.

Po tych słowach, w połowie przemiany pomiędzy człowiekiem a potworem, mężczyzna skonał.

- To niemożliwe - wymamrotał SS-Mörder. Veller po raz pierwszy usłyszał w jego głosie nutę zwątpienia. I strach. - Veller?

- Umieram - zdołał wykrztusić kapitan. Z dziury w piersi obficie płynęła krew. Maską przebiła płuco. Udusił się w ciągu kilku minut.

- To nie miało tak wyglądać. - Spokój w głosie SS-Mördera prysł. Veller słyszał teraz zrozpaczonego, oszukanego człowieka. - Obiecał. Obiecał.

Maska Sebottendorfa zsunęła się na ziemię. Pod spodem nie było nic. Umysł Vellera nie mógł tego pojąć, więc się wyłączył.

Zalały go wrażenia. Kaszel, charkot, metaliczny smak krwi w ustach. Brudna, wilgotna ziemia pod palcami. I wreszcie zimna, gładka niczym stal powierzchnia.

*Amelio.*

•

Obudził się z krzykiem, ale koszarne obrazy nie chciały zniknąć. Istoty i miejsca spoza czasu i przestrzeni. Okropności, które odcisnęły na nim swoje piętno, jak ręka zostawia ślad w glinie. Zaczął wierzcąc i wyć, miotając

się spazmatycznie, próbował za wszelką cenę zedrzeć maskę zasłaniającą twarz. Daremnie. Z trudem narzucił sobie spokój. Oddychał wolniej, bardziej miarowo. Wizje odległego świata zblakły.

Rozejrzał się powoli.

Leżał nagi pod całunem z pożółkłych liści, pod powykręcaną, uschniętą jabłonią. Był tu już kiedyś. Ktoś go przyniósł znad jeziora. Wiedział, kto.

- Klemt.

- Tak? - Szept dochodził z zacienionej części placu.

- Co mi zrobiłeś? - Głos mu się załamał. - Czemu? Czemu? - załkał.

- Otworzyłem ci oczy - powiedział cicho ksiądz. W jego głosie troska mieszała się z dumą.

- Moja twarz...

- To fizyczna powłoka. Jesteś teraz wybrańcem bogini, twoje serce powinna przepelniać radość.

- Radość? Radość?!

Veller zerwał się na równe nogi.

- Tak. Wszyscy modliliśmy się za twój sukces.

Kapitan dopiero teraz zobaczył pozostałych członków Zielonego Kręgu. Mężczyzn i kobiety, którzy od lat pomagali mu w jego śledztwach, a których nie znał nawet z imienia. Razem z Klemtem było ich siedmioro.

- Ty...

- Dieterze, zostałeś wybrany do wielkiego dzieła. Posiadasz młodego boga. Unicestwisz Eskalację. Przywrócisz naturalny porządek. Zaprowadzisz nas z powrotem za bramy Raju.

- Zniszczyłeś mnie. Jak mogłeś mi to zrobić? - Rozpacz Vellera mieszała się z furią.

- Narodziłeś się na nowo. Bogini obdarza swych kochanków wieloma żywotami.

- Iloma? Iloma mnie obdarzyła? - zapytał rzeczowo Veller w przebłysku jasności umysłu. - Ile mam czasu? Dziesięć lat?

- Tak. I trzema.

- Jedno życie już mi odebrała.

- Tak.

- Suka. Oszustka. - Veller znów zaczął płakać. - Zdradziłeś mnie.

- Przygotowałem cię. Masz więcej szczęścia niż twoi poprzednicy, ale ja zawsze wiedziałem, że to będziesz ty.

- O czym ty mówisz? Moi poprzednicy?

- Dannerode, Falniche, Seldorf.

Veller chciał odruchowo przyłożyć dłoń do ust, ale dotknął tylko zimnej, metalicznej maski. Jak mylnie wszystko zinterpretował.

- Nie zostali przeniesieni. To nie Abwehra ich usunęła.

- Zawiedli - westchnął Klemt, podchodząc do Vellera. Jego zniszczona twarz przypominała w półmroku sękaty stary konar.

Veller wzdrygnął się i cofnął o krok.

- Byli zbyt słabi - ciągnął ksiądz. - Ale ty jesteś silny. To należy do ciebie.

Z tymi słowami podał Vellerowi rewolwer SS-Mördera i słoik pełen kamyków. Nie, zębów.

- Jesteś synem swojego ojca.

- Nie mam ojca - syknął Veller. Strach i oszołomienie ustępowały.

Pozostał tylko gniew.

Veller wziął rewolwer, ale odtrącił słoik, który bezdźwięcznie spadł na ziemię.

Klemt zaśmiał się.

- Każdy z nas ma ojca, Dieter. - Kapłan ścisnął w ręce krzyż, który zwisał mu na szyi. - Nie jesteś aż tak wyjątkowy jak nasz Zbawca.

Veller prychnął.

- Możesz niedowierzać, możesz zaprzeczać, ale prawda ci się objawi. To wszystko jest częścią wielkiego planu... - zaczął ojciec Klemt.

Veller chwycił go za gardło. Kapłan zacharczał, ale on nie poluzował uścisku. Pozostali członkowie Kręgu ruszyli w ich kierunku, ale kapitan zatoczył szeroki łuk rewolwerem. Zatrzymali się.

- Powiedz mi, ojcze... - warknął, kipiąc od gniewu.

Ksiądz zaczął ruszać ustami jak ryba wyciągnięta z wody. Starał się odtrącić rękę Vellera, ale bezskutecznie. Uścisk był nieludzko silny.

- Powiedz, proszę, czy to też jest częścią wielkiego planu?

Oczy Klemta rozszerzyły się z przerażenia.

- Tak też myślałem - syknął Veller, puszcżając martwe ciało kapłana. Odbezpieczył kurek rewolweru i obrzucił wzrokiem pozostałych członków Kręgu, którzy teraz, z malującym się na twarzach strachem, cofali się w kierunku wyjścia z uliczki. - Tak też myślałem.

## 10. Jornada del Muerto

*W naszej epoce, epoce potęgi atomowej, byłoby nonsensem uważać wojnę za odpowiedni środek przywrócenia naruszonych praw.*

Jan XXIII

*Berlin, Niemcy.  
Październik, rok 1944*

Wniebowstąpienie. Nie znał innego słowa, które mogłoby opisać to, co w tej chwili przeżywał. Wznosił się ponad miastem niczym duch, ale przy najlżejszym ruchu jego eteryczna emanacja wywierała namacalny wpływ na otaczającą materię. Wszystko wokół było takie... Reiner zmagał się ze znalezieniem odpowiedniego określenia... takie rozjarzone. Świetliste. Błyszczące linie gnały ku horyzontowi, ich kurs co chwilę mąciły eksplozje barw, sploty przeciwstawnych smug i... puste, pozbawione światła plamy. Wrzące, kipiące ropy ciemności.

Wyciągnął ku nim swe zmysły i pustki, jedna po drugiej, zaczęły znikać w kaskadach kolorów, w oślepiających supernowych czystego światła. To było piękne i sprawiedliwe. Rozszerzył swą świadomość dalej i znalazł tyle mrocznych osobliwości, że jego serce niemal rozerwała rozpacz. Tak wiele, zbyt wiele. Będzie musiał je zaabsorbować naraz, wszystkie naraz.

Wzrok mu się wyostriżył niczym u śmiertelnie chorego pacjenta tuż przed terminalną zapaścią. Spostrzegł krater, który pozostał po Volkshalle, i własne, mizerne, kruche ciało. Głowa zadarta do góry, usta szeroko rozwarte i esencja młodego boga wylewająca się pionowo ku niebu.

Nie.

Chociaż czuł, że jego jaźń zlała się z tą należąca do Gabrletha, nadal pozostał sobą, odrębną świadomością. I on, Reiner Erhard, nie spisał Ziemi na straty. On, Reiner Erhard, władał młodym bogiem, a nie na odwrót. On, Reiner Erhard, powiedział koniec.

- Powiedział prawdę.

- Reiner? Reiner, ty coś powiedziałeś? Doktorze, on jest przytomny! Doktorze!

Przytłumione głosy, zagłuszone częściowo przez niknące brzęczenie. Delphine... Czy to była Delphine? Na pewno, któż inny przejąłby się jego losem? A może to echo jego własnych myśli, wypowiedzianych i przemilczanych pragnień?

- Reiner.

Spróbował otworzyć oczy, ale oślepiło go migotliwe światło. Skrzywił się i syknął.

- Proszę zgasić lampy. Zasłońmy okna. - Z każdą chwilą

jej głos był wyraźniejszy. Czyżby oparł się młodemu bogu i wrócił do ciała? Czy to było w ogóle możliwe?

- Gdzie... - zaczął - gdzie jestem? - Ponownie spróbował otworzyć oczy. Teraz było znacznie ciemniej i to mu się podobało. Rozchylił szerzej powieki. Nie widział dobrze, chociaż z sekundy na sekundę coraz lepiej. Na razie wyławiał tylko kontury.

Łóżko, jakieś szafki i dwie postacie. - Delphine?

Jedna z rozmazanych sylwetek podeszła do niego i położyła mu coś na klatce piersiowej, na wysokości serca. Nie, zreflektował się, nie coś. Dłoń.

- Tak - odpowiedział jej głos, ciepły i łagodny. - Jesteśmy w... szpitalu garnizonowym przy Hollmannstrasse. Już po wszystkim. Doktorze, da nam pan chwilę?

- Frau Erhard, jego stan jest niestabilny. W każdej chwili może się ponownie osunąć w śpiączkę. Musimy przeprowadzić badania, on potrzebuje odpoczynku.

Frau Erhard?

- To może poczekać, doktorze. Proszę, tylko kilka chwil.

- Pani nie rozumie...

Reiner nabrał głęboko powietrza w płuca i odetchnął ciężko.

- Niech pan jej posłucha, Herr Doktor. Nigdzie się nie wybieram.

- Nie zdaje pan sobie...

- Na pewno bardziej niż pan. Proszę nas zostawić. Tylko na chwilę. To ważne.

Doktor westchnął, a jego sylwetka zniknęła z pola widzenia Reiner. Delphine usiadła na brzegu łóżka.

- Bałam się, że cię straciłam.
- Balaś się? - Powoli zaczynał dostrzegać subtelniejsze kształty i kolory.
- Po tym, co się stało, leżałeś nieprzytomny przez dwa dni. Lekarze nigdy czegoś takiego nie widzieli. Nie mieli pojęcia, jak ci pomóc. Nie dawali ci żadnych szans.
- A jednak - zaśmiał się cierpko. - Delphine... co się wydarzyło?
- Z tobą? Czy później? - Było coś dziwnego w jej głosie. - Och, chcesz wiedzieć wszystko. Opowiem ci tyle, ile wiem sama.
- Nie, czekaj. To nieważne. Jak się czujesz?
- Ja... - zawiesiła na chwilę głos - żyję. To więcej niż...
- urwała. - I jestem szczęśliwa, że do mnie wróciłeś.
- Delphine... - Sam nie wiedział, co chciał powiedzieć. Uśmiechnął się.
- Reiner, co się stało? - zapytała z mieszaniną rozbawienia i podejrzliwości.
- To nie ma znaczenia - mruknął pod nosem. - Zupełnie żadnego znaczenia.
- Co?
- Te dywagacje i rozterki.
- Wydawało mu się, że dostrzegł na jej ustach krótkotrwały, ale szczery i szeroki uśmiech.
- No, chodź tu do mnie - szepnął i spróbował ją przyciągnąć, ale się oparła.
- Reiner. Jeszcze nie czas - powiedziała, naśladując jego własną odpowiedź sprzed kilku dni.
- Nie czas?
- Poza tym - zaśmiała się smutno - mogę ci się już nie spodobać.



- Nie spodobać? O czym ty mówisz?

Wtedy to zobaczył. Linie znaczące jej twarz, które wziął wcześniej za cienie, okazały się bliznami, świeżymi, lśniącoymi bliznami, biegnącymi od czoła po szyję i niknącymi za dekoltem. Jak rany mogły się zabiżnić tak szybko?

- Kto? - zdołał zapytać. Delphine odwróciła wzrok.

- Kto?! - warknął.

- Ty.

Nagle zrobiło mu się zimno. Wypuścił ją z objęć, jego bezwładne ręce opadły na koldrę.

- Kiedy wyzwoliłeś młodego boga. Słyszałam, że wstęgi światła, którym dałeś początek, uderzyły w przypadkowe części miasta. Ale to nieprawda. Szukałeś ich. Pomiotów Voghtoth.

- I znalazłem je - powiedział bardziej do siebie, niż do niej.

- Tak. Znalazłeś je wszystkie. Przynajmniej tutaj, w Berlinie - dodała.

- Delphine... przepraszam. Gdybym tylko wiedział... nie byłem świadomy, nie kontrolowałem tego.

Cholera, w Operze miała być bezpieczna! Veller, ty kłamliwy...

- Nie przepraszaj, Reiner. Byłeś świadomy, bo inaczej bym nie żyła. Powiedzieli mi, że po innych ofiarach nie pozostał nawet proch. Ja uszłam z kilkoma bliznami. I cieszę się, bo wiem, że mnie uratowałeś. Wypaliłeś wszystko, co było we mnie obce, zniszczyłeś piętno Biesiadnika. Te blizny to niewielka cena. Jestem wolna. Zaczynam sobie przypominać.

- Co?

- Kim byłam kiedyś. Zanim straciłam tożsamość. Od

tamtego dnia, kiedy otworzyłeś się na młodego boga, te myśli i wspomnienia zaczęły wybijać się na powierzchnię. Zaczęłam miewać sny, widzieć rozmyte, odległe obrazy. Z każdym dniem te wspomnienia stają się wyraźniejsze. Dziękuję, Reiner, bo mnie uwolniłeś. I dałeś nadzieję. Żałuję tylko, że teraz moje ciało nie jest takie... - Uśmiechnęła się, chociaż widział, że po policzku płyną jej łzy - takie, no wiesz.

Rzeczywiście zaszła w niej zmiana. Nie wydawała mu się już tak dziecinna i niewinna. Stała się bardziej - bardziej ludzka.

Reiner podrapał się po gęstym zaroście, który pokrywał jego okaleczoną twarz, spojrzał na swoje zdeformowane ramię i uśmiechnął się krzywo.

- Sam też nie grzeszę pięknnością. Zresztą - przypomniał sobie, jak łatwo Aziz potrafił zniekształcić w jego umyśle oblicza innych - nie warto ufać oczom. A teraz chodź do mnie.

Tym razem się nie opierała. Ich usta połączyły się tylko na moment, ale to wystarczyło, by wypełnić Reinera nieopisaną radością.

- Wzruszające.

Nic nie trwa wiecznie, zwłaszcza to, co piękne.

- Widzę, że bohater chwili dochodzi do siebie - przemówił lodowaty głos z kąta pokoju.

Delphine odwróciła się gwałtownie w tamtą stronę i Reiner mógł wreszcie dostrzec intruza. Mężczyzna stojący w kącie był wysoki, ubrany w szary, szyty na miarę płaszcz, a jego twarz skrywała biała, porcelanowa maska. Nie miała nawet otworów na oczy.

- Veller.

- Widzę, że do ciebie też się dobrał, moja droga -

warknął. - Szkoda, że kiedy padło na mnie, nie był taki delikatny.

- Veller, zrozum... - zaczął Reiner, podnosząc się na łóżku.

- Zrozum? Zabiłeś mnie! Spopieliliś Zegar, okradłeś mnie z zemsty, zmiotłeś wszystko. Zabiłeś mnie - powtórzył. Gniew gdzieś wyparował, a zastąpił go smutek. - Nie masz pojęcia, jak to jest. Umrzeć. Zostać przetrwionym i ponownie wyplutym na świat. Gdzieś tam tracisz część siebie.

- Słowa tego nie wyrażą, ale jest mi przykro, niewyobrażalnie przykro. Gdybym potrafił nad tym panować, naprawdę panować...

- Oszczędź mi tego - warknął Veller. - Nie przyszedłem tu po twoje przeprosiny. Och, nie bój się, moja droga - powiedział do Delphine, która wyglądała na zaniepokojoną. - Nie przybyłem również po zemstę. Wróciłem, bo musimy dokończyć to, co zaczęliśmy.

- Dokończyć?

- Położyć kres bluźnierczej ingerencji z Voghtoth.

- To, co zrobiłem, nie wystarczy? Zniszczyłem *ctanlgan* i *salgotathy*, i Zegar. Osiągnęliśmy wszystko, co było naszym celem.

- Tak? - zaśmiał się gorzko Veller. - Nie powiedziałaś mi, prawda?

Reiner spojrział pytająco na Delphine, która spuściła wzrok.

- Oczywiście, że nie - odpowiedział sam sobie Veller. - Bała się pewnie o twój kruchy umysł.

Patrz!

Dramatycznym gestem pociągnął zasłonę na oknie. Do pokoju wpadł zimny, czerwony blask.

Eskalacja.

- Jak to możliwe? - Reiner nie wierzył własnym oczom. - Zniszczyłem Zegar. Zniszczyłem.

- Nie ma nic bardziej żalosego niż gorycz pustego zwycięstwa. Byłeś strażnikiem Wrót, ty jeden powinienesz wiedzieć. Gdzieś tam - Veller wskazał za okno - zbudowano już drugi generator.

- Niemożliwe.

Reiner wiedziałby o tym. Dostawał raporty zaopatrzeniowe, przeglądał zlecenia wykonawców i podwykonawców, spisy techników, inżynierów i robotników, brał udział w zebraniach rady eksperckiej ds. sieci Wrót, widział budżet i wydatki na Eskalację. Nowy generator nie miał prawa powstać, nie teraz, nie w tym roku. Chyba że Fannsbach tak naprawdę mu nie ufał. Chyba że prace rozpoczęto niemal równo z pracami nad Zegarem.

- Nic się nie skończyło - kontynuował Veller. - Pod pewnymi względami tylko pogorszyliśmy sprawę.

- Pogorszyliśmy? - zakpił rozgoryczony Reiner. - Nie wyobrażam sobie tego.

Zniszczenie Zegara nic nie dało, Aziz go przed tym ostrzegął.

- W takim razie twoja wyobraźnia jest ograniczona - odciął się Veller. - Tamtej nocy, kiedy uwolniłeś drzemiacę w tobie siłę zniszczenia, wydarzyło się więcej, niż mogliśmy przypuszczać. Naszym działaniom towarzyszyły inne, mniej ezoteryczne, ale nie mniej niebezpieczne. Młody pułkownik von Stauffenberg zabił Führera. Zginęli też jego najbliżsi współpracownicy, a my załatwiliśmy resztę. Rzeszą włada nowy rząd, z nowym kanclerzem na

czele. Ci ludzie to nie zimnokrwiste ctany Fannsbacha. Boją się. Widzieli na własne oczy, jak krucha jest ich potęga, Eskalacja. Jak kapryśny los może im porwać zwycięstwo sprzed nosa. Nie przestaną korzystać z technologii salgothów. Przeciwnie, zamierzają przyspieszyć swoje plany.

- To znaczy? - zapytała Delphine. Reiner znał odpowiedź.

- Zaatakują Stany Zjednoczone.

- Tak - przytaknął Veller. - Dopóki władają Eskalacją. W ten sposób zburzyliśmy delikatną równowagę. Popchnęliśmy świat w nieoczekiwanym, niepożądanym kierunku.

- O czym ty mówisz?

- O wojnie, która położy kres wojnom.

- Co?

- Słuchaj! Zabijając mnie... posłałeś mnie w odmęty Vogthoth, gdzie nieskrępowany ciałem tułałem się po zakazanych miejscach, wydzierając dawno zapomniane sekrety. Są rzeczy, których nie będziesz w stanie zrozumieć, a ja nie będę w stanie opisać. Mój bóg próbował mnie powstrzymać, ale wbrew jego woli poznałem wiele prawd. Dzięki Oku Świata niczym duch kroczyłem niewidocznymi ścieżkami.

Veller teatralnie zawiesił głos.

- Wykrztuś to z siebie - warknął z napięciem w głosie Reiner.

- Nie poganiaj mnie! - odpowiedział mu równie ostro Veller. - Cierpliwości, Reiner... Szukałem drugiego generatora, szukałem go tak rozpaczliwie... Wreszcie, wiedziony narastającym niepokojem, udałem się daleko na zachód, do Jornada del Muerto. Tam na własne oczy widziałem narodziny nowej epoki.

- Mógłbyś mi oszczędzić tych zagadek. Jornada del Muerto? To gdzieś w Hiszpanii?

- Nie, w Nowym Meksyku. Znalazłem drugie, po Eskalacji, źródło promieniowania gamma na Ziemi.

- O czym on mówi? - wtrąciła się ponownie Delphine.

Reiner poblądł. Jego największe lęki budziły się do życia.

- O bombie atomowej.

- Tak. Kiedy nowy rząd, upojony potęgą Eskalacji, atakuje Stany Zjednoczone, oni odpowiedzą własnym boskim ogniem. Później nie będzie odwrotu. Czeka nas wojna atomowa, a jej nie przetrwa nikt, nawet bogowie.

- Czemu Fannsbach...

- Czemu Fannsbach dążył do wojny atomowej? Nie dążył! Chyba nie potrafił przewidzieć, do czego doprowadzą jego czyny, a może myślał, że uniknie konsekwencji. On po prostu zrobił użytek z technologii wrogów swych bogów. Nie spodziewał się... eskalacji konfliktu. - Veller zachichotał nerwowo. - Opatrzności, Reiner, to straszliwy żart. Szekspir nie napisałby tego lepiej. Tak! Tragedia omyłek...

- Veller! Co to za bełkot?

- Ironia ci umyka, przyjacielu? Och, słodka ironio... - słowa Vellera stały się mniej koherentne, zdania krótsze, urywane. - Ta technologia... Eskalacja... ona zabija życie. Zabija bogów. Widziałeś to na własne oczy. Wrota Eskalacji nie tworzą Voghtoth. Przeciwnie. Niszczą je równie skutecznie jak wszystko inne. To promieniowanie gamma, o którym ci mówiłem. I taki właśnie był pierwotny cel Eskalacji! Zniweczyć życie. Zaprzeczyć Voghtoth. To

była ostateczna broń salgothów w wojnie z bogami. Ale przepływ Eskalacji ma skutek uboczny. Ingeruje w czasoprzestrzeń. Rozrywa ją. Fannsbach postanowił to wykorzystać. Przeinaczyć zamysł twórców Eskalacji. Stworzył sieć Wrót o niskiej wydajności, która nie wystarczałaby, żeby obrócić Ziemię w martwą skalę, ale która pozwoliłaby przeniknąć do naszego świata Voghtoth i bogom-Trójcy.

Veller przerwał i wybuchnął histerycznym śmiechem.

- Veller - wycodził Reiner. - Nie widzę w tym nic...

- Och, nic nie widzisz? Biedny ślepcze... Fannsbach wypaczył przeznaczenie Eskalacji. Dzięki niej chciał sprowadzić tu swego boga... ale Eskalacja wymknęła mu się z rąk i znów stanie się narzędziem zniszczenia! Sprowadzi nam na głowy świt atomu. Jakby była samoświadoma i dążyła do wypełnienia swego przeznaczenia! Jest w tym piękno, Reiner. Przerażające piękno...

- Ty cholerny dramaturgu! - wrzasnął Reiner. - To wszystko jest dla ciebie sztuka? Zabawą?!

- Piękne i proste - mówił do siebie Veller, nie zważając na reakcję Erharda. - Do totalnego zniszczenia nie potrzebujemy młodego boga. Pokolorujemy świat barwami apokalipsy, skąpiemy go w śmiertcionym promieniowaniu.

Nie będzie Voghtoth, nie będzie ludzkości.

Aziz próbował mi to powiedzieć, pomyślał Reiner. Powstrzymać to. Ale po co? Sam chciał zniszczyć świat mocą młodego boga. Wtedy wszyscy byśmy przegrali, tak czy owak. Więc po co go tu ciągnął? Jakie były jego prawdziwe motywy? Aziz, czy musiałeś być tak uparty i dać się zabić?

- Musimy to powstrzymać - wymamrotał.

Veller skinął głową. Jego chwilowy obłęd zniknął równie szybko, jak się pojawił.

- Jak twoim zdaniem mamy to zrobić?

- Veller, przyczyniliśmy się do tego! Teraz rządzą spiszkowcy, którzy uknuli upadek Rzeszy, ale z niewłaściwych powodów. Nie powiodłoby im się bez naszej pomocy. Wyślij swoich ludzi. Albo przemów do nich. Jeśli musisz, spętaj ich wolę, tylko powstrzymaj ich przed tym szaleństwem!

- Widzę, że moje metody już ci tak nie przeszkadzają - prychnął Veller. - Ale to właśnie starałem ci się powiedzieć na samym początku. Mój plan umarł wraz ze mną. Moja moc została umniejszona. Okaleczona. Straciłem władzę nad moimi ludźmi. Ponownie widzą we mnie tylko obłąkanego człowieka w masce.

Widzą prawdę, pomyślał przelotnie Reiner.

- Więc po co tu przyszedłeś? Mówiłeś, że musimy to dokończyć. Jeśli nie masz pomysłu...

- Och, mam pomysł, ale ci się nie spodoba. Chciałem tylko, żebyś wcześniej zrozumiał, że to jedyne wyjście. Jesteś gotów mnie wysłuchać?

- Raczej nie.

- Nie szkodzi. - Veller podszedł bliżej i spojrzał prosto na Reinera. - Naszym największym wrogiem jest czas, który nieubłaganie przecieka nam przez palce. Położenie drugiego generatora nie jest nam znane. Może jest ich nawet więcej, Opaczność jedna wie, jaką przezornością cechował się Fannsbach. Ale... ale wiemy, skąd płynie Eskalacja. Podczas mojej duchowej tułaczki widziałem zimne słupy salgothów i energię, która od nich bije.

- Chcesz odnaleźć pogrzebane pod piaskami miasto? Irem?



- Eskalacja nie bierze się z E-osobliwości, Reiner, tylko przez nią przepływa. Nie. Chcę zniszczyć miasto, które znajduje się po drugiej stronie gwiazdy.

- Drugie Irem?

- Nie wiem, jak się nazywa, ale wznosi się z wyjąłowanej krainy pośrodku Voghtoth. To ono stanowi prawdziwe serce Eskalacji. - Veller zaczerpnął tchu. - Podróż na drugą stronę to jedyne wyjście.

- Czy to w ogóle możliwe? - zaniepokoiła się Delphine.

- W przeszłości już tego dokonano. Koniunkcja wymiarów czyni to zadanie nieporównywalnie łatwiejszym.

- A ty widziałeś Oko Świata - uświadomił sobie Reiner. - Znasz drogę. Nie bądź taki zdziwiony, nie wszystko, co mówił mi Aziz, okazało się kłamstwem. Widziałeś Oko, tak jak Fannsbach. Czym właściwie jest Oko Świata?

W gruncie rzeczy, wyłączywszy szczegóły, plany Aziza i Vellera zbytnio się od siebie nie różniły. To nie mógł być dobry znak.

- To... nie wiem, jak to opisać. Nexus. Splot, który stanowi centrum tamtego wymiaru. Miejsce, w którym bogowie się spotykają i poprzez które manipulują naszym światem. Nadprzewodnik myśli.

- Czy ty w ogóle odpowiedziałeś na moje pytanie?

- Nie potrafię tego inaczej wytłumaczyć. To miejsce, dzięki któremu moje wędrówki poza ciałem były możliwe. Nieprzypadkowo słupy, które salgothy wzniosły w Voghtoth, znajdują się w pobliżu Oka Świata.

- Rzeczywiście, podejrzanym zbieg okoliczności.

- Salgothy... - wtrąciła Delphine. - One tam żyją? W Voghtoth?

- Nie wiem, jak udało im się przetrwać kataklizm ani jak przetrwały przez te wszystkie eony - odparł Veller. - Ale widziałem megalityczne słupy i niekończący się strumień Eskalacji, który brał z nich źródło. Jeśli to nie one, ktoś inny wznosił bliźniacze Miasto Słupów w sercu pustki, ale to mało prawdopodobne. Kunszt, z jakim wykonano słupy Irem, jest niedościgniony. Dlatego właśnie Rzesza potrzebowała salgothów, żeby zapanować nad Eskalacją. Może kiedy bogowie zostali zepchnięci do Vogthoth, zabrali ze sobą swych niedoszłych niszczycieli. Ich umysły pochłonięte przez Lewiatana, zmuszone do rozniecenia ogni Eskalacji jeszcze raz, lecz tym razem w zgoła innym celu. Przeróżająca wizja.

*Moi zagubieni bracia*, poniosło się echem w uszach Reintera.

- Vogthoth... - Przypomniał sobie wszystko, co widział za sprawą jadu ctana. - To szaleństwo - powiedział, ale myślami wybiegł do słów Aziza. *Gdy zrobisz, co masz zrobić, Zegar stanie się bezużyteczny, zanim jego czas nadejdzie. Gdy woda przestaje płynąć, młyńskie koło przestaje się obracać.* Arab wiedział... och, oczywiście, że wiedział, to jego rasa, nie bogowie, stała za darem Eskalacji.

- Oczywiście. Po drugiej stronie nie czeka na nas nic prócz oblędu i śmierci.

- Jesteś bardzo przekonujący. Tak ci spieszo do grobu?

- Marzę o grobie, Reiner, nie wiesz nawet, jak bardzo. Ale nie, mnie czeka los gorszy, znacznie gorszy. Bogowie nie wypuszczają swoich sług z uścisku. - Veller pokręcił ze zrezygnowaniem głową. - Przekraczając granicę światów, przypieczętuję swój los. Ale dopóki przejście

po między wymiarami będzie szeroko otwarte, to się nigdy nie skończy, rozumiesz? Tu już nic nam nie pomoże. Wszystko zniszczone. Wszystkie wątki urwane. Zrobię to sam, jeśli będę musiał, ale wolałbym mieć ciebie u boku. Tam, po drugiej stronie, nie ma nic wartego ocalenia. Nie będziesz musiał się hamować, będziesz mógł spuścić ze smyczy młodego boga. Co ty na to? Podążysz za mną?

- A co z ctanami, które wciąż panoszą się w Europie?

- To już nie nasze brzemię, Reiner. Nie jesteś w stanie osobiście zabić każdego z nich. Musimy wierzyć, że znajdą się inni, którzy cię wyręcą. Do nas należy tylko jeden obowiązek: zniszczyć Eskalację i tym samym zamknąć przejście, przez które Voghtoth przecieka do naszego świata. Odebrać bogom szansę ponownego zagarnięcia Ziemi i jednocześnie zapobiec nuklearnemu holokaustowi. Pytam cię ponownie, podążysz za mną?

Reiner się zawahał. Spojrzał na Delphine, która odwzajemniła jego spojrzenie.

- Delphine...

- Och, na Opatrzność, Erhard, nie składaj losów świata w rękach kobiety! Nie patrz tak na mnie, prowadzimy wojnę o przetrwanie naszej rasy!

- Jestem w pełni świadom stawki, o jaką toczy się gra, Veller - powiedział Reiner, po czym zwrócił się do Delphine: - Wiesz, że muszę to zrobić, prawda?

Kobieta znów posłała mu ten przedziwny, spokojny uśmiech.

- Tak.

Reiner przeniósł spojrzenie na Vellera.

- Podążę.
- Dobrze. Możesz chodzić?
- Chcesz ruszać już teraz?

Oczywiście. Powinien był się już przyzwycząić do morderczego tempa. Nie było odpoczynku, nie było wytchnienia. Jego życie obróciło się w historię bolesnych przebudzeń i wiecznej pogoni.

- Za kilka godzin, kiedy wszystko się uspokoï, opuszczenie Berlina stanie się dla nas niepomierne trudniejsze. W tej chwili mamy szansę. Transport już na nas czeka.

Reiner, który już zwlekał się z łóżka, znieruchomiał.

- Wszystko zaplanowałeś?
- Nie wiedziałem, czy się zgodzisz. Ale, jak mówiłem, zrobiłbym to z tobą lub bez ciebie. Na szafce zostawiłem ci mundur, mam nadzieję, że nie będzie za duży. Poczekał na zewnątrz. Ach, tylko nie zwlekajcie za długo.

Po tych słowach Veller zniknął za drzwiami.

- Ufasz mu? - zapytała Delphine.
- Nie. Ale to rzeczywiście nasza najlepsza szansa. Przykro mi, nie mogę cię narażać...

- O nie. Nie, nie. Nie zostanę tutaj.

- Delphine...

- Myślisz, że tutaj będę bezpieczniejsza? Po tym, jak uciekniesz z tym Upiorem? Że spadkobiercy Eskalacji potraktują mnie łagodnie?

To brzmiało - cóż, to brzmiało sensownie. Delphine nie mogła zostać w Berlinie.

- Dobrze. Pomóż mi wstać. Kiedy wydestaniemy się z Niemiec...

- Nadal będę ci towarzyszyć.
- Kiedy wydostaniemy się z Niemiec - powtórzył Reiner - wrócimy do tego tematu.

Ze stęgnięciem podniósł się z łóżka.

Ruchy okazały się dla niego torturą. Nie miał żadnych ran, siniaków ani złamań. A jednak każdą komórką ciała czuł przeraźliwy, przemożny ból. Tak jakby... tak jakby zamknięto go w zbyt małej klatce z krwi i kości.

- Pozwól - powiedziała Delphine, kiedy nie mógł założyć koszuli.

Chciał protestować, ale wiedział, że w tym stanie sam nie da sobie rady. Przełknął dumę i pozwolił, żeby mu pomogła. Delphine uśmiechnęła się łagodnie i ze spokojną determinacją w oczach zaczęła go ubierać, jakby robiła to od zawsze.

- Delphine.

- Mmm?

- Chciałem cię o coś zapytać - zaczął. - Mówiłaś, że zaczęłaś przypominać sobie swoje wcześniejsze życie...

Skończyła wciągać rękawy koszuli na jego zdrętwiałe ramiona. Obróciła go powoli i zaczęła zapinać guziki.

- Były noce, kiedy leżałam, nie mogąc zasnąć, czując, że gdzieś na krawędzi mojej świadomości błakają się obce wspomnienia. Zastanawiałam się, skąd znałam twoje imię, skoro widziałam cię po raz pierwszy, czemu czułam się przy tobie bezpiecznie.

- I wiesz już?

Delphine zapięła ostatni guzik, poprawiła kołnierz i sięgnęła po buty.

- Tak.

Przez kilka chwil żadne z nich się nie odzywało. Delphine starannie zawiązywała sznurowadła. Wreszcie podniosła się i powiedziała:

- Jestem jej odbiciem. Wspomnieniem wydobytym z twojego umysłu przez Biesiadnika, żeby mógł cię poznać i złamać. Nie smuć się - dodała szybko, widząc jego twarz.

- Fragmenty mojego prawdziwego ja zaczęły wypływać na powierzchnię, uzupełniać obraz. Na to nałożyły się nowe wrażenia i emocje, doświadczenia, które zaskoczyły mnie i zmieniły.

- To znaczy?

- Nie chcę, żeby to zabrzmiało źle, ale tamtą kobietę znałeś bardzo... powierzchownie. Jednostronnie. Widziałeś tylko jej cząstkę.

- Ja...

- Nie musisz nic wyjaśniać. - Przyłożyła mu palec do ust. - Ty też się zmieniłeś. Dobrze, jeszcze tylko marynarka i płaszcz. Odwróć się.

- Delphine...

- Osoba, którą kiedyś byłam, wiedziała wiele więcej o ludzkiej naturze. Myślę, że była bardziej zgorzkniała, zimna i wyrachowana niż ja teraz. Prawdę powiedziawszy, nawet cieszę się, że te wspomnienia były przede mną ukryte. W pewnym sensie narodziłam się na nowo. Gdyby tamta osoba wydostała się na powierzchnię w Rzymie, nigdy... - zawahała się.

- Nigdy co?

- Nigdy bym cię nie pokochała.

Reiner odwrócił się i spojrzał na nią z rodzącym się uśmiechem na ustach.

- Przedziwnie układają się losy, prawda?

- Tak - przytaknęła, zarzucając mu na ramiona wojskowy płaszcz. - Niedługo przypomnę sobie więcej i stanę

się amalgamatem wspomnień. Nic całkiem Delphine, ale już nie... nadal nie wiem kim. Ale nasze relacje się nie zmieniają.

- Mam nadzieję - uśmiechnął się mimowolnie.

Delphine skończyła go ubierać.

- Jaki przystojny - powiedziała z uśmiechem. - Nie wierzysz? Sam się przyjrzyj.

Erhard posłusznie podszedł do wiszącego na ścianie lustro. Veller miał dobre oko, mundur wyglądał jak szyty na miarę. Szary wojskowy płaszcz dopełniał obrazu. Choć Reiner wiedział już, jakie potworności kryły się w cieniu Rzeszy i czym naprawdę był Sen, nadal czuł odrobinę dumy.

- Tylko ta nieregulaminowa broda. - Potarł się po zarostniętym policzku. - Właśnie. Frau Erhard?

- Kiedy spytali mnie o nazwisko...

Reiner mrugnął porozumiewawczo.

- No tak. To dobre nazwisko.

- Myślisz, że mogę je zatrzymać? - zapytała figlarnie.

- Pomyślimy o tym. No, dosyć tego dobrego. Nie możemy Vellerowi czekać, on nie wydaje mi się osobą, która toleruje spóźnienia.

- On w ogóle nie wydaje się osobą - mruknęła pod nosem Delphine.

Reiner kiwnął głową, ale nie skomentował tego w żaden inny sposób.

- Chodźmy - powiedział, wychodząc na korytarz. Zamarł. - Czekaj.

Za późno, Delphine stała obok niego.

- Oni nie żyją - bardziej stwierdziła fakt, niż zapytała.

Na korytarzu, pod drzwiami prowadzącymi do pokoju

Reinera, leżeli dwaj żołnierze Wehrmachtu. Ich ciała nie nosiły żadnych widocznych śladów obrażeń, ale puste oczy świadczyły o nieobecności ducha.

- Veller. Nie pozostawi żadnych świadków. - Reiner odetchnął głęboko. - Zabrzmi to makabrycznie, ale czuję, że postąpił słusznie.

- Myślisz, że by nas nie wypuścili?

- Na pewno. A my musimy się spieszyć. Kiedy pierwsze vimany przekroczą Atlantyk, wszystko będzie stracone.

- Dolecą tak daleko?

- Jeśli zastosują przenośne Wrota, myślę, że tak. Wiem, że zaprojektowano okręty, które mają spełniać tę rolę. Taka sieć będzie niestabilna, pojawią się fluktuacje i niedobory mocy. Straty w ludziach będą olbrzymie, ale...

- To nie będzie miało znaczenia.

- Nie, nie będzie. Chodź. - Wziął ją za rękę i poprowadził w głąb pustego korytarza.

Na zewnątrz było zimno i wietrznie. Pył, który dotychczas zalegał na ulicach, teraz unosił się na wietrze i gryzł w oczy. Na dziedzińcu przed szpitalem garnizonowym nie było żywej duszy, ale tuż za uchyloną bramą czekał czarny adler triumph junior. Reiner niespiesznie ruszył w stronę samochodu. Delphine trzymała się jego ramienia, co jakiś czas rzucając mu zaniepokojone spojrzenie.

Wysoko na niebie, gdzieś nad ruinami Zegara Fannsbacha, kipiała gorąca, czerwona chmura, w którą na skutek eksplozji generatora zamieniło się słońce Eskalacji. Pomiedzy obłokami dziwnego gazu przeskakiwały wyładowania elektryczne. Reiner widział już wcześniej coś



podobnego. W Carycynie. Jeśli to zjawisko rzeczywiście było identyczne, miazmaty stopniowo przybiorą kształt symetrycznej kuli i zastygną. Naukowcy, którym pozwolono zbadać carycyńską gwiazdę, ustalili, że wewnątrz chmury znajduje się źródło przyciągania grawitacyjnego, najpewniej jakiś nieodkryty, egzotyczny pierwiastek. Nikt natomiast nie wiedział, dlaczego gazy z czasem przechodziły w stan stały ani czemu tylko one poddawały się działaniu tej atypowej grawitacji.

Teraz Reiner wiedział więcej. Wiedział, że po drugiej stronie carycyńskiej gwiazdy rozciąga się obcy wymiar zwany Voghtoth, wiedział też, że sama osobliwość nie jest źródłem Eskalacji, a jedynie wyrwą w czasoprzestrzeni, przez którą starożytne siły mogły sięgnąć Ziemi. Pojawienie się drugiej gwiazdy, tym razem nad Berlinem, zwiastowało jedynie szybszą konwersję jego świata na podobieństwo tego drugiego.

Kiedy zbliżyli się do samochodu, tylne drzwi otworzyły się z charakterystycznym kliknięciem. Reiner przepuścił Delphine, a potem sam wsiadł do środka.

- Nie spieszyliście się zbytnio - rzucił Veller.

- Nie - odparł Reiner, nie wdając się w dalszą dyskusję.

Gdy samochód ruszył, przez chwilę żadne z trojga się nie odzywało. Ciszę przerwał Erhard.

- Chmura na niebie - zaczął, jakby mówił do siebie. - Powstała wskutek zniszczenia Zegara, prawda?

- Tak. To E-osobliwość.

- Tak myślałem. Przerodzi się w kolejną carycyńską gwiazdę?

- Nie. Po drugiej stronie nie ma nic, co by ją podtrzymało.

Nie wiem, ile czasu to zajmie, ale ta osobliwość ostatecznie zapadnie się w sobie.

- Chcesz powiedzieć, że kiedy zniszczymy źródło Eskalacji, carycyńska gwiazda przestanie istnieć? Oba wymiary znów zaczną się od siebie oddalać?

- Tak.

- A my zostaniemy tam uwięzieni, bez możliwości powrotu.

Veller chwilę milczał, zanim odpowiedział:

- Nie. Carycyńska gwiazda powinna utrzymać się na niebie jeszcze przez kilka tygodni. Poza tym... są też inne, mniej przyjemne sposoby podróży.

Reiner pomyślał o Azizie i boskich żyłach. Powoli kiwnął głową i wyjrzał za okno. Teraz, kiedy przejeżdżali bliżej centrum miasta, ujrzał spustoszenia, których dokonał. Całe budynki zostały spopielone, inne zawaliły się, kiedy ich fundamenty przestały istnieć. Na ulicach zalegał gruz i zastygłe plamy stopionego metalu. Część zniszczeń należało przypisać vimanom, które spadły na ziemię podczas krótkotrwałej przerwy w dostawie Eskalacji, ale większość była dziełem Reinera i młodego boga.

W oddali, na horyzoncie, gdzie kiedyś wznosił się gmach Zegara, z ziemi wystawał wygięty, osmalony słup. Wyglądał trochę jak krzywa wieża w Pizie, ale był znacznie wyższy i całkowicie gładki. Jedynie u szczytu jakaś straszliwa eksplozja rozerwała metalową powłokę i częściowo stopiła płaską nasadę cylindra.

- Czy to...?

- Tak, Słup Wieczności. Do dziś nie wiem, jak udało im się go tutaj niepostrzeżenie przetransportować z Irem.

Taki sam musieli umieścić pod Carycynem, żeby spowodować powstanie E-osobliwości. Kolejny musi stanowić serce drugiego, ukrytego generatora. Pozostałe spoczywają pod piaskami w Irem, cierpliwie czekając na swoją kolej. Nie doczekają się.

- Wygląda, jakby został jedynie lekko uszkodzony.

- Bo tak jest. Żeby zniszczyć te megalityczne słupy, trzeba o wiele więcej, niż krótkotrwałego objawienia młodego boga. W Voghtoth będziesz musiał użyć całej jego mocy.

Reiner zdał sobie sprawę, że Veller naprawę go potrzebował.

- A gdybym się nie zgodził? Nie poszedł z tobą?

Veller westchnął.

- Musiałbym dokonać tego, czego dokonali nasi naukowcy w Carycynie. Przeciążyć słupy. Po drugiej stronie widziałem ich przynajmniej dziesięć, wszystkie wysyłające jeden wspólny, koherentny sygnał. Implozja, jaką w tych okolicznościach wyzwoiliłaby Eskalacja, byłaby wielokrotnie silniejsza.

- Rozerwałbyś czasoprzestrzeń i otworzył kolejne przejście na Ziemię, niepomierne większe od carycynskiej gwiazdy. Miliony straciłyby życie.

- Prawdopodobnie. To by zależało od relatywnego położenia tamtych słupów w odniesieniu do naszego świata. Może przejście otworzyłoby się na dnie oceanu?

- A jeśli nie? Zabiłbyś tak wielu.

- W takim razie dobrze, że się zgodziłeś, prawda?

- Naprawdę byś to zrobił? - zapytała Delphine.

- Wiem, że brzmi to nieludzko, wiem również, że nie pochwalasz moich metod, ale to po prostu kwestia statystyki. Jeśli Eskalacja będzie trwać, zginie znacznie więcej

ludzi. Nasza planeta zostanie obrócona w jałowe pustkowie. Tysiąclecia cywilizacji odejdą w zapomnienie. W porównaniu z tym kilka milionów to niezbyt wygórowana cena. Zresztą nie ma co się nad tym rozwodzić, bo do tego nie dojdzie. Prawda, Reiner?

Erhard spojrział prosto w porcelanową maskę, ale nie odezwał się słowem.

- Tak dużo żołnierzy - zauważyła Delphine, wyglądając przez szybę.

Wszędzie było pełno wojska. Stalowe PzK S przemierzały ulice w towarzystwie oddziałów wydzielonych Wehrmachtu, na głównych skrzyżowaniach rozstawiono blokady i legitymowano obywateli. Zmiana rządów przebiegała bez zakłóceń.

Kierowca adlera znał się na rzeczy. Kluczył bocznymi uliczkami, przejeżdżał przez zdawałoby się nieprzejezdne place, wykorzystywał każdy skrót i każdą mniej uczęszczaną trasę. Reiner widział dzieci bawiące się na opustoszałych podwórkach i ekipy ratunkowe usuwające gruz i wraki. Zwykłych ludzi, próbujących dalej prowadzić swoje zwykłe życie, i oddziały porządkowe szukające dysydentów oraz zwolenników starego porządku.

- Kto został Führerem? - zapytał nagle.

- Nie uwierzysz.

- Naprawdę? Canaris?

- Życie naśladuje sztukę, przyjacielu. Wyciągnęli go z Flossenbürga, kiedy tylko aresztowano przywódców partii. Niestety dla niego, jest tylko marionetką w rękach klikki Stauffenberga.

- Nie sądziłem, że są tak potężni.

- Nikt nie sądził. Nikt tego nie przewidział. Mówiłem

ci, że to nieoczekiwany obrót spraw. Zamach przebiegł niesamowicie sprawnie, jakby...

- Jakby co?

- Nie wiem. Pomogła im panika, którą wywołała eksplozja Zegara.

- Chcesz powiedzieć, że na to liczyli? Że wiedzieli o naszych planach?

- Powiedziałem ci: nie wiem.

Samochód skręcił w kolejną alejkę i zauważalnie zwolnił. Za oknem budynku ustąpiły otwartej przestrzeni, pojawiły się gruzowiska, sterty pokruszonego betonu i pogniętego metalu. Wszędzie leżały resztki wimanów, wraki pojazdów technicznych i transportowców opancerzonych. Tam, gdzie spadły super-wimany, powstały olbrzymie, podłużne kratery o gładkich, stopionych ogniem krawędziach. Nie widzieli jednak żadnych zwłok, z pewnością dlatego, że Eskalacja nie pozostawiała z ludzi nic prócz pyłu.

- Jesteśmy w Tiergarten - zauważył Reiner.

- Tak. Na drugą stronę polecimy wimanem. To najbezpieczniejszy i najszybszy sposób.

Samochód zatrzymał się niedaleko jednego z mniejszych kompleksów hangarowych. Szare, prowizoryczne budynki z blachy wyglądały krucho, jakby mógł je zdmuchnąć najłżejszy wiatr, a jednak cudownym sposobem ostały się nienaruszone, kiedy wokół waliły się betonowe i kamienne konstrukcje.

- Dziękuję, Sam - zwrócił się Veller do okienka kierowcy. - Twoje usługi nie będą już potrzebne. Twój dług uważam za spłacony.

- Dziękuję, Herr Veller.

- To ja dziękuję, Sam.

Po tych słowach Veller wysiadł z samochodu, a Reiner

i Delphine poszli w jego ślady.

- Tam. - Mężczyzna w masce wskazał niewielki aerolot transportowy stojący przed jednym z hangarów i krzątających się wokół niego ludzi. - Nie wiem, ile mamy czasu. Obsługa lądowiska jest wciąż zajęta usuwaniem wraków supervimanów, które spadły na ziemię na północ stąd, ale tutaj też pracują ekipy remontowe. Mamy odpowiednie papiery, ale zostały wystawione jeszcze za poprzedniego reżimu. Jeśli pojawi się tu jakiś przedstawiciel nowego rządu, będzie wiedział, że coś jest nie tak.

- Rozumiem. Ile zajmie nam podróż?

- Do ruin Carycyna? Dwanaście godzin? Dziesięć? To nie jest najszybszy model, ale nie miałem z czego wybierać. Mamy zapasy żywności i wszystko, co będzie nam potrzebne do przetrwania w niegościnnym środowisku.

- Veller... - zagadnął nagle Reiner. - Kim są ci ludzie, którzy pracują przy vimanie?

Veller zatrzymał się w pół kroku.

- Tak... to ci się nie spodoba.

- Tak?

- Musisz zrozumieć, wróg mojego wroga i tak dalej. To ludzie Fannsbacha, którzy uszli cało z czystki, zostali schwytani i osadzeni w areszcie. Najniżsi rangą członkowie Stowarzyszenia Thule.

- Ludzie Fannsbacha?! Wypuściłeś ich? Współpracujesz z nim? Ty cholerna gnido!

Reiner złapał Vellera za kołnierz płaszcza, ale tamten się nie opierał.

- Reiner, viman potrzebuje załogi. Pomyśl, dla nich będzie to podróż w jedną stronę. To odpowiednia kara.

- Kara? Współpracujesz ze sługami Lewiatana.

- A ty ze mną. Jaki z tego morał? - zapytał retorycznie Veller. - Jeśli mi pozwolisz, zrobię z nich instrument upadku ich własnego boga.

Reiner zacisnął usta, ale zwolnił uścisk. Po chwili zapytał:

- Jak ich przekonałeś?

- Nie musiałem. To smutna prawda, ale wiara nie znosi próżni. Kiedy należeli do Stowarzyszenia Thule, obiecywano im życie wieczne na najdalszym brzegu, w rajskich ogrodach Boga. Ich bóg zawiódł, a jego wybraniec okazał się zaskakująco śmiertelny. Otworzyłem im oczy na nową prawdę. Czyż bóg, który powala twojego boga, nie jest godzien najwyższego oddania?

- Jesteś straszliwie cyniczny.

- Wiara to nie lojalność, Reiner, to sposób na życie. Zupełnie im się nie dziwię i, prawdę powiedziawszy, cieszę się, że trafnie odgadłem ich naturę. Jako nieliczni wyszli z pogromu Stowarzyszenia Thule, pewnie uważają się za szczęściarzy. Chciałbym widzieć ich miny, kiedy się przekonają, że ponownie zostali oszukani i że tym razem nie będzie dla nich ratunku. Czy to wystarczająca kara?

- Tak - szepnął wreszcie Reiner.

- W takim razie nie poruszajmy więcej tego tematu.

Reiner zauważył, że Delphine chce coś wtrącić, dlatego chwycił ją za rękę i delikatnie ścisnął. Kobieta zrozumiała i nie odezwała się słowem.

Veller poprowadził ich w stronę vimana. Aerolot stał na czterech teleskopowych nogach zakończonych mniejszymi trójnogami. To był jeden z pierwszych modeli, messerschmitt Vi1 gigant, opancerzony transportowiec

zdolny zabrać na pokład cały pluton żołnierzy wraz z ciężkim sprzętem. Nie był najszybszy, ale grube płyty kadłuba mogły wytrzymać nawet kilka trafień z broni termostrugowej. Wyglądem przypominał szarą, pękatą łódź podwodną, na której burtach wyrosły huby. Reiner wiedział, że przypominające dyski zwojnice generują sferę pola antygravitacyjnego, ale w jaki sposób było to możliwe, pozostawało dla niego zagadką. Dziób aerolotu wieńczył kopulasty kokpit, z którego piloci mieli trzystuszęćdziesięciostopniowe pole widzenia. Przedni iluminator był zaparowany, trudno było więc dostrzec, czy ktoś przeprowadza już procedurę przedstartową. Od spodu do vimana przymocowano gondolę obserwacyjną, a z tyłu, w okolicach rufy, mieściła się płyta załadunkowa.

Właśnie na tę platformę mężczyźni, którzy przygotowali aerolot do startu, wciągali mniejszy, staromodny samolot. On też wydał się Reinerowi znajomy. Heinkel He 116. To był samolot wielozadaniowy, transportowiec i jednostka dalekiego zwiadu. Takich pojazdów używano przed nadejściem ery Eskalacji.

- To na drogę powrotną - wyjaśnił Veller, podążając za spojrzeniem Reintera. - Kiedy zniszczymy Słupy Wieczności, vimany staną się bezużyteczne. Heinkel powinien mieć dostatecznie duży zasięg, żeby zabrać nas z powrotem do E-osobliwości.

- Czyli jednak nie widzisz wszystkiego w tak czarnych barwach, jak starasz się nam przedstawić - zauważył Erhard.

Veller nic na to nie odpowiedział. Podszedł do jednego z mężczyzn i zamienił z nim kilka słów. Wreszcie odwrócił się i oznajmił:



- Za dziesięć minut będziemy w powietrzu. Ona leci z nami?

- Tylko poza granice Niemiec.

- Reiner... - zaczęła Delphine.

- Rozumiem. - przerwał jej Veller. - Wylądujemy gdzieś przy granicy z Polską, to będzie stosunkowo najbezpieczniejsze miejsce na naszej trasie.

- Nie podejmujcie za mnie decyzji, jakbym była dzieckiem!

- Delphine, Voghtoth to nie miejsce dla kobiety. To nie miejsce dla kogokolwiek. Widziałem je na własne oczy i sama myśl o ponownej wizycie przeraża mnie tak, jak nie dotychczas. Ale ja muszę tam lecieć. Ty nie.

- Reiner...

- Nie, posłuchaj mnie. Nie pozwolę... nie chcę cię utracić. Proszę. Sama myśl, że mógłbym... nie, to się nie stanie. Poczekaj na mnie, tak jak czekałaś tu, w Berlinie. Wróć. Obiecuję.

Delphine spoglądała na niego nieprzekonana, ale nie odezwała się już słowem. Veller, znużony rozmową, odwrócił się w stronę vimana. Kultyści Lewiatana uwijali się jak w ukropie. Reiner zastanawiał się, czy zdolności Upiora rzeczywiście przepadły na dobre.

Nagle w oddali rozległ się grzmot.

Wszyscy zamarli i zwrócili się w stronę, z której dochodził huk.

E-osobliwość. Chmura skurczyła się, jakby ktoś nagle wysał powietrze z balonika. Chwilę później nastąpiła eksplozja, a zaraz po niej kolejna. Brzmiało to niczym uderzenia serca.

Po plecach Reintera przebiegł dreszcz.

- Uważajcie na falę uderzeniową! - wrzasnął Veller, klękając na jedno kolano, żeby przyjąć bardziej stabilną pozycję.

Miał rację. Z oddali nadciągały już gnane wiatrem tumany pyłu. Reiner objął Delphine w pasie i zasłonił ją własnym ciałem.

Chwilę później uderzył w nich zimny podmuch, niosący chmurę pyłu i piasku.

- Co to było?!

- E-osobliwość się kurczy. Dopóki jesteśmy na ziemi, nic nam nie grozi. Módlcie się tylko, żeby podczas lotu nie dosięgła nas kolejna fala.

Jeden z kultystów krzyknął coś do Vellera. Ten odwrócił się do Reintera i z satysfakcją w głosie powiedział:

- Jesteśmy gotowi. Zapraszam na pokład.

Wnętrze pojazdu nie było wykończone. Większość elementów nie została pokryta nawet jedną warstwą farby, ze ścian wychodziły kable, które ciągnęły się po ziemi, nie we wszystkich korytarzach funkcjonowało oświetlenie. Na pierwszy rzut oka viman sprawiał wrażenie niezdatnego do lotu.

W kokpicie jeden z członków Stowarzyszenia Thule sprawdzał po kolei gotowość poszczególnych zwojnic antygravitacyjnych. Drugi siedział za sterem i stukał nerwowo palcami w poręcz siedzenia.

- Pozwólcie, że wam przedstawię...

- Nie chcę znać ich nazwisk, Veller.

Veller westchnął.

- Jak sobie życzysz. Czas do startu?

- Poniżej minuty, Wybrańcu - powiedział pilot, rzucając nowo przybyłym szybkie spojrzenie.

Wybrańcu? Och, Veller.

- Startuj, kiedy tylko będziesz gotów. Leć zgodnie ze współrzędnymi, które ci podałem. Przygotowaliście wszystko, tak jak prosiłem?

- Tak.

- Dobrze. Reiner, Delphine, usiądźcie, proszę.

Delphine posłuchała, ale Erhard się nie poruszył. Czuł rosnący niepokój. Zrobiło mu się gorąco i duszno. Prawe ramię drżało spazmatycznie, tak mocno, że musiał je chwycić drugą ręką. Młody bóg konał. To była już kwestia dni. Jeden oślepiający błysk mocy, który zmiecie z pewnością również samego Reintera, a później bezdenna ciemność niebytu. Nie wiedział, skąd naszło go przecucie, że sprzeciwiając się pragnieniom młodego boga w Volkshalle przyspieszył jego śmierć. Czyżby nieskończona moc miała jednak granice?

- Startujemy.

Viman drgnął i powoli zaczął się unosić.

Berlin, pomyślał Reiner. Może już nigdy nie zobaczę tego miasta.

Delphine, jakby wyczuwając jego napięcie, wyciągnęła do niego rękę.

- Tylko spokojnie, nie chcemy zwrócić niczyjej uwagi - ostrzegł Veller. - Spokojnie...

Viman zwiększał pułap coraz szybciej. Reiner widział już ciągnące się za Tiergarten rzędy wieżowców, obdrapanie, popękane zęby cywilizacji. Widocznie istniał jakiś powód, dla którego ludzie szybciej uczyli się niszczyć niż budować. Jakaś wrodzona wada, leżąca u podstawy całego ludzkiego nieszczęścia.

Aerolot przestał się unosić i ruszył do przodu.

Na pulpicie kontrolnym zapaliła się zielona lampka sygnalizująca połączenia radiowe. Pilot, nie czekając na rozkazy Vellera, przełączył kontrolkę.

- Tu obrona lotnicza Tiergarten. Dokonałicie nieautoryzowanego startu. Podajcie swoją desygnację i kody startowe.

Veller skinął na mężczyznę, żeby zawiesił na chwilę połączenie, i powiedział:

- Cholera. Podaj im stare kody. Mała szansa, że zdążąli wprowadzić nowe.

Pilot spojrzął na Vellera. Coś w jego spojrzeniu wzbudziło niepokój Reiner. Mężczyzna ponownie przełączył kontrolkę radia i z kamienną twarzą powiedział:

- Tu viman Wybrańca Boga.

- Co ty robisz?! - syknął Veller.

- Zejdźcie nam z drogi albo poznacie gniew aniołów - dodał pilot, po czym przerwał połączenie. - Mówiłeś, że wola twojego Boga nie zna sprzeciwu. Jeśli naprawdę jesteś tym, za kogo...

- Ty głupcze! - wrzasnął Veller. Chwycił mężczyznę za głowę i zanim tamten zdołał coś zrobić, skręcił mu kark. - Ty! Kluge! - krzyknął do drugiego z kultystów. - Przejmij stery. Czy ty też chcesz wystawić mnie na próbę?

Mężczyzna z przerażeniem w oczach pokręcił głową. Przełknął ślinę, wypchnął bezwładne ciało pilota z fotela i zajął jego miejsce.

- W takim razie wyciśnij z tej maszyny, co się da, zachowanie dyskrecji przestało mieć znaczenie.

Reiner rzucił Vellerowi gniewne spojrzenie, ale uwagę Wybrańca przyciągnęła tarcza radaru. Na granicy wykrywalności pojawiły się cztery pulsujące punkty. Pościg.

- Wybrańcu, nie zdążymy uciec! - zaskomlił nowy pilot. - To Vi5, dogonią nas w ciągu kilku minut.

- Widzę... skręć o dziewięćdziesiąt stopni. Leć nisko nad budynkami, żeby zastanowili się nad każdym strzałem.

Viman obrócił się płynnie w powietrzu i pomknął w stronę centrum miasta. Domy poniżej zwały się w brunatno-szarą plamę. Przed oczami Reintera mignęła pokryta gruzem Unter den Linden i ruiny Staatsoper, przerażone tłumy i stanowiska ogniowe zbyt powolne, żeby ich namierzyć. Nie rozumiał, jak przy takich prędkościach ktoś mógł w ogóle panować nad aerolotem.

- Co teraz, Veller? - zdołał wykrztusić.

Najstarsze modele vimanów nie posiadały tłumików przyspieszenia. Pęd utrudniał mowę i oddychanie.

- Nie bój się, Reinter, zawsze istnieje inna droga. Kluge, przygotuj działko termostrugowe - zwrócił się Veller do nowego pilota.

- Dobrze, Wybrańcu, ale to przednie stanowisko ogniowe. Vi5 zbliżają się od rufy.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Zwiększaj pułap. Bardziej! Tak, leć... tam. - Veller wskazał czerwoną chmurę unoszącą się nad zgliszczami Zegara Fannsbacha.

- Veller?! - krzyknął Reinter.

- Wiesz przecież, to kolejna E-osobliwość. Jest niestabilna, ale myślę, że wystarczy. Z pościgiem na ogonie nigdy nie dotrzemy do Carycyna.

Chmura rosła w iluminatorze w zastraszającym tempie.

- Veller, nie możemy tego zrobić! Delphine...

- To nie koncert życzeń! Mamy jedną jedyną szansę i nie zaprzeczysz jej dla jakiejś kobiety! Kluge, kiedy

znajdziemy się na granicy chmury, odpal pełną salwę z działka! Zdestabilizujemy to cholerstwo!

Al-hadżar błyskawicznie i bezszelestnie wydostał się z dłoni Reinera. To stało się tak łatwe i... naturalne. Hauptmann płynnym ruchem przystawił miecz do szyi Vellera.

- Zawróć tego vimana.

Mrugające na radarze punkty były niebezpiecznie blisko.

- Za chwilę znajdą się w efektywnym zasięgu ostrzału  
- zakomunikował nerwowym głosem pilot.

- Nie.

- Ten miecz cię zabije. Które to już twoje życie? Ostatnie? Chcesz wrócić do swojego boga?

- Robię to, co nakazuje mi obowiązek względem ludzkości. Tego samego oczekiwałbym od ciebie. Kluge...

- Veller!

- Strzelaj.

- Niech cię szlag, Veller!

Niewidoczny strumień Eskalacji dotarł do wnętrza chmury i zapoczątkował reakcję łańcuchową. E-osobliwością ponownie wstrząsnęły bliźniacze eksplozje. Transportowy viman znajdujący się na drodze fali uderzeniowej nagle zniknął. Jego prześladowcy nie.

## 11. Po drugiej stronie lustra

*Po co iść tropem tego, co się już skończyło?*

Michaił Bułhakow

Ojciec kazał mu iść spać, a Reiner wiedział, że lepiej mu się nie sprzeciwiać. Wślizgnął się pod kołdrę, ale nie mógł zasnąć. Często mu się to zdarzało, w Dar el-Beida jeszcze częściej z powodu upału, który dokuczał pomimo bliskości morza. Kładł się wtedy na wznak i leżał, wpatrując się w sufit, dopóki nie pokonało go zmęczenie.

Wpadające przez otwarte okno delikatne podmuchy morskiej bryzy, jedyne wybawienie od gorąca, igrały z płomieniami świec. Reiner śledził cienie tańczące na suficie. Zastanawiał się, czy pomimo upału nie zamknąć okiennic, żeby wiatr przypadkowo nie zdmuchnął płomyków. Nigdy nie zasypiał po ciemku.

Wreszcie namyślił się i zwłókł z łóżka. Podszedł do okna, ale zatrzymał się, kiedy przez grubą moskitierę dostrzegł jakiś ruch na podwórzu. Wychylił się nieznacznie, żeby lepiej widzieć. Przed willą stała czarna furgonetka. Jacyś mężczyźni ją rozładowywali, inni wnosili pakunki do środka. Kiedy skończyli, wszyscy zniknęli wewnątrz domu.

Reiner porzucił swój punkt obserwacyjny przy oknie i zakradł się na korytarz. Po cichu przysunął się do balustrady, skąd miał doskonały widok na salon poniżej. Ci sami mężczyźni, których widział wcześniej na podwórzu, rozstawiali tu jakąś dziwną aparaturę. Kilku odwijają z olbrzymich szpul kable grubości męskiego ramienia. Jego ojciec, Adelmar Łowca, rozmawiał żywo z jakimś tubylcem.

Kiedy kable zostały całkowicie rozwinięte, dwaj mężczyźni przeciągnęli je przez pokój i dalej, przez drzwi prowadzące z salonu na zewnątrz, na tylne podwórze. Pozostali zaczęli składać poszczególne elementy urządzenia. W końcu podłączyli również te grube przewody. Wreszcie ojciec coś im powiedział i niemal wszyscy opuścili salon. Pozostał tylko Łowca, tubylec i trzeci, obcy mężczyzna.

Tubylec wyciągnął coś z torby, którą nosił na ramieniu. Przyjrzał się przedmiotowi krytycznie, po czym postawił go na stole. Był to jakiś sześcian, ale z tej odległości Reiner nie widział szczegółów.

Z zewnątrz zaczął dochodzić cichy, ale narastający turkot. Reiner wiedział, że za willą znajdowała się opuszczona stacja, którą kilka lat temu wzniesli francuscy faktorzy, liczący na przeprowadzenie tędy linii kolejowej. Przedsięwzięcie zakończyło się fiaskiem, ale krótki odcinek torów i mała stacja pozostały. Ktoś widocznie uruchomił starą lokomotywę. Tylko po co?

Kable, które ciągnęły się po ziemi, drgnęły, jakby poruszyła je jakaś niewidzialna siła. Dziwna aparatura zbudziła się do życia. Stojący na stoliku sześcian zaczął



syczeć, po czym ze środka jego górnej ściany wystrzelił promień czerwonego światła. Nagle w powietrzu zmaterializowały się jakieś obce symbole. Ojciec Reintera machnął ręką, która przeszła przez jeden z migoczących znaków na wylot.

Tubylec szybkim krokiem podszedł do innego z symboli i uniósł przed nim dłoń. Dziwaczne znaki zniknęły, ustępując miejsca jeszcze dziwniejszym postaciom. Obraz był niewyraźny, ale nawet Reinter widział, że postacie nie są ludźmi.

Widma zaczęły mówić, a trzeci z zebranych próbował tłumaczyć ich język. Z miejsca, w którym siedział, Reinter niewiele słyszał, dlatego postanowił podkraść się jeszcze bliżej. Powoli przeczłogał się wzdłuż balustrady, a potem zaczął ostrożnie zsuwać się po schodach, jeden stopień na raz.

- ...czegoś takiego. Obiekt zdaje się łamać wszelkie prawa nauki, jakie do tej pory uznawaliśmy za niepodważalne - tłumaczył język widm trzeci z mężczyzn. - Zupełnie jakby nie istniał w rzeczywistości, tylko stanowił zbiorową halucynację. Innymi słowy, obiekt nie posiada masy ani gęstości, nie poddaje się działaniu żadnych znanych nam fal, nie wpływają nań żadne ze znanych nam promieni, pozostaje niewzruszony w obliczu siły kinetycznej, jak również zmian w polu ME.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedział Łowca. - Przeviń dalej.

Tubylec skinął głową i wykonał jakiś ruch ręką. Postacie zniknęły, ale po kilku sekundach znów się pojawiły, tyle że w innych miejscach salonu.

- Dokonałiśmy przełomu - kontynuował tłumacz.

- Dziś jeden z moich asystentów wszedł w przypadkowy kontakt z obiektem. Obiekt się zdematerializował, a z zachowania mojego asystenta wnioskujemy, że treść obiektu wniknęła w jego ciało i w jakiś sposób się z nim zespoliła. Nasz nowy obiekt okazał się chętny do współpracy i odpowiedział na wszystkie nasze pytania, niestety często w niezrozumiały dla nas sposób. Zapytany, czym jest, odpowiedział: końcem. Zapytany, jak się nazywa, odpowiedział: poprzedzający. Zapytany o miejsce pochodzenia, wskazał nam obszar przestrzeni znajdujący się poza granicami poznanego przez nas kosmosu. Zapytany, po co przybył na Voght, odpowiedział: położyć kres. Jeden z moich laborantów wykazał się niespotykaną bystrością umysłu i poprosił obiekt o opisanie, gdzie się znajduje, wraz z podaniem współrzędnych.

Obiekt odpowiedział, cytując: nigdzie, nigdy. Nasza hipoteza co do istoty obiektu jest następująca: istnieje on poza granicami czasu i przestrzeni, na zupełnie innym, nowym poziomie egzystencji, którego nie jesteśmy w stanie poznać.

Obraz zgasł.

- To wszystko? - zapytał Łowca.

- Tak - odparł tubylec. - To był ostatni przekaz. Cała placówka badawcza zniknęła w kaskadzie oślepiającego światła. Niemniej, *efendi*, to wiele. Ten dziennik mówi nam, że mamy do czynienia jedynie z emanacją. To wierzchołek góry lodowej, której prawdziwe rozmiary skrywają nieprzeniknione odmęty nieznanego. Ta istota, ten młody bóg, jak go zwiecie, nie podlega prawdom nauki. Grawitacji. Zachowania energii. I przede wszystkim przyczynowości.

- Przyczynowości?

- Wiedziałem, że to cię zainteresuje, *efendi*, biorąc pod uwagę twoje...

- Cii... czekaj. Kto tam jest?

Lowca odwrócił się w stronę schodów.

Rzeczywistość rozmyła się z przeciągłym świstem.

Reiner obudził się na niewygodnej żołnierskiej pryczy, która stała się jeszcze bardziej niewygodna, kiedy w pewnej chwili wśliznęła się na nią druga osoba. Podniósł się na łokciach i rozejrzał się po klaustrofobicznie małej kajucie. Nadal przebywał na pokładzie transportowego *vi-mana*. Spojrzał na leżącą u jego boku Delphine. Mimo straszliwych blizn szpecących jej twarz wciąż wydawała mu się piękna. Delikatnie przejechał dłonią po jej policzku, naznaczonym teraz nierównym, bliznowatym naskórkiem. Delphine otworzyła oczy, uśmiechnęła się i pokręciła głową, aż włosy spadły jej na twarz.

- Przeszkodziłaś mi - powiedział z uśmiechem.

- Nie sądzisz, że to się już trochę zużyło?

- Pamiętasz to? Nic na to nie poradzę. Widzę piękno, więc je kontempluję - parsknął śmiechem, ale szybko spoważniał. - Gdzie jest Veller?

- Ma dla siebie cały górny poziom ładowni.

- Dobrze. Posłuchaj, muszę się z nim natychmiast rozmówić. Nie, nie bój się, co się stało, to się nie odstanie. Chodzi o młodego boga. Wyjaśnię ci wszystko, kiedy wrócę.

- W takim razie wracaj szybko.

Reiner zwlókł się z łóżka i opuścił kajutę.

Jego ojciec i Aziz! Jak to możliwe? Kto prowadził podwójną grę? Aziz? Z pewnością. Jego ojciec? Być może. I czemu nie pamiętał tego wcześniej? Czyżby Arab pomieszał mu w głowie bardziej, niż początkowo zakładał? Ile jeszcze wspomnień stracił? Czy dlatego nie pamiętał

twarzy swojego ojca? Pamiętał gęsty zarost, pamiętał okulary i zmarszczki na czole, ale nie mógł tego wszystkiego złożyć w spójny obraz. Teraz, kiedy próbował zrobić to świadomie, dostał straszliwej migreny.

Przetarł czoło i postanowił, że przemyśli to później.

Spojrzał na ścianę korytarza w poszukiwaniu kolorowego kodu, który zaprowadziłby go do ładowni, ale przypomniał sobie, że tego vimana nawet nie pomalowano. Skrzywił się, bo na pokładach aerolotów wszystkie przejścia wyglądały tak samo. Na szczęście Vi1 był stosunkowo mały, więc odnalezienie ładowni nie powinno zabrać zbyt wiele czasu. Energicznie ruszył przed siebie.

W mijanych po drodze iluminatorach widział zniszczony świat ze swych snów, zielonkawe niebo i czarną, jałową ziemię. Z pęknięć gruntu buchały kłęby dymu, z czarnozielonych chmur zwisły niepokojące wstęgi. Tak wyglądał Voghtoth.

Reiner błędził wzrokiem po rozciągających się w dole krainach. Lecieli wysoko, tak wysoko, że nawet największe miasta Rzeszy wydawałyby się stąd planami sztabowymi. Zniszczony krajobraz stopniowo przeszedł w szarozielony step. Pośrodku wznosił się gigantyczny menhir, pokryty włochatą roślinnością.

Coś było nie tak. Reiner podszedł do następnego iluminatora, żeby lepiej się przyjrzeć. Teraz zrozumiał, co mu nie pasowało. Menhir się poruszał. Reiner nie wyobrażał sobie istoty liczącej ponad sto metrów wzrostu, ale oto miał ją przed oczami. Stworzenie kroczyło powoli, na szczęście w przeciwnym kierunku niż viman. Reiner wycężył wzrok, próbując wypatrzeć jakieś szczegóły. W tym momencie stwór obrócił głowę i spojrzał wprost na vimana. Na niego.

Odskoczył od iluminatora jak oparzony. Morda istoty była ohydna. Krótki włochaty pysk zakończony płaskim, opadającym poniżej warg nosem, z którego na boki odchodziły długie kocie wąsy. Powyżej para wylupiastych, bezrozumnych oczu i masywne chitynowe rogi, zakrzywione jak u wołu. Stwór przypominał krzyżówkę wielu istot, w tym, co najstraszniejsze, również człowieka.

Reiner przysięgłby, że potwór go zauważył.

Powoli wycofał się z korytarza obwodowego. Postanowił, że od tej pory będzie się poruszał jedynie wewnętrznymi, pozbawionymi okien przejściami. Ruszył w głąb aerolotu, ale nadal nie mógł się otrząsnąć po tym, co zobaczył.

Po kilku minutach odnalazł wreszcie ładownię. Przed dużymi, przesuwными drzwiami stało dwóch mężczyzn uzbrojonych w mausera. Ze środka dobiegały jakieś przytłumione dźwięki. Kiedy Erhard podszedł bliżej, mężczyźni zastąpili mu drogę.

- Nikt nie może przeszkadzać Wybrańcowi.

- Wybrańcowi? Przysięgliście wierność bytom spoza naszego świata. - Reiner nie mógł opanować złości. - Jesteście żalonymi karykaturami ludzi. Powiedz - zwrócił się do wyższego - czemu nie oddałeś się całkowicie, czemu nie stałeś się jednym z ctanów? Ze strachu? - Teraz spojrzal na drugiego z wartowników. - A może nie byłeś dość dobry? Muszę porozmawiać z Vellerem, więc zejdziesz mi z oczu albo sam was usunę! Zrozumiano?

Mężczyźni, nawet nie wymieniając spojrzeń, odsunęli się i jak zahipnotyzowani, posłusznie odeszli w głąb korytarza. Reiner ostrożnie podkradł się do drzwi ładowni i zaczął nasłuchiwać.

Te dźwięki... nie, to niemożliwe. Muzyka?

Złapał za uchwyt i powoli odsunął płytę drzwiową na kilka centymetrów. To, co zobaczył w środku, kompletnie go zaskoczyło. Ściany ładowni udekorowano czerwoną draperią, w kątach ustawiono wazony z uschłymi kwiatami. Wszystkie przedmioty przymocowano do ścian stalowymi drutami, żeby podczas gwałtownych manewrów porcelana się nie stłukła i tkanina nie spadła na podłogę. Pod ścianą naprzeciw wejścia ustawiono ozdobny drewniany stół. Na blacie stał gramofon i stos płyt, butelka brandy, szklanki, obok leżały jakieś zdjęcia.

Na środku pomieszczenia stał Veller. Zostawił gdzieś swój płaszcz i szal, odłożył podręczną broń termostrugową. Bez tych wszystkich atrybutów wyglądał dziwnie zwyczajnie. Zdradzała go tylko porcelanowa maska. A jednak wciąż wyglądał groteskowo.

Veller tańczył.

*And it's time to close your eyes.*

Reiner znał tę melodię. Spokojna i piękna. Walc *It's Time To Say Goodnight* Henry'ego Halla. Pamiętał, że tańczył do niego podczas nocy sylwestrowej w trzydziestym ósmym. Z Delphine. Byli tacy beztroscy i szczęśliwi. Zalała go fala słodko-gorzkich wspomnień, oczy zwilgotniały. To na pewno wina wadliwej wentylacji.

*Let's put out the light...*

Reiner wytarł nos i patrzył dalej. Veller był zdumiewająco dobrym tancerzem. Ruchy miał płynne i precyzyjne. Tańczył z uniesionymi rękami, jakby obejmował niewidoczną partnerkę. Wirował po parkiecie jak zaklęty, jakby nie znajdował się na rozklekotanym wimanie pośrodku przeklętego Vogthoth, tylko w sali balowej jakiegos

pałacyku pod Wiedniem.

*TM the dawn breaks through the skies...*

Oczywiście! Trudno to sobie wyobrazić, ale Veller był kiedyś żonaty. Reiner powinien pamiętać, przecież widział jej grób. Amelia. Nazywała się Amelia. Zmarła w tym samym czasie, kiedy jej mąż odrodził się i przywdział maskę. Ile spędzili ze sobą szczęśliwych lat? Jak bardzo ją kochał?

*While long shadows creep...*

Co to za dźwięk? Reiner przysunął się bliżej. Tak, Veller coś mówił, zbyt cicho, żeby rozróżnić poszczególne słowa, ale w głosie brzmiał smutek. Rozpacz.

*May your dreams be sweet and bright...*

Nagle Veller zatoczył się i padł na kolana. Zaczął łkać. Zniekształcone dźwięki wydostawały się spod maski ze słabym pogłosem.

*In a moment you'll be sound asleep.*

Wciąż na klęczkach, Veller przysunął się do stolika i chwycił butelkę brandy. Podniósł ją gwałtownie, jakby chciał się napić, lecz złocisty płyn spłynął po porcelanowej masce, zalewając koszulę. Rozdrażniony Veller rzucił butelką o ścianę. Brzęk tłuczonego szkła utonął pomiędzy kolejnymi taktami walca.

*It's time to say goodnight.*

Jakby po omacku Veller sięgnął po leżące na stole zdjęcie. Pod tym kątem Reiner widział je wyraźnie. Nie miał wątpliwości, kogo przedstawiały.

Amelia była klasyczną piękną. Długie, złociste loki

opadały jej na pierś, na ustach malował się nieśmiały uśmiech.

- Amelio - zawył Veller. - Amelio. Tak bardzo cię przepraszam. Tak bardzo.

Reinerowi zrobiło się zimno, poczuł, że żal ścisną mu serce.

- Amelio, wybacz mi, proszę. Tak bardzo cię zawiodłem... Przepraszam... przepraszam...

Reiner nie mógł już dłużej wytrzymać pod drzwiami. Ostrożnie się odsunął, potem przyspieszył kroku. Za zakrętem korytarza zaczął biec. Zatrzymał się dopiero przed swoją kajutą.

Delphine siedziała na pryczy i przeglądała książkę przyrodniczą. Włosy opadały jej na twarz. Podniosła wzrok znad kartek i spytała:

- Co się stało? Wyglądasz...

Erhard chwycił ją w ramiona i przycisnął usta do jej ust.

- Co w ciebie wstąpiło? - zapytała niepewnie, kiedy odsunął się od niej, żeby spojrzeć jej w oczy.

Reiner uśmiechnął się przez łzy.

- Chcę się cieszyć tą chwilą.

Pocałował ją znowu.

I znowu.

•

Nie wiedział, czy minęły minuty, czy godziny. Krajobraz za iluminatorem tonął w półmroku, a jego zegarek marki Zenith przestał działać z chwilą przekroczenia granicy pomiędzy światami.

- Nie śpisz? - spytała leżąca obok Delphine, wodząc palcem po kosmykach na jego piersi. Jej gładkie, nagie ciało lśniło od potu.



- Nie - odparł, rozkoszując się spokojem. - Zastanawiam się. Nad młodym bogiem.

- Czemu?

Erhard spojrział na nią czule.

- Och, Delphine, przecież wiesz - zaczął, mówiąc jak do dziecka. - Młody bóg to najpotężniejsza siła, jaką znamy. Drżą przed nim zarówno bogowie-Trójca, jak i salgothy. To instrument naszego zbawienia.

- Reiner, wiem to wszystko - powiedziała gniewnie. - Więc czemu jeszcze nikogo nie zbawił?

- Co masz na myśli?

- Salgothy posiadały tę siłę, ale przy jej pomocy potrafiły się jedynie niszczyć. Ten Erhard z przeszłości otrzymał młodego boga, a jednak stał się wybrańcem bogów i obrócił się przeciwko ludzkości. Cała ta moc, o której tyle mówicie, okazała się bezużyteczna.

Reiner nic nie odpowiedział. W ogóle o tym nie pomyślał. Teraz, kiedy Delphine wyłożyła mu to prosto, wniosek był oczywisty.

- Coś ci się śniło? - zapytał, żeby zmienić temat.

- Tak - powiedziała i przełknęła ślinę. - Widziałam olbrzymie miasto i jego mieszkańców. Stolicę świata z jej akweduktami, amfiteatrami i agorami. Widziałam Kolozeum, Circus Maximus i boski Panteon. Widziałam pracownię mojego męża... co to za spojrzenie? Reiner Erhard jest zazdrosny? Niepotrzebnie, to było dawno temu.

- Nie, po prostu... - zaczął, ale zdał sobie sprawę, że rzeczywiście jest zazdrosny. - Nieważne. Nie chcę ci przerywać. Mówiłaś, że widziałaś pracownię, tak?

- Mhm. Pamiętam, że było tam wiele ksiąg. Zwojów, manuskryptów, woluminów.

- Delphine - zaczął ostrożnie - czy to ci przypominało legowisko Biesiadnika?

- Tak! Ale to było wcześniej. Zanim... zanim...

Kobieta zaczęła się trząść. Reiner objął ją ramieniem i mocno przytulił.

- Chyba nie powinniśmy rozgrzebywać tych wspomnień.

- Nie. Prędzej czy później będę musiała stawić im czoło. W pracowni... mój mąż studiował te księgi. Była wśród nich ta, o której wspominał Upiór.

- *Nemetus*?

- Tak. Żelazna księga o jednej lśniącej stronie. Nie wiem, jak to robił, ale za każdym razem, kiedy ją widziałam, widniało na niej coś innego. Jej migotliwa poświata pozwalała mu czytać w najczarniejszych ciemnościach. Nocami, kiedy nie mógł spać, dotrzymywałam mu towarzystwa, a on opowiadał mi o sekretach świata. Myślę, że często mówił o młodych bogach.

- Przypominasz sobie coś? Coś, co by nam pomogło?

- Tylko jedno. Nie zostaliśmy stworzeni do oglądania młodych bogów.

- Wiem. Myślę, że dlatego widziałem go tylko raz, w przedśmiertnej malignie. Przybrał postać zrozumiałą dla mnie. Ale czemu tak jest?

Delphine wzruszyła ramionami.

- Może nie są tak idealni, jak wszyscy wierzą?

Gdyby byli, czemu jeden z nich musiałby mieszkać w tobie, żeby przetrwać?

Reiner uśmiechnął się gorzko. Przetrwać. Młody bóg umierał, a on razem z nim.

- Jest jeszcze coś - dodała.

- Wiesz, że możesz mi powiedzieć wszystko.

Delphine spuściła wzrok. Po chwili milczenia podjęła:

- To była pierwsza rzecz, którą sobie przypomniałam, ale bałam ci się powiedzieć, bo... Pamiętam, kiedy pojawił się Biesiadnik. Pamiętam, że coś poszło nie tak. Mój mąż krzychał. Prosił mnie, żebym mu podała gladiusa. Ale ja stałam jak sparaliżowana. Nie mogłam się ruszyć. Wreszcie uciekłam. Gdybym, gdybym potrafiła... gdybym mu pomogła...

- Delphine. - Delikatnie uniósł jej brodę, ich spojrzenia się spotkały. - Posłuchaj mnie. Mój ojciec nie mógł go pokonać, a walczył z takimi istotami całe życie. Nie zrobiłaś nic złego. To nie jest twoja wina.

- Ale...

- Nic nie mogłaś na to poradzić, Delphine. Nie powinnaś się tym zadrećzać. - Mówiąc to, Reiner poczuł, że z jego własnej piersi osuwa się niewidzialny ciężar.

Delphine nic nie odpowiedziała, tylko wtuliła się w niego.

- Nie myśl o tym.

- Mhm. Opowiedz, co się tobie śniło.

Reiner wbił wzrok w sufit kabiny.

- Ojciec - powiedział wreszcie. - Ale tym razem było inaczej. To było wspomnienie, ale do dziś nie zdawałem sobie sprawy z jego istnienia. Do dziś go nie miałem. Pamiętam, że go nie miałem.

- Teraz wiesz, jak ja się czuję przez cały czas.

- Pewnie masz rację. To było takie dziwne wrażenie.

Był tam Aziz i...

Przerwało mu pukanie do drzwi.

- Erhard, musimy porozmawiać. - Głos należał do Vellera.

- Chwilę,  
- Chwilę - rzucił z powątpiewaniem tamten. - W takim razie będę w gondoli obserwacyjnej.

Nigdy nie ma czasu, pomyślał Reiner. Westchnął i zaczął się ubierać.

•

Każdy viman, nawet najmniejszy model myśliwski, posiadał specjalny pokład lub gondolę, służącą do prowadzenia bezpośredniej obserwacji otoczenia z pominięciem aparatury pomiarowej. Na Vi1 również znajdowało się takie miejsce. Metalowy kosz, wyglądem przypominający obudowaną altankę, był zamontowany na spodzie aerolotu, mniej więcej w połowie długości. Przerwy pomiędzy prętami stabilizującymi nie były oszklone, można było je natomiast ręcznie zasłonić wysuwanymi z sufitu stalowymi, segmentowanymi płytami. Do gondoli prowadził właz, z którego spuszczało się rozkładaną, metalową drabinę.

Reiner zeskoczył z kilku ostatnich stopni. Na niewielkim pokładzie przebywał już Veller i jeden z jego ludzi. Kultysta stał z lornetką przy barierce i obserwował niebo.

- Jesteś - zagadnął Veller. - Delphine ci nie towarzyszy?

- Zaraz zejdzie. Nie jest przyzwyczajona do poruszania się po konstrukcji w ruchu.

Reiner ponownie pożałował, że ich viman nie posiada stabilizatorów ciężenia. Bez nich lot często przypominał jazdę na kolejce górskiej.

- O czym chciałeś porozmawiać?
- Spójrz na południowy wschód.

Erhard posłusznie przeniósł wzrok na horyzont. Przez kurtynę ciężkich, czarnozielonych chmur i zielonkawych oparów, które unosiły się z ziemi, przebijał zimny, czerwony blask.

- Tam leży serce Eskalacji. Tutejszy odpowiednik Miasta Słupów. Jeśli utrzymamy obecną prędkość i kurs, osiągniemy cel za niecałe sześć godzin. Delphine, cieszę się, że do nas dołączyłaś. - Veller zwrócił się do kobiety, która pokonywała ostatnie stopnie drabinki. - Spójrz na siedlisko degeneracji i moralnego upadku: salgothańskie miasto, tutejsza Gomora. Salgothy. Ich czas już przeminął - kontynuował.

- I zważywszy na ich występki, minione i obecne, dobrze się stało. - Oparł się o barierkę i wychylił poza krawędź. - Spójrzcie. To rzadki widok.

Reiner i Delphine posłusznie spojrzeli na ziemię poniżej aerolotu.

Po jałowym, spieczonym pustkowiu przelewała się jakaś czarna ciecz.

- Co to jest?

- Migracja. Nieprzeliczone zastępy żarłocznych pasożytów, każdy nie większy od ziarenka piasku, ale razem jak niepowstrzymana powódź. Jeśli wierzyć legendom, wylazły na świat z żołądka jednego z pierwszych tytanów, które kroczyły po Voghtoth.

*Sajurn Deoth*, przypomniał sobie Reiner. *Ostatni z Pierwszych*.

- Tytanów?

- Tak. - Veller zwrócił w jego stronę porcelanowe oblicze. - Voghtoth nie jest zamrożone w czasie. Być może czas biegnie tu równoległe do naszego świata. W każdym razie bogowie-Trójca nie zawsze byli dominującą siłą. Od

samego początku byli potężni, ale kiedyś mieli rywali. Innych pretendentów do miana bogów. Spontaniczne, ewolucyjne mutacje, które wydawały na świat unikatowe byty niezwyklej rozmiarów i ogromnej mocy.

- Widziałem jedno z takich stworzeń - zauważył Reiner. - Kroczyło ściepami niczym kolos z baśni.

Wyglądało jak pokryty włosiem kamień, ale kiedy odwróciło głowę... to był straszliwy widok.

Veller zaśmiał się.

- Nie widziałeś jednego z tytanów, tylko ich skarłałego brata... tych pozostało jeszcze wielu, ale nie stanowią większego zagrożenia. Oczywiście mogą siał zniszczenie, ale przez większość czasu po prostu przemierzają pustkowie w poszukiwaniu pożywienia. Są roślinożerni. W myślach zawsze nazywałem ich behemotami.

- Wszystkiego tego dowiedziałeś się ze swoich podróży do Oka Świata? Ile ich było?

- Zbyt wiele, przyjacielu. Zbyt wiele. Ale nie, część informacji, zwłaszcza o pierwszych mutacjach, wydobylem z fragmentów *Nemetus* i z *De Vermis Mysteriis*, a część z notatek mojego poprzednika i jego popleczników. Behemoty są niegroźne, o ile się ich nie sprowokuje.

- Ten spojrział prosto na mnie.

- Niemożliwe.

- A jednak.

- Cóż, dobrze. Gdzie przebywa teraz?

- Nie wiem, poruszał się w przeciwną niż my stronę.

- W takim razie nie stanowi problemu. Wielu mieszkańców Voghtoth jest wbrew pozorom niegroźnych. Inne, jak zify, posiadają tak proste umysły, że nawet teraz,

w stanie osłabienia, potrafię na nie wpływać i ukrywać naszą obecność.

- Zizy?

Veller ponownie wychylił się z gondoli, ale tym razem wskazał w górę.

- Widzicie te wstęgi, które tańczą na wietrze? To chwytny wici, którymi zizy łapią swoje pożywienie, głównie inne, mniejsze istoty latające. Same zizy żyją wysoko ponad pokrywą chmur, w stratosferze. Pojedynczy osobnik może osiągnąć rozmiary przekraczające Volkshalle, a one często żyją w koloniach.

- Jak utrzymują się w powietrzu? - zapytała Delphine.

- Z tego, co rozumiem, mają workowate sakwy z gorącym powietrzem. Jak to możliwe, tego nie wiem. Jeśli rozmiary zizów wam imponują, to muszę was ostrzec: wyżej, w mezosferze, żyją jeszcze większe i bardziej drapieżne, kanibalistyczne gatunki. O, tak - dodał Veller, widząc miny rozmówców. - To świat bez naturalnych tabu. Co więcej, podejrzewam, że te istoty przestworzy mają w genach zakodowany swoisty cel. Wypatrują.

- Czego?

- Młodych bogów.

- Wybrańcu - przerwał im rozmowę kultysta, który wcześniej przepatrywał niebo.

- Tak?

- Na granicy widoczności zauważyłem istoty. Prosiłeś...

- Tak, tak, daj mi lornetkę - zniecierpliwił się Veller. - O, tam! - Mężczyzna zwrócił się na południe. - Poinformuj pilota o zmianie kursu. - Kultysta zniknął we władze. - Kolonia chust, szczęście nam sprzyja.

- Tak?

- Tak. Wszędzie ich pełno. Jeśli wiatry będą pomyślne, pod ich osłoną poszybujemy w stronę słupów Eskalacji.

- Chusty? Naprawdę? Nie potrafiłeś wymyślić czegoś lepszego?

Gondola zadrżała. Viman zmienił kierunek.

- Vogthoth to konglomerat niezliczonych form życia. Już dawno skończyły mi się sensowne nazwy. To grzyby. Nazywam je tak, bo wyglądają niczym chustki unoszące się na wietrze. W ten sposób się poruszają i rozsiewają zarodniki. Gdyby udało nam się ukryć pod jednym z nich, moglibyśmy dotrzeć w pobliże serca Eskalacji zupełnie niezauważeni.

- Właśnie. Jak zamierzasz zinfiltrować słupy?

- Zinfiltrować? - zdziwił się Veller.

- Mam nadzieję, że rozumiesz, że obecność Delphine wyklucza użycie młodego boga. Pozostaje nam przeciążyć generatory. Więc?

Veller przez chwilę patrzył na Erharda, nic nie mówiąc.

- Zbliżamy się do chust - zameldował schodzący po drabince kultysta. - Ale jeśli będziemy lecieć dalej tym kursem, wejdziemy w strefę, którą kazał pan omijać. Rozkazy?

- Jaką strefę? - zaciekawił się Reiner.

- Las zarodni. Bardzo niebezpieczne miejsce. Tysiące gatunków drapieźników, niektóre tak duże, że połknęłyby tego vimana w całości. Poza tym same zarodnie mogą się w każdej chwili otworzyć. Gdyby chociaż jeden zarodnik dostałby się do waszego układu oddechowego... - Groźba zawisła w powietrzu.

Veller jeszcze raz obrzucił spojrzeniem oddalające się chusty.



- Jednak nie mamy tyle szczęścia. Wracajcie na poprzedni kurs. Polecimy skrajem lasu.

- Tak jest.

- Zresztą nie, sam im powiem. Na waszym miejscu nie siedziałbym tu długo. - Veller zwrócił się do Reinera i Delphine. - Za chwilę zahermetyzujemy statek. Zarodniki - dodał wyjaśniająco.

•

Kokpit zaczynał już nabierać tego charakterystycznego zapachu, mieszaniny potu, strachu i tanich papierosów. Nikt tu nie dbał o dyscyplinę. Veller może był ich „wybrańcem”, ale z pewnością nie był ich przełożonym.

- Proszę spojrzeć - powiedział pilot. - Dwie chusty odłączyły się od kolonii.

Veller spojrział na radar.

- To dziwne. Jaki jest kierunek wiatru?

- Południe, południowy zachód.

- W takim razie to nie chusty.

Veller wyjął lornetkę i zaczął obserwować przestrzeń za wianem.

Po chwili dostrzegł dwa łopoczące na wietrze obiekty. To były chusty, ale poruszały się zastraszająco szybko i pod wiatr. Wreszcie, kiedy znalazły się bliżej, dostrzegł czerwoną poświatę bijącą spod ich cielsk.

- To one - syknął. - Salgothy. To z pewnością patrol.

Reiner wziął od niego lornetkę i również rzucił okiem na zbliżające się stworzenia.

- Widzę, że nie tylko tobie przyszedł do głowy pomysł z chowaniem się pod chustami. Jeśli zawiadomili braci o naszej obecności...

- Musimy założyć, że tak się stało.
- Ten statek nie nadaje się do walki.
- Zgadzam się. Pilotcie, zbliż nas do krawędzi lasu zarodni.

Veller wskazał ciągnącą się po prawej stronie ścianę roślinności. To nie były drzewa, zorientował się Reiner, tylko pierwotne formy życia, grzyby i porosty. Wyrosły tak wysoko, że w ich cieniu schowałyby się wieżowce Nowego Jorku. Niektóre sięgały chmur. W nieprzeniknionym gąszczu tu i ówdzie majaczyły pękate, bladeżółte puszki z zarodnikami lub całe kule zarodników, przywozzące na myśli dmuchawce.

- Tylko czemu się ukrywają, Veller? Przed kim?

Na pulpicie zaświeciła się kontrolka odpowiadająca za radio.

- Chcą rozmawiać? - zdziwił się Reiner.
  - Nie tym razem - warknął Veller. - Zahermetyzujcie statek.
  - Co zamierzasz?
  - Zobaczymy, czy są na tyle szaleni, żeby za nami polecieć.
  - Założmy, że tak.
  - W takim wypadku zapłacą za swoją śmiałość - powiedział Veller z pewnością w głosie.
- Tej pewności rozpaczliwie brakowało Reinerowi.
- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Veller.
  - Tak, do cholery!
- Reiner zmierzył go wzrokiem.
- Pójdę ostrzec Delphine.

•

Dwadzieścia minut później Erhard ponownie wspiął się po schodkach do kokpitu. Nerwowa atmosfera

udzieliła się wszystkim, nawet Vellerowi, który kołysał się lekko na fotelu. Reiner pokonał kilka ostatnich stopni i zajął miejsce za fotelem pilota.

- Coś się zmieniło?

- Wciąż nas doganiają. Jakieś osiem minut temu zaprzestali prób nawiązania kontaktu.

Viman leciał teraz niepokojąco blisko lasu zarodni. Ściana zieleni stała się wyraźniejsza, można już było rozróżnić poszczególne pnie. Kojarzyły się Reinerowi nieodparcie z pędami bambusa albo sitowia, zaś same zarodnie z kolbami kukurydzy lub, gdy należały do drugiego typu, z koronami dmuchawców.

- Czemu w ogóle zadały sobie trud?

- Nie wiem - powiedział Veller, kiwając znacząco na pilota. - Może chciały nas zatrzymać. One też eksperymentowały z technikami wpływania na umysł.

Reiner spojrział na swoją lewą dłoń, którą zdobił pierścień Sulejmana. Tak, wiedział o tym doskonale. Nie chcąc siedzieć bezczynnie, wydobył lornetkę ze skrzynki i zwrócił się w stronę rufy. Obce statki były już bardzo blisko, ale nadal nie rezygnowały z kamuflażu.

- Na co one czekają?

Jakby w odpowiedzi viman zatrząsł się, a od strony lewej burty buchnęły płomienie i trysnęła roztopiona stal. To było bezpośrednie trafienie bronią termostrugową. Kolejne trafienie zbiło go z nóg. Kiedy się podnosił, aerolotem targnęła eksplozja. Miał nadzieję, że to nie konwerter energii albo jedna z baterii Eskalacji.

- W las! - wrzeszczał Veller. - Leć w las!

Viman gwałtownie skręcił i niczym pocisk przebił zieloną ścianę.

- Strzelały przez ciało chusty - wymamrotał Reiner. -  
Widziałeś to? Tak jakby znajdowały się wewnątrz niej.

- Genialne. Biomaskowanie. Hodowały grzyby wokół statków.

Aerolot mknął przez splątaną gęstwinę porostów. Pilot starał się unikać pękających zarodni i szybujących luzem większych zarodników, ale co jakiś czas któryś z nich uderzał o poszycie vimana, rozpryskując się w chmurę kolorowego pyłu.

Reiner rzucił szybkie spojrzenie za rufę aerolotu. Statki salgothów wciąż ich ścigały.

Świat wokół nich stanął w niewidzialnym ogniu. Zarodnie, pędy i wirujące w powietrzu zarodniki kurczyły się i czerniały albo wybuchały, zamieniając się w gorące kule plazmy. Gdziekolwiek trafiły promienie termostrugowe, zieleń przeobrażała się w szary popiół. Statek również zaliczył kilka trafień. Reiner na własne oczy widział bąble wrzącej stali, które pękały wśród elektrycznych błysków, spowodowanych zwarciami kabli biegnących pod płacami kadłuba.

- Veller, co teraz?

Upiór nie odezwał się słowem, jego maska nie wyrażała niczego, tylko na porcelanowej powierzchni pojawiły się czarne skazy.

Z gąszczy przed nimi wystrzeliła olbrzymia, zakończona ptasim dziobem macka, niewiele cieńsza od samego vimana. Dziób rozwarł się szeroko, ukazując kolejne pary klapiących wściekle szczęk.

Tkanka rogowa dzioba niespodziewanie eksplodowała. Odłamki poleciały na wszystkie strony. Jeden, długości ramienia dorosłego mężczyzny, wbił się w szybę

kokpitu. Rozległ się przeraźliwy świst i wszystko, co nie było przymocowane do podłoża, zaczęło wirować, zasysane przez pęknięcia.

- W górę - szepnął Veller. - W górę.

Na szybie kokpitu osiadało coraz więcej zarodników.

- Słyszałeś go! - wrzasnął Reiner do pilota. - W górę!

Ucieszył się, że zostawił Delphine w kajucie. W sercu statku była najbezpieczniejsza, a on mógł się skupić na tym, co działo się dokoła. Spojrzał do tyłu akurat w chwili, kiedy inna macka zakończona dziobem, być może należąca do tej samej istoty, pochwyciła jeden ze ścigających ich statków. Niby-chusta zniknęła w szczękach potwora niczym drewno w traku.

Viman wznosił się pod coraz większym kątem. Reiner czuł, że krew odpływa mu z głowy. Chwyił się oparcia siedzenia i z trudem wciągnął na siedzisko. Zdążył zapiąć pas, zanim aerolot wypadł z gęstwiny porostów i poleciał w kierunku baldachimu chmur.

Za nimi w górę pomknęło kilkanaście macek, ale żadna nie była dość szybka. Spomiędzy nich, lawirując niczym myśliwski viman, wystrzelił drugi statek salgothów.

- Wyżej - mamrotał Veller. - Wyżej.

Viman zaliczył kolejne trafienie. Cała lewa burta stała w ogniu. Migły wszystkie kontrolki bezpieczeństwa.

- Teraz - szepnął Veller, opuszczając ręce i zaciskając pięści.

Gdyby tego nie widział, Reiner z pewnością by nie uwierzył. Jedna z powiewających na wietrze wstęg wystrzeliła niczym bicz w kierunku ścigającego ich pojazdu.

Wić owinęła się wokół chusty i z zaskakującą szybkością pociągnęła ją w górę. Chwilę później aerolot salgothów zniknął w chmurach bez śladu. Veller ocknął się z transu.

- Stan statku. Melduj! - wrzasnął do pilota.

- Straciliśmy dużą część zwojnic grawitacyjnych lewej burty. Na razie nabieramy prędkości, ale jeśli ogień wciąż będzie trawił odsłonięte podsystemy, stracimy stateczność i wpadniemy w niekontrolowany ruch wirowy.

- W takim razie leć jeszcze wyżej. Szybko. Ponad pokrywę chmur.

- Wybrańcu, ciśnienie...

- Przeżyjemy. W rozrzedzonym powietrzu łatwiej ugasić ogień. Na moją komendę wyłączysz wszystkie systemy. Jesteś cały, Reiner?

- Tak... kontrolowałeś to coś?

- Ziza? Tak. Poprzez Oko Świata. Ono wzmacnia moje zdolności.

Erhard tego nie skomentował. Usiadł wygodniej w fotelu i starał się opanować narastający ból głowy. Aerolot zniknął w zielonoczarnych kłębach chmur.

- Reiner? - Kobięcy głos dobiegał od strony schodków prowadzących na korytarz.

- Cholera, Delphine! - warknął gniewnie. Ciśnienie rozsadzało mu uszy. - Miałaś zostać w kajucie!

- Chciałam... - zaczęła, ale kolejna eksplozja pochłonęła jej słowa.

Reiner odpiął swój pas bezpieczeństwa i przesunął się ostrożnie w stronę schodków. Powoli pomógł Delphine wdrapać się do kokpitu.

- Za chwilę przebijemy pokrywę chmur, Wybrańcu.

- Dobrze, zacznij wyrównywać lot. Przygotuj się do wyłączenia wszystkich systemów.

Erhard spostrzegł, że z uszu Delphine płynie krew. Zmiana ciśnienia. Zaczął się modlić w duchu, żeby pilot nie stracił przytomności.

Równie nagle, jak wniknął w powłokę chmur, viman wydostał się z czarnozielonych oparów. Pojazd trząsał się, ale leciał w miarę równo. Reiner widział, jaki wysiłek sprawia pilotowi utrzymanie sterów.

- Bądź gotowy, Kluge - wyszeptał Veller.

Pilot kiwnął głową i wyciągnął rękę w kierunku awaryjnego bezpiecznika.

Oczy wszystkich skupiły się na lewej burcie.

- Teraz!

Lampki kontrolne, radar, wewnętrzne oświetlenie kokpitu, wszystko zgasło.

Ogień pelgający po lewej burcie zafalował i zaczął przygasać.

Ulga, jaka zapanowała w kokpicie, była niemal namacalna.

- Boże - wyszeptała Delphine, wskazując na jakiś przedmiot znajdujący się przed vimanem.

Wzrok Reinerja podążył za jej palcem ku nocnemu, rozgwieżdżonemu niebu, które rozciągało się za szybą. Przez chwilę myślał, że wskazuje na opasłe cielsko jednego z tuzinów zizów, które unosiły się wokół, ale nie. Wskazywała na coś, co znajdowało się dalej.

Wreszcie to zobaczył.

Białą, pooraną uderzeniami meteorytów powierzchnię na atramentowym tle.

Księżyc.

## 12. Akty desperacji

*Nie chodzi tu więc o to, czy ktoś jest słaby, czy silny, tylko czy może przetrwać miarę swojego cierpienia, moralnego czy fizycznego.*

Johann Wolfgang von Goethe

W kokpicie vimana panowała cisza. Wszyscy wpatrywali się w srebrny, wiszący na niebie glob. Pierwszy odezwał się Veller:

- To niemożliwe. Przedostaliśmy się do Vogthoth. Opuściliśmy naszą rzeczywistość.

- Bo to nie jest nasza rzeczywistość, Veller - powiedział zimnym głosem Reiner. - Ale nie możesz zaprzeczyć temu, co widzisz. Jesteśmy na Ziemi. Pilocie, przywróć zasilanie vimana.

Siedzący za sterem mężczyzna zwrócił się w stronę Vellera.

- Rób, co mówi. Reiner, to nie może być prawda. Musi istnieć jakieś inne wyjaśnienie...

Nie, Veller, nie istnieje. Powinniśmy byli wiedzieć. Bliźniacze Miasto Słupów po tej stronie E-osobliwości? Obecność salgothów, ich wojna z bogami-Trójcą. To



wszystko już się wydarzyło, rozumiesz? Przebywamy w mitycznej przeszłości Ziemi.

*To wszystko jest już pyłem i pleśnią. Ziemia jest skażona.*

Czyż młody bóg mu tego nie powiedział? Reiner po prostu nie potrafił słuchać. Jaki los by ich czekał, gdyby nie odkryli prawdy? Jaka intrygę knuli bogowie? Czy Aziz wiedział?

- To niedorzeczne! Wielokrotnie spoglądałem przez Oko Świata, gdyby Voghtoth było Ziemią, wiedziałbym o tym!

- Już raz cię okłamano.

Veller nie odpowiedział.

- Przyjrzyjcie się - powiedziała spokojnie Delphine. Do tej pory nie brała udziału w rozmowie, tylko przypatrywała się niebu. - Lewa górna krawędź. Powierzchnia jest rozświetlona. Tak jakby...

- Tak jakby coś się tam znajdowało. - Reiner myślał gorączkowo. Wreszcie zrozumiał. - Miasto albo metropolia. Schronienie salgothów.

- O czym ty mówisz? - zapytał Veller, ciągle zaszokowany straszliwym odkryciem.

- Aziz opisał mi exodus swojego ludu. Kiedy ich cywilizacja chyliła się ku upadkowi, salgothy znalazły schronienie gdzieś, gdzie nie mogły ich osiągnąć szpony bogów-Trójcy.

- Myślisz, że uciekły na Księżyc? To absurdalne!

- Czemu? Wiemy, że dzięki Eskalacji moglibyśmy sięgnąć gwiazd, gdybyśmy nie toczyli wojny.

Reiner nagle coś sobie uświadomił.

- Czy wiesz, w jaki sposób Eskalacja przedostaje się do naszego świata?

- Nie znam szczegółów. Czy to ważne?

- Salgothy z Miasta Słupów. Może... - Reiner przełknął ślinę - ...może przesyłają Eskalację świadomie. Z własnej woli. Może to nie Fannsbach miał nią władać, tylko te salgothy, które czekały w Słupach Wieczności?

- Myślisz, że po prostu je ubiegł? Okradł? Ale jaki miały cel?

- Powrót. Pomyśl. Co, jeśli wciąż czekają, uwięzione pod pokrywą skał na Księżycu? Jeśli wyczekują dnia, kiedy odzyskają Ziemię, oczyszczoną ze wszystkich pomiotów bogów-Trójcy, w tym ludzkości? One przetrwają nasz holokaust, który nastąpi niedługo dzięki Eskalacji.

Veller zamyślił się. Wreszcie odparł:

- To... możliwe. Jeśli rzeczywiście przebywamy w przeszłości... to nawet jest nam na rękę. Taki obrót spraw stwarza dla nas wyjątkową okazję.

Veller nie zdążył dokończyć myśli. Viman zaczął się trząść, kontrolki ponownie rozjarzyły się na czerwono. Aerolot przekrzywił się na lewą burtę i tracił teraz wysokość znacznie szybciej, niż powinien.

- Melduj, Kluge!

- To jakieś zwarcie w mechanizmie konwersji Eskalacji. Nie jesteśmy w stanie pobierać dostatecznie dużo energii, żeby utrzymać się w powietrzu. W każdej chwili system może zostać przeciążony.

- W takim razie leć w dół i posadź nas jak najszybciej.

- Gdzie?

- Gdziekolwiek!

- Veller, nie jesteśmy dostatecznie blisko celu.

- Ten viman nie poleci dalej, Reiner. Po wszystkim, przez co przeszedłem, nie zginę w katastrofie lotniczej. Będziemy musieli znaleźć inne rozwiązanie.

Aerolot z powrotem zanurkował w kłębowisko chmur. Przebił się przez zielonoczną pokrywę i pomknął dalej, ku wypalanej, wyjałowionej ziemi. W oddali majaczyły tytaniczne słupy Irem i górujące nad nimi słońce Eskalacji. Wszędzie wokół zalegała jakaś szara, skłębiona masa. Tu i tam na powierzchnię przebijała się pokryta grzybami kamienna iglica, ale poza tym krajobraz był całkowicie zdominowany przez przedziwną materię.

- Posadź nas tam, w okolicy tych skał - rozkazał Veller.

- Co to za wynaturzenie? - zapytał Reiner, wskazując na szarą, ciągnącą się po horyzont masę.

- To Lewiatan.

- Co?

- Ta splątana masa tkanki i korzeni to cielsko Lewiatana. Jest bezmyślny, ale lgnie do Oka Świata i pragnie zniszczyć gorejący wrzód na swym ciele, jakim jest Irem. Nie zdaje sobie sprawy, że w tej chwili to jedyny instrument jego powrotu. Niweczy starania własnych wyznawców. To śmieszne, nie sądzicie? Spójrz, Kluge, jaką pozbawioną rozumu istotę czcisz. Spójrz na wypaloną ziemię wokół Słupów Wieczności. Jego wysiłki spełzają na niczym, ale to go nie powstrzymuje. Jednak... - podjął Veller. - Myślę, Reiner, że masz rację, a to pogorzeliśko wokół słupów to koronny dowód. Żaden z bogów nie prowadziłby wojny z samym sobą... w tak zorganizowany sposób. Te salgothy posiadają wolną wolę. Tak długo

stawiają mu opór... Ich umysły już dawno powinny zostać wchłonięte.

- A jednak.

- Tak. Jeśli rzeczywiście przebywamy w przeszłości, to mamy przed oczami ostatni bastion salgothańskiego Imperium.

- Przyjdzie nam się o tym przekonać.

Veller zbył go milczeniem.

- Podchodzimy do lądowania - zakomunikował Kluge. Na jego twarzy malowały się sprzeczne uczucia. Strach, obrzydzenie, złość. Widocznie słowa Vellera zabolaly go bardziej, niż chciał okazać.

Delphine zajęła jedno siedzenie, na drugim usiadł Reiner, a na trzecim Veller. Wszyscy zapięli pasy bezpieczeństwa i w napięciu oczekiwali na rozwój wypadków. Aerolot minął kilka kamiennych iglic i znieruchomiał. Następnie zaczął powoli opadać w kierunku ziemi. Wszystko się trzęsło, najwyraźniej zwojnice prawej burty nie nadążały z kompensowaniem uszkodzeń lewej. Do powierzchni zostało tylko kilkanaście metrów, kiedy konwerter Eskalacji wreszcie odmówił posłuszeństwa. Pojazd runął w dół, ku wszechobecnemu cielsku Lewiantana. Pomimo znacznej wysokości lądowanie było miękkie, bo ciało boga zamortyzowało upadek. Aerolot wbił się w jego tkanę niczym stalowa drzazga. Zanim wiman wytracił resztki pędu, Veller już zaczął odpinać pasy.

- Spieszysz się gdzieś?

- Tak, i ty też powinienes. Za chwilę zlecą się tu ctany i gorsze plugastwa. Musimy uciekać - dodał, wstając.

- Delphine, jesteś cała? - zapytał Reiner.

- Mhm. Nic mi nie jest. Upiorze, czy nie staniemy się podatni na wpływ Lewiatana?

- Już na nas wpływa. Jeśli szybko stąd nie odejdziemy, zostaniemy tu na zawsze. Czy to wystarczający argument?

- Masz dar przekonywania, Veller - skwitował z cierpim uśmiechem Reiner.

•

Warunki, jakie panowały na zewnątrz, nie różniły się zbytnio od tego, czego Reiner doświadczył podczas swych sennych podróży. Było zimno, ale chłód zdawał się emanować od wewnątrz. W powietrzu unosił się nieprzyjemny fetor nieczystości i chmary natrętnych owadów. Tu i tam ciało Lewiatana znaczyły naturalne kratery, z których wydostawały się zielonkawe gazy ograniczające widoczność. W ciemnościach echem niosły się nieludzkie ryki i zbyt ludzkie jęki.

Maszerowali już od dobrych kilku godzin, ale krajobraz zdawał się nie zmieniać. Na zgrubieniach tkanki wyrastały rogowe wypustki, ni to paznokcie, ni to pazury. Pomędzy fałdami mięśni i tłuszczu wiły się grube, półprzezroczyste żyły wielkości tuneli kolejowych. Miejscami te żyły były przecięte, a wielokolorowe płyny, które się z nich wylewały, tworzyły rzeki, bagniska i jeziora. Czasem musieli przebyć las włosia albo wyjątkowo paskudną, ropiejącą ranę, która dla nich stanowiła urwisko albo przepaść. Reiner podejrzewał, że skały, które wyrastały wokół nich, to nic innego jak kości, które przebiły ciało, a później przez niezliczone lata skryły się pod porostami i grzybami. Z vimana wyruszyło osiem osób, ale dwóch z

mężczyzn, których zwerbował Veller, zdążyło już uciec w noc.

- To zew Lewiatana - wytłumaczył im. - Na każdego przychodzi czas. Jedni przeistoczą się szybciej, inni będą musieli patrzeć, jak ich towarzysze ulegają zezwierzęceniu.

Podczas wędrówki napotykali przeróżne istoty, ale większość z nich stroniła od podróży. Najmniejsze, podobne do gryzoni, długimi, zakończonymi kolcami trąbami ogołacały żyły Lewiatana z substancji odżywczych niczym szarańcza. Inne, większe, przypominające stawonogi o nieparzystej liczbie kończyn, przemierzały ciało boga w poszukiwaniu krwawej rozrywki. Reiner był zdumiony i przerażony, kiedy spostrzegł, jak dwa z trójnogich polipów po kolei wrywają trzeciemu odnóża, żeby ostatecznie porzucić go na pastwę losu.

Były też olbrzymy. Hipopotamy o szerokich pyskach, poruszające się na długich, cienkich nogach. Pożerały wszystko, co znalazło się w zasięgu ich wzroku, w tym kamienie i wyciekające z jelit Lewiatana kwasy żołądkowe. Często po takim posiłku padały martwe, bowiem ich ciała nie były w stanie przetrwać tak ekstremalnego pożywienia.

Nad jeziorami płynów ustrojowych zbierało się ptactwo. Duże, wielobarwne ptaki przypominające czaple, ale o wielu dziobach i trzech lub czterech skrzydłach, oraz mniejsze, wyglądające jak miniaturowe strusie, pozbawione oczu, o kilku mackach wyrastających z krótkiego, tępego dzioba. Te istoty oddawały się gwałtownej kopulacji, która częstokroć kończyła się zagryzieniem jednego partnera przez drugiego.

Jeśli Lewiatan miał być obcym ekosystemem, wolą sprowadzającą harmonię, to Reiner tego nie dostrzegął. Dookoła widział tylko bezrozumny chaos.

- Potrzebujemy planu, Veller - wychrypiał do ucha mężczyzny w masce. Czuł obcą świadomość, która ocierała się o jego zmysły. Z każdą minutą ta świadomość stawała się śmielsza. Nie przetrwają długo.

- Mmmm - odparł tamten. - Muszę się skupić. Postój. Zarządź postój.

Rozbili obóz u podnóża jednej z kamiennych iglic. Nie ważyli się rozpalać ognia, a tylko nieliczni mieli apetyt, żeby coś zjeść. Członkowie Stowarzyszenia Thule powoli zaczęli zdawać sobie sprawę z tego, że nie będzie dla nich ratunku, a obiecany raj był tylko ułudą. Delphine, cichsza niż zwykle, przez większość czasu wpatrywała się obojętnie w odległy horyzont. Zmiany nie ominęły Vellera, który co chwila łapał się za głowę albo kulił z bólu.

- Musimy porozmawiać - szepnęła wreszcie do Erharda, kierując wzrok na towarzyszących im mężczyzn. - Na osobności.

Reiner zauważył, że mężczyzna zastąpił swoją porcelanową maskę nową, z jakiegoś polerowanego metalu. To pewnie miało coś wspólnego z czarnymi skazami, które zauważył w vimanie.

Musieli coś zrobić, zanim wszyscy wpadną w obłęd. Szybko.

Powoli skinął głową i dał Vellerowi ręką znak, żeby poczekał. Podszedł do siedzącej z boku Delphine i przykucnął obok niej. Twarz miała bladą i nieobecną.

- Delphine, jak się czujesz?

- Znam to uczucie - powiedziała, wpatrując się w dal. - Najpierw dopada cię przeraźliwy ból głowy. Później ból mija, a ty wychwytyjesz myśli, które nie należą do ciebie. Mija jeszcze trochę czasu i nie możesz myśleć o niczym innym. Twoje wspomnienia rozplývają się jedno po drugim. Wreszcie przestajesz być sobą i zmieniasz się w jakiegoś bezradnego obserwatora. To tylko kwestia czasu.

- Delphine, wszystko będzie dobrze, naprawdę. - Reiner zdjął swój wojskowy płaszcz i narzucił go kobiecie na ramiona. Wyglądała w nim komicznie, bo był na nią o kilka numerów za duży. - Będzie ci ciepłej.

- A ty?

- Mam młodego boga - skłamał, bowiem Gabrleth nie zapewniał mu żadnej osłony przed zimnem. - Posłuchaj mnie uważnie. Muszę porozmawiać z Vellerem, ale będę w pobliżu. W kieszeni płaszcza masz pistolet. Na wszelki wypadek.

Spojrzała mu w oczy.

- Bądź ostrożny.

Reiner uśmiechnął się i pogładził ją po policzku.

- To tylko rozmowa, Delphine - skłamał ponownie. - Ach, jeszcze coś. Powinienem był to zrobić jakiś czas temu, ale nie miałem odwagi.

Z kieszeni marynarki wydobyl niewielkie zawiniątko. W środku błyszczało srebro.

- Co to?

- Przypomnienie... że każda rzecz albo nie istnieje, albo występuje w nieprzeliczonej liczbie iteracji. Trzeba się tylko napracować, żeby je odnaleźć. Niebawem wrócę, Delphine - dodał, odchodząc.

Wiedział, co mu powie Veller. Wykorzystaj moc młodego boga. Ale on nie był gotów. Czy Veller to zrozumie?



- Nadal walczą, chociaż ich świat został obrócony w piekło. Co za upór. Głupota.

- Nadzieja - skontrolował Reiner. - Powiedz, czy twoje moce powróciły?

- Czemu pytasz?

- Potrafisz podróżować w niepojęty dla mnie sposób. Wyłaniasz się z cieni, z żywych organizmów. Moglibyśmy...

- Podróżuję poprzez Strumień Życia. Ale to, o co prosisz, jest niewykonalne.

- Czemu?

- Bogini nie wytrzyma smrodu młodego boga. Ty jeden nie mógłbyś za mną podążyć, a tylko twoja obecność może coś zmienić. Nie, Reiner, nie możemy się stąd wydostać. Jest tylko jedno wyjście. Użyj go.

- Nie.

- Nie? Jesteśmy u zarania dziejów, Reiner, pomyśl, możesz to wszystko zniszczyć. Nie tylko bogów-Trójcę, nie tylko salgothy, ale Irem! Zetrzeć je z powierzchni Ziemi, tak że do naszych czasów nie przetrwa nawet jego wspomnienie! Rozumiesz to? Nigdy nie odkopimy Miasta Słupów, nigdy nie zdobędziemy Eskalacji! Świat ocala.

- Nie można zmienić czasu, Veller - odpowiedział znużonym głosem Erhard. - To już się wydarzyło.

- W takim razie co proponujesz? Czekać bezczynnie?

- Zgodnie z historią, Irem zostało pogrzebane pod piaskami czasu. Salgothy przegrały. Musimy tylko zatrzymać przepływ Eskalacji do naszych czasów.

- Więc zrób to! Wyzwól młodego boga! Jeśli twierdzisz, że to już się stało, to niczego nie zmienisz. Kto wie, może to ty jesteś kataklizmem, który położył kres ich cywilizacji?

- Przeszło mi to przez myśl.
- Więc na co czekasz? Użyj go.
- Nie.

Veller wreszcie pojął.

- To nie ma nic wspólnego z przyczynowością, prawda? Nie zrobisz tego, bo nie chcesz jej skrzywdzić.

Erhard nie odpowiedział. Zamiast tego spojrział w dół, na ich prowizoryczny obóz. Wypatrzył skuloną postać kobiety. Minęło tak niewiele czasu, a on przeszedł tak długą drogę. Poczucie winy, które nim kierowało, zostało zastąpione czymś innym. Pomyślał o tamtej Delphine, francuskiej aktorce, która musiała zapłacić życiem, żeby on otrzymał szansę ocalenia Ziemi.

- Reiner, na Opatrzność, to posunęło się zbyt daleko. Spójrz na mnie. Spójrz na mnie! Powiedz, proszę, czy dla jej życia, jej krótkiego życia, które zakończy się zespoleniem z wiecznie głodnym Lewiatanem, jesteś gotów poświęcić swój świat.

- Tak - odpowiedział spokojnie Erhard.

- Nie jesteś godzien. Nie jesteś. Nie potrafisz ponieść brzemienia. Ja powinienem być posiąść młodego boga. Ja, Erhard, nie ty! To było mi przeznaczone!

- Doprawdy? Przeznaczone?

Czarny miecz wysunął się bezszelestnie z dłoni Reineira. Kiedy Hauptmann się odwrócił, spostrzegł, że Veller przyłożył dłoń do maski.

- Ściągniesz ją?

- A zmusisz mnie do tego?

- Opamiętaj się, Veller. Moja śmierć niczego nie zmieni. Sam w to nie wierzysz. Czy to jeszcze ty kryjesz

się za maską, czy to już twój bóg pociąga za sznurki?

Veller energicznie pokręcił głową.

- Głos... jest tak przemożny. Ale masz rację, twoja śmierć niczemu nie posłuży - dodał, opuszczając ręce. - Przepraszam.

Reiner odprężył się.

Kiedy uderzyła w niego wiązka termostrugowa, doznał szoku. Poczul palący ból w ramieniu i swąd spalonego mięsa. Nogi się pod nim ugięły. Padł na kolana, wrzeszcząc przeraźliwie.

- Przepraszam, przyjacielu - kontynuował spokojnie Veller, opuszczając dłoń. Bandaże, którymi była owinięta, zniknęły w chmurze dymu. - Staralem się wyrządzić jak najmniej szkód, chociaż za chwilę to i tak nie będzie miało znaczenia. A teraz posłuchaj mnie: Użyj młodego boga.

Reiner poczul, jak do jego umysłu wdziera się obca świadomość. Aziz był niczym w porównaniu z Vellerem. To przez to miejsce, zdał sobie nagle sprawę Hauptmann. Bliskość Oka Świata.

Spotęgowane moce Wybrańca rozdzierały jego mentalne osłony, jakby darły kartki papieru. W zderzeniu z determinacją mężczyzny w masce woła Reiner rozpadała się na tysiąc małych kawałków. Rzeczywiście, to Dieter Veller powinien był przyjąć młodego boga.

Niczym nieskrępowane myśli Vellera przedzierały się przez nieprzeliczoną liczbę połączeń nerwowych w poszukiwaniu tego jednego, które pozwoli im spopielić świat.

Erhard wiedział, że opór jest bezcelowy, dlatego nawet nie próbował się przeciwstawiać. Zamiast tego uciekł na

zewnątrz i odkrył jedną z tajemnic, jakie zataił przed nim Arab.

Pierścień Salomona nie miał nic wspólnego z władzą nad demonami.

Służył do ogniskowania myśli, jak lupa ogniskuje promienie słoneczne. Zwiększał naturalne zdolności. Aziz dał mu broń skuteczną nie tylko przeciwko salgothom. Otworzył jego umysł. Obdarzył mocami, które wymykały się zrozumieniu.

Reiner ledwo sięgnął jaźni Vellera. Zdolał wyłowić tylko kilka najsilniejszych, najbardziej fundamentalnych myśli, ale to wystarczyło.

- Zabiłeś ją - powiedział cicho. - Własną żonę.

Nacisk, jaki czuł w umyśle, momentalnie zniknął.

Podniósł wzrok na stojącego przed nim mężczyznę.

Veller, chociaż nie zmienił pozycji, stał się jakby mniejszy. Wszystkie żale zlały się w jeden i popłynęły wartką, wezbraną rzeką.

- Ona - zaczął - była chora. Bardzo chora. Lekarze nie dawali jej szansy. Ja... patrzyłem, jak marnieje. Jak wije się w męczarniach. Czasem... - głos mu się załamał. - Czasem nie pamiętała, jak się nazywa. Gdzie jest. Wrzeszczała. Błagała, żebym jej pomógł. Żebym przy niej został. Nie potrafiłem. A kiedy zostałem wybrany... Skąd miałem wiedzieć? Myślałem, myślałem, że służę bogini Ziemi. Gai. Że odeślę ją z powrotem do Strumienia Życia. Nie wiedziałem. Naprawdę. Nie wiedziałem. Patrzyła na mnie. Wyciągała dłonie. Chciała mnie dotknąć. - Zaczął łkać. - Ale pod maską nie ma już nic.

- Ty nadal tam jesteś, Veller - wyszeptał cicho Reiner.

- Chciałem jej pomóc - kontynuował mężczyzna w masce. - Oszukiwałem się. To było samolubne. Byłem słaby. Nie chciałem tego. Nie potrafiłem... nie potrafiłem...

Reiner powoli podniósł się z ziemi. Prawe ramię go paliło, ale ból ustępował, widocznie za sprawą młodego boga.

- Nie oceniam cię, Veller. Ale ja nie przekroczyłem jeszcze tego mostu. Wciąż widzę światło, nawet jeśli ty go nie dostrzegasz.

Veller uniósł głowę. Na wypolerowanej powierzchni maski odbijały się czerwone promienie Eskalacji i niewyraźna twarz Hauptmanna.

- Moje życie straciło znaczenie. Tylko śmierć, tylko śmierć niesie ze sobą jakiś sens.

Reiner zamknął oczy. Kiedy je otworzył, wiedział, co musi zrobić.

- Zabierzesz stąd Delphine. Weźmiecie heinkla...

Veller pokręcił głową.

- Nie wystarczy paliwa. Nie mieliśmy czasu. Bak jest tylko w jednej czwartej pełny.

- Więc czemu...?

- Z powodu tej wartości, którą zdajesz się cenić. Nadziei. Dla ciebie i Delphine. Gdybyś wiedział, że nie ma dla ciebie ratunku...

- Zawsze wiedziałem. Od chwili, kiedy znalazłem list od Basima Lee i wyruszyłem do Paryża. Ale jest dla Delphine. Zabierz ją przez Strumień Życia. Są miejsca... - Starał się przypomnieć sobie odpowiednie słowa. - Gdzie przesłona jest wyjątkowo cienka. Erhard z Edelbergu potrafił ją przebić, tak samo Martius Pullo i inni. Odprowadź ją do domu. Na naszą Ziemię. A ja zniszczę ten świat, tak jak prosisz.

- Obiecujesz?

Z mroku wyłoniła się olbrzymia włochata łapa. Mężczyźni uskoczyli spod jej cienia z nieludzką zwinnością, którą zostali obdarzeni przez swych bogów, każdy w inną stronę.

Uderzenie zatrzęsło iglicą. W dół posypały się odłamki skalne i fragmenty grzybów, w górę wzbil się zielonkawy pył. Reiner padł na kolana, ale momentalnie poderwał się z ziemi. W kłębach oparów gazowych dostrzegł zarys gigantycznego zwierzęcego pyska o wytrzeszczonych, przekrwionych oczach.

Behemot.

Kolejne uderzenie nadeszło z północy. Reiner złapał się kamiennego występu, żeby nie stracić równowagi. Skalę, do której przylgnął, pokryła gęsta pajęczyna pęknięć. Wibracje przeszły w trzęsienie ziemi. Bez zastanowienia przeskoczył na sąsiednią, przekrzywioną iglicę. Nie znalazł chwytu i zaczął się zsuwać po mokrej powierzchni, wrywając kępy porostów. Wreszcie instynktownie wy dobył czarny miecz. Zamachnął się rozpaczliwie i wbił go w skalę, zatrzymując niekontrolowany upadek. Za jego plecami behemot strzaskał wierzchołek skały, którą Reiner właśnie opuścił. Kamienne odłamki wielkości samochodów, niczym elementy jakiejś olbrzymiej, makabrycznej układanki, rozprysły we wszystkich kierunkach, zraszając świat poniżej deszczem niby-meteorów.

Veller nie miał tyle szczęścia i nie zdołał uciec. Razem z odpryskami skalnymi runął w dół.

Od strony obozu rozległy się krzyki. To był skoordynowany atak.

Delphine!

Reiner podciągnął się na klindze miecza i dotarł do jednego z wydrążonych w skale otworów. Przebiegł nim kilka metrów i wydostał się po drugiej stronie na płaski, niemal poziomy odcinek iglicy. Gdzie się podział behemot?

Jak bydlę wielkości wieżowca mogło się tak po prostu rozpląnąć w powietrzu?

Jeśli nie liczyć hałasów dochodzących z obozu, było przeraźliwie cicho. Zamarły nawet zwykłe odgłosy tej groteskowej dżungli. Reiner okręcił się na pięcie, ale wsząd napierała na niego ciemność i gęste, zielone opary wydostające się ze szczelin w ziemi.

Rozczapierzona łapa pojawiła się znikąd. Reiner uskokczył do przodu, wylądował na znajdującym się poniżej rozłożystym, brunatnym grzybie. Kościana iglica zatrzęsła się, ale nie pękła. Zasypał go grad skalnych odłamków wielkości ziaren piasku, a wszystko wokół zasnuł białoszary pył.

Potoczył dookoła oszalałym wzrokiem, usiłując ocenić sytuację. Wszędzie wznosiły się powykrzywiane iglice, przywodzące na myśl las połamanych włóczni albo morze nagrobków. Zejście na dół zajęłoby zbyt dużo czasu. Odwrócił się i spróbował wypatrzeć Vellera.

Mężczyzna w masce podnosił się właśnie spod zawaliska skał i grzybni. Płaszcz miał pobrudzony i rozdarty, ale sam wydawał się cały. Iglica, na której się znalazł, znajdowała się poza zasięgiem Erharda.

- Veller!

Mężczyzna w masce uniósł głowę, nadal oszołomiony upadkiem.

- Veller, zabierz ją stąd! - wrzasnął Reiner. - Obiecuję! Słyszysz?! Obiecuję!

Veller kiwnął głową i nie oglądając się za siebie, pomknął w dół, do obozu.

Przykro mi, Delphine, pomyślał Reiner i zaczął się wspinać jeszcze wyżej, żeby przedostać się na kolejną, bardziej stabilną iglicę. Widział ruch na samej granicy pola widzenia. Behemot się z nim bawił. Krążył pomiędzy skałami jak zjawą i pojawiał się z najmniej oczekiwanego kierunku.

Przelknął ślinę i wspiął się na kolejny wierzchołek. Przejmujące zimno mroziło go do szpiku kości, pył dusił, a napastliwa ciemność zabijała nadzieję. Ledwo dyszał. Ze znużeniem podniósł się na równe nogi i wyprostował. Miał dość.

- Gdzie jesteś?! - wrzasnął. - Pokaż się!

Potwór zmaterializował się tuż przed nim.

Jego sierść pokrywały okruchy skalne i kawałki grzybów, obce oczy płonęły żądzą mordy. Monstrum nie poruszało się. Górowało nad człowiekiem i wpatrywało się w niego intensywnie. Reiner nigdy nie czuł się mniejszy.

Ponownie wy dobył miecz. Nie będzie uciekał.

Skinął głową, a potwór, jakby rozumiejąc jego gest, rzucił się do przodu.

Reiner wybiegł mu na spotkanie. Odbił się od powierzchni skały i skoczył. Słyszał, jak za jego plecami pięści behemota obracają w gruz iglicę, na której stał przed chwilą. Ze świstem powietrza pokonał dystans dzielący go od potwora. Miecz wszedł w obmierzłe cielsko jak w ciasto. Drugą ręką Reiner uczepił się grubego włosia pokrywającego skórę kolosa i przyłgnał do niego najmocniej, jak potrafił. Raz po raz wyrywał miecz z ciała bestii i wykonywał kolejne pchnięcia.



Behemot ryknął, raczej ze złości niż bólu.

Reiner dostrzegł wyciągające się ku niemu szpony. Rozluźnił chwyt i zsunął się po sierści, ledwo unikając uderzenia. Pazury behemota rozorały grubą skórę, we wszystkie strony trysnęły fontanny gęstej, ciemniej cieczy. Cios, który potwór sam sobie zadał, wytrącił go z równowagi. Bestia zatoczyła się kilka kroków do tyłu, miażdżąc po drodze następne skały.

Reiner skorzystał z okazji i kiedy potwór się pochylił, puścił się włosia i wylądował na gigantycznej macce. Przeturlał się po śliskiej błonie, wstał i zaczął biec w kierunku większego splotu tkanki Lewiatana. Ramię miał już całkiem sprawne, po ranie, którą zadał mu Veller, pozostała jedynie dziura w mundurze.

Behemot otrząsnął się i ruszył za nim. Każdemu jego krokowi towarzyszyło niewielkie trzęsienie ziemi. Reiner co chwilę musiał podpierać się rękami, żeby nie stracić równowagi.

W końcu dobiegł do miejsca, gdzie olbrzymia macka ginęła pomiędzy fałdami cielska. Niewiele się zastanawiając, wskoczył pomiędzy cieńsze żyły wyrastające z tkanki i zaczął przesuwać się dalej, w głąb szarej masy stanowiącej organizm Lewiatana. Zsuwał się niżej i niżej, ocierając się o organy, których przeznaczenia wolał nie znać. W końcu dotarł do twardego podłoża. Znieruchomiał. Wstrzymał oddech.

Teraz, w zupełnej ciszy, słyszał chrapliwy oddech behemota. Potwór go zgubił? Czy węszył? Reiner ponownie dobył miecza. Krew z rany na dłoni popłynęła obficie i zaczęła skapywać ze sztychu.

Słyszał mlaskanie błota pod stopami kolosa i trzask

rozrywanej łapami tkanki. Wreszcie przez szpary pomiędzy żyłami dostrzegł włochaty tułów potwora. Nie wiedział, czy behemot był do niego odwrócony plecami, czy przodem.

Nagle całą przestrzeń zasłoniła paskudna morda. Reiner zareagował instynktownie i pchnął mieczem w oko bestii. Ostrze było zbyt krótkie, żeby dosięgnąć tkanki, a jednak białko pękło z mokrym plaśnięciem, jakby przekłute jakimś niewidzialnym przedłużeniem miecza. W dół pociekły białe-żółte płyny ustrojowe. Śluzowata cieś spłynęła na Reinera niczym ulewny deszcz. Hauptmann ledwo powstrzymał się od wymiotów, bo odór był nie do zniesienia. Behemot zawył i odskoczył do tyłu, niezdolny poradzić sobie z oślepiającym bólem. Potknął się o splątane tętnice biegnące tuż przy ziemi i runął jak długi wprost na fragmenty skalne, które pozostawił za sobą w marszu zniszczenia.

Reiner jeszcze długo nie opuszczał swojej kryjówki. Potwór, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, przeżył upadek, ale nie mógł się podnieść. Inne stwory, mniejsze, ale nie mniej złośliwe, zleciały się do jego wciąż żywego, ciała jak sępy do padliny. Najśmielsze już zaczęły podjadać odsłoniętą tkankę.

Nie pozwoli, żeby taki sam los spotkał Ziemię.

Ostrożnie wyplątał się z sieci żył. Kiedy tylko wyszedł na otwartą przestrzeń, na cielsko przed nim zeskoczyła pokraczna, sycząca istota. Widział już podobne stworzenia. Długie, czarne jak noc macki, wyrastające z wątego tułowia otoczonego chitynową skorupą. Dziki ctan. Reiner uniósł miecz, gotowy do walki. Stworzenie postąpiło w jego stronę kilka kroków i zatrzymało się gwałtownie. Wydało z siebie pisk, uskoczyło w bok i umknęło.

Reiner spojrział na siebie. Jego skóra promieniowała bladą poświatą. Ach, moc młodego boga stawała się wyraźniejsza, jak wtedy, w Berlinie. Przypomniawszy sobie, do czego to porównał - do ostatniego dnia życia śmiertelnie chorego pacjenta. Przebłysk świadomości. Niedługo umrze. Wiedział to już wcześniej, ale dopiero teraz zrozumiał, co to oznaczało.

Mógł wyzwolić młodego boga w każdej chwili i w każdym miejscu, odległość zupełnie nie miała znaczenia, ale musiał kupić czas dla Delphine i Vellera.

Spojrzął na horyzont, gdzie świeciło jasne słońce Eskalacji. Rozejrzał się po otoczeniu i odnalazł grubą tętnicę, którą w stronę słupów płynęła jakaś ciecz, pożywienie czy ekskrementy, to nie miało znaczenia.

Znalazł odpowiednio duży, złuszczonego płata szarej skóry, który powinien utrzymać się na powierzchni, a następnie jednym machnięciem miecza przeciął cienką błonę tętnicy i zeskoczył do środka. Aziz jednak go czegoś nauczył.

Dalszą drogę pokona z prądem krwi boga.

•

Veller już z daleka widział odbywającą się rzeź. Na obóz napadły ctany, ale nie zabiły swych ofiar od razu. Bawiły się nimi, tak samo jak poprzednio trójnogie polipy. Jeden z jego ludzi, chyba Kluge, został pozbawiony oczu i teraz po omacku starał się uciec, ale ctany za każdym razem zawracały go ku centrum obozu. Inny mężczyzna został powalony na ziemię i przygnieciony ciężarem trzech lub czterech potworów. Ich macki kąsały go

zajadle, ale nigdy tak, by spowodować śmierć.

W środku obozu, z zakrytą dłońmi twarzą, siedziała Delphine. Ctany zdawały się nią nie interesować. Zostały ją sobie na koniec czy też może odrzucał je bijący od niej zapach młodego boga?

Bez znaczenia.

Veller uniósł dłonie i w całkowitej ciszy zaczął razić ctany strumieniami Eskalacji. Wiedział, że to ich nie zabije, że zregenerują się nawet z pojedynczej komórki, ale to nie miało znaczenia. Ctany, tak jak wszystkie istoty, czuły ból i to wystarczało.

- Delphine! - krzyknął. - Delphine, chodź tu do mnie!

Kobieta podniosła zapłakaną twarz.

- Gdzie Reiner? - zapytała.

Nie mam na to czasu, pomyślał Veller. Kiedy tylko ctany zrozumieją, że jest sam, okrążą go. Wtedy zostanie zmuszony do odsłonięcia twarzy, a jeśli to zrobi...

- Musieliśmy się rozdzielić! Reiner na nas czeka! Chodź, słyszysz?! Proszę, nie chcę, żeby coś ci się stało! - dodał.

Delphine zerwała się z miejsca i pobiegła w jego stronę. Mijała wrzeszczących, błagających o litość ludzi i sycające wściekle ctany, ale nikt jej nie zatrzymał.

- Jak zamierzasz nas stąd wydostać? - wysapała, zatrzymując się przy kamieniu, na którym stał Veller.

- Strumieniem Życia.

Jego słowom towarzyszyło mlaśnięcie rozdzieranej tkanki. Ciągająca się obok żyła została rozerwana, ale jej

wnętrze wyglądało zupełnie inaczej, niż powinno. Wyrwa otwierała się na długi, wąski tunel, którego koniec nikał w ciemności.

- Idź - powiedział Veller, przesuając się w stronę otworu. - Jestem tuż za tobą. Proszę.

Delphine spojrzała w jego wypolerowaną maskę i po chwili zniknęła w przejściu.

Veller odwrócił się, żeby mieć tunel za plecami. Ctany zbliżały się do niego w półokręgu. Chciał ściągnąć maskę, ale poczuł, że coś go łapie za kostkę.

Ślepy Kluge.

- Wybrańcu! - Puste, krwawe oczodoły mężczyzny uniosły się w górę.

Aż dziw, że mnie rozpoznał, pomyślał Veller.

- Błagam, zabierz mnie stąd...

Veller opuścił dłonie i wyszarpnął nogę z jego uścisku.

- Oto jest ścieżka i oto bóg, którego wybrałeś. Zostawiam ci nagrodę, na którą tak ciężko pracowałeś.

Veller zniknął w otworze, który zabliznił się tuż za jego plecami.

•

Tętnica wiła się pomiędzy fałdami opasłego cielska Lewiatana, ale cały czas zbliżała się do upragnionego przez Reinera celu. Istoty zamieszkujące organizm boga omijały go, jakby bały się potęgi, którą w sobie tłumił. Wcześniej nie budził takiego strachu.

Sam Reiner nie w pełni rozumiał zmiany, które w nim zaszły. Najświeższe rany już się zagoiły, nie pozostawiając blizn, zmysły miał wyostrzone i kipiał energią, chociaż nie spał już od ponad doby. Bliską śmierć zwiastował

tylko straszliwy ból promieniujący z prawej ręki, ból, do którego już się trochę przyzwyczail.

Teraz, kiedy poznał przeznaczenie pierścienia Sulejmana, mógł sondować umysłem otoczenie. Wyczuwał przemykające obok niego prymitywne byty o prostych myślach: spać, jeść, rozmnażać się, zabijać. Nigdzie nie było tej boskiej harmonii, o której tyle mówił Veller, było natomiast coś innego, coś nieopisanego.

Oko Świata.

Reiner czuł jego potęgę, ale zamiast ją podziwiać, przestraszył się jej i wycofał sondy umysłu. Gdyby chciał przez nie spojrzeć, z pewnością by oślepl. Nie dziwił się już szaleństwu Vellera ani słowom Aziza, który otaczał Oko niemal nabożną czcią. Postanowił omijać je z daleka, podejrzewał bowiem, że za taką moc trzeba zapłacić straszliwą cenę.

Pierścień lub samopoznanie otworzyły też furtkę do zagubionych wspomnień. Reiner mógł teraz je przeglądać, oceniać i wyciągać z nich wnioski. Jedno ze wspomnień w szczególności przykuło jego uwagę.

Był słoneczny, bezwietrzny dzień. Razem z ojcem i jego służącymi przemierzali wody Nilu wynajętym parowcem. On bawił się na pokładzie, a jego ojciec rozmawiał w kabinie ze swoimi współpracownikami. Gra w zgadywanie nazw słynnych niemieckich okrętów szybko mu zbrzydła, postanowił więc pobuszować po statku.

Tylko do jednego miejsca miał zakaz wstępu - do gabinetu ojca, nic więc dziwnego, że tam właśnie się skierował. Tym razem było inaczej niż zwykle, bowiem gdy tylko zbliżał się do drzwi kajuty, zalewała go fala ciepła

i nagle uświadamiał sobie, że znów wymaszerował na pokład, pod piekące słońce. Czuł się zdezorientowany, bo nie pamiętał kilku ostatnich minut. Poprzednie wypadki do gabinetu nigdy nie nastęrczały problemów. To było... nie wiedział, jak to opisać.

Nie zamierzał jednak dać za wygraną. Każda kolejna próba przybliżała go do drzwi, aż wreszcie po czasie, który wydawał mu się godzinami, dotarł pod sam próg. Spojrzał przez dziurkę od klucza, ale w zaciemnionym pokoju niewiele zobaczył. Przyłożył ucho do drzwi i czekał.

Po chwili zaczął wylawiać poszczególne dźwięki.

- Odnaleźli je.
- Jesteś pewien? - Głos ojca.
- Tak, poczułem moich braci budzących się do życia.
- W takim razie zaczęło się. Szybciej, niż myślałem.
- Szybciej? Och, *efendi*, twoja percepcja czasu płata ci figle. Zapewniam cię, że kupiłeś nam wiele czasu.
- Ale czy ten czas na coś się zdał?

W pokoju zaległa cisza. Wreszcie ponownie zabrał głos ojciec:

- Będziemy musieli go odzyskać, prawda?
- Tak. Niech Allah błogosławi twoją przezorność, *efendi*. Gdybyś wtedy zabrał go ze sobą na drugą stronę...
- Wiem. Nastąpiłby koniec historii.
- Niewidoczni bogowie zza przesłony świata przesu- wają pionki martwymi rękami. - Arab westchnął. - Pra- gną go tak rozpaczliwie. To jedyne, co trzyma ich przyku- tych do tej jednej Ziemi. Jedyne, czego przez eony nie pochłonęli. Zapewniam cię, że szukali go bardzo wytrwale.

Ich wyznawcy przewrócili każdy kamień... ale tam nie wazyli się szukać.

- Tak jak sądziłem. Teraz to się zmieni. Mają Eskalację. Może nie będą już drzeć przed Biesiadnikiem.

- Może, *efendi*. Dlatego masz rację, czas go zabrać.

- Zrobię to, kiedy tylko rozmówię się z pozostałymi. Odnaleźli jakieś pozostałości na Azorach, tak jak mówiłeś. Są przekonani, że dzięki temu odnajdą *Nemetus* Platona.

- Byłem tam, kiedy powstawał oryginalny *Nemetus*, *efendi*. Nie znajdują w nim nic, co mogłoby nam pomóc.

- Oni jednak się upierają, a ja nie mam nad nimi żadnej władzy. Mógłbym... ale nie, wystarczy. To dobrzy ludzie. Oddani. Przysparzają nam zwolenników, nawet w samym Berlinie. Jest tam ponoć taki młody ksiądz...

- Nie muszę znać szczegółów, *efendi*. Jeśli chcecie wymachiwać szabelkami, to wasza sprawa. Mnie zaprzęta co innego. Młody bóg. Biesiadnik.

- Biesiadnik. Myślisz, że mnie zapamiętał?

- Och, z pewnością.

- Pozwoli mi go zabrać?

- Nie, nie bez walki. A ty nie możesz skorzystać ze swoich wyjątkowych darów.

- Tak, wiem. Wtedy by się dowiedziała. Czuję się potężny i bezsilny zarazem.

- Jak wszyscy wielcy ludzie, *efendi* - westchnął Arab. - Czy zastanawiałeś się, kto poniesie brzemień? To nie możesz być ty.

- Wiem. Tak, myślałem nad tym.

- Tak? Czy zdradzisz mi zawartość swych myśli? Kto



będzie dostatecznie silny, żeby doprowadzić sprawę do końca? Nawet my... nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, do czego młody bóg jest zdolny i czego wymaga. A wiedza i tak zniweczyła skutek. Komu zaufasz?

- Otwórz drzwi, Aziz.

Teraz Reiner dobrze to pamiętał. Słowa ojca i Araba wypełniały jego umysł i uzupełniały luki w tej rozległej historii. Pewnych fragmentów nadal jednak nie pojmował. Nadal nie mógł zobaczyć twarzy swego ojca, chociaż był już o wiele bliżej niż ostatnio.

Prąd krwi zaniósł go tak daleko, jak się dało, ale resztę trasy musiał pokonać pieszo. Opuścił tętnicę, zanim zanurkowała głęboko pod powierzchnię, i wgramolił się na wzgórze ze zrogowaciałego naskórka. Ziemię porastała tu niska, gęsta szczecina. Reiner miał wrażenie, że przedziera się przez wysoką trawę sawanny. Kiedy dotarł na szczyt pagórka, rozejrzał się.

Wzgórze, na którym się znalazł, było splotem stwardniałej, zrogowaciałej tkanki. Wszędzie wokół widział to samo. Bliznowatą, zmęczoną powierzchnię. Jakby tutaj Lewiatan doznawał częstych, dotkliwych obrażeń. Właśnie ten obszar pokazywał im Veller z vimana, mówiąc o oporze salgothów. Horyzont zasłaniała kopulasta bulwa, olbrzymie zgrubienie na ciele Lewiatana, a za nią wznosiły się megalityczne słupy Irem i czerwona kula czystej Eskalacji. Jeśli chciał do nich dotrzeć, musiał wdrapać się na tę tytaniczną hałdę skóry i tkanki.

Westchnął i rozpoczął wspinaczkę. Okazała się łatwiejsza, niż przypuszczał. Skóra była nierówna i pełna zgrubień, tu i ówdzie wyrastały samotne włosy wielkości słupa latarni. Godziny mijały nieubłaganie, a on wspinał

się coraz wyżej i wyżej. Wiele istot umościło sobie legowiska w naskórku pokrywającym wzniesienie, ale gdy tylko Erhard pojawiał się w zasięgu ich wzroku, pierzchały.

Nie wiedział, ile czasu mu to zajęło, ale wreszcie dotarł na mniej stromy teren. Słupy Wieczności z sekundy na sekundę stawały się coraz wyraźniejsze. Zaczął biec. Ze szczytu bulwy będzie miał doskonały widok zarówno na Lewiatana, jak i na Irem. Tam poczeka do ostatniej chwili i uwolni drzemiące w nim bóstwo.

Szczęśliwy, że dotarł do kresu swojej wędrówki, o mało nie wpadł do wąwozu, który przecinał szczyt bulwy niemal na dwie równe części. W głębi szerokiego kanionu błyszczało jezioro. Przez krystalicznie czystą wodę Reiner widział dno, białe niczym kość słoniowa. Tylko na środku jeziora pod wodą zalegał jakiś brązowo-czarny muł.

Nad bulwą królowało Miasto Słupów. Do tej pory Erhard widział tylko jeden w Berlinie, ten uszkodzony, tutaj było ich przynajmniej kilkanaście. Irem, siedziba salgothów. Z tej odległości dostrzegał uwijające się wokół pojazdy, odpowiedniki wimanów. Jedne były małe, inne olbrzymie, mieszczące całe kompleksy dźwigów i innych urządzeń, których przeznaczenia Reiner nie mógł się nawet domyślać. U podnóża słupów i w promieniu kilkuset metrów ziemia była jałowa, pozbawiona życia.

Po chwili spostrzegł, że nie wszystkie słupy przesyłały sygnał Eskalacji. Na centralnym cylindrze widział jakiś ruch, a sąsiedni wieńczyła spłaszczona kopuła, z której wystawał podłużny pręt z nieznanego stopu metali barwy akwamaryny. Ta sztaba przypominała olbrzymią szynę, zakończoną wąskim otworem. To wyglądało jak... jak działo.

W chwili, kiedy o tym pomyślał, z gigantycznej szyny pomknęła w niebo jasna smuga energii. Z tej odległości nie potrafił określić, co to za światło, ale z całą pewnością nie była to broń termostrugowa. Smuga, wyglądająca jak czerwone plwociny, leciała torem parabolicznym w kierunku Lewiatana.

Kiedy osiągnęła punkt szczytowy i zaczęła opadać, Reiner uświadomił sobie, że pędzi wprost na niego. Zanim jednak zdołał zareagować, poczuł, jak coś wielkiego ociera się o jego umysł. Trajektoria pocisku zmieniła się nagle i diametralnie, jakby smuga napotkała jakąś fizyczną tarczę, od której się odbiła.

Nie miał czasu się nad tym zastanowić. Ziemia zadrżała i uciekła mu spod nóg. Upadł na ręce, kalecząc sobie dłonie, ale zdołał unieść głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje. Brzegi wąwozu, przy którego krawędzi się zatrzymał, zbliżały się ku sobie z coraz większą prędkością. Przywarł do podłoża w oczekiwaniu zderzenia. Potem ściany się zetknęły i impet kolizji wyrzucił go w powietrze.

Równie szybko, jak się spotkały, ściany wąwozu rozeszły się z powrotem na boki. Reiner poleciał w dół, ku tafli jeziora. Starał się wyhamować upadek mocą pierścienia Sulejmana i częściowo mu się udało. Z pluskiem uderzył o powierzchnię wody, nogami dotykając niespodziewanie miękkiego dna.

Zaczął kaszleć, bo podczas lądowania zachłysnął się wodą, która okazała się wyjątkowo słona. Powoli się podniósł i od razu zaczął się trząść. Przemókł do suchej nitki, a temperatura wynosiła tu około zera. Wykonał kilka głębszych oddechów, ale to niewiele pomogło. Wreszcie,

brodząc po kolana w wodzie, ruszył przed siebie. Uszedł może kilkanaście metrów, kiedy zdał sobie sprawę, że to właśnie się rozpoczęło. Łabędzi śpiew młodego boga.

Powoli zaczęły do niego docierać znajome dźwięki. Buczenie i brzęk tłuczonego szkła.

To już, pomyślał, spuszczać głowę.

Pod nim, na dnie, muł zaczął się przemieszczać. To nie muł, dotarło do niego po chwili. To wzór naniesiony na białą tkanę. Ruch był taki precyzyjny i skoordynowany. Reiner podniósł wzrok. Wzór rozprzestrzenił się po koncentrycznych kręgach.

Och, zrozumiał.

Chciał go uniknąć, zamknął się na jego wpływ, a jednak na ślepo wkroczył w sam jego środek.

Oko Świata nie było metaforą.

Zaśmiał się gorzko.

To była część rzekomego Lewiatana, splot, który pozwalał ludziom takim jak Fannsbach czy Veller dokonywać cudów.

- Dotarłeś do końca swojej podróży, Reiner - powiedział słodki, tak dobrze mu znany kobiecy głos.

- Delphine?

- Ziarna czasu przesypują się dla ciebie nieubłaganie. Świat domaga się sprawiedliwości.

Stojąca przed nim postać wyglądała jak Delphine, ale Reiner wiedział, że to niemożliwe.

- Nie jesteś Delphine. Wiem, że to ty, Gabrleth.

Obraz kobiety rozplynął się, jakby utkano go z mgły, a jego miejsce zajął świetlisty punkt, który z sekundy na sekundę przeistaczał się w znajomy kształt eterycznego robaka.

- Gdzie my jesteśmy?

*W miejscu, w którym skrajności wypracowują konsensus. Stoimy na styku bogów-Trójcy, gdzie spotykają się dzikie żądze, wyrachowany porządek i wolna wola.*

- To nic dla mnie nie znaczy. Pomóż mi zrozumieć. Chcesz, żebym cię uwolnił?

*Historia domaga się rozstrzygnięcia.*

- Domaga się - warknął Reiner. - Czego ode mnie chcesz? Mam zniszczyć wszystko?

*Niczego nie pragnę, Poprzedzający. Wszystko ma swoją przyczynę i nieunikniony cel, do którego dąży.*

- Nie przekonujesz mnie, robaku. Wciąż mam wybór.

*Tak.*

- Więc pomóż mi. Co mogę zmienić?

Gabrleth milczał.

- Aziz, ty, Veller. Nawet mój ojciec. Karmiliście mnie półprawdami i zagadkowymi wskazówkami. Trzymaliście w ciemności. Czego ode mnie chcecie?

*Mój kres jest bliski.*

*Nadaj swojej śmierci znaczenie.*

Miecz powoli wysunął się z jego dłoni. Kamień jarzył się przeraźliwym, niebiańskim światłem, migotał kolorami nieznanymi ludzkiemu oku. Reiner czuł się jak mały chłopiec, który po raz pierwszy oglądał pokaz fajerwerków nad Reichstagiem. Ktoś z Miasta Słupów z pewnością to zauważył.

- Z takim zamysłem podróżowałem od Paryża po Berlin, a później tutaj, do Voghtoth. A jednak... - Erhard westchnął. - Kiedy byliśmy tu ostatnio, wiedziałeś, prawda? Że to Ziemia. Powiedziałaś mi to nawet, a ja cię przekląłem.

*Tak.*

- Co jeszcze chciałeś mi powiedzieć? Co miałem zrozumieć? Podróżowaliśmy do Drzewa Aegis. Widziałem pielgrzymów, którzy składali mu hołd. To było wspomnienie czy naprawdę tam byliśmy? Naprawdę widziałem Martiusa Pullo? Erharda z Edelbergu i jego orszak?

Serce zabiło mu mocniej. Przypomniał sobie. Widział jeszcze jedną parę. Mężczyznę w kapturze i kobietę w zbyt obszernym wojskowym płaszczu.

- To była wizja? Czy podróżowaliśmy w czasie?

Odpowiedz mi!

*Czas to tylko słowo, Poprzedzający.*

Więc to prawda. Tygodnie temu, zanim jeszcze poznał Vellera, widział go w swym wysnionym Vogthoth. Z Delphine.

Przeszłość. Przyszłość. Eteryczny robak pokazał mu wszystko. Ale jakie miał z tego wyciągnąć wnioski?

- Czym jest Drzewo Aegis?

Do jego uszu zaczął dochodzić narastający szum. Coś zawisło nad nimi w powietrzu, ale nie zwrócił na to uwagi. Musiał dojść prawdy, zanim będzie za późno.

- Czym jest Drzewo Aegis? Wyjściem z tego piekielnego świata?

*Początkiem bezmyślnego koła.*

Początkiem... na Opatrzność, Veller, dokąd ją zaprowadziłeś?!

*Moje istnienie dobiega końca, Poprzedzający. Zaprowadzisz sprawiedliwość?*

Reiner spojrział prosto w oczy widziadła.

- Nie.

Z chwilą, gdy to powiedział, kamienne ostrze obróciło się w proch. Światło zniknęło, a zjawy rozpląnęła się w wilgotnym powietrzu.

Młody bóg skonał.

Reiner osunął się na kolana, zanurzając się po pas w wodzie. Czuł, jak molekuly Gabreletha rozpadają się i rozprzestrzeniają po jego ciele niczym toksyna. Mógł sobie wyobrazić nieprzygotowane do walki z pozaziemską infekcją przeciwciała, bezradne w obliczu wzbierającej fali obcych drobnoustrojów. Czerniejące komórki, zatory i wyłączające się po kolei organy. Pękające na molekularnym poziomie wiązania, wewnętrzne krwotoki i pęczniące guzy. Widział to wszystko oczyma duszy, ale nie potrafiłby postąpić inaczej.

Nie mógł, nie chciał.

Nie będzie więźniem przeznaczenia. Jeśli światu salgothów pisany był koniec, nie on go sprowadzi.

Musiał się wziąć w garść. Odnaleźć Vellera, zanim ten zaprowadzi Delphine do stóp przekłętego drzewa. Okupił tę szansę śmiercią młodego boga. Miał nadzieję, że to poświęcenie nie pójdzie na marne.

Z rozmyślań wyrwał go plusk wody. Coś uderzyło w tafłę jeziora tuż obok niego. Obrócił się. To była stalowa linka zakończona odważnikiem. Uniósł wzrok. W powietrzu nad nim dryfował jakiś obiekt. Nie widział go wyraźnie, ale zauważył, że coś opuszcza się po linie. Odskoczył do tyłu, zanim postać wylądowała w wodzie.

Humanoidalny stwór miał na sobie gruby, szary pancerz. Z gładkiej powierzchni zbroi wystawały cienkie rurki i jakieś zawory. Postać nieodparcie kojarzyła się Reinrowi z nurkiem w akwalungu. Skinęła na niego zapraszająco, ale on nie miał zamiaru usłuchać. Z trudem

podniósł się na nogi. Sięgnął do kabury, ale napotkał pustkę. Zapomniał, że oddał pistolet Delphine. Zobojętniały spojrzał na opancerzonego przybysza.

Postać zbliżyła się do niego i położyła mu rękę na ramieniu. Poczul ukłucie, a następnie błogi paraliż. Przybysz przerzucił go sobie przez ramię i wrócił do stalowej linki.



### 13. Unus mundus. Śmiertelny bóg

*Każdy ma jakieś zadanie, nikt jednak nie może sam go dla siebie wybrać, opisać i wypełniać według własnej woli. Żaden, żaden, żaden obowiązków nie istniał dla ludzi przebudzonych, prócz tego jednego: szukać samego siebie, w sobie się umocnić, po omacku szukać własnej drogi naprzód, niezależnie od tego, dokąd ona wiedzie.*

Hermann Hesse

Tunel się skończył. Delphine wygramoliła się na czworaka prosto na gościniec, wybrukowany grubo ciosanymi kamieniami. Za nią ze Strumienia Życia wyłonił się Veller. Przejście się zabiłiło i nie pozostał po nim żaden ślad.

Mężczyzna otrzepał płaszcz i rozejrzał się. Przebywali w głębokim, wąskim wąwozie. Jego ściany, a także brzegi traktu, porastały kwiaty. Paleta ich barw nie ograniczała się do wszechobecnej szarości i zieleni. Pąki występowały we wszystkich znanych mu kolorach, a wspólnie tworzyły fantazyjne wzory, które z początku wydawały się chaotyczne. Po chwili to wrażenie mijało i obserwator mógł dostrzec misterny porządek, który w tym wszystkim się krył.

Veller nigdy tu nie był, ale wszystko wokół wydawało mu się znajome.

- Wstawaj, moja droga. Jeszcze kawałek przed nami.

- Gdzie jest Reiner? - spytała Delphine, podnosząc się z ziemi.

- Czeka na nas na końcu ścieżki - skłamał ponownie i ruszył przed siebie.

Kobieta, chociaż niechętnie, podążyła za nim.

Trakt wił się i kluczył, ale powoli również poszerzał. Zewsząd dochodziło bzyczenie owadów, ale te nie zaprzątały sobie głowy intruzami, skupiając się całkowicie na porastających kanion kwiatów. Dziwiła zupełna nieobecność większych istot. Co prawda, Veller dość szybko zdał sobie sprawę, że bruk, po którym kroczą, to nie kamienie, a chitynowe pozostałości jakichś skorupiaków, ale to nadal nic nie wyjaśniało. Być może gdzieś tu czaił się jakiś większy drapieżnik albo ten wąwóz był zupełnie odizolowany od szaleństwa, które ogarnęło resztę planety.

Przyprowadził tu Delphine, bo podświadomie czuł, że w tym miejscu jego moce wzrosną dziesięciokrotnie i to bez wysiłku wkładanego w każde spojrzenie poprzez Oko Świata.

Nie pomylił się.

Z tego zakątka będzie ją w stanie wysłać do każdego miejsca na Voghtoth lub Ziemi.

Jego rozmyślenia zostały przerwane, kiedy wąwóz niespodziewanie przeszedł w dolinę. Veller spojrzał w górę, na wąski strumień światła, który docierał tu z powierzchni. Nawet w tym półmroku i nawet mimo zielonkawej

mgły, która pojawiła się znikąd, był w stanie dostrzec olbrzymie blade drzewo wyrastające na niewielkim wzgórzu pośród równiny trawy.

- Veller, gdzie jest Reiner? - zapytała ponownie Delphine.

Mężczyzna jej nie słyszał. Postąpił kilka kroków do przodu, czując energię, która go rozpierała. Stał się silniejszy niż kiedykolwiek. Czemu? Czemu tu?

- Veller.

Wreszcie odwrócił się do Delphine i powiedział:

- Przepraszam. Powinienem być powiedzieć ci o tym wcześniej, ale bałem się, że będziesz... niepokorna. Reiner do nas nie dołączy. Wyzwoli młodego boga i zniszczy ten świat.

- Nie...

- Tak. Poprosił mnie, abym cię stąd wyprowadził. Właściwie to nawet nie była prośba. Zamierzam dotrzymać danego mu słowa, tak jak mam nadzieję, że on dotrzyma swego. Pozwól, że otworzę przejście do naszego świata.

- Veller, nie możemy go zostawić.

Cóż to było w jej głosie?

- Delphine, twoje uczucia są szlachetne, a oddanie godne podziwu. Ale to musi się stać, żeby nasz świat mógł przetrwać. Powinnaś się cieszyć, że znalazłaś tak ważnego mężczyznę.

- Nie mów o nim tak, jakby już nie żył!

- Ale tak jest. - Veller wziął ją pod rękę. - Chodź.

- Nie! - Delphine wyrwała się z jego uścisku. - Nie wierzę, że to jego decyzja.

- Decyzję podjęto za niego, kiedy przyjął młodego boga. Nurt nie wybiera, w którą stronę płynie.

- On tak nie uważał.

- A jednak... proszę, nie utrudniaj tego, co i tak będzie niezmiernym wysiłkiem. Muszę otworzyć przejście do naszego świata, zanim Reiner uwolni młodego boga.

- Zanim? Więc jest jeszcze nadzieja. Zabierz nas do niego, może...

- Jaka nadzieja? Jesteśmy w przeszłości Ziemi, to wszystko już się wydarzyło. Zniszczenie tego świata jest mu pisane, aby mógł się narodzić nowy, lepszy. Nasz.

- Upiorze, zabierz mnie do niego.

- Delphine.

- Zabierz mnie do niego!

Kobieta wydobyła z kieszeni pistolet, zasilanego Eskalacją termostrahla.

- Słyszysz, odeślij mnie. Drugi raz nie będę stała bezczynnie!

- Delphine, być może jest już za późno. Tym razem jego moc cię spopieli. Na Ziemi czeka cię długie życie.

Delphine zaśmiała się przez łzy.

- Nie ma nic nieodzownie dobrego w długim życiu. Po drugiej stronie nic i nikt na mnie nie czeka. Odeślij mnie do niego, proszę...

- Delphine...

Pistolet wypalił. Promień przeleciał ponad ramieniem Vellera i obrócił w węgiel rosnące przy krawędzi gościńca skarłate drzewko. Całą dolinę targnął wstrząs, jakby zapowiedź trzęsienia ziemi.

- Następnym razem nie spudłuję, Upiorze! Wypuść mnie! Słyszysz?! Wypuść mnie!

Veller miał już tego dość. Próbował, naprawdę próbował, ale ta kobieta była tak uparta. Tak cholernie uparta!

- To idź do niego! - wrzasnął, wymachując ręką.

Pokrywające ścianę kwiaty rozpadły się, a w ich miejscu pojawił się tunel.

- Idź do niego, jeśli potrafisz go znaleźć!

Delphine nie zawahała się.

Kiedy zniknęła w Strumieniu Życia, Veller został sam.

Musiał się stąd wydostać. Na Ziemi pozostało jeszcze tyle do zrobienia. Zbłąkane ctany, księga *Nemetus*. I samo Irem. Ktoś będzie musiał pogrzebać to przekłete miasto na dobre. Musiał przetrwać.

Nagle usłyszał cichy śpiew. Głos dochodził z okolicy rozłożystego drzewa. Był melodyjny i... piękny.

Veller podszedł do krawędzi traktu i przyjrzał się porastającej równinę trawie. Uświadomił sobie, że były to wici jakichś podziemnych istot. Kiedy tylko to pomyślał, poczuł pod nogami ruch. Chitynowe brukowce zaczęły się przesuwać. Istoty wciąż żyły. Przypominały krzyżówkę krabów i ośmiornic, poruszały się na sześciu symetrycznych odnóżach. Wymijały jego nogi i pędziły naprzód, w kierunku drzewa. Niektóre zatrzymywały się bez zapowiedzi i chowały w skorupie, na powrót zamierając w bezruchu.

Wreszcie zrozumiał, co krabowate istoty chciały osiągnąć. Układały nową ścieżkę prowadzącą do stóp bladego drzewa.

Wstrząśnięty Veller poczuł, że nie może się oprzeć i rusza chitynową drogą. Dopiero teraz odnotował, że powietrze jest tu cieplejsze i przyjemnie pachnie.

Widział już szczegóły rozłożystego drzewa. Zamiast liści z gałęzi zwisały blade, drobne dłonie, a pień i grube konary pokrywały ludzkie twarze. Wszystkie zwróciły na

niego swój beznamiętny wzrok, chociaż niektóre zdawały się przeżywać przy tym nieopisane cierpienia.

Było też coś u podstawy drzewa. Veller przykucnął i delikatnie rozsunął źdźbła traw. W ziemi, pomiędzy wijącym się robactwem, spoczywała do połowy zakopana maska. Po chwili zauważył drugą, później trzecią i kolejne. Stosy masek niczym stosy kości.

Powstał, bowiem wiedział już, gdzie się znalazł.

- Jesteś moim bogiem. Myślałem, że się od ciebie uwolniłem, ale ty ciągle miałeś mnie na oku. Przywiodłeś mnie tu, tak jak moich niezliczonych poprzedników, bo moja użyteczność dobiegła końca. Wiedz jednak, że jest już za późno. W tej chwili młody bóg gotuje się do zadania ostatniego ciosu. To wszystko już się wydarzyło, a twój czas przeminie. Nawet bogowie nie mogą walczyć z wyrokami losu.

Twarze wprawione w drzewo uniosły wzrok. Veller podążył za ich spojrzeniem ku sklepieniu doliny. Szpara, przez którą, dostawało się światło, zaczęła maleć.

Ściany wąwozu chyliły się ku sobie. Teraz, kiedy się poruszały, można było dostrzec porastającą je tkankę, mięśnie i ścięgna.

Wąwóz zasklepiał się niczym małą.

Veller pokręcił głową w niemym niedowierzaniu.

- Nie mogłeś... nie mogłeś tego przewidzieć.

Nagle w jego głowie pojawiła się straszliwa myśl. Wydawała się znajoma, jakby pomyślał ją już wcześniej, ale do tej pory była przed nim ukryta. A jeśli nie musiał nic przewidywać? Jeśli sam był motorem działań? Jeśli Veller nigdy go nie zdradził i od samego początku wiernie mu służył, a jego bunt był tylko mrzonką, wkalkulowaną w boski plan?

Spróbował prześledzić swoje kroki. Pokonał wyznawców Lewiatana. Zniszczył Eskalację na Ziemi. Sprowadził młodego boga do Voghtoth... a teraz przypieczerował kataklizm, który je oczyści.

- Ale ty przetrwasz - wymamrotał. - Zakopiesz się głęboko, a twoja skorupa przetrzyma światło zniszczenia.

Teraz zaczął zauważać inne szczegóły. Kwiaty rosnące w równych odstępach, ustawiające płatki pod tym samym kątem, żeby zmaksymalizować powierzchnię chłonną. Owady, które zapylały je zgodnie z odgórnym planem. Drobne robaki wijące się pomiędzy niby-trawą, żywiące się usychającymi źdźbłami, ale nieetykujące zdrowych. Małe skorupiaki, które układały się w ścieżkę. Veller dostrzegł w tym wszystkim boską harmonię. Wspólne działania wielu różnorodnych organizmów, dążących do wyższego celu.

Wszystko to kontrastowało z szaleństwem i gwałtownością świata zewnętrznego.

Veller zamarł w osłupieniu.

Ostatnia maska została odarta.

- To ty jesteś Lewiatanem, Lilith. Ty jesteś śmiertelnym bogiem, który zniewala wszystko wokół. Świadomym, knującym... ukryłeś się za tyłoma maskami, zwiódłeś mnie. Okłamałeś. Oszukałeś.

Wszystko zaczęło się układać w spójną całość. Wszystkie niejasności zaczęły nabierać kształtów. Tam, na zewnątrz, cielsko, które brał za Lewiatana, było Ragnarökiem. Ten chaos, to bezrozumne zniszczenie... Powinien był wiedzieć. Ale on był ślepy... zwiedziony. On, Veller, zniszczył wszystkich wrogów swego boga. Fannsbacha. Aziza. Reinera. Rzeszę. Salgothy.

Zagwarantował supremację Lilith... Lewiatana.

- Służyłem ci od początku.

Ja. Nie Fannsbach. Czemu nie mogłem dostrzec tego wcześniej?

- Oślepiłeś mnie na prawdę. Kiedy spoglądałem przez Oko Świata, widziałem tylko to, co chciałeś mi pokazać. Nigdy się od ciebie nie uwolniłem... - Veller mówił do siebie. - Fannsbach drwił ze mnie, a ja byłem zbyt... ale skąd wiedział? Jak poznał twe sekrety? Komu służył? Jeśli innemu z bogów-Trójcy...

Twarze pokrywające drzewo spojrzały na niego. Wydawało mu się, że dostrzega w ich oczach rozbawienie. Jego słowa poniosły się na wietrze. Bogów-Trójcy. Bogów. Trójcy. Słowa odbijały się w jego umyśle niczym echo.

- Bogów... Trójcy.

Korowód straszliwych prawd ciągnął się po bramy piekieł.

- Trzech bogów, którzy są jednością - zrozumiał Veller. - A wszyscy połączeni poprzez Oko Świata.

Niczym nieludzki umysł, który oplata planetę. Każdy z własnymi celami i ambicjami, a jednak koegzystujący z pozostałymi na pierwotnym poziomie. Niczym...

Przypomniał sobie rozważania filozofów nad istotą umysłu. *Homo duplex* Durkheima i teorie Freuda. Zaczął się trząść.

- Ragnarök, bezmyślny bóg chaosu, ten rak, który trawi ziemię, gwałtowne zwierzę dążące do zaspokojenia pierwotnych instynktów, jak id dbające tylko o zdobycie pożywienia i rozmnażanie, i ty, Lilith: Lewiatan, Oszust, Bóg za Wachlarzem o tysiącu imion, ze swym wielkim



planem, ze swą nienaturalną harmonią narzucającą wszystkiemu i wszystkim wokół swą wolę i moralność. Jesteś superego tej plugawej Trójcy. Jeszcze jeden, ten, o którym milczą annały, który przekrada się przez korytaryze historii niezauważony, pozbawiony wyznawców, ukryty za kłamstwem podwójnej bogini. Który hamuje zakusy id i bierze w karby jego żądze, a zarazem wypełnia imperatywy superego, wprowadza w życie jego ideały i moralność. Kim jest ten pozbawiony twarzy bóg, który mediuje między wami dwoma? Kto jest... Twarze wykrzywiły się w szyderczym uśmiechu.

- Ego. Ja. Ja? Ja jestem łącznikiem? Mediatorem? - Veller zadrżał. - Bogiem?

Nie. Nie, to niemożliwe. Nie. Nie!

- Nie! - wrzasnął.

Z drzewa wydobył się gulgoczący rechot. Sklepienie zamknęło się z hukiem, a w dolinie zapanowały egipskie ciemności.

- Nie godzę się na to - szepnął Veller, odbezpieczając swoje miniaturowe pistolety.

•

Wnętrze obcego aerolotu, do którego został zabrany, było przezroczyste. Nie, nie przezroczyste - pokryte szklanymi panelami, które przekazywały obraz w czasie rzeczywistym. Wyglądało to tak, jakby Reiner stał w powietrzu.

Przed zakutym w czerwony pancerz pilotem unosiły się różnorakie symbole, za których pomocą kontrolował lot pojazdu. Reiner widział już coś takiego w swoich zagubionych wspomnieniach.

Próbował coś powiedzieć, ale paraliż dotknął też jego narządu mowy. Zrezygnował więc i zaczął się rozglądać. Prócz pilota w pojeździe przebywały jeszcze dwie istoty w szarych pancerzach, ale nie zwracały na niego uwagi. Spojrzał na zewnątrz. Tak jak przypuszczał, lecieli w kierunku centralnego cylindra Miasta Słupów. Z bliska srebrne wieże nie wyglądały już tak imponująco. Ściany miały obdrapane i powyginane, niemal wszystkie wierzchołki uszkodzone, tak jak ten w Berlinie. Słupy chyliły się ku upadkowi. Problem musiał być na tyle znaczący, że rozwieszono pomiędzy nimi gigantyczne kable, które miały utrzymać całą konstrukcję w pionie. Kolejne cylindry, niewidoczne z oddali, leżały na ziemi, szerniały i powyginane. Pomiedzy metalicznymi szczątkami wila się czerwona wstęga, rzeka krwi biorąca swój początek w ranach Lewiatana. Niegdyś Irem było znacznie większym, bardziej majestatycznym miastem. Wszystko wyglądało tak, jakby dawno temu doszło tu do eksplozji niespotykanych rozmiarów. Może to właśnie były ostatnie dni cywilizacji salgothów.

Pojazd zaczął obniżać lot i zbliżać się do centralnego słupa. Teraz Reiner wyraźnie widział wierzchołek i poruszające się po nim postacie. Była tam też jakaś skomplikowana aparatura, rzędy baraków, szeregi kontenerów ustawionych w piramidy i kilka stojących obok siebie aerolotów.

Poczuł, że może nareszcie poruszać językiem. Najwyraźniej paraliż był silny, ale krótkotrwały.

Aerolot podszedł do pionowego lądowania, zupełnie jak viman. Ze spodu pojazdu wysunęły się przypominające szpony nogi. Kiedy dotknęły podłoża, włączyły się amortyzatory, w efekcie czego zatrzymanie ruchu było

niemal niezauważalne.

Jedna z towarzyszących mu szarych postaci wcisnęła jakiś niewidoczny przycisk i w tylnej części pojazdu z sykiem otworzył się właz. Istota ponownie go chwyciła i wywlokła na zewnątrz. Reiner, chociaż czuł, że władza w kończynach powoli mu wraca, postanowił dalej udawać sparaliżowanego.

Szczyt słupa smagał silny wiatr, a powietrze było prześiąknięte tym specyficznym zapachem ozonu, który pojawia się tuż po wyładowaniu liniowym. Porywacz zrzucił Reintera na ziemię jak worek z piaskiem i wrócił do pojazdu. Pojawiły się kolejne dwie postacie, również w szarych pancerzach, wzięły go pod rękę i powlokły dalej.

Wszyscy wokół uwijali się jak w ukropie, jakby pracowali w fabryce lub musieli zdążyć przed jakimś arbitralnie ustalonym terminem. Poza krawędzią słupa unosiły się aeroloty przypominające rozmiarami supervimany. Na nich również wrzała praca - kolosalne dźwigi przenosiły prefabrykowane elementy z miejsca na miejsce, inne, bardziej tajemnicze wysięgniki służyły jako olbrzymie, teleskopowe spawarki i wiertarki. Wszędzie wokół latały postacie w wielkich metalowych skafandrach, z których pleców sterczały pojedyncze zwojnice antygravitacyjne. Każdy z cylindrów pokrywała pajęczyna rusztowań.

One odbudowują Miasto Słupów, uświadomił sobie Reiner po chwili.

Poczuł, że przestał się poruszać. Powoli, żeby się nie zdradzić, podniósł wzrok, nie podnosząc głowy. Postać, która przed nim stała, była odziana w lekki niebieski skafander, akcentujący wypukłości jej ciała. Hełm trzymała pod pachą, tak że Reiner mógł dokładnie przyjrzeć się jej twarzy. Ludzkiej twarzy.

- Czy mnie rozumiesz? - zapytała kobieta nienagan-  
nym, acz trochę sztywnym angielskim.

Miała krótko ścięte ciemne włosy, ciemną, ale nie  
czarną karnacją i brązowe, odrobinę skośne oczy.

- Czy rozumiem? Kim wy, do cholery, jesteście?!

- Proszę, odpowiadaj na moje pytania. Przybyłeś tu na  
pokładzie prymitywnego promu antygravitacyjnego. Jak  
udało ci się przekroczyć horyzont zdarzeń?

- Co?

Reiner nie wiedział, jak ma zareagować. To nie była  
iluzja, jakie kreował Aziz, tym razem przejrzały ją na  
wylot. Nie, kobieta była prawdziwa.

- Jak udało ci się przedostać do naszego czasu?

- Nie mam pojęcia. Veller skorzystał z Oka Świata.

Kobieta wydawała .się zdziwiona.

- Czego?

- Nie znam szczegółów, byłem tylko pasażerem.

- Gdzie w takim razie jest pilot? Gdzie reszta twojej  
załogi?

Reiner postanowił wreszcie zapytać wprost.

- Nie jesteś salgothem. - Wyszło to raczej jak stwier-  
dzenie niż pytanie.

- Jesteś spostrzegawczy. Rzeczywiście, to ich instala-  
cja, ale salgothy to gatunek wymarły już w twoich cza-  
sach. Gdzie reszta załogi?

- W moich...? Gdzie... nie, kiedy, kiedy jestem?

Kobieta westchnęła.

- Gdzie reszta twojej załogi?

- Nie żyją! - warknął Reiner. - To chciałaś usłyszeć?  
Wszyscy nie żyją! Pochłonięci przez to szaleństwo, które  
nas otacza.

Kobieta wydawała się ukontentowana. Zaczęła wciskać jakieś przyciski na rękawicy skafandra.

- Zaobserwowaliśmy anomalię czasoprzestrzenną w okolicy wykwitów biomasy. Ty byłeś jej źródłem. Czy możesz mi coś o tym powiedzieć?

Czuł, że ta kobieta wie więcej, niż daje do zrozumienia.

- Nie.

- Ty byłeś Nosicielem? - zapytała niespodziewanie.

- Nosicielem? Młodego boga?

Oczy kobiety rozjarzyły się nadzieją. Reiner zaśmiał się histerycznie.

- Spóźniłaś się, młody bóg wyzionął ducha.

Kobieta odwróciła od niego wzrok. Reiner czuł targające ją emocje. Jeszcze raz wcisnęła coś na rękawicy, następnie dotknęła się delikatnie za uchem.

- Cole, straciliśmy go - powiedziała tak cicho, że nikt nie byłby w stanie usłyszeć jej głosu. Reiner jednak słyszał jej myśli. - Potwierdzam, straciliśmy go. Tak, wiem, sama go zbadałam. Tak, tylko śladowe, rozkładające się pierwiastki. Tak - ponownie dotknęła tego samego miejsca za uchem i wróciła wzrokiem do Reiner. - Zamknijcie go w karcerze - powiedziała głośnie.

- Nie, czekaj! - warknął Erhard, nadając swoim słowom mocy. - Kim jesteś? - To był rozkaz, nie pytanie.

- Adiunkt Lianna Masseri, korpus Irem - odparła posłusznie, nie do końca rozumiejąc, czemu to zrobiła.

- Co tu robicie? Jaki macie cel? - Reiner starał się zadawać odpowiednie pytania. Dłoń, na której nosił pierścień, zaczynała go piec, na czole pojawiły się kropelki potu.

Na twarzy kobiety malowało się zmieszanie, ale odpowiedziała posłusznie:

- Nadzorujemy Projekt Słupów Wieczności. Jego celem jest zapewnienie przetrwania rasy ludzkiej.

Rasy ludzkiej.

- Który mamy rok?

- Podział na standardowe lata stał się nieaktualny, kiedy orbita Ziemi...

- Gdzie w odniesieniu do mojego czasu się znajdujemy? - nalegał zniecierpliwiony.

- Przyszłość.

Nie przeszłość. Przyszłość. Reiner pobladł.

To było Voghtoth? Pustka pomiędzy Światami? Czyżby już przegrał?

- Lianno - zaczął niemal błagalnie. - Otacza nas wypaczony, splugawiony świat. Jak do tego doszło?

- Dokładna przyczyna wciąż nie jest znana - odpowiedziała kobieta beznamiętnym głosem, jakby prowadziła lekcję historii. - Pierwsza mutacja pojawiła się na długo przed obecnymi czasami, prawdopodobnie w ciągu dwóch lub trzech pokoleń od momentu w czasie, z którym uzyskaliśmy połączenie. Czyli z twoją rzeczywistością. Przyczyny obecnej sytuacji można się doszukiwać w trzech równorzędnych i wzajemnie na siebie oddziaływujących czynnikach. Odkrycie procesu edenoformacji...

- Wystarczy. - Reiner zaczęła boleć głowa. - Otworzyliście wyrwę w czasie i obdarzyliście nas Eskalacją, żebyśmy mogli się unicestwić. To jest wasz sposób na uratowanie ludzkości?

Kobieta pokręciła głową.

- Naszym pierwszym impulsem po odkryciu tunelu czasoprzestrzennego było podjęcie próby cofnięcia się w czasie. Chcieliśmy zapobiec pierwszej mutacji.

- Historii nie można zmienić. - Już raz to dzisiaj powiedział.

- Nie - zgodziła się. - Szybko odkryliśmy, że nie potrafimy pokonać horyzontu zdarzeń. Podróżować do waszego czasu - dodała, widząc minę Reiner. - Poprzez tunel czasoprzestrzenny przedostawał się tylko sygnał radiowy.

To dlatego wypytywała go o podróż. Nie mogła uwierzyć, że ktoś z dwudziestego wieku dokonał tego, czego oni nie potrafili do tej pory.

- I Eskalacja.

- Tak. Odkryliśmy też, że po waszej stronie znajdują się osoby gotowe z nami współpracować.

- Fannsbach.

- Tak.

- Wtedy postanowiliście zniszczyć Ziemię?

Lianna przez chwilę milczała, jakby walczyła z samą sobą, ale wreszcie odparła:

- Tak. Okazało się to trudniejsze, niż początkowo zakładaliśmy, bowiem Fannsbach nie chciał przyjąć od nas broni masowej zagłady ani innych podobnych wynalazków.

- Zainteresował się za to Eskalacją - odpowiedział jej Reiner.

- Tak. Ostatecznie było to nam na rękę, bo musiało doprowadzić do reaktywacji Irem po waszej stronie, co stanowiło oś naszego planu. Co więcej, nasi analitycy,

psychologowie, politologowie i historycy byli zgodni co do efektu, jaki pojawienie się Eskalacji wywrze na nasz świat.

- Wojna atomowa.

- Istniało osiemdziesięciosiedmioprocentowe prawdopodobieństwo, że nasza ingerencja skończy się całkowitą anihilacją życia na waszej Ziemi.

Reiner pomyślał o słowach Vellera.

- Pomogliśmy Fannsbachowi odnaleźć Słupy Wieczności w waszym czasie - kontynuowała Lianna - a także uruchomić pozostawione przez salgothy automaty.

- Automaty?

- Sztucznych ludzi. Ostatnie wielkie dzieło zgubionej cywilizacji. Bez ich pomocy w waszym czasie nie można było dokonać odpowiednich obliczeń, koniecznych do ustabilizowania procesu Eskalacji.

Reiner przypomniał sobie kable, które wystawały z korpusu martwego Aziza. Arab widocznie był jednym z tych mechanicznych ludzi. Potem pomyślał o salgothach, które spotkał w podziemiach Volkshalle.

- I co dalej?

- Jak mówiłam, przejście pomiędzy światami było niemożliwe, ponieważ tylko nasza strona podtrzymywała istnienie tunelu. Fannsbach obiecał uruchomić pozostałe Słupy Wieczności, czyli przejść od odbioru Eskalacji do jej generacji. W ten sposób ustabilizowałyby osobliwość po waszej stronie. Tunel czasoprzestrzenny nadawałby się od tej pory do transportu materii.

Ale po co? Czasu nie da się zmienić - powtórzył.

- Przegrywamy tę wojnę. Ludzie chwytają się każdej szansy.



- Macie broń atomową! Opatrzność wie, co jeszcze! Władacie Eskalacją. Jak możecie przegrywać?

- To, co widzisz wokół, to trzecia forma ekspansywna biomasy. Megaorganizm adaptuje się do naszych metod walki. Uczy się. Uodparnia. Nie mamy już nic, co mogłoby go trwale uszkodzić. Dlatego opracowano plan masowego exodusu w czasie. Ale do tego potrzebowalibyśmy przestrzeni życiowej, której wasze prymitywne, gwałtowne narody z pewnością by nam nie odstąpiły.. Musieliśmy oczyścić Ziemię.

Przestrzeni życiowej. Oczyścić Ziemię. Jego Sen nigdy nie wydawał się tak pusty jak teraz.

- Prymitywne, gwałtowne narody? Wyjaławiacie cholerną planetę! Zabijacie miliardy istnień!

- Planeta się odrodzi, jak zawsze po kataklizmie. Mówisz o miliardach istnień. A jeśli stawką byłyby dziesiątki miliardów? Za Wielką Barierą na wschodzie, w naszych latających arkologiach tłoczy się dwadzieścia pięć miliardów ludzi, kolejne dwa na stacjach orbitalnych i dziewięć na powierzchni Księżyca.

Latające arkologie? Księżycowe miasta? Voghtoth miało być puste, pozbawione życia. Jakże zżęcznie został zwiedziony. Gdyby skorzystał z mocy młodego boga, zabiłby nieprzeliczone miliardy. Czy Veller o tym wiedział?

- Ale to nadal ingerencja w linię czasu! Nie można jej przełamać, wszystko potoczy się tak, jak się potoczyło!

Kobieta zaśmiała się smutno.

- To właśnie powiedzieli zwolennicy tego planu. Jeśli

historii nie da się zmienić, to wszystko, czego się dopuścimy, już się stało. Wszystkie zbrodnie były nam przeznaczone od początku, a my jesteśmy ich rezultatem, więc jak możemy ponosić za nie odpowiedzialność? Cemu nie mielibyśmy spróbować? Przecież istnieje szansa, że fizycy się mylą. Że linię czasu można przerwać. Moglibyśmy spróbować lub rozłożyć ręce i umrzeć. Miliardy zrozpaczonych ludzi zagłosowały za tym planem. To lepsze niż czekanie na wyrok.

- A co z naszym głosem? - zapytał Reiner cicho.

- Dopuszczalne straty. Przykro mi - westchnęła Liana.

- Oczywiście są też ci, którzy wierzą... - zaczęła, ale nagle umilkła. Wzrok jej się wyostrzył, męła zasnuwająca oczy pierzchła. Walczyła z nim.

Reiner skupił się na pierścieniu. Nie mógł jej jeszcze wypuścić.

- Czy masz pojęcie, coście uczynili? Wystawiliście naszą Ziemię na zgubny wpływ bogów. - Widząc niezrozumienie na jej twarzy, postanowił spróbować inaczej. - Te istoty, z którymi tu walczyacie, zaczęły przenikać do mojego świata. Sprowadziliście nam na karki wroga, z którym sami nie możecie wygrać! Kobieto, nawet jeśli wasz plan by się powiódł, przywleklibyście tę zarazę ze sobą!

- Nie miałam pojęcia... - zaczęła Lianna.

- Oczywiście, że nie! O nic nie dbacie, nie zważacie na nic na swojej drodze do celu. Czy wiesz, z kim się sprzymierzyliście? Czy wiesz, kim był Fannsbach?

- Człowiekiem. Wybitnym uczonym twojego czasu.

- Nie! Był wybrańcem bogów-Trójcy! Istot, z którymi prowadzicie tę rozpaczliwą wojnę! Jak Martius Pullo, jak

Veller, jak ten cholerny Erhard z Edelbergu, rycerz mający zaprowadzić Voghtoth na Ziemi!

Kobieta spojrzała na niego dobrotliwie.

- Mylisz się, rozbitku. Wiemy o Erhardzie z Edelbergu.

- Adiunkcie? - odezwała się po raz pierwszy jedna z przytrzymujących Reintera postaci. - Czy naprawdę powinniśmy propagować niczym nieoparte plotki?

*Chcesz mi powiedzieć, pomyślał Erhard.*

- Chcę mu to powiedzieć.

*Musisz mi powiedzieć. To może mieć kluczowe znaczenie.*

- Muszę mu to powiedzieć. To może mieć dla nas kluczowe znaczenie.

- Adiunkcie, ta rozmowa łamie zasady prawidłowego protokołu. Będę musiał poinformować pani przełożonych. Doktor Calmas nie będzie zachwycony.

- Rób co uważasz za stosowne, poruczniku - odcięła się Lianna.

- Kontynuuj - polecił Reiner.

- Wśród żołnierzy stacjonujących na Wielkiej Barierze krąży legenda. Czterdzieści lat temu, kiedy rozpoczynaliśmy Projekt Słupów Wieczności, pojawił się człowiek, który utrzymywał, że nie pochodzi z naszych czasów. Ten człowiek twierdził, że posiada klucz do zbawienia naszej rasy. Nie wiem jak, ale zjednał sobie dowódców batalionów zmechanizowanych, a później również wpływowych przedstawicieli władz. Opowiedział nam o istocie posiadającej niewyobrażalną moc. Istocie, która pozwoliłaby nam odwrócić bieg czasu.

- O młodym bogu.

- Tak. Mężczyzna na powrót rozwiął się w mgłach czasu, ale przed swoim odejściem obiecał, że wróci wraz z młodym bogiem. Dziś pojawiłeś się ty.

- A młody bóg jest martwy. - Reiner rozważył coś w myślach. - Ty należysz do osób, które wierzą w tę legendę, prawda, Lianno? Oczywiście, że tak, nazwałaś mnie Nosicielem. Dlatego przyprowadzili mnie wprost do ciebie. Wiedziałaś, czego wypatrywać. Czekalaś na to. - Dostrzegł prawdę w jej oczach. - Czekalaś na to całe swoje życie.

Żołnierze, którzy go trzymali, poruszyli się niespokojnie.

- Ale co to ma wspólnego z Erhardem z Edelbergu?

- Tak właśnie nazywał się mężczyzna, o którym ci mówiłam. Adelmar Erhard z Edelbergu.

Te trzy słowa w jednym zdaniu, jak magiczne zaklęcie, zerwały ostatnią pieczęć.

*Nie mogę sobie przypomnieć jego twarzy.*

*Znów wśród żywych, efendi? Widzę w tym rękę twojego ojca.*

*W mroku pomiędzy gwiazdami odnalazł nowego boga i jemu się zaprzedał.*

*Archanioł oddał mu al-hadžar, miecz z czarnego kamienia. Ten rycerz nosił imię Erharda z Edelbergu. Poprowadził krucjatę do Irem i dalej, do Voghtoth.*

*Czterdzieści lat temu pojawił się człowiek, który utrzymywał, że nie pochodzi z naszych czasów. Obiecał, że wróci wraz z młodym bogiem.*

*Gdybyś wtedy zabrał go ze sobą...*

*Wiem. Nastąpiłby koniec historii.*

*Al-hadżar wyczekiwał na ciebie wiele wieków.*

*Zaczęło się. Szybciej, niż myślałem.*

*Szybciej? Och, efendi, twoja percepcja czasu płata ci figle. Zapewniam cię, że kupiłeś nam wiele czasu. Przy najmniej osiem wieków.*

*Czy zastanawiałeś się, kto poniesie brzemię? To nie możesz być ty.*

*Wiem. Wtedy by się dowiedziała.*

*Otwórz drzwi, Aziz.*

Reiner wreszcie zobaczył twarz swojego ojca, a raczej metaliczną maskę, która ją skrywała.

To była prawda ukryta w zakamarkach jego umysłu przez tak długi czas. Powód wszystkiego, co wydarzyło się od tamtego wieczoru w Wizjonerium Ba-sima Lee, nie, wcześniej, od mrocznych brzegów Tanganiki. Adelmar Erhard był wybrańcem bogów, poprzednikiem Vellera i krzyżowcem z opowieści. Odbył pielgrzymkę do Voghtoth i wrócił, osiem wieków później. Ukrył przed niepożądanym wzrokiem młodego boga i wskazał syna jako wykonawcę swej ostatniej woli.

Nie dziw, że nawet tutaj zjednał sobie sprzymierzeńców. Jak Veller i Aziz, a teraz i on, Reiner Erhard, potrafił naginać umysły innych do swej woli.

Spomiędzy rur i turbin wchodzących w skład dziwacznej aparatury wyłoniła się postać w czarnym kombinezonie. Od razu skierowała się w ich stronę.

- Adiunkt Masseri, co pani wyprawia? - Głos był stary, męski. - Niech pani natychmiast nałóż hełm. To nie jest dekoracja.

- Doktorze Calmas, ja tylko...

- Nie widzi, pani, co się tu dzieje? Ten mężczyzna był augmentowany. Owinął sobie panią wokół palca.

Od strony biomasy rozległ się przeraźliwy, zwierzęcy ryk. Reiner go pamiętał. To behemot.

- Kto panu to zrobił?

- Doktorze? - zapytał znużonym głosem Reiner. Grał na zwłokę. Wiedział już, po co tu przybył.

Młody bóg już nie żył, ale on pozostawał wolnym rodnikiem dostatecznie długo. Przez pewien czas nie dotyczyły go zasady przyczynowości. To właśnie pokazał mu Gabrleth. Nie wykorzystał młodego boga. Może to wystarczyło.

- Proszę nie traktować mnie jak głupca, widziałem już panu podobnych.

Do doktora podszedł jeden z żołnierzy w szarym pancerzu.

- Zbliża się obiekt klasy trzeciej. To gatunek 11371, *Yglothepiac*. Przystępujemy do standardowej reakcji, ogień mezonowy.

- Dobrze, dobrze. Zajmijcie się tym. Więc jak? - doktor ponownie zwrócił się do Reiner. - Telepatia? Co panu jeszcze wprowadzono? Telekinezę? Kto panu to zrobił? Mesmerzy?

- Nie mogę wam pozwolić...

- Co pan tam mamrocze?

Aby jeden mógł przetrwać, oba muszą istnieć, czy nie to powiedział mu Aziz? Teraz wiedział, o czym mówił Arab. O światach.

Spomiędzy splątanych żył Lewiatana wyłoniła się kolosalna postać behemota. Potwór sięgał wzrostem jednej szóstej słupów. W czerwonym świetle Eskalacji Reiner dostrzegł rany, poszarpane futro i ziejącą pustkę w miejscu, w którym powinno się znajdować prawe oko.

*To ten sam, pomyślał.*

Kopuła wieńcząca sąsiedni cylinder zaczęła obracać się w tamtą stronę. Nawet z tej odległości słyszał syk serwowatorów i stukot przekładni. To nie był pierwotny element słupów, pomyślał. To nietrwala ludzka konstrukcja wzniesiona na cmentarzysku dawno wymarłej rasy. To wszystko wokół, zdał sobie nagle sprawę, jak padlina. A ludzkość niczym hiena pożywia się na ochłapach.

Lufa działa mezonowego uniosła się. Wokół szpica zaczęły się krystalizować ledwo widoczne kule energii, spontaniczne skupiska egzotycznych pierwiastków. Wreszcie w głębi lufy pojawił się jaskrawy, czerwony blask. Z początku wydostawał się powoli, jak gęsta lava, ale z sekundy na sekundę przyspieszał. Kiedy dotarł do wylotu, był już rozpędzony niczym pocisk balistyczny. Rozległ się rozdzierający uszy wizg, w niebo pomknęła bezkształtna, energetyczna salwa, ni to promień światła, ni ciecz. Czerwona, żrąca smuga przecinała powietrze po łuku parabolicznym, tak jak zaobserwował to wcześniej ze szczytu Oka Świata. Ogień śmierci mknął w stronę behemota po trajektorii wyliczonej przez maszyny myślące co do szóstego miejsca po przecinku. Tu nie było miejsca na błąd.

Chyba że ludzki.

Reiner skupił całą uwagę na mezonowej smudze. Najpierw dostrzegł całą chmurę energii, później atomy, które się na nią składały, a później jeszcze mniejsze cząsteczki, których nazw nie znał. Poczul jej zmienny stan skupienia i szalejącą, niestałą temperaturę. Zasmakował jej niszczycielkiej potęgi i podziwiał jej matematyczne piękno. Pociągnął z całej siły. Anomalia grawitacyjna, którą stworzył,

była niewielka, ale trajektoria lotu pocisku i tak zaczęła się odchyłać. Nieznacznie, ale to wystarczyło. Mezonowa salwa chybiła potwora, jedynie przysmalając jego włochate plecy, które teraz stały w ogniu.

Rozległy się syreny. Behemot wdarł się poza perymetr. Tutejsze odpowiedniki vimanów zaczęły startować, większe aeroloty popłynęły w stronę potwora, aby przeciąć mu drogę, zanim dosięgnie Słupów Wieczności.

*Niech pani stąd ucieka, adiunkt Masseri, pomyślał.*

Kobieta obrzuciła go przerażonym spojrzeniem.

- To pan! - wrzasnął doktor Calmas. - Pan go tu sprowadził! Dajcie mi broń!

*Niech pani stąd ucieka, adiunkt Masseri, bo kiedy skończę z tym miejscem, nie ostanie się kamień na kamieniu.*

Niewidzialna siła odrzuciła jego niedawnych strażników wiele metrów do tyłu. Pistolet, który wręczył doktorowi Calmasowi jeden z żołnierzy, wyrwał mu się z ręki i wylądował w dłoni Reiner. Ten pociągnął za spust.

Tułów doktora zmienił się w eksplodujący wrzątek ciekłej stali, plastiku, krwi i tkanki.

Z bólem i ciągłym mrowieniem w członkach Reiner powstał z ziemi. Lianna biegła już w kierunku lądowiska. Nie oglądała się za siebie.

Cała uwaga personelu Miasta Słupów skupiła się na zbliżającym się behemocie. Działo mezonowe miało zbyt wąski kąt ostrzału, żeby ponownie wziąć udział w walce, dlatego do akcji wkroczyły aeroloty wyposażone w broń termostrugową i jakieś inne rodzaje broni energetycznej. Nad słupami zaroilo się od małych pojazdów, które dla



Reinera wyglądały jak rój szarańczy. Huk ich silników zagłuszył wszystko prócz nieludzkich, przeciągłych ryków potwora. Ich ruchy były gwałtowne i nieprzewidywalne, przeczyły wszystkim prawom fizyki i aeronautyki. Krążyły wokół kolosa, rażąc go śmiercionośnymi promieniami, ale to nie wystarczyło, żeby go powstrzymać. Strugi zimnego ognia osmały jego futro, wnikały nawet pod skórę, ale były dla niego jak ukąszenia komarów. Istota co chwilę uderzała przed siebie masywnymi łapami, za każdym razem strącając kilka maszyn.

Żołnierze, którzy przebywali na centralnym cylindrze, zaczęli się gromadzić przy południowej krawędzi, żeby przygotować się do odparcia ataku. Niektórzy nieśli większe modele karabinów termostrugowych z trójnogami, inni ciągnęli olbrzymie kable, żeby wystawić potwora na bezpośredni wpływ Eskalacji. W czerwonej poświacie wiszącego nad nimi mikrośłońca przypominali armię piekieł.

Wszyscy skupili się po południowej stronie cylindra, dlatego Reiner ruszył w przeciwnym kierunku. W chaosie, jaki zapanował, nikt nie zwracał uwagi na samotnego mężczyznę, bo cóż on mógł zdziałać?

Po drodze mijał smukłe, podłużne cewki, masywne generatory, szeregi tranzystorów i Opatrzność wie co jeszcze. Maszyny nie były eleganckie ani solidne. Z bliska wyglądały, jakby wyprodukowano je i rozstawiono w pośpiechu. Wraz z okablowaniem, którego ilość przyprawiałaby każdego o zawrót głowy, tworzyły labirynt metalowych płyt, rur, izolatorów i przewodów.

W oddali po prawej stronie zauważył coś jakby pole

namiotowe, szeregi szarych, pokrytych rdzą prefabrykowanych baraków i przerażonych ludzi biegnących pomiędzy nimi. Ich świat właśnie zapadał się pod własnym ciężarem, a oni rozpaczliwie chcieli umknąć spod gruzów. Ale wszystkie aeroloty już wystartowały, jeśli słupy upadną, nie będzie ratunku.

Blżej centrum wieży, gdzie znajdował się najniższy punkt słońca Eskalacji, wszystko wokół nabierało monochromatycznego koloru czerwieni. Reiner poczuł się jak w ciemni fotograficznej. W pobliżu kuli energii pojawiało się charakterystyczne poczucie niewłaściwości, a oko zaczynało rejestrować kilka klatek na sekundę mniej. Tu czas zdawał się zwalniać.

Dalej stały kontenery, setki kontenerów w dwóch rozmiarach, cholernie dużych i jeszcze większych. Na obdrapanych ścianach z blachy widniały jakieś oznaczenia, ale Reiner potrafił rozpoznać jedynie cyfry. Pomędzy kontenerami stały szeregi dźwigów i podnośników, wózków widłowych i większych ciężarówek poruszających się na rozłożonych na ziemi szynach. Ta część platformy była niemal zupełnie opustoszała.

Reiner nie zważał na nic. Biegł, gnany przemożnym impulsem. Wyminął ostatnią piramidę kontenerów i dotarł do krawędzi cylindra. Za nią wisiała w powietrzu flota technicznych aerolotów. Rozstawiono składaną wiatę z blachy. W jej cieniu stało dwóch mężczyzn w szarych kombinezonach. Żołnierze. Kiedy spostrzegli biegnącego w ich stronę mężczyznę, krzyknęli, żeby się zatrzymał. On nawet nie zwolnił. Strażnicy dobyli podręcznej broni termostrugowej, ale Reiner zdążył już popchnąć myślą piętrzące się obok nich skrzynie. Stalowe pudła uderzyły

w wiatę, gnąc blachę, jakby była z plasteliny. Reiner nie miał pojęcia, co zawierały, ale o ich ciężarze świadczył metaliczny huk, któremu wtórowały mokre młaśnięcia miażdżonych kości i tkanek.

Podbiegł do barierki asekuracyjnej. Za nią rozpościerała się otchłanna przepaść. W dole kręciły się malutkie barki, które przewoziły robotników i lekki sprzęt pomiędzy słupami, oraz pojazdy techniczne, wyposażone w ciężki sprzęt tnący lub spawający. Niżej rozwieszono grube, stalowe kable utrzymujące wieże w pionie, a jeszcze niżej znajdowało się gruzowisko cylindrów i szeroka, rwąca, karmazynowa rzeka krwi Lewiatana. Reiner się nie zastanawiał. Wspiął się na barierkę i skoczył. Celował w jedną z mniejszych antygrawitacyjnych barek, która przelatowała tuż pod szczytem słupa.

Spowolnił swój upadek myślami, ale kiedy lądował na pokładzie aerolotu, czuł, jak pękają mu kości. Zaklął karczemnie, ale nie stracił równowagi. Wymierzył broń w mężczyzn w pomarańczowych kombinezonach, stojących w częściowo odsłoniętej nadbudówce. Chociaż na pokładzie piętrzyły się skrzynie i sterty metalowych rur, miał czystą linię strzału.

- Leć do słupa z działem! - wrzasnął.

Mężczyzna stojący bliżej steru pokręcił przecząco głową. Widocznie hełmy osłaniały ich przed ingerencją z zewnątrz. Oczywiście, inaczej nie mogliby przetrwać tak długo w obecności Lewiatana.

Reiner wypalił. Czaszka mężczyzny eksplodowała, pozostawiając na ścianie z tyłu gorący, mokry ślad.

Wymierzył w drugiego z mężczyzn.

- Leć.

Ten posłusznie wykonał polecenie. Barka ruszyła do przodu, zaczęła też nabierać wysokości. Pojazd wymiął centralny słup, oderwał się od floty podobnych mu aerolotów i podleciał jeszcze wyżej, ku kopule działa mezonowego. Do jej boku przylgnęła stalowa konstrukcja, jakby rusztowanie, której kładki i schody prowadziły na szczyt, do kabiny sterowania przypominającej wieżę kontrolną.

- Dziękuję - szepnął Reiner.

Przeskoczył przez reling i wylądował na dolnym pokładzie rusztowania oplatającego kopułę. Konstrukcja okazała się prowizoryczna, podobnie jak wiele innych na centralnym słupie. Metal zatrzeszczał pod ciężarem Reiner, ale wytrzymał.

Hauptmann wstał z jękiem, odwrócił się i oddał strzał w nieosłoniętą zwojnicę antygravitacyjną barki. Spód pojazdu rozświetliła kaskada wyładowań elektrycznych. Aerolot przechylił się do przodu, a chwilę później runął w dół ku szczątkom strzaskanych przed wiekami słupów.

Reiner zaczął się wspinać po metalowych stopniach. Jego krokom towarzyszył metaliczny stukot. Samo rusztowanie wyglądało na stabilne, ale trzęsło się, targane silnymi i niespodziewanymi wiatrami. To gwałtowne ruchy behemota popychały w stronę słupów masy powietrza.

Utykał, doskwierała mu pęknięta kostka. Każdy krok był kolejnym ukłuciem bólu. Młody bóg już mu nie pomoże, jego pozostałości rozprzestrzeniły się po całym organizmie. Spodziewał się, że lada chwila padnie zatruty krwią Gabreletha. Pozostały mu zaledwie minuty.

Pomyślał o Delphine, o obu Delphine. Uśmiechnął się,

bo wiedział, że zrobił wszystko, co było w jego mocy. Niczego nie żałował.

W połowie drogi, pomiędzy dolnym pokładem a kabiną kontrolną, na stalowy chodnik wybiegła grupa żołnierzy. Szare pancerze lśniły w świetle światel pozycyjnych, lufy miotaczy jak las oskarżycielskich palców wymierzyły prosto w Reinera.

On nawet nie fatygował się podnoszeniem broni. Pchnął ich umysłem, wrywając przy tym poręcz schodów. Mężczyźni pomknęli w dół w ślad za barką.

Reiner nawet nie obejrzał się za nimi. Wspiął się po kolejnych stopniach, chociaż wydawało mu się, że jest coraz dalej, a nie bliżej. Sekundy stawały się dłuższe, dźwięki przytłumione, wrażenia słabe i odległe. Sam nie wiedział, jak dotarł na szczyt schodów i stanął przed zamkniętym włazem przeciwpożarowym.

Myślał, że to go powstrzyma? Roześmiał się histerycznie.

Jego myśli zacisnęły się na włazie, objęły go ze wszystkich stron. Metal zawył i wygiął się, jakby stalową płytę uchwyciły jakieś niewidzialne, gigantyczne szczypcy. Reiner szarpnął, a wypaczony właz wypadł z zawiasów i pomknął w niebo niczym kartka papieru na wietrze.

Wewnątrz kabiny kontrolnej, ciasnej klitki, która przypominała raczej maszynownię okrętu parowego niż centrum kontroli ognia, znalazł troje ludzi. Kobiętę w niebieskim kombinezonie i dwóch mężczyzn w pomarańczowych.

- Ty - wskazał na kobietę - umiesz to obsługiwać?

Kiwnął pistoletem w kierunku paneli kontrolnych.

Kobieta milczała.

- Ściągaj hełm. Ściągaj hełm albo rozwalę ci łeb! - wrzasnął, kiedy nie zareagowała na jego pierwsze słowa.

Kobieta nie poruszyła się.

Rozdrażniony Reiner machnął ręką i hełm sam sfrunął z jej głowy, ciągnąc za sobą kable i przewody aparatury kombinezonu.

- A teraz obróć działo - zażądał.

- Nie możesz... - zaczął jeden z mężczyzn, ruszając w jego kierunku.

Nie odwracając wzroku, Reiner oddał strzał w protestującego technika. Bezwładne, bezkształtne zwłoki osunęły się na podłogę.

- Dopuszczalne straty - mamrotał pod nosem. - Dopuszczalne straty. Unieś lufę. Celuj w kulę Eskalacji! Tak, dobrze słyszałaś, dziś nikt nie ujdzie z życiem.

W tym samym czasie, mimo wysiłków żołnierzy korpusu Irem i floty pojazdów antygravitacyjnych, behemot dotarł pod same słupy. Był osmalony, całkowicie czarny od sadzy, pokryty zwęglonymi włosami, skórą oraz tkaną. Tylko nieludzkie oko świeciło jasno. Potwór chwycił jeden z większych aerolotów i z niepowstrzymaną siłą roztrzaskał go o najbliższy cylinder. Wieża na chwilę zniknęła w chmurze ognia i metalowych odprysków, ale kiedy dym opadł, jej ściana wydawała się gładka i nienaruszona. Behemot uczepił się innego słupa i pomagając sobie rozwieszonymi pomiędzy cylindrami kablami, zaczął się wspinać. Krew z jego rozlicznych ran spływała po powierzchni metalicznego obelisku niczym strumienie wodospadu. Kable, po których wspinała się istota, nie wytrzymały jej ciężaru i pękały. Ze świstem przecinały

powietrze, miażdżąc latające wokół aeroloty. Cooper i Schoedsack byli wizjonerami, pomyślał przelotnie Reiner.

Wieże zaczęły trzeszczeć i chwiać się.

Nie trzeba było długo czekać, żeby runął pierwszy słup. W górę wzniosły się tumany pyłu, na chwilę zasłaniając wszystko wokół. Reiner zauważył, że przewracający się cylinder do ostatniej chwili generował Eskalację. Czerwona kula, która wisiała na niebie nad Irem, zafalowała niebezpiecznie.

Kobieta w niebieskim kombinezonie, przymuszona do działania wolą Reiner, spojrzała na niego błagalnie. On tylko się uśmiechnął i kiwnął głową.

*Strzelaj. I do diabła z nami wszystkimi.*

Rozległ się ogłuszający huk i szkarłatne światło pochłonęło świat.

•

Veller stał w kręgu popiołu. Chociaż do doliny nie docierało światło, widział wszystko doskonale. Świat wokół płonął. Porastające ściany kwiaty, tkanka i porosty, trawa, skarłate drzewka i korona z dłoni. Chociaż ognie Eskalacji były bezbarwne, wzniewały dalsze, zwykłe pożary, a te jaśniały krwawą luną.

Spod ziemi wystrzeliła kolejna para grubych, opancerzonych chitynowymi płytami macek. Veller uskoczył i wyciągnął przed siebie ręce. Macki stały w niewidzialnym ogniu. W amoku zaczęły uderzać o ziemię, chcąc ugasić trawiące je płomienie.

- To nieprawda! - wrzasnął, chociaż gdzieś w głębi duszy już się z tym pogodził. - Nie jestem częścią ciebie, ohydo!

Strumienie energii termostrugowej raz po raz opuszczały jego dłonie. Z wnętrza drzewa wychynęły kolejne wici, ale Veller był już na to przygotowany. Chociaż lament Lewiatana dzwonił mu w uszach i rezonował w umyśle, nie poddawał się. Nie przegra tej walki, zniszczy zło u jego źródła.

Uskoczył przed kolejną macką i przetoczył się po trawie. Niby-źdźbła próbowały go schwytać, ale był zbyt szybki i zbyt silny. Wyrwał się pomiędzy wici niczym Guliwer z sieci liliputów i w dwóch susach wspiał się na jeden z gładkich głazów narzutowych. To nie była skała, to było szkliwo. Kamień poruszył się i podniósł. Spod spodu wyłoniły się muskularne, niemal ludzkie ręce. Wyciągnęły ku niemu nieproporcjonalnie małe dłonie w błagalnym geście.

Veller nie miał litości.

Palił wszystko. Słyszał, jak ramiona pękają niczym patyki w ognisku, widział, jak skóra i tkanka odłazą z dłoni, pozostawiając czerniejące kości.

Tego jednego bogowie-Trójca się nie spodziewali. Broni termostrugowej. Cynizmu.

- Giń! Giń! - krzyczał, miażdżąc kolejne ramiona i kolejne macki.

Wreszcie korona drzewa załamała się i z trzaskiem runęła na ziemię. Kora wraz z wprawionymi w nią twarzami zaczęła odchodzić od pnia. Oblicza poprzednich wybrańców bogini wyły w agonii, ale on nawet tego nie zauważał. Zimny ogień Eskalacji i najpotężniejsze zaklęcia, jakie znał, powinny wystarczyć, żeby pogrzebać nawet wspomnienie o bogach-Trójcy!

Wreszcie pień drzewa rozpadł się w drzazgi, a ostatnia macka skurczyła się w objęciach niewidzialnego ognia niczym płonąca kartka papieru.



Veller stał pomiędzy dopalającymi się zgliszczami i podziwiał swoje dzieło zniszczenia.

Tam, gdzie kiedyś stało rozłożyste drzewo, jego bóg, teraz znajdowała się wypalona w ziemi dziura, z której wystawała niewielka, przezroczysta bulwa. Nawet teraz podejmowała rozpaczliwe próby regeneracji. Szansa nie będzie jej dana. Veller podszedł bliżej.

- Opatrzności - wychrypiał, widząc, co kryło się pod prześwitującym nabłonkiem. Tym był jego bóg, zwodząca Lilith, wielki Lewiatan?

Nieważne.

Unióś dłoń, żeby zimnym żarem obedrzyć ostatnie osłony tego pokracznego, żalostnego pomiotu, który kulił się przed nim ze strachu, całkowicie bezbronny.

Nic się nie stało.

Rozczapierzył palce, ale Eskalacja nie chciała płynąć.

Wreszcie zrozumiał.

- Och, Reiner - zdołał wyszeptać. - Zrobiłeś to, o co cię prosiłem.

Jakby wtórując jego słowom, zarodnia ponownie skryła się w ziemi. Chwila słabości minęła bezpowrotnie. Dookoła niego zwęglone macki zaczęły się powoli unosić. Widział, jak zrastają się ścięgna, jak nową bliznowatą tkankę momentalnie pokrywa skóra. Czarna, twardsza, oswojona z zimnym ogniem. To był koniec.

Opuścił dłoń.

Ziemia pod nim zadygotała i popękała. Powierzchnię przebiły nowe wici. Cienkie i segmentowane. Uodpornione. Było ich coraz więcej, w końcu otoczyły go szczelnym kordonem, tak jakby wokół niego wyrósł nagle gęsty, bambusowy las.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza, ale zdjęcie Amelii musiało mu gdzieś wypaść podczas przeprawy przez Voghtoth. Znalazł tylko przedarty bilet do opery.

Zrezygowany zwiesił głowę.

Ostatnie, igrające na tkance boga płomyki, odbijające się w powierzchni maski, wypaliły się i zgasły. Ponownie zapanowały ciemności.

•

Ognie powoli dogasały.

Pomiędzy ruinami Miasta Słupów, wśród hałd powyginanego metalu, popiołu i wzruszonej ziemi, leżało gigantyczne, rozszarpane na strzępy ciało kolosa. Zanim pochłonęła go kula podwójnej implozyjno-eksplozyjnej reakcji Eskalacji, został przygnieciony przez jeden z walących się cylindrów.

Do cmentarzyska słupów powoli zaczęły się podkradać inne, mniejsze bestie. Z początku ostrożnie, ale z każdą chwilą coraz śmielej. Nie wierzyły, że tam, gdzie od nieprzeliczonych eonów królowała śmierć, nagle zapanuje cudowne, wieczne życie, którego były częścią.

Łeb behemota poruszył się spazmatycznie. Czaszka nagle pękła i rozpadła się na dwoje. Pomiędzy fragmentami kości i tkanki mózgowej otworzył się mroczny, ciągnący się jakby w nieskończoność tunel. Z jego wnętrza wydostała się skulona postać w przydługim płaszczu. Powoli zsunęła się po zwęglonych szczątkach gigantycznego pyska ha ziemię, gdzie zatrzymała się i podniosła głowę, obejmując wzrokiem pogorzeliisko.

Delphine spojrzała na połamane szczątki słupów Irem,

sterczące z ziemi niczym kości jakiegoś olbrzymiego zwierza. Widziała pęłgające jeszcze tu i ówdzie czerwone płomienie, które mogły topić sam czas. Na niebie świeciła jasna gwiazda Eskalacji. Czekał ją ten sam los, co podobne osobliwości górujące nad Berlinem i Carycynem. Za kilka tygodni będzie tylko złym wspomnieniem.

Delphine zastanawiała się, czy świat się podniesie. Czy zdoła powrócić do normalności.

Wyglądało na to, że przybyła za późno. Zniszczenie nie było tak wielkie, jak się spodziewała, ale dla osoby, która znajdowałaby się w jego epicentrum, to nie miało znaczenia.

Powolnym krokiem ruszyła poprzez rumowisko, nie wiedząc, co ma teraz ze sobą zrobić. Płakała, ale wokół panował taki żar, że lzy natychmiast parowały.

Wtem dostrzegła jakiś lśniący punkt na jednym z powalonych słupów. Pobiegła w tamtą stronę, nie zważając na to, że kaleczy sobie nogi o ostre fragmenty drutów i poszycia strzaskanych aerolotów.

Na boku przewróconego, zmiażdżonego cylindra stała postać. Była naga, a całe jej ciało otaczała gasnąca, połykliwa poświata.

- Reiner? - krzyknęła.

Postać odwróciła głowę.

•

Wielu rzeczy nie rozumiał, ale to jedno wreszcie do niego dotarło. Kroczył ścieżką wytyczoną przez innych, ale czy któraś z tych osób wiedziała naprawdę, dokąd ta ścieżka prowadzi? Nawet Aziz, przy całej mądrości otrzymanej od swoich twórców, jedynie czegoś się domyślał.

Wszystko w życiu odbywało się w cyklach, zamkniętych kręgach powtarzających swój obrót z roku na rok czy z pokolenia na pokolenie. Natura nie stała jednak w miejscu. Czasem, dla przetrwania, konieczna była zmiana. Wtedy krąg musiał zostać przerwany, a porządek zburzony. Później oczywiście wszystko wracało do cyklicznego rytmu. Ale to już był inny, szerszy krąg.

Jak jednak przerwać cykl, którego osią jest sam czas?

Nikt nie wiedział, skąd przybywali młodzi bogowie ani jaki mieli cel. Gdziekolwiek się pojawiali, siali zniszczenie i nieopisane spustoszenie. Ale czy taki był sens ich istnienia? Młodzi bogowie istnieli poza czasem i przestrzenią. Nie byli przywiązani do nietrwalej, fizycznej powłoki, nie poddawali się prawom, jakimi rządził się Wszechświat. Nie obowiązywała ich strzała czasu ani zasady kauzalności.

Jakże więc jeden z nich mógł umrzeć?

Gabrleth przybył na Ziemię w kokonie z czarnego kamienia, później przybrał postać eterycznego robaka, by wreszcie zamieszkać w nim, Reinerze Erhardzie. To, co brał za oznaki zbliżającej się śmierci, było w istocie dostosowywaniem się do nowych warunków. Wreszcie niematerialna, pozaprzestrzenna postać młodego boga oblekła się w ciało. Pozbawionej kierunku mocy zniszczenia nadano wolę.

Nie, młody bóg nie umierał. Przeistaczał się, jak poczwarcka przeistacza się w motyla. Wypełniał swój cel. Przeżywszy własną śmierć, Reiner Erhard stał się czymś innym. Czymś nowym. Czymś więcej.

Stał się śmiertelnym bogiem.

## Epilog

*Waszyngton, Stany Zjednoczone.  
Grudzień, rok 1944*

Zegar ścienny tykał beznamiętnie.

Mężczyzna odstawił kule i rozparł się w wygodnym, wyściełanym pikowanymi poduszkami fotelu. Podziwiał kolonialny wystrój Zielonego Gabinetu, pieczołowite repliki angielskich kredensów i masywne biurko z epoki rewolucji francuskiej. Ściany były utrzymane w łagodnej tonacji jasnej zieleni, od której pokój wziął swą nazwę.

Jedynie drzwi prowadzące do gabinetu otworzyły się powoli. Najpierw pojawiło się dwóch mężczyzn w czerni, którzy zajęli pozycje po obu stronach wejścia, splótłszy dłonie za plecami. Potem pojawił się trzeci, o łagodnej twarzy i bystrym spojrzeniu. Wjechał do pokoju na wózku inwalidzkim, ale poruszał się nadzwyczaj sprawnie.

Mężczyzna odezwał się dopiero wtedy, kiedy zajął miejsce za biurkiem i rozłożył na nim przywiezione ze sobą dokumenty.

- Wybacz mi pan to spóźnienie, ale świat oszalał.
- Nic nie szkodzi. Potrafię czekać.
- To dobrze o panu świadczy. - Mężczyzna na wózku uśmiechnął się, ale od razu sposepniał. - Jeszcze nie przebrzmiały echa nieudanej inwazji dokonanej na Stany

przez Rzeszę, a powstają nowe, globalne problemy. W Chinach pojawił się mężczyzna, który utrzymuje, że potrafi wskrzeszać zmarłych. I ponoć potrafi. Cały naród jest poruszony, gospodarka balansuje na krawędzi załamania. Na Bliskim Wschodzie w ciągu jednej nocy zapadła się cała pustynia. Da pan wiarę? Pustynia wielka jak Wirginia Zachodnia. Wstrząs był tak silny, że zarejestrowano go na całym Półwyspie Arabskim. Na horyzoncie wisi kryzys paliwowy.

- A wojna się jeszcze nie skończyła.

- Nie, pańska ojczyzna nie da za wygraną. Korzysta z zamieszek w Rosji i umacnia granice. Wygramy, proszę się o to nie martwić. To tylko kwestia czasu. Zbyt wiele postawiliście na tę cudowną technologię. To, wybacz mi pan moją szczerość, wasza słabość.

- Czasem to nie wina technologii, tylko ludzi, którzy ją stosowali.

- Tak, ma pan rację. Nie zdaje pan sobie sprawy, jak bliski byłem wykonania tego telefonu. Cieszę się, że nie musieliśmy skorzystać z tej opcji.

- Ja również.

- I mam nadzieję, że z odpowiednią motywacją pomoże nam pan rozszyfrować tajniki tej całej Eskalacji.

Mężczyzna siedzący naprzeciw biurka rzucił przelotne spojrzenie na żelazną księgę, którą położył wcześniej na stoliku do kawy.

- Z całą pewnością. Po to tu jestem.

- Doskonale. - Mężczyzna na wózku ponownie się uśmiechnął. - Nie pozostaje mi nic innego, tylko powitać pana w tym pięknym kraju wolności. Witamy w Stanach Zjednoczonych, doktorze...?

- Fannsbach. Doktor Fannsbach.  
Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.